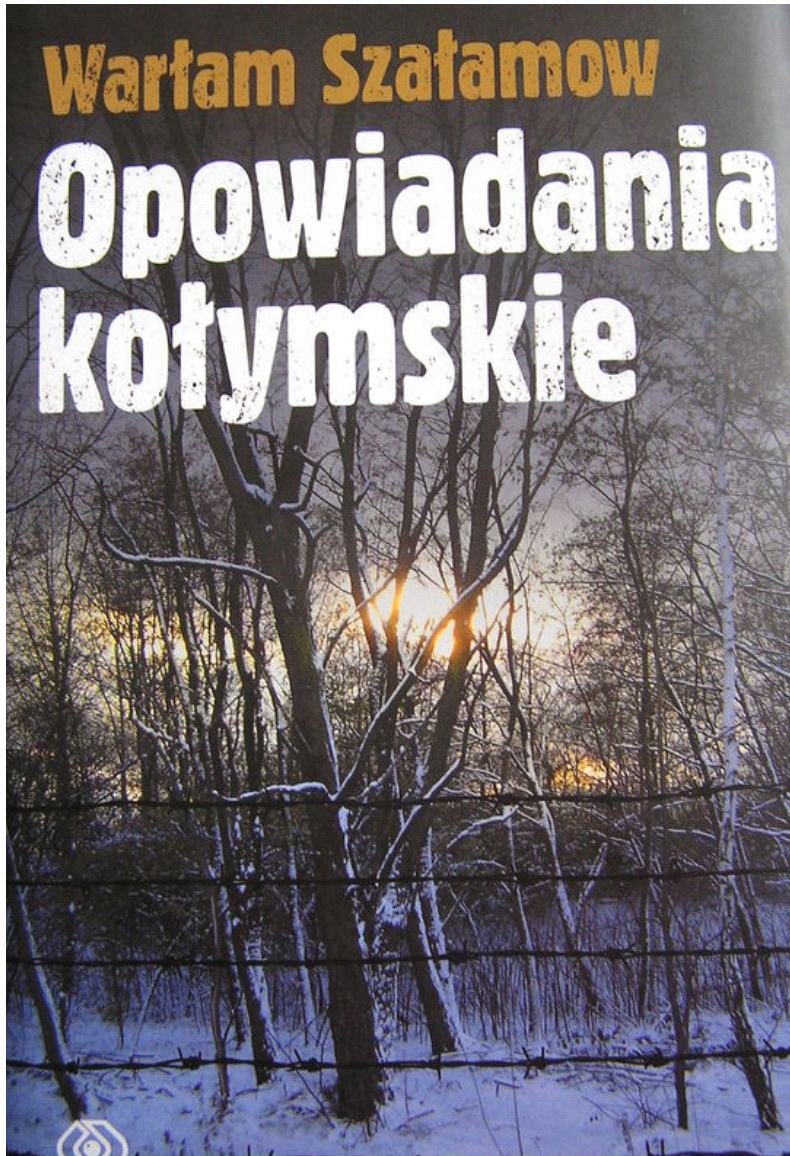


Wartam Szatamow

Opowiadania kotymskie



WYPADEK

Ściana zakołysała się i znajome, słodkie nudności chlusnęły mi do gardła. Spalona zapałka z podłogi po raz tysięczny przepłynęła przed oczami. Wyciągnąłem rękę, by złapać tę uprzykrzoną zapałkę, i zapałka znikła - przestałem widzieć. Ale świat jeszcze mnie nie porzucił: tam, na bulwarze, był gdzieś głos, daleki, nalegający głos siostry medycznej. Potem mignęły białe fartuchy, róg domu, gwiazdziste niebo... Pojawił się ogromny, szary żółw, jego oczy pobłyskiwały obojętnym blaskiem. Ktoś wyłamał skorupę żółwia, a ja wpadłem do jakiejś nory, czepiając się i podciągając na rękach, bo im tylko dowierzałem. Przypomniały się cudze, uparte palce, umiejętnie przyginające moją głowę i ramiona do pościeli. Wszystko ucichło i pozostałem, jak Guliwer, sam na sam z kimś ogromnym. Podobnie do owada leżałem na desce i ktoś z uporem wpatrywał się we mnie przez lupę. Obracałem się, a straszna lupa podążała w ślad za moimi ruchami. Wiłem się pod tym potwornym szkłem. I dopiero wtedy, gdy po przeniesieniu mnie na szpitalne łóżko nastąpił błogi spokój samotności, pojąłem, że guliwerowa lupa to nie koszmar, że to były okulary dyżurnego lekarza. Bardzo się z tego ucieszyłem. Kręciło mi się w głowie i odczuwałem w niej ból przy najmniejszym poruszeniu. Nie można było myśleć. Dało

się jedynie wspominać - i zaczęły się pojawiać, jak kadry niemego filmu, dawne, napawające strachem obrazy, dwukolorowe postacie. Nie przechodziły słodkawe nudności. Podobne do skutków przeprowadzonej eterem narkozy. Były mi nieobce i teraz rozszyfrowałem to pierwsze odczucie. Przypomniałem sobie, jak wiele lat przedtem, na Północy, po sześciomiesięcznej pracy bez wypoczynku, ogłoszony został wolny dzień. Każdy chciał tylko leżeć i leżeć, nie ruszać się, nie naprawiać odzieży... Jednakże wszystkich poderwano o świcie i wygnano po drewno. W odległości ośmiu kilometrów od osady prowadzono wyrąb lasu. Należało wybrać odpowiadające własnym możliwościom bierwiono i przytaszczyć je do siebie, do baraku w zonie. Zdecydowałem że pójdę w drugą stronę - tam, w odległości dwu kilometrów, stały stare sągi i można było wybrać odpowiednią kłodę. Pod górę trudno było iść. Gdy dobrnąłem do sągu, okazało się, że nie ma tam już lekkich bierwion. Powyżej czerniały porozwalane inne sągi, zacząłem się więc wspinać do nich, tutaj jedno tylko cienkie polano, nadające się dla mnie, odpowiadające moim możliwościom. Niestety, jego koniec tkwił zaciśnięty w sągu a nie wystarczało mi krzepy, żeby go wyszarpnąć. Kilka razy próbowałem aż zupełnie opadłem z sił. Nie wolno było jednak wracać bez drew. Zebrawszy

resztkę siły pełzłem w górę, do sagu przysypanego śniegiem. Długo rozgrzebywałem nogami i rękami sypki, skrzypiący śnieg i w końcu wyrwałem jedno bierwiono. Było jednak zbyt ciężkie. Zdjąłem z szyi brudny ręcznik, służący za szalik, i przywiązawszy go do cieńszego końca bierwiona, pociągnąłem je w dół. Bierwiono podskakiwało i uderzało po nogach albo wyrywało się i leciało z góry szybciej ode mnie. Miejscami przechwytywał je podobny do ośmiornicy cedrowiec, lecz wyswobodziwszy się z jego łap, bierwiono rozpędzało się i wbijało w śnieg. Podpełzałem do niego i zmuszałem do ruchu. Byłem jeszcze wysoko w górze, gdy się ściemniło, i zrozumiałem że minęło już wiele godzin, a droga do osady i do zony była jeszcze daleka. Szarpnąłem za szalik i bierwiono, podskakując, ponownie ruszyło w dół. W końcu wytaszczyłem je na drogę. Las zakołysał się przed moimi oczami i słodkawe nudności chlusnęły do gardła. Ocknąłem się w budce obsługującego wyciąg - nacierał mi ręce i twarz szorstkim śniegiem. Wszystko to jawiło mi się teraz na szpitalnej ścianie. Ale zamiast obsługującego wyciąg moją rękę trzymał lekarz.

- Gdzie jestem?

- W instytucie neurologii.

Lekarz pytał mnie o coś. Odpowiadałem z trudem. Pragnąłem być sam. Nic obawiałem się wspomnień.

SŁOWO NAD TRUMNĄ

Wszyscy pomarli...Mikołaj Kazimierzowicz Barbe, kolega, który pomógł mi wyciągnąć duży kamień z wąskiego wyrobiska, brygadzysta, rozstrzelany na skutek raportu naczelnika odcinka, komunisty Arma. Arm otrzymał odznaczenie za 1938 rok, a później został naczelnikiem kopalni, wreszcie naczelnikiem zarządu kopalń. Wielką karierę zrobił ten Arm. Mikołaj Kazimierzowicz Barbe posiadał jedną troskliwie chronioną rzecz - szalik z wielbłądziej sierści, błękitny, długi, ciepły. Ukradli go w łaźni złodzieje. Całkiem po prostu wzięli i już, kiedy Barbe się odwrócił. I na drugi dzień odmroził sobie policzki, mocno odmroził, rany nie zdażyły się zagoić aż do jego śmierci. Umarł Jośka Riutin. Pracował ze mną w parze, podczas gdy inni „robociarze” nie chcieli ze mną pracować. A Jośka pracował. Był o wiele silniejszy i zręczniejszy ode mnie. Rozumiał, po co nas tu przywieziono. I nie gniewał się na mnie, że źle pracuję. W końcu starszy nadzorca (tak nazywały się górnicze stopnie w 1937 roku - jak za carskich czasów) zarządził, aby dano mi „oddzielny pomiar”. Jośka zaś zaczął pracować w parze z kimś innym. Ale w

baraku leżeliśmy obok siebie, więc od razu się obudziłem, usłyszawszy niezgrabne ruchy kogoś odzianego w skórę i pachnącego baranem. Ten ktoś, obrócony do mnie plecami w wąskim przejściu pomiędzy narami, budził mojego sąsiada:

- Riutin! Ubieraj się!

I Jośka począł spieszenie się ubierać, a pachnący baranem człowiek przystąpił do przeszukiwania jego skromnego dobytku. Znalazły się tam szachy i człowiek odziany w skórę odłożył je na bok.

- To moje - pospiesznie powiedział Riutin - Moja własność. Zapłaciłem za nie.

- No i cóż? - powiedział kozuch.

- Proszę je zostawić.

Barani kozuch zaczął się śmiać. A kiedy zmęczył się śmiechem otarł twarz skórzanym rękawem, rzekł:

- One tobie już się nie przydadzą.

Umarł Dymitr Mikołajewicz Orłow, były referent Kirowa. Piłowaliśmy z nim drewno na nocnej zmianie w kopalni i, jako posiadacze piły, w ciągu dnia w piekarni. Doskonale pamiętam, jak krytycznie spoglądał na nas magazynier z narzędziowni, wydając nam piłę, zwykłą poprzeczną piłę.

- Słuchaj, staruszk - powiedział narzędziowiec. Wszystkich nas w owych czasach nazywano staruszkami; nie tak jak w dwadzieścia lat później - Potrafisz naostrzyć piłę?

- Oczywiście - pospiesznie odpowiedział Orłow - A jest przyrząd do rozwodzenia? Siekiera rozwiedziesz powiedział magazynier, pojawiając się na rzeczy. Nie to co inteligenci. Orłow, zgięty, szedł ścieżką, zasunawszy ręce w rękawy. Piłę trzymał pod pachą.

- Proszę posłuchać, Dymitrze Mikołajewiczu - powiedziałem, doganiając z doskoku Orłowa - Przecież ja nigdy nie ostrzyłem piły.

Orłow odwrócił się, wetknął piłę w śnieg i wdział rękawice.

- Ja myślę - powiedział pouczającym tonem - że każdy człowiek z wyższym wykształceniem powinien umieć ostrzyć i rozwodzić piłę.

Przyznałem mu rację. Umarł Szymon Aleksiejewicz Szejnin - ekonomista, dobry człowiek, który pracował w parze ze mną. Długo nie rozumiał, co z nami wyczyniają, ale w końcu pojął i spokojnie czekał na śmierć. Miał na to dość męstwa. Jakimś dziwnym trafem otrzymałem paczkę. To, że doszła, było wielką rzadkością. Były w niej lotnicze filcowe buty-burki i nic więcej. Doskonale wiedziałem, że burki mi ukradną, zabiorą już w pierwszą noc, więc, nie wychodząc z komendantury, sprzedałem je za sto rubli dziesiętnikowi Andrzejowi Bojce. Burki warte były siedemset, ale i tak była to zyskowna sprzedaż. Mogłem przecież kupić

sto kilogramów chleba, a jeżeli nie sto, to dokupić również masła i cukru. Ostatni raz jadłem je w więzieniu. I kupiłem cały kilogram masła w sklepie. Kosztowało czterdzieści jeden rubli. Kupiłem je w ciągu dnia (pracowałem w nocy) i pobiegłem do Szejnina - mieszkaliśmy w różnych barakach - aby wspólnie uczcić tę paczkę. Kupiłem także chleba. Siemion Aleksiejewicz był poruszony i uradowany.

- No, ale co ja ! Jakże ja mam prawo? - mamrotał niezwykle poruszony - Nie, nie, nie mogę...

Przekonałem go jednak i pełen radości pobiegłem po wrzątek. Nagle runąłem na ziemię powalony strasznym uderzeniem w głowę. Kiedy się podniosłem, nie było już torby z chlebem i masłem. Koło narwało się metrowej długości polano, którym mnie uderzono, a wszyscy dookoła się śmiali. Przybiegłem z wrzątkiem Szejnin. Przez długie lata potem nie mogłem wspominać tej kradzieży, nie denerwując się ogromnie. A Siemion Aleksiejewicz umarł. Umarł Iwan Jakowlewicz Fiediachin. Jechaliśmy z nim jednym pociągiem, płynęliśmy jednym statkiem. Trafiliśmy do tej samej kopalni, do tej samej brygady. Z pochodzenia wołokołamski wieśniak, był filozofem, organizatorem pierwszego kołchozu w Rosji. Jak wiadomo, pierwsze kołchozy organizowane były w latach dwudziestych przez eserów, a grupa

Czajanowa-Kondratiewa reprezentowała ich interesy „na górze”. Iwan Jakowlewicz był takim właśnie wiejskim eserem - jednym z tego miliona ludzi, którzy w 1917 roku głosowali na tę partię. I za organizację pierwszego kołchozu dostał właśnie wyrok - pięć lat pozbawienia wolności. Jakoś tak na samym początku, podczas pierwszej kołymskiej jesieni, w 1937 roku, pracowaliśmy z nim przy grabiarce, zatrudnieni na słynnej kopalnianej „taśmie”. Wózki-grabiarki były dwa, odczepiane. Kiedy prowadzący konia wiódł jeden do urządzenia przemywającego, dwóch robotników z ledwością zdążało napełnić drugi. Nie udawało się nawet popalić, zresztą nadzorcy nie pozwalali. Natomiast ten przy koniu palił ogromnego skręta z prawie pół paczki machorki (wtedy jeszcze była) i pozostawiał nam na brzegu wykopu, abyśmy się zaciągnęli. Wozakiem był Miszka Wawiłow, niegdyś zastępca prezesa trustu "Promimport", a rębaczami - Fiediachin i ja. Bez pośpiechu, dorzucając urobku do grabiarki, gaworzyliśmy. Opowiadałem o normach wyznaczanych dekabrystom w Nerczyńsku. Według "Notatek Marii Wołkońskiej" była to masa trzech pudów rudy przypadająca na człowieka.

- A ile waży wasza norma, Wasylu Piotrowiczu? - spytał Fiediachin.

- Podliczyłem - około 800 pudów.

- No proszę, Wasylu Piotrowiczu, jak to normy podrosły...

I później, w okresie zimowego głodu, zdobywałem tytoń, wyprasząc, grając, wykupując, i wymieniałem go na chleb. Fiediachin nie pochwalał mojej „działalności handlowej”.

- Nie przystoi to panu, Wasylu Piotrowiczu, nie trzeba tego robić.

Ostatni raz widziałem go zimą w stołówce. Dałem mu sześć kartek na obiad, które tego dnia otrzymałem za nocne przepisywanie w biurze. Ładny charakter pisma niekiedy mi pomagał. Kartki mogły przepaść, widniały na nich pieczętki z datą. Fiediachin otrzymał te obiady. Siedział przy stole i przelewał z miski do miski „juszkę” - zupa była maksymalnie rzadka i nie pływała w niej ani jedna kropelka tłuszczu. Kasza-śrut pochodząca z sześciu kartek nie zdołała napełnić jednej miski. Łyżki Fiediachin nie posiadał, więc kaszę wybierał językiem. I płakał. Umarł Derfel. Francuski komunista, który zdążył już być w kamieniołomach Cayenne. Oprócz głodu i chłodu zadręczyły go własne myśli - nie chciał uwierzyć, że on, członek Kominternu, mógł trafić tutaj, na sowiecką katorgę. Byłby się mniej przejmował, gdyby zobaczył, że nie on jeden. Wszyscy, z którymi przyjechał, razem żył i umierał, byli właśnie takimi ludźmi. On sam był drobny i słaby, a wchodziło już w modę bicie. Jednego razu

brygadzysta uderzył go po prostu kuliakiem, tak - można powiedzieć - dla podtrzymania obyczaju, ale Derfel upadł i już nie wstał. Umarł jako jeden z pierwszych, tych najszcześliwszych. W Moskwie pracował w agencji TASS jako jeden z redaktorów. Dobrze władał rosyjskim.

- W Cayenne było źle - powiedział mi kiedyś - Ale tutaj jest bardzo źle.

Umarł Fryc Dawid. Holenderski komunista, członek Kominternu, oskarżony o szpiegostwo. Miał piękne, kręjące się włosy, głębokie, niebieskie oczy i dziecięcy zarys warg. Rosyjskiego prawie nie znał. Spotkałem go w baraku tak zapchanym ludźmi, że można było spać, stojąc. Staliśmy obok siebie, Fryc uśmiechnął się do mnie i przymknął oczy. Przestrzeń pod narami była wypełniona do ostateczności. Trzeba było czekać, aby móc usiąść w kucki i żeby potem, przycisnąwszy się do nar, do słupa lub do cudzego ciała - zasnąć. Oczekiwałem z zamkniętymi oczami. Nagle coś zwaliło się obok mnie. To upadł Fryc Dawid, mój sąsiad. Podniósł się skonfundowany.

- Zasnąłem - powiedział z przęstrachem. Ten właśnie Fryc Dawid był pierwszym z naszego etapu, który otrzymał paczkę. Wysłała mu ją z Moskwy jego żona. W paczce był aksamitny garnitur, nocna koszula i wielka fotografia pięknej kobiety. W tym właśnie garniturze siedział w kucki obok mnie.

- Chce mi się jeść - powiedział, uśmiechając się i czerwieniąc - Bardzo chcę jeść. Proszę mi przynieść coś do zjedzenia.

Fryc Dawid zwariował i gdzieś go odprowadzono. Nocną koszulę i fotografię ukradziono mu od razu pierwszej nocy. Kiedy później opowiadałem o tym, zawsze oburzałem się, nie mogąc tego pojąć, dlaczego, komu była potrzebna cudza fotografia?

- Wszystkiego to i pan nie wie - powiedział kiedyś jakiś szczywany uczestnik rozmowy - Nietrudno się domyślić. Tę fotografię ukradli błatniacy „na seans” , jak oni to mówią. Aby się onanizować, mój naiwny kolego... Umarł Sierioża Kliwański, mój kolega z pierwszego roku uniwersytetu, z którym spotkałem się po dwudziestu latach w etapowej celi butyrskiego więzienia. W 1927 roku usunięto go z Komsomołu za referat o chińskiej rewolucji, wygłoszony w kole bieżącej polityki. Udało mu się ukończyć studia uniwersyteckie i rozpocząć pracę w Gospłanie jako ekonomista, dopóki nie zmieniła się tam sytuacja. Wtedy Sierioża musiał odejść. W wyniku konkursu mógł podjąć pracę jako drugi skrzypek w orkiestrze Teatru im. Stanisławskiego - aż do momentu aresztowania w 1937 roku. Był to typ sangwinika i kpiarza, ironia nigdy go nie opuszczała. Ciekawość życia i

wydarzeń - także. W etapowej celi wszyscy chodzili prawie nago, zlewali się wodą i spali na podłodze. Jedynie bohaterowie wytrzymywali na narach. A Kliwański dowcipkował:

- To jest tortura pary. Po niej zostaniemy poddani na Północy torturze mrozu.

Owa precyzyjna przepowiednia nie była jednak kwękaniem tchórza. W kopalni Sierioża był wesoły i towarzyski. Z entuzjazmem starał się opanować błatniacki słownik i cieszył się jak dziecko, wymawiając z należytą intonacją błatniackie wyrażenia.

- No, to teraz zdaje się „przypuchnę” - mówił Sierioża, wpełzając na górne nary, aby pospać. Lubił wiersze i w więzieniu deklamował je często z pamięci. W łagrze już tego nie robił. Dzielił się ostatnim kęsem, a raczej jeszcze się dzielił... Znaczy to, że nie zdążył już dożyć tej chwili, kiedy nikt nie posiadał już ostatniego kęsa, gdy już nikt z nikim się nie dzielił. Umarł brygadzysta Diukow. Nie wiedziałem i teraz też nie wiem, jak miał na imię. Był jednym z „kryminalnych” i nie pozostawał w żadnym stosunku do pięćdziesiątego ósmego, politycznego paragrafu. W łagrach na „kontynencie” był tak zwanym „przewodniczącym kolektywu”. Nie oznacza to, że był romantycznie nastrojony, ale że przygotowywał się do „odegrania roli”. Przyjechał zimą i od razu, na

pierwszym zebraniu, wystąpił z zadziwiającym przemówieniem. „Kryminalni” miewali zebrania, bo przecież zarówno ci, co popełnili kryminalne tudzież administracyjne przestępstwa, jak i złodzieje-recydywiści, uważani byli za przyjaciół ludu i podlegali oddziaływaniu wychowawczemu a nie tylko karze. To w odróżnieniu od „wrogów ludu”, zasądzonych na podstawie pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Później, gdy recydywistom zaczęto przypisywać czternasty punkt pięćdziesiątego ósmego paragrafu „sabotaż” (odmowę pracy), cały ten punkt został stamtąd usunięty oraz uwolniony od wieloletnich i różnorodnych kar. Recydywiści zawsze byli uważani za „przyjaciół ludu”, aż do sławnej beriowskiej amnestii z 1953 roku. Ofiarą i teorii, i krylenkowskiej „gumki”, i przesławnego „przekuwania” padło wiele setek tysięcy nieszczęsnych ludzi. Na pierwszym zebraniu Diukow zaproponował, że obejmie kierownictwo brygady „pięćdziesiątego ósmego paragrafu” - bo zazwyczaj brygadziwą politycznych był ktoś spośród nich. Diukow był niezłym chłopcem. Zaproponował to wiedząc, że doskonale, lepiej od wszystkich pracują w łagrze wieśniacy, i pamiętając, że wśród nich było bardzo wielu z paragrafu pięćdziesiątego ósmego. Należy w tym upatrywać szczególnej mądrości Jeżowa i Berii, rozumiejących, że robocza wartość

inteligencji jest bardzo mała, a więc łagry mogą nie wypełnić swego produkcyjnego zadania, w odróżnieniu od zadania politycznego. Ale Diukow nie wdawał się w rozważania na tak wysokim poziomie. Wątpliwe, czy cokolwiek poza roboczą wartością ludzi przychodziło mu do głowy. Dobrał sobie brygadę złożoną wyłącznie z wieśniaków i przystąpił do pracy. Było to wiosną 1938 roku. Wieśniacy Diukowa przetrwali już całą głodową zimę z trzydziestego siódmego na trzydziesty ósmy rok, ale Diukow nie był razem z członkami swej brygady w łaźni. Inaczej dawno już pojałby, w czym rzecz. Ale nie pracowali źle, trzeba ich było tylko dożywić. Jednakże prośba Diukowa w tym względzie spotkała się z ostrą odmową kierownictwa. Wygłodzona brygada po bohatersku wypracowywała normę, harując ponad siły, ale wtedy Diukowa zaczęli oszukiwać mierniczowie, rejestratorzy, nadzorcy i kierownicy robót, on zaś począł składać skargi, coraz ostrzej protestując. Tymczasem efektywność pracy brygady wciąż się obniżała i wyżywienie stawało się coraz gorsze. Diukow spróbował zwrócić się do „wysokiego naczalstwa”, ale to wysokie naczalstwo poradziło odpowiednim osobom, aby wpisać brygadę Diukowa wraz z nim samym na odpowiednią listę. Tak też zrobiono i wszyscy zostali rozstrzelani za przesławną „Serpentynką”. Umarł Piotr Michajłowicz Chwostow. To, co

najbardziej straszne u głodnych ludzi, to ich zachowanie. Niby wszystko jak u zdrowych, ale jednak są pomyłkami. Głodni zawsze bronią zawzięcie sprawiedliwości (jeśli nie są zbyt głodni ani zbyt wycieńczeni). To wieczni dyskutanci i kłótnicy, zuchwali zawadiacy. Zazwyczaj w jednym przypadku na tysiąc i to w przypadku skrajnym - dochodzi do bójki między kłócącymi się ludźmi. Głodni zaś tłuką się wiecznie. Rozpalają spory z najbardziej dzikich i nieoczekiwanych powodów. „Dlaczego wzięłeś mój kilof, zająłeś moje miejsce?”. Który jest mniejszy czy niższy, ten stara się zbić z nóg przeciwnika, podstawiając mu nogę. Wyższy natomiast rzuci się całym ciałem, aby swoim ciężarem powalić przeciwnika na ziemię, a potem drapać, kasać, bić... Wszystko to jest zbyt słabe, aby zadać ból lub doprowadzić do śmierci, i najczęściej odbywa się po to, by wzbudzić zainteresowanie otoczenia. Bijących się nie rozdzielało. Takim właśnie był Chwostow. Każdego dnia brał udział w bójce - czy to w baraku, czy to w głębokim rowie odwadniającym, kopanym przez własną brygadę. Był moim „zimowym” znajomym - nie widziałem jego włosów. Miał czapkę-uszankę z porwanym białym futrem. I oczy - ciemne, błyszczące oczy głodomora. Czasem mówiłem wiersze i wtedy on spoglądał na mnie, jakbym był pozbawiony rozumu. Pewnego razu zaczął w

rowie rozpaczliwie walić kilofem po kamieniach. Kilof był ciężki, a Chwostow bił nim z rozmachem, prawie nie przestając. Zdziwiłem się na widok takiej siły. Od dawna już byliśmy razem i od dawna głodowaliśmy. Potem kilof dźwięknął, padając. Obejrzałem się. Chwostow zatoczył się i runął twarzą w dół. Wyciągnął daleko przed siebie ręce w rękawicach, cerowanych codziennie w baraku. Rękawy się obsunęły - na obu przedramionach widniał tatuaż. Paweł Michajłowicz był kapitanem żeglugi wielkiej. Roman Romanowicz Romanow umierał na moich oczach. Kiedyś był u nas kimś w rodzaju „dowódcy kompanii”, wydawał paczki, nadzorował zachowanie czystości w łagrowej zonie. Jednym słowem, zajmował uprzywilejowaną pozycję, o której nie mógł nawet marzyć żaden z nas, osadzonych według paragrafu pięćdziesiątego ósmego albo z „literek”, jak mawiali błatniacy, czy „literników”, jak wymawiali to słowo łagrowi urzędnicy. Szczytem naszych marzeń było zatrudnienie przy praniu, łaźni lub przy naprawie odzieży u nocnego krawca. Dostęp do wszystkiego oprócz kamienia był nam wzbroniony na mocy specjalnej dyrektywy. Taki papierek dołączono do sprawy każdego z nas. A Roman Romanowicz był właśnie na takim niedostępnym stanowisku. I nawet posiadał jego wszystkie tajniki: jak otwierać paczkę, aby cukier wysypywał się na podłogę, jak

umiejętnie rozbić słoik z konfiturami, wepchnąć pod drewniany tapczan suchary i suszone owoce. Tego wszystkiego Roman Romanowicz nauczył się szybko i już nie podtrzymywał z nami znajomości. Był ściśle oficjalny, zachowywał się jak uprzejmy przedstawiciel tego wysokiego kierownictwa, z którym nie mogliśmy mieć styczności. Niczego nam nigdy nie doradzał. Jedyne wyjaśniał - list można wysłać raz na miesiąc, paczki wydawane są w komendanturze łagru od 8.00 do 10.00 wieczór i inne podobne sprawy. Nie zazdrościliśmy Romanowi Romanowiczowi, tylko się dziwiliśmy. Było jasne, że odegrała tu rolę jakaś przypadkowa osobista znajomość. Zresztą niedługo pozostawał dowódcą kompanii - wszystkiego dwa miesiące. Czy to na skutek kolejnej kontroli etatów (od czasu do czasu, a już obowiązkowo przed Nowym Rokiem, urządzano takie kontrole), czy też ktoś „szepnął” - jak to obrazowo mówią w łagrze. Roman Romanowicz znikł. Był wojskowym, chyba pułkownikiem. Po czterech latach trafiłem na „ekspozyturę witaminową”, gdzie zbieraliśmy igliwie cedrowca - jedynej tutaj wiecznie zielonej rośliny. Igliwie to zwożono do odległego o wiele setek wiorst witaminowego kombinatu, tam je gotowano i zamieniano w ciągnącą się, brązową maź o zapachu i smaku nie do zniesienia. Rozlewano ją do beczek i rozwożono po łagrach. Według ówczesnej miejscowej

medycyny był to jedyny ogólnie dostępny środek przeciwko skorbutowi. A skorbut szalał. Do tego jeszcze w połączeniu z pelagrą i innymi awitaminozami. Wszyscy, którym przydarzyło się przełknąć choć kroplę tego strasznego leku, zgadzali się raczej umierać, niż leczyć owym diabelstwem. Istniały jednak rozkazy, a rozkaz to rozkaz. W łagrach nie dawano nic do zjedzenia, dopóki porcja lekarstw nie została przełknięta. Dyżurny był zawsze na miejscu ze specjalnym maleńkim czerpaczkiem. Nie można było wejść do stołówki, omijając rozdawcę cedrowca, i to, co było specjalnie cenne dla aresztanta - jedzenie - zostawało nieodwołalnie zepsute tą wstępną obowiązkową porcją. Trwało to ponad dziesięć lat. Bardziej wykształceni lekarze zdumiewali się, jak w owej lepkiej mazi może się uchować witamina C, niezmiernie czuła na każdą zmianę temperatury. Żadnego sensu nie było w takim leczeniu, jednak nie zaprzestano podawania ekstraktu. Tuż obok, wzdłuż całej osady, było wiele głogu. Nikt jednak nie decydował się na to, by zbierać jego owoce - w rozkazie o tym nie było mowy. I dopiero znacznie później, chyba w 1952 roku, otrzymano od miejscowych władz medycznych pismo, w którym kategorycznie zabraniano podawania ekstraktu z cedrowca jako niszczącego nerki. Kombinat witaminowy został zamknięty. Ale w tym czasie, gdy

spotkałem Romanowa, zbierano cedrowiec na całego. Zbierany był przez dochodiagi - głodnych półinwalidów. Wyrobisko złota w trzy tygodnie robiło ze zdrowych ludzi inwalidów: głód, brak snu, wielogodzinna ciężka praca, bicie... Do brygady „włączano” nowych ludzi i moloch przeżuwał...W tej brygadzie pod koniec sezonu nie pozostał nikt z wyjątkiem brygadzisty Iwanowa. Pozostali szli do szpitala, „pod sopkę” i do ekspozytur witaminowych, gdzie karmiono jeden raz dziennie, a racja żywnościowa nie mogła przekroczyć 600 gramów chleba. Tej jesieni nie pracowaliśmy z Romanowem przy zbiorce igliwia. Pracowaliśmy „na budowie”. Budowaliśmy sobie dom na zimę, bo w lecie mieszkaliśmy w porwanych namiotach. Krokami odmierzone powierzchnię, wbito kołki, a my wtykaliśmy w ziemię dwa rzędy rzadkiej palisady. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełniano kawałkami zlodowaciałego mchu i torfu. Wewnątrz znajdowały się zrobione z żerdzi parterowe nary. Pośrodku stał żelazny piecyk. Na każdą noc wydawano porcje drewna według empirycznych wyliczeń. Jednakże nie mieliśmy ani piły, ani siekiery - te ostre przedmioty przechowywane były przez żołnierzy straży, którzy mieszkali w oddzielnym namiocie, ocieplonym i przykrytym dyktą. Piły i siekiery wydawane były tylko z rana, podczas wyprowadzania do pracy. Rzecz w tym, że

w sąsiedniej "ekspozyturze witaminowej" kilku kryminalistów napadło na brygadzystę. Błatniacy są niezwykle skłonni do teatralności, wprowadzają ją do życia tak że pozazdrościłby im Jewrieinow. Zdecydowali zabić brygadzystę, a wniosek jednego z błatniaków, żeby odpiłować mu głowę, spotkał się z zachwytem. Głowę odpiłowano zwykłą piłą. Dlatego właśnie wydany został nakaz zabraniający pozostawiać na noc więźniom piły i siekiery, dlaczego na noc? Nikt jednak w rozkazach nie doszukiwał się logiki. Jakże wszak pociąć drwa, aby wlażyły do piecyka? Co cieńsze łamano nogami, a grube wkładano w wiązce, cieńszymi końcami do otworu buzującego piecyka, i spalano stopniowo. Nocą ktokolwiek wsuwał je głębiej - zawsze się taki znalazł - i to światło z otwartych drzwi piecyka było jedynym światłem w naszym domu. Dopóki nie spadł śnieg, domek przedmuchiwany był na wylot, ale potem nagarniano śniegu wokół ścian, oblewano wodą - i nasze zimowisko było gotowe. Drzwi zawieszano kawałkiem brezentu. W takiej właśnie szopie spotkałem się z Romanem Romanowiczem. Ubrany był niczym „ogień”, według trafnego jak zawsze określenia błatniaków: z tiełogrieki, ze spodni, z czapki sterczały kłaki waty. Pewnie niejednym raz zdarzało się Romanowi Romanowiczowi ganiać „po węgielek”, aby przypalić papierosa

jakiemuś błatniakowi. Jego oczy błyszcząły od głodu. Policzki były rumiane jak dawniej, ale nie przypominały już baloników, tylko szczelnie przylegały do kości policzkowych. Roman Romanowicz leżał w kącie i głośno wciągał w siebie powietrze. Podbródek podnosił się i opadał.

- Kona - powiedział Denisow, jego sąsiad - Ma dobre onuce. - i zręcznie ściągawszy burki z nóg umierającego, odwinął mocne jeszcze, zielone onuce, zrobione z koca - Ot tak - mruknął, surowo patrząc na mnie. Ale mnie było wszystko jedno. Zwłoki Romanowa wynoszono w czasie, gdy ustawialiśmy się przed wyjściem do pracy. Czapki już także nie miał. Poły rozpiętego buszłata wlokły się po ziemi. Umarł Wołodia Dobrowolcew, pointysta. Pointysta to rodzaj pracy czy narodowość? To była praca wywołująca zawiść w barakach pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Point to żelazna rura przewodząca gorącą parę. Para ta podgrzewa kamienny kruszec, zamarznęty kopalniany żwir, a robotnik od czasu do czasu wygrzebuje rozgrzany kamień metalową łyżką wielkości ludzkiej dłoni, przytwierdzoną do trzymetrowego trzonka. Ponieważ pointysta musi otwierać i zamykać zawory z gorącą parą płynącą przez rury z bojlera - prymitywnego urządzenia usytuowanego w budce - pracę tę uważa się za wymagającą

kwalifikacji. Obsługiwanie bojlera to jeszcze lepsza robota niżli praca pointysty. Nie każdy inżynier-mechanik wywodzący się spośród więźniów pięćdziesiątego ósmego paragrafu mógł marzyć o takiej pracy. I to nie dlatego, że wymagała specjalnych umiejętności. Czysty przypadek, że skierowano do niej Wołodię, ale to go odmieniło. Nie musiał już myśleć o tym, jakby się ogrzać - wieczna myśl... Lodowaty chłód nie przenikał jego jestestwa, nie zatrzymywał pracy jego mózgu. Ratowała go gorąca rura. I to była właśnie przyczyna, dla której wszyscy zazdrościli Dobrowolcewowi. Były też gadki, że nie tak po prostu zrobiono go pointystą, że to pewny dowód, iż jest donosicielem, szpiegiem. Oczywiście błatniacy zawsze mawiali: jeśli już pracował w łagrze jako sanitariusz, musiał pić robociarską krew. Wartość tego rodzaju ocen ludzie znali: zawiść to zły doradca. Wołodia jakoś niezmiernie urósł w naszych oczach, tak jakby pośród nas ujawnił się wspaniały skrzypek. A Dobrowolcew - wymagały tego warunki pracy - wychodził sobie indywidualnie, wychodząc zaś z łagru przez wartownię, otworzywszy okienko, wykrzykiwał w nie takim radosnym, silnym głosem swój numer: „dwadzieścia pięć!”. Od myśli o takiej możliwości już dawno się odzwyczailiśmy. Niekiedy pracował w pobliżu naszego wykopu, a wtedy my, z

racji znajomości, kolejno biegaliśmy pogrzać się przy rurze. Rura miała półtora cala średnicy, można ją było uchwycić ręką, zacisnąć w dłoni - i ciepło wyraźnie przepływało z rąk do ciała. I nie było siły, żeby się od niej oderwać, żeby powrócić do wykopu, na mróz... Wołodia nie odganiał nas jak inni pointyści. Nigdy nam nie powiedział ani słowa, choć - jak wiem - pointystom nie wolno było wpuszczać nam podobnych. Stał otoczony obłokami gęstej, białej pary. Jego odzież była zupełnie oblodzona, każdy włoszek buszłata lśnił jak kryształowa igła. Nigdy z nami nie rozmawiał - mimo wszystko wartość tej pracy była oczywiście zbyt cenna. W wigilijny wieczór tego roku siedzieliśmy przy piecyku. Jego żelazne boki były z racji święta czerwiesze niż zazwyczaj. Człowiek natychmiast odczuwa różnicę temperatury. Ogarniał nas, siedzących przy piecyku, senny, liryczny nastrój...

- Dobrze by tak, braciszku, powrócić do domu. Bywają przecież cuda... - powiedział Glebow, poganiacz kopalnianych koni, były profesor filozofii, znany w naszym baraku z tego, że miesiąc temu zapomniał imienia swojej żony. - Tylko, prawda, nie zauroczyć, i do domu? Tak.

- Powiem wam prawdę - odpowiedziałem - Lepiej do więzienia. Ja nie żartuję. Nie chciałbym teraz wracać do swojej rodziny. Tam nigdy mnie nie zrozumieją,

nie potrafią zrozumieć. Wiem, że to, co dla nich ważne, to dla mnie głupstwo. To zaś, co ważne dla mnie, to, czego niewiele mi pozostało - nie dane jest im ani zrozumieć, ani odczuć. Przyniosę im nowy strach, jeden do tysiąca strachów przepełniających ich życie. To, co widziałem człowiek nie powinien widzieć, nie powinien o tym wiedzieć. Więzienie - inna sprawa. Więzienie to swoboda, jedyne miejsce jakie znam, gdzie ludzie mówili wszystko, co myśleli, gdzie odpoczywały dusze. Gdzie odpoczywały ich ciała, bo nie pracowali. Tam każda godzina istnienia miała swój sens.

- Ale mielesz - powiedział były profesor filozofii - To dlatego ciebie nie bili. Ale ten, kto przeszedł przez metodę numer trzy, ten inaczej sądzi...No a ty, Piotrze Iwanowiczu, co sądzisz?

Piotr Iwanowicz Timofiejew, były dyrektor Trustu Uralskiego, uśmiechnął się i przytaknął Glebowowi.

- Ja powróciłbym do domu, do żony, do Agnieszki Michajłownej. Kupiłbym bochenek żytniego chleba, bochenek! Nagotowałbym kaszy z magary, wiadro! Zupę „kluski”, również wiadro! I jadłbym to wszystko. Pierwszy raz w życiu najadłbym się do syta owych dobrych rzeczy, a Agnieszkę Michajłówną zmusiłbym, aby jadła to, co pozostało.

- A ty? - zwrócił się Gleb do Zwonkowa, górnika przodkowego w naszej brygadzie

(w poprzednim życiu zaś - wieśniaka z Jarosławskiego czy z Kostromskiego).

- Do domu - poważnie, bez uśmiechu, odpowiedział Zwonkow - Wydaje mi się, że gdybym teraz przyszedł, to na krok bym żony nie odstępował. Gdzie ona, tam i ja, gdzie ona, tam ja. Tylko że oduczono mnie tu pracować, utraciłem miłość do ziemi. No, ale urządzę się gdziekolwiek.

- A ty? - ręka Glebowa dotknęła kolana naszego sprzątającego.

- Przede wszystkim poszedłbym do komitetu rejonowego partii. Tam jak pamiętam, niedopałków na podłogę cała masa...

- Ale ty nie żartuj.

- A ja nie żartuję.

Nagle spostrzegłem, że pozostał do odpowiedzi tylko jeden człowiek i był nim Wołodia Dobrowolcew. Podniósł głowę, nie czekając na pytanie. Z otwartego piecyka padało na jego oczy światło żarzących się węgli. Oczy były żywe, głębokie.

- A ja - głos jego był spokojny, mówił bez pośpiechu - chciałbym być samym kadłubem. Kadłubem człowieka, rozumiecie, bez rąk i nóg. Wtedy znalazłbym w sobie siłę, by im napluć w twarz za wszystko co z nami robią.

JAK TO SIĘ ZACZEŁO

Jak to się zaczęło? Brygadę Klujewa przetrzymano w pracy. To niesłychany przypadek. Wykop został otoczony przez żołnierzy konwoju. Wykop to „wykrój”, ogromna jama, na której brzegu stał właśnie konwój. A wewnątrz krzatali się ludzie, spiesząc się i poganiając jeden drugiego. Jedni ze skrytą obawą, a drudzy z mocną wiarą, że ten dzień to tylko przypadek, że ten wieczór - to przypadek. Przyjdzie poranek, świt i wszystko się rozwieje, wyjaśni. I życie potoczy się dalej, choć po łagrowemu, ale jak dawniej. Przetrzymanie w pracy. Ale dlaczego?

- Dopóki nie wykonają zadania.

Jękliwie pogwizdywała zamieć, miękki, suchy śnieg smagał policzki niczym piasek. W trójkątnych światłach „jupiterów”, rozjaśniających wykopy w nocy, śnieg wirował jak pyłki w promieniu słońca, podobny do pyłków w świetle słonecznym u wrót ojcowskiej stodoły. Tylko że w dzieciństwie wszystko było maleńkie, ciepłe, żywe, a tu - ogromne, chłodne i złe. Skrzypiały drewniane pudła, w których wywożono grunt na wysypisko. Czterech ludzi chwyciło za pudło i popychało, taszczyło, podsuwało, spychało i ciągnęło je na brzeg wysypiska, obracało i wysypywało zmarzniete kamienie na stromą pochyłość. Kamienie staczały się cicho w

dół... Oto Krupiański, dalej - Nejman, a tam - sam brygadzysta Klujew. Wszyscy się spieszą, ale końca pracy nie widać. Podobno było już koło jedenastej wieczór, a gwizdek był o piątej. O piątej gwizdała kopalniana syrena, o piątej! Brygadę puszczono do domu. Do domu - do baraku. A jutro o piątej rano - pobudka i nowy roboczy dzień, nowy plan dzienny. Nasza brygada zmieniała brygadę Klujewa w wykopie. Dzisiaj rozstawiono nas do pracy w wykopie sąsiednim i dopiero o dwunastej w nocy nastąpiła zmiana. Jak to się zaczęło? Na teren kopalni przyjechało nagle dużo bardzo żołnierzy. Dwa nowe, ciosane baraki, budowane przez więźniów dla siebie, oddane zostały żołnierzom łagrowej straży. Zostaliśmy na zimę w namiotach - dziurawych, brezentowych namiotach, porzebijanych kamieniami przy wybuchach w wyrobiskach. Namioty były zabezpieczone przed zimnem: w ziemię wkopano słupy, a na przytwierdzone do nich listwy położono papę. Pomiędzy płótnem namiotu a papą - warstwa powietrza. Zima, jak mówią, zatka śniegiem. Ale wszystko to było później. Nasze baraki oddano ochranie - łagrowej straży - w tym była istota rzeczy. Ochranie nie spodobały się baraki zbudowane z surowego drewna. Modrzew to drzewo perfidne, nie lubi ludzi, podłogi, ściany i sufity nie wyschną przez całą zimę. Wszyscy już wcześniej to zrozumieli - i ci, których

ciała miały osuszyć baraki, i ci, co dostali owe baraki przypadkowo. Ochrona przyjęła swoje „nieszczęście” jako oczywistą trudność pobytu na Północy. Po co w kopalni „Partyzant” ochrona? Kopalnia niewielka, wszystkiego dwa, trzy tysiące więźniów w 1937 roku. Sąsiedzi „Partyzanta” - kopalnie „Szturmowa” i „Bierzino” (późniejsza „Górny At-Uriach”) - to były miasta zaludnione przez dwanaście do czternastu tysięcy więźniów. Wichry niosące śmierć w 1938 roku?... Ależ to wszystko było później. A teraz - po co „Partyzantowi” ochrona? W 1937 roku był jeden jedyny, niezmiennający się „bojce”, uzbrojony w nagan, bez trudu utrzymujący porządek w pokornym królestwie „trockistów”. Błatniacy? Dyżurny patrzył przez palce na miłe sprawy błatniaków, na ich różójnicze ekspedycje i gościnne występy, dyplomatycznie usuwał się w szczególności ostrych przypadkach. Wszystko odbywało się „po cichu”. A teraz nagle całe mnóstwo strażników. Po co? Wywieziono raptem całą brygadę odmawiających pracy trockistów (w owych czasach nazywano ich o wiele łagodniej - „niepracującymi”). Mieszkali w oddzielnym baraku pośrodku nieogrodzonej więźniarskiej osady, której nie nazywano tak strasznie, jak w niedalekiej przyszłości, „zona”. Zgodnie z prawem, trockiści otrzymywali sześćset gramów chleba dziennie i należną gorącą strawę,

nie pracując przy tym zupełnie oficjalnie. Każdy aresztant mógł się do nich przyłączyć i przejść do niepracującego baraku. Jesienią trzydziestego siódmego roku mieszkało tam siedmiuset pięciu ludzi. Wszyscy oni nagle znikli i wiatr tylko poruszał niezamknięte drzwi, a wewnątrz ziało czarną, niezamieszkaną próżnią. Nagle okazało się, że więzienny przydział żywności - „pajki” - nie wystarcza, że bardzo chce się jeść, a kupić nic nie można i wyprosić u kolegi nie sposób. Jeszcze kawałek śledzia, ale chleb? Stało się nagle tak, że nikt nikogo niczym nie częstował, a wszyscy zaczęli coś tam po kryjomu żuć, prędko, w ciemności, starając się namacać okruchy chleba we własnej kieszeni. Poszukiwanie tych okruchów stało się prawie automatycznym zajęciem w każdej wolnej chwili. Ale tych wolnych chwil ubywało. W warsztacie szewskim zawsze stała ogromna beczka napełniona tranem. Beczka wysoka była do pasa i wszyscy chętni maczali w niej brudne szmaty i smarowali buty. Nie od razu wpadłem na to, że tran to tłuszcz, olej, pożywienie, że ten szewski smar można jeść - było to olśnienie podobne do Archimedesowej eureka. Rzuciłem się, to znaczy powlokłem, do warsztatu. Niestety, beczki już w warsztacie nie było. Inni od dawna wpadli na ten trop, na który ja dopiero zamierzałem wejść. Przywieziono

do kopalni psy, owczarki niemieckie. Psy? Jak to się zaczęło? W listopadzie nie zapłacono rębaczom pieniędzy. Pamiętam, jak w czasie pierwszych dni pracy w kopalni, w sierpniu i wrześniu, zatrzymywał się koło nas, robociarzy, kopalniany nadzorca - ta nazwa pozostała jeszcze z czasów Niekrasowa - i mówił: - Żle, bardzo źle. Jeśli tak będziecie pracować, to nie będzie co posłać do domu.

Minął miesiąc i wyjaśniło się, że każdemu przypadł jakiś tam zarobek. Jedni wysyłali pieniądze do domu przekazem pocztowym, uspokajając swoje rodziny. Inni kupowali za te pieniądze w łagrowym sklepiku papierosy, konserwowe mleko, biały chleb... Wszystko to nagle, niespodziewanie się skończyło. Jak pędzona wiatrem poniosła się wieść, że już więcej nie będą płacić pieniędzy. Jak wszystkie wieści w łagrze i ta potwierdziła się w całości. Jedyną zapłatą stało się wyżywienie. Nadzór nad wykonaniem planu sprawować miała, oprócz łagrowych pracowników, całego ich legionu, oprócz łagrowego „naczalstwa”, powiększanego dostatecznie wiele razy - także łagrowa „ochrona”, żołnierze. Jak to się zaczęło? Przez wiele dni szalała zamieć, drogi dla samochodów zawiąło śniegiem, górską przełęcz została „zamknięta”. Jak tylko ustały opady śniegu, od razu pierwszego dnia - w czasie zamieci siedzieliśmy w barakach -

nie poprowadzono nas po pracy do „domu”. Okrażeni konwojem, szliśmy kilka godzin jakimiś nieznanymi ścieżkami posuwając się w górę w kierunku przełęczy, cały czas w górę, w górę. Zmęczenie, stromizna, rozrzedzone powietrze, głód, złość - to wszystko nas zatrzymywało. Krzyki konwojentów działały jednak jak uderzenia nahajek. Zrobiło się już zupełnie ciemno, nastąpiła noc bez gwiazd, kiedy dostrzegliśmy światła wielu ognisk na drogach w pobliżu przełęczy. Im głębsza stawała się noc, tym jaśniej gorzały płomienie ognisk, płomienie nadziei, nadziei na odpoczynek i pożywienie. Niestety, nie dla nas rozpalono te ogniska. Były to ogniska konwojentów. Mnóstwo ognisk w czterdziesto czy pięćdziesięciostopniowym mrozie. Na długości trzydziestu wiorst wiły się światła ognisk. A gdzieś tam, na dole, w śnieżnych jamach, stali ludzie z łopatami w rękach i odśnieżali drogę. Śnieżne ściany wąskich wykopów wznosiły się na pięć metrów w górę. Śnieg odrzucano do gór na raty, przerzucając go po dwa, trzy razy. Kiedy wszyscy ludzie zostali rozstawieni i otoczeni konwojem - wijącą się linią ognisk - robociarzy pozostawiono samych sobie. Te dwa tysiące ludzi mogły nie pracować, mogły pracować albo źle albo z pełnym samozaparciem - nikogo to nie interesowało. Przełęcz powinna zostać

oczyszczona i dopóki się to nie stanie, nikt stąd nie odejdzie. Przez wiele godzin staliśmy w tej śniegowej jamie, machając łopatami, aby nie zamarznąć. Owej nocy pojąłem coś strasznego, spostrzegłem coś, co wiele razy potem się potwierdziło. Trudna, okropnie trudna jest dziesiąta, jedenasta godzina takiej „dodatkowej” pracy, lecz później nie zauważasz już mijającego czasu, opanowuje cię Wielka Obojętność. Godziny płyną w takt minut, jeszcze szybciej niż minuty. Powróciliśmy do domu po dwudziestoczworgodzinnej pracy - jeść zupełnie się nie chciało i wszyscy żuli skomasowany dobowy posiłek niezwykle wolno. Z trudem udało się zasnąć. Trzy śmiertcionośne wichry skrzyżowały swe drogi i biły w ściany ośnieżonych wykopów wyrobisk złota na Kołymie zimą trzydziestego siódmego - trzydziestego ósmego roku. Pierwszy to „sprawa Bierzina”. Odkrywcę łagrowej Kołymy, naczelnika Dalstroju Edwarda Bierzina, rozstrzelano pod koniec trzydziestego siódmego roku jako japońskiego szpiega. Został wezwany do Moskwy i rozstrzelany. Wraz z nim zginęli jego najbliżsi współpracownicy: Filipow, Majsuradze, Jegorow, Waśkow, Ćwirko - cała gwardia „wiszerców”, która przyjechała razem z Bierzinem w 1932 roku w celu kolonizacji Kraju Kołymskiego. Iwan Gawriłowicz Filipow był naczelnikiem USWITŁ - Zarządu Północno-Wschodnich Poprawczych

Obozów Pracy, zastępcą Bierzina do spraw łagrowych. Stary czekista, członek kolegium OGPU, należał kiedyś Filipow do „rozładowującej trójki”, która przyjechała na Wyspy Sołowieckie. Istnieje film dokumentalny z lat dwudziestych - "Sołowki". W tym właśnie filmie znalazł się Iwan Gawriłowicz w swojej ówczesnej roli. Filipow umarł w więzieniu magadańskim - serce nie wytrzymało w „Domu Waškowa”. „Dom Waškowa” - tak nazywało się i nazywa po dzień dzisiejszy więzienie w Magadanie, zbudowane na początku lat trzydziestych. Później przebudowane z drewnianego na murowane, zachowało swoją znaczącą nazwę, pochodzącą od nazwiska naczelnika. Sam Waškow nie umarł w tym więzieniu, rozstrzelano go w Moskwie. Na Wiszerze Waškow, człowiek samotny, spędzał dni wolne od pracy zawsze jednakowo: siadywał na ławeczce w ogródku czy też w lasku, który zastępował mu ogród, i cały dzień strzelał do liści z małokalibrowego karabinka. Aleksiej Jegorow - „Ryży Loszka”, jak go nazywano na Wiszerze, był na Kołymie naczelnikiem zgrupowania przemysłowego, w którego skład wchodziło kilka kopalń złota, chyba z Zarządu Południowego. Ćwirko był naczelnikiem Zarządu Północnego, do którego właśnie należała kopalnia „Partyzant”. W 1929 roku Ćwirko był dowódcą granicznej strażnicy i przyjechał na urlop do Moskwy. Tutaj, po

pijatyce w restauracji, Ćwirko rozpoczął strzelaninę do rydwanu Apollina nad wejściem do Teatru Wielkiego i ocknął się w więziennej celi. Z munduru zdarto mu naramienniki i wypruto guziki. W składzie aresztanckiego etapu przybył Ćwirko w 1929 roku na Wiszerę i odbywał tam należną karę. Z chwilą przyjazdu na Wiszerę Bierzina kariera Ćwirki szybko posunęła się naprzód. Jeszcze będąc więźniem, Ćwirko został naczelnikiem delegatury „Parma”. Bierzin nie widział poza nim świata i wziął go na Kołymę. Rozstrzelano go, jak mówią, w Magadanie. Majsuradze - naczelnik URO, który odsiedział niegdyś wyrok za „rozpalanie nacjonalistycznych waśni” i zwolnił się jeszcze na Wiszerze - był także jednym z ulubieńców Bierzina. Aresztowano go w Moskwie w czasie urlopu i wtedy także rozstrzelano. Wszyscy ci nieżyjący to ludzie z najbliższego otoczenia Bierzina. W związku z jego sprawą aresztowano, rozstrzelano lub obdarowano wyrokami wiele, wiele tysięcy ludzi i wolnych i więźniów, naczelników kopalń i naczelników zespołów łagrowych, oddzielnych łagrów, łagrowych wychowawców i sekretarzy komitetów partyjnych, dziesiętników i kierowników robót, starostów i brygadzystów. Ilu ludzi rozstrzelano w sprawie Bierzina na Kołymie? Ile tysięcy lat zawierały wyroki łagru i więzienia? Kto to wie?... W duszącym dymie prowokacji kołymskie

wydanie sensacyjnych procesów moskiewskich wyglądało całkiem godnie. Drugim wichrem, który wstrząsnął kołymską ziemią, były niekończące się rozstrzały, tzw. „garaninszczyzny”. Rozprawa z „wrogami ludu”, rozprawa z „trockistami”. Przez wiele miesięcy, dniem i nocą, w czasie porannych i wieczornych apeli czytano niezliczone rozkazy rozstrzału. Przy pięćdziesięciostopniowym mrozie łagrowi muzycy - wywodzący się z niepolitycznych - grali po odczytaniu każdego rozkazu. Dymiące benzynowe pochodnie rozświetlały ciemności, przyciągając setki oczu do oszronionych kartek cienkiego papieru, na których były wydrukowane takie straszne słowa. A jednocześnie - mówiono jakby nie o nas. Wszystko to jawiło się jakieś obce, zbyt straszliwe, aby było rzeczywistością. Ale tusz grzmiał rzeczywiście. Muzycy odmrażali wargi przywarte do ustników fletów, srebrzystych helikonów, kornetów. Papierosowa bibułka porastała szronem i jakiś czytający rozkaz naczelnik strzępywał rękawicą śnieżynki z kartki, aby móc odcyfrować i wykrzyknąć kolejne nazwisko rozstrzelanego. Każda lista kończyła się jednakowo: „Wyrok wykonano. Naczelnik USWITŁ, pułkownik Garanin”. Widziałem Garanina z pięćdziesiąt razy. Czterdziestopięcioletni, barczysty, z brzuchem, łysawy, o ciemnych, żywych oczach, rozjeżdżał się dniem i nocą po

wszystkich północnych kopalniach swoim czarnym samochodem ZIS-110. Mówiono o nim, że osobiście rozstrzeliwał ludzi. Nie, nikogo „osobiście” nie rozstrzelał. On jedynie podpisywał rozkazy. Garanin przewodniczył „rozstrzeliwującej trójce”. Rozkazy odczytywano i w dzień, i w nocy: „Wyrok wykonano. Naczelnik USWITŁ, pułkownik Garanin”. Zgodnie ze stalinowską tradycją tych lat, Garanin powinien był szybko umrzeć. Rzeczywiście, pochwycono go, aresztowano i rozstrzelano w Magadanie. Osądzono go jako japońskiego szpiega. Lecz ani jeden z owych licznych wyroków w garaninowskich czasach nie został nigdy przez nikogo odwołany. Garanin - jeden z wielu stalinowskich katów - zabity został przez drugiego w odpowiednim czasie. Aby wyjaśnić jego aresztowanie i śmierć, puszczono w świat „maskującą” plotkę. Garanin miał być zabity przez japońskiego szpiega w drodze do miejsca pracy, a ujawniła to siostra Garanina, która przyjechała do brata w gościnę. Legenda - jedna z wielu setek tysięcy bajek, które stalinowskie czasy wtłaczały w uszy i mózgi mieszkańców. Za co rozstrzeliwał pułkownik Garanin? Za co zabijał? „Za agitację kontrrewolucyjną” - tak zwał się jeden z akapitów garaninowskich rozkazów... Co oznaczała w 1937 roku na wolności „agitacja kontrrewolucyjna” - nie trzeba tłumaczyć. Wychwalał zagraniczną

rosyjską powieść - dziesięć lat „ASA (antysowiecka agitacja)”. Powiedział, że kolejki po płynne mydło są zbyt długie - pięć lat „ASA”. I zgodnie z rosyjskim obyczajem, zgodnie z rosyjskim charakterem każdy, kto dostał pięć lat, cieszy się, że to nie dziesiątka. Dostanie dziesięć i cieszy się, że nie dwadzieścia pięć. Dostanie dwadzieścia pięć - tańczy z radości, że go nie rozstrzelano. Tej drabiny - pięć, dziesięć, piętnaście... - nie ma w łagrze. Powiedzieć głośno, że robota ciężka - wystarcza dla rozstrzału. Za najbardziej niewinną uwagę pod adresem Stalina - rozstrzał. Nie odezwać się, gdy Stalinowi krzyczą „hurra!” - także rozstrzał. Że milczenie to agitacja - o tym wiedzano od dawna. Spisy tych, którzy mieli jutro umrzeć, sporządzane były w każdej kopalni przez śledczych na podstawie donosów, informacji własnych donosicieli-stukaczy oraz licznych ochotników, członków orkiestry znanego łagrowego oktetu: siedmiu dmie, jeden stuka - wedle aforystycznej pogaduszki błatniackiego świata. A rzeczywistej „sprawy” w ogóle nie było. I śledztwa też nie prowadzono; śmierć była skutkiem protokołów „trójki”, owej ponurej instytucji stalinowskich lat. I chociaż nie znano wtedy jeszcze kart perforowanych, łagrowi statystycy starali się ułatwić sobie pracę, wypuszczając w świat formularze

opatrzone specjalnymi znakami. Formularze posiadające ciemnoniebieski pasek po przekątnej to „akta personalne” trockistów. Zielone (czy też liliowe?) paski oznaczały recydywistów - oczywiście recydywistów politycznych. Ewidencja jest ewidencją. Nie da się zabarwić każdego formularza własną krwią. Za co jeszcze rozstrzeliwano? „Za zniewagę łagrowej straży”. Cóż to takiego? W tym przypadku chodziło o zniewagę słowną, niedostatecznie uprzejmą odpowiedź, o jakiegokolwiek „gadanie” - w odpowiedzi na kuksańce, uderzenia, bicie. Każdy zbyt swobodny gest więźnia w czasie rozmowy z konwojentem traktowany był jako „napaść na konwój”. „Za odmowę pracy”. Bardzo wielu ludzi zginęło, nie rozumiawszy do końca, jak śmiertelnie niebezpieczne było ich postępowanie. Bezsilni starcy, głodni, wyczerpani ludzie nie byli w stanie zrobić kroku poza wrota w czasie porannego rozprowadzania do pracy. Odmowę protokołowano za pomocą odpowiednio sporządzonego aktu. Takie formularze odbijano na specjalnych urządzeniach do drukowania, przy użyciu szklanych płyt. W zamożnych łagrach zamawiano nawet w drukarniach odpowiednie ankiety, gdzie wystarczało tylko wstawić nazwisko, imię, rok urodzenia, paragraf, termin... Trzy odmowy - i rozstrzał. Zgodnie z prawem. Wielu ludzi nie mogło pojąć zasadniczego

prawa łagru - przecież po to właśnie wymyślono łagry - że nie wolno tu odmawiać pracy, że taka odmowa traktowana jest jako najstraszniejsze przestępstwo, znacznie gorsze niż jakikolwiek sabotaż. Choćby ostatkiem sił, ale koniecznie należy dopełznąć do miejsca pracy. Dziesiętnik pokwituje „jednostkę”, „roboczą jednostkę” i praca zostanie „zaznaczona”. To cię uratuje. Na dzisiaj jesteś uratowany od rozstrzału. A w pracy wcale nie musisz się trudzić, zresztą i tak nie potrafisz pracować. Wytrzymaj do końca mękę tego dnia. W pracy zdziałasz bardzo niewiele, ale nie jesteś tym, co pracy odmawia. Nie mogą cię rozstrzelać. W tym przypadku naczalstwo, jak to się mówi, nie ma żadnych „praw”. Czy istnieje takie „prawo” - nie wiem, ale przez wiele lat walczyłem sam ze sobą, aby nie zdecydować się na odmowę pracy u wrót żony w czasie wyprowadzania z łagru. „Za kradzież kruszcu”. Każdego, u kogo znaleziono „kruszec”, rozstrzelowano. Później darowano życie, dokładano jednak pięć, dziesięć lat wyroku. Przez moje ręce przeszło wiele samorodków. Kopalnia „Partyzant” obfitowała w samorodki, ale żadnego innego uczucia oprócz głębokiego wstrętu złoto we mnie nie wywoływało. Samorodki trzeba umieć widzieć, nauczyć się je odróżniać od kamieni. Doświadczeni robocjarze szkolili nowicjuszy w tej ważnej

umiejętności, aby nie rzucali złota do taczki, aby nadzorca nie krzyczał od rzeszota: „Hej, gapy! Znowu wepchnęliście samorodki do przemywania”. Za samorodki płacono więźniom premie - po rublu za jeden gram powyżej pięćdziesięciu jeden gramów. Na wyrobisku nie ma wagi. Tylko nadzorca mógł zdecydować, czy znaleziony przez ciebie samorodek waży czterdzieści, czy sześćdziesiąt gramów. Poza brygadziста nie zwracaliśmy się do nikogo. Znajdowałem wiele „zabrakowanych” samorodków, ale do wypłaty przedstawiono mnie jedynie dwa razy. Jeden samorodek ważył sześćdziesiąt, drugi osiemdziesiąt gramów. Żadne pieniądze nie trafiły do moich rąk. Otrzymałem tylko na jedną dekadę „stachanowska” kartkę i po szczypcie machorki od dziesiętnika oraz brygadzisty. I na tym się skończyło. Ostatnia, najbardziej obsadzona „rubryka”, na podstawie której rozstrzelano mnóstwo ludzi, to „niewykonanie normy”. Za owo przestępstwo łagrowe rozstrzeliwano całymi brygadami. Przywiedziona została nawet teoretyczna podstawa. W całym kraju „przekazywano” państwowy plan do „każdego warsztatu pracy”, do każdej fabryki i zakładu przemysłowego. Na aresztanckiej Kołymie przekazywano plan do przodka, do taczki, do kilofa. Państwowy plan to najwyższe prawo! Niewykonanie państwowego planu to

przestępstwo kontrrewolucji. Tych, co nie wypełnili normy - na księżyc! Trzecim śmiertelnym wichrem, który porywał więcej aresztanckich istnień niżli dwa pierwsze, była powszechna śmiertelność - z głodu, bicia, z powodu chorób. Ogromną rolę odegrali tutaj błatniacy, kryminaliści, „przyjaciele ludu”. W ciągu całego 1937 roku w kopalni „Partyzant”, liczącej dwa do trzech tysięcy ludzi, zmarło dwóch: jeden wolny, a drugi - więzień. Pochowano ich obok siebie pod sopką. Na obydwu mogiłach postawiono coś na kształt obelisków: wolnemu nieco wyższy, więźniowi - niższy. W 1938 roku wystawiono całą brygadę do kopania mogił. Kamień i wieczna zmarzlina nie chcą przyjmować martwych. Trzeba wiercić, wysadzać, wyrzucać skalisty grunt. Metody pracy przy kopaniu mogił i przy ryciu wykopów zwiadu geologicznego są bardzo do siebie podobne, zarówno pod względem materiału, narzędzi, jak i „wykonawców”. Cała brygada zajmowała się jedynie kopaniem grobów, ale tylko wspólnych, „bratnich”, w których spoczywali bezimienni martwi. Zresztą, nie tak zupełnie bezimienni. Według instrukcji, przed „pogrzebaniem” dyspozytor, jako przedstawiciel władzy w łagrze, przywiązywał do lewej nogi nieboszczyka zrobioną z dykty tabliczkę z numerem „akt personalnych”. Zakopywano wszystkich nago - jakże by inaczej!

Wyłamane, znów zgodnie z instrukcją, złote zęby wpisywano do specjalnego formularza pochówkowego. Napełniona trupami jamę przywalano kamieniami, ale ziemia nie przyjmowała martwych - sądzone im było trwać w wiecznej zmarzlinie dalekiej Północy. Lekarze bali się wypisywać w diagnozach prawdziwe przyczyny śmierci. Pojawiały się „poliawitaminozy”, „pelagra”, „dysenteria”, „OFW” - prawie Zagadka NFW, jak u Andronikowa. W tym jednak przypadku OFW to „ostre fizyczne wyczerpanie”, krok w kierunku prawdy. Ale takie diagnozy stawiali jedynie śmiali lekarze, nie będący więźniami. Formułę „dystrofia cmentarna” wypowiedzieli kołymscy lekarze znacznie później, już po blokadzie leningradzkiej, w czasie wojny, kiedy uznali za dopuszczalne nazwanie, choćby tylko po łacinie, prawdziwej przyczyny śmierci.

Dogasanie płomienia świecy marnej,
Wszystkie oznaki, suche wyliczenia
Tego i co dystrofią alimentarną
Zwą, ci uczeni mędracy od leczenia,
I tego, co nie zwie się uczenie
Łaciną - to zwykle wygłodzenie.

Niejeden raz powtarzałem ten wiersz Wiery Inber. Od dawna nie było już blisko mnie tych ludzi, co lubili wiersze. Ale dla każdego kołymianina

miały one swój wydźwięk. Więźniów bili wszyscy: dyżurny, fryzjer, brygadzysta, wychowawca, nadzorca, konwojent, starosta, kierownik gospodarczy, dyspozytor - każdy. Bezkarność bicia, jak i bezkarność zabójstw, demoralizowała, deprawowała ludzkie dusze, wszystkich, i tych, co to czynili, i tych, co widzieli, wiedzieli... Zgodnie z pomysłem jakiegoś wyższego naczalstwa, konwojenci odpowiadali w owych czasach za wykonanie planu. Dlatego postępowali jeszcze gorzej: zwalali ten ważny obowiązek na błatniaków, których zawsze włączali w skład brygady paragrafu pięćdziesiątego ósmego. Błatniacy nie pracowali. Oni zabezpieczali wykonanie planu, chodzili po wykopie z pałąką - nazywano ją „termometrem” - i tłukli potulnych „frajerów”. Potrafili zatłuc na śmierć. Brygadziści z paragrafu pięćdziesiątego ósmego, zasmakowawszy władzy, poczęli bić własnych kolegów, starając się wszystkimi sposobami pokazać naczalstwu, że trzymają z nimi, a nie z aresztantami. Brygadziści owi starali się zapomnieć, że są również politycznymi. A przecież nigdy nimi nie byli, jak zresztą wszyscy z ówczesnego paragrafu pięćdziesiątego ósmego. Bezkarne rozprawy z milionami ludzi dlatego właśnie się udała, że byli to ludzie niewinni. Byli to męczennicy, a nie bohaterowie.

CHARAKTER PISMA

Późną nocą wywołano Krista za „konbazę”. Tak nazywano w łagrze przytulony do sopki domek na skraju osady. Mieszkał tam śledczy od „specjalnie ważnych spraw”, jak żartowano w łagrze, bo w łagrze nie bywało „spraw”, które by nie były specjalnie ważne - każde przewinienie, a nawet pozór przewinienia mogły być karane śmiercią. Albo śmierć, albo pełne niewinnienie. Zresztą, kto mógł powiedzieć o swoim pełnym niewinnieniu? Gotów na wszystko, obojętny na wszystko, szedł Krist po dobrze wydeptanej wąskiej ścieżynce, wiodącej za „konbazę”. Oto w domku-kuchni zapaliło się światło - pewnie „chleborez” zacznie zaraz krajać „pajki” na śniadanie. Na jutrzejsze śniadanie. Czy będzie jutrzejsze śniadanie i jutrzejszy dzień dla Krista? Tego nie wiedział i cieszył się, że nie wie. Pod nogi Krista trafiło coś, co nie było podobne ani do śniegu, ani do kawałka lodu. Krist pochylił się, podjął obmarzniętą skorupkę i od razu poczuł, że jest to obierek, oblodzona skórka rzepy. Lód zdążył już roztajać w rękach i Krist wepchnął skórkę do ust. To jasne, że nie trzeba się spieszyć. Krist ominął całą ścieżkę, poczynając od skraju baraków, i pojął, że on, Krist, przechodzi jako pierwszy po tej długiej śnieżnej drodze, że dziś jeszcze nikt

przed nim tedy nie przechodził - brzegiem osady, w drodze do śledczego. Wzdłuż całej ścieżki leżały przymarzniałe do śniegu, jakby owinięte w celofan, kawałki rzepy. Krist znalazł ich całe dziesięć kawałków - jednych większych, innych mniejszych. Dawno już Krist nie widział ludzi, którzy rzucaliby w śnieg skórki rzepy. To nie był więzień, to oczywiście wolny. Możliwe, że to sam śledczy. Krist poprzeżuwał i zjadł wszystkie te skórki, w ustach zapachniało czymś dawno zapomnianym - rodzinną ziemią, żywymi warzywami - i w radosnym nastroju Krist zastukał do domku śledczego. Śledczy był niewielkiego wzrostu, chudawy i nieogolony. Tutaj był służbowy gabinet, z żelaznym łóżkiem pokrytym wojskowym kocem i zmiętą, brudną poduszką... Za stół służyło własnej roboty biurko z przekrzywionymi, wysuwanymi szufladami, ciasno wypchanymi papierami i jakimiś teczkami. Na parapecie skrzynka z kartkami. Etażerka też zawalona ciasno nabitymi teczkami. Popielniczka zrobiona z połowy puszki po konserwach. Na oknie budzik. Zegar wskazywał pół do jedenastej. Śledczy rozpalał papierami w żelaznym piecyku. Miał białą cerę i był, jak wszyscy śledczy, blady. Nie miał ani sprzątającego, ani rewolweru.

- Niech pan siada, Krist - powiedział, zwracając się do więźnia per „pan”, i przysunął mu stary taboret. Sam siedział

na krześle, własnej roboty krześle z wysokim oparciem - Przejrzałem pana sprawę - powiedział śledczy - i mam dla pana jedną propozycję. Nie wiem, czy będzie panu odpowiadała.

Krist zamarł w oczekiwaniu. Śledczy milczał przez chwilę.

- Powinienem coś niecoś wiedzieć o panu. Krist podniósł głowę i w żaden sposób nie mógł się powstrzymać od beknięcia. Przyjemnie mu się odbiło nie dającym się stłumić smakiem rzepy.

- Proszę napisać podanie.

- Podanie?

- Tak, podanie. Tu jest kartka papieru, a tu pióro.

- Podanie? Ale w jakiej sprawie? Do kogo?

- Do kogokolwiek. No, jeśli nie podanie, to wiersz Błoka. Wszystko jedno! Zrozumiał pan? Albo Puszkina "Ptaszka":

Wczoraj otwarłem ja ciemnicę
Mojego więźnia z niebios
dróg. Zwróciłem gajom niewolnicę,
Ptaka by znów w nich śpiewać mógł.

- To nie jest Puszkina "Ptaszek" - wyszeptał Krist, wysilając resztki swojego wyschniętego mózgu.

- A czyżże?

- Tumańskiego.

- Tumańskiego? Pierwszy raz słyszę.

- Aha, panu potrzebna jest jakaś ekspertyza? Czyżbym kogoś zabił? Albo

napisał list? A może podrobiłem dla błatniaków kartkę do sklepu?

- Wcale nie. Tego rodzaju ekspertyzy nas nie zajmują. - śledczy uśmiechnął się, obnażając drobne zęby i opuchnięte, krwawiące dziąsła.

Jakikolwiek by był ten uśmiech, który na chwilę błysnął, przydał jednak trochę światła tej izbie. I duszy Krista także. Mimo woli spojrzął śledczemu w usta.

- Tak - powiedział śledczy, złowiwsky jego wzrok - Szkorbut, skorbut. Tutaj skorbut nawet wolnych nie omija. Brak świeżych warzyw.

Krist pomyślał o rzepie. Witaminy. Większość ich, zawartych w skórce rzepy a nie w miększu, trafiło się Kristowi, nie śledczemu. Krist chciał podtrzymać tę rozmowę, opowiedzieć o tym, jak obgryzał, wysysał skórki rzepy porzucone przez śledczego, ale nie zdecydował się na to, obawiając się posądzenia o nadmierną poufałość.

- No, to zrozumiał pan czy nie? Muszę zobaczyć pański charakter pisma.

Krist w dalszym ciągu niczego nie rozumiał.

- Proszę pisać. - śledczy zaczął dyktować: - „Do naczelnika kopalni. Od więźnia Krista, rok urodzenia, paragraf, wyrok. Podanie. Proszę o przeniesienie mnie do lżejszej pracy"...Wystarczy.

Śledczy wziął niedokończone podanie Krista, podarł i rzucił w ogień. Światło z piecyka rozjarzyło się na moment.

- Proszę usiąść przy stole. Z samego brzegu.

Krist posiadał piękny, kaligraficzny charakter pisma, który jemu samemu się podobał, choć wszyscy jego koledzy podśmiewali się, że niepodobny jest do profesorskiego czy doktorskiego. To nie jest pismo uczonego, pisarza, poety. To pismo magazyniera. Śmiali się - Krist mógłby zrobić karierę jako pisarz carski, o którym opowiadał Kuprin. Ale te kpiny nie zbijały Krista z tropu i w dalszym ciągu przekazywał do przepisania na maszynie swoje czytelne rękopisy. Maszynistki chwaliły, ale po cichu podśmiewały się z niego. Palce, przyzwyczajone do kilofa i trzonka łopaty, w żaden sposób nie mogły uchwycić rączki pióra, ale w końcu się udało.

- Bałagan u mnie, chaos - mówił śledczy

- Ja sam to rozumiem. Ale przecież pomoże mi pan zaprowadzić porządek.

- Oczywiście, oczywiście - powiedział Krist. Piecyk już się rozpałił i w izbie zrobiło się ciepło - Zapaliłbym...

- Nie palę! - szorstko odburknął śledczy

- I chleba także nie mam. Nie pójdzie pan jutro do pracy. Powiem dyspozytorowi. I tak, raz w tygodniu, w ciągu kilku miesięcy Krist przychodził do nieogrzanego, nieprzytulnego mieszkania śledczego przepisywać i zszywać papiery. Bezśnieżna zima trzydziestego ósmego roku wtargnęła już do baraków swoimi

śmiercionośnymi wiatrami. Każdej nocy biegali po barakach dyspozytorzy, wyszukując i budząc ludzi według jakichś spisów na „etap”. Przedtem już nie powracali z etapów, a tutaj przestali rozmyślać o tych nocnych sprawach - etap to etap - praca była zbyt ciężka, żeby jeszcze o czymkolwiek dumać. Przybyło godzin pracy, pojawił się konwój, ale mijał kolejny tydzień. Krist, ledwie żywy, docierał do znajomego gabinetu śledczego i podszywał, podszywał papierzyska. Przestał się myć i golić, ale śledczy jakby nie dostrzegał zapadniętych policzków i rozgorączkowanego wzroku Krista. A Krist wciąż pisał, wciąż podszywał. Ilość papierów i teczek wciąż rosła i rosła, i w żaden sposób nie udawało się ich doprowadzić do porządku. Krist przepisywał jakieś niekończące się listy, gdzie figurowały jedynie nazwiska, a wierzch listy był zagięty. Krist nigdy nie próbował przeniknąć tajemnic tego gabinetu, choć wystarczyło jedynie odgiąć leżącą przed nim kartkę. Czasem śledczy brał w ręce paczkę „spraw”, które pojawiały się nie wiadomo skąd, bez wiedzy Krista, i pospiesznie dyktował spisy, a Krist pisał. Dyktowanie kończyło się o dwunastej. Krist wracał do swojego baraku i spał, spał - jutrzejsza praca mogła go nie obchodzić. Mijał tydzień za tygodniem, a on wciąż chudł i wciąż pisał. Aż kiedyś

śledczy, wziawszy kolejną paczkę, aby odczytać kolejne nazwisko, nagle się zaciął. Spojrzał na Krista i spytał:

- Jak pan ma na imię i po ojcu?

- Robert Iwanowicz - odpowiedział Krist, uśmiechając się.

Czyżby śledczy chciał zwracać się do niego „Robercie Iwanowiczu” zamiast „Krist” albo per „pan”? Nie zdziwiłoby go to. Śledczy był młody, mógł być synem Krista. Trzymając wciąż teczkę w ręce, śledczy pobladł. I dalej bladł, dopóki nie stał się biały jak śnieg. Zręcznymi palcami przekartkował papierki tworzące teczkę. Nie było ich ani więcej, ani mniej niż w każdej z teczek leżących stosami na podłodze. Następnie zdecydowanym ruchem otworzył drzwiczki piecyka i nagle w izbie zrobiło się jasno, jak gdyby dusza rozjaśniła się do końca, gdzie znalazło się coś bardzo ważnego, ludzkiego. Śledczy porwał teczkę na kawałki i wepchnął do piecyka. Zrobiło się jeszcze jaśniej. Krist niczego nie rozumiał. A śledczy powiedział, nie patrząc na Krista:

- Szablon. Nie zdają sobie sprawy, co robią. Ich to nie interesuje. - i spojrzał twardo na Krista - Piszemy dalej. Jest pan gotów?

- Gotów - odpowiedział Krist.

I dopiero w wiele lat później pojął, że to była jego, Krista, teczka. Rozstrzelano już wielu towarzyszy Krista. Rozstrzelano także śledczego. A Krist

wciąż jeszcze żył i czasem, co kilka lat, wspominał gorejącą teczkę, zdecydowane palce śledczego, które rwały „sprawę” Krista - dar skazującego dla skazańca. Kaligraficzny charakter pisma Krista był charakterem zbawczym.

KACZKA

Górski potok ścięty był już lodem, choć na płyciznach nie było go zupełnie. Wymarzanie potoku zaczynało się z płycizn i w ciągu miesiąca nic nie pozostawało po grzmiącej latem groźnej wodzie. Nawet lód został wydeptany, rozdrobniony, porozgniatany kopytami, kołami samochodów, walonkami. Ale potok jeszcze żył, woda w nim oddychała - nad niezamarzniętymi miejscami unosiła się biała para. W wodę chlupnęła, utraciwszy siły, kaczka-nurek. Stado już dawno odleciało na południe, kaczka pozostała. Było jeszcze jasno tą osobliwą jasnością śniegu pokrywającego cały nagi las i wszystko aż po horyzont. Kaczka chciała odpocząć, trochę odpocząć, a potem unieść się i polecieć - tamże, w ślad za stadem. Nie miała siły lecieć dalej. Stu pudowy ciężar skrzydeł przygniatał ją do ziemi, ale na wodzie znalazła oparcie, ratunek. Woda w miejscach niepokrytych lodem wydawała się jej żywą rzeką. Nie zdążyła się jednak kaczka rozęjrzeć, gdy jej ostry słuch wyłowił odgłos niebezpieczeństwa. A nie był to zwykły

dźwięk, lecz łoskot. Z wierzchołka ośnieżonej góry, osuwając się na zamarzniętych już i jeszcze bardziej pod wieczór sztywniejących kępkach, zbiegał człowiek. On już dawno zobaczył kaczkę. Śledził ją z tajoną nadzieją i oto nadzieja się spełniła - kaczka opadła na lód. Człowiek zaczął się do niej podkradać, ale się potknął. Kaczka go spostrzegła i wtedy człowiek począł biec, nie kryjąc się już, ale kaczka nie potrafiła ulecieć - zbyt była zmęczona. Powinna była tylko wzlecieć, a nic by jej nie zagrażało. Lecz by ulecieć ku niebu, potrzeba siły w skrzydłach, kaczka zaś była zmęczona. Udało jej się tylko zanurkować. Znikła w wodzie i człowiek uzbrojony w jakąś sękatą gałąź zatrzymał się przed miejscem, gdzie kaczka zanurkowała; czekał, aż się wynurzy - przecież kaczka musi oddychać. Dwadzieścia metrów dalej było takie samo wolne od lodu miejsce i człowiek, klnąc, spostrzegł, że kaczka przepłynęła pod lodem i wynurzyła się. Ale i stamtąd nie potrafiła ulecieć, wykorzystując sekundy na odpoczynek. Człowiek popróbował przełamać, zgnieść lód, ale zrobione ze szmat obuwie nie nadawało się do tego celu. Walił więc kijem w granatowy lód, lód trochę się kruszył, ale nie pękał. Człowiek wreszcie opadł z sił i ciężko dysząc, usiadł na lodzie. Kaczka pływała dalej w wolnym od lodu miejscu. Człowiek

podniósł się i podbiegł, klnąc i ciskając w kaczkę kamieniami. Kaczka znów zanurkowała i pojawiła się tam, gdzie była pierwszym razem. I tak uganiaли się człowiek i kaczka, dopóki się nie ściemniło. Po nieudanym polowaniu czas było wracać do baraku. Człowiek żałował, że zużył tyle sił na gonitwę. Głód nie pozwalał obmyślić, ułożyć niezawodnego planu jak podejść kaczkę. Wywołana głodem niecierpliwość naprowadziła na niewłaściwy sposób postępowania. Kaczka pozostała na łodzi, tam gdzie była woda. Człowiek musiał powrócić do baraku. Łapał kaczkę nie po to, by ją gotować i zjeść. Aby ugotować mięso w blaszanym kociołku albo – jeszcze lepiej – zakopać w popiele ogniska. Obkleić kaczkę gliną i zanurzyć w gorącym liliowym popiele albo całkiem po prostu rzucić do ogniska. Ognisko się wypali i pęknie gliniana powłoka. Wewnątrz będzie gorący, śliski tłuszcz. Pocieknie po rękach, będzie zastygać na wargach. Nie, nie po to człowiek łapał kaczkę. W jego mózgu niejasno, mgliście powstawał inny plan. Odnieść kaczkę dziesiętnikowi w prezencie, a wtedy dziesiętnik wykreśli go ze złowrogiej listy, którą sporządzano w nocy. O tej liście wiedział cały barak i człowiek starał się nie myśleć o tym, co niemożliwe: „jak by wybawić się od etapu”, jak by tu pozostać. Tutejszy głód był jeszcze do zniesienia, a

człowiek nigdy nie szukał czegoś lepszego od tego, co już uznał za dobre. Ale kaczką pozostawała na tym wolnym od lodu miejscu. Trudno było człowiekowi samemu podjąć decyzję, jak postąpić, uczynić coś, czego nie nauczyło go codzienne życie. Nie uczono go, jak przemyśleć możliwości takiego polowania - mózg nie potrafił rozwiązywać nieoczekiwanych problemów, które stwarzało życie. Uczono go żyć bez potrzeby podejmowania własnych decyzji, gdy kieruje czyjaś wola. Nadzwyczaj trudno jest wówczas ingerować w swój los. Może tak lepiej - kaczką umiera w wodzie, człowiek w baraku. Zmarznięte, podrapane przez lód palce z trudem rozgrzewały się wetknięte za pazuchę - człowiek wsunął tam obie dłonie, drżąc od śmiącego bólu na zawsze już odmrożonych palców. W wygłodzonym ciele niewiele było ciepła i człowiek, powróciwszy do baraku, precyzyjnie się do pieca, ale mimo wszystko nie potrafił się rozgrzać. Ciałem wstrząsały nie dające się powstrzymać dreszcze. Przez drzwi baraku zajrzał dziesiętnik. On również widział kaczkę i obserwował umarlaka polującego na umierającą kaczkę. Dziesiętnikowi także nie chciało się odjeżdżać z tej osady - któż wie, co go czeka na nowym miejscu. Dziesiętnik liczył na to, że dzięki hojnemu prezentowi (żywa kaczką i „wolne” spodnie) pozyska sobie „prorabę”

prowadzącego prace - który jeszcze spał. „Prorab” mógł wykreślić z listy nie owego robociarza, który schwytał kaczkę, ale jego - dziesiętnika. „Prorab” rozgniatał papierosa, „rakietę”, nawykłymi do tego palcami. On także widział przez okno polowanie. Jeżeli złapia kaczkę, to cieśla robi klatkę i „prorab” odniesie ptaka wysokiemu naczelnikowi, a raczej jego żonie Agnieszce Pietrownej. Ale kaczką pozostała na lodzie, by tam umrzeć. I wszystko potoczyło się tak, jak gdyby kaczką w ogóle nie zaleciała w te strony.

BIZNESMEN

Rączkinów jest w szpitalu wielu. „Rączkin” to przezwisko określające charakterystyczną cechę: oznacza ono, że to ręka jest uszkodzona, a nie np. wybite zęby. Który Rączkin? Grek? Ten długi z siódmej sali? Tak, ten - Kola Rączkin, biznesmen. Prawa kiść ręki Koli urwana została przez wybuch. Kola sam się okaleczył - postrzelił. W lekarskich sprawozdaniach umieszcza się takich jak on w rubryce, gdzie figurują samookaleczeni za pośrednictwem ran ciętych. Nie wolno ich kłaść w szpitalu, jeśli nie mają wysokiej, „septycznej” gorączki. Kola miał taką gorączkę. Przez dwa miesiące zmagał się z gojeniem rany, aż wreszcie młodość zrobiła swoje - Kola miał już niedługo pozostać w szpitalu.

Pora było wracać do kopalni, lecz Kola się tego nie obawiał - cóż dla niego, jednorękiego, znaczą złote wyrobiska? Minęły już te czasy, kiedy zmuszano jednorękich do „prздеptywania drogi” dla ludzi i traktorów na leśnych wyrębach - przez cały roboczy dzień w głębokim, sypkim, kryształowym śniegu; naczałstwo walczyło jak umiało z umyślnymi postrzeleniami. Ale wtedy aresztanci zaczęli odstrzeliwać sobie nogi, wkładając zapalnik wprost do jednego z walonków i podpalając lont Bickforda przy samym kolanie. Jeszcze wygodniej. Przystano więc posyłać jednorękich do „prздеptywania drogi”. A zmusić do przemywania złota za pomocą sita - jedną ręką? No, jeszcze latem można się przespacerować jeden dzień, jeżeli nie będzie deszczu. I Kola uśmiecha się, ukazując wszystkie śnieżnobiałe zęby - skorbut nie zdążył ich jeszcze napocząć. Kola już się nauczył kręcić papierosa lewą ręką. Prawie syty, wypoczęty dzięki pobytowi w szpitalu, Kola uśmiecha się, uśmiecha. Jest biznesmenem - on, Kola Rączkin. Wciąż coś wymienia, niesie chorym na biegunkę zabronionego śledzia, a od nich przynosi chleb. Przecież oni też chcą zatrzymać się dłużej, zakotwiczyć w szpitalu. Kola wymienia zupę na kaszę, a kaszę na dwie zupy. Potrafi "przepołować" powierzona sobie do wymiany na tytoń porcję chleba. Zlecali

mu to pacjenci leżący - opuchnięci skorbutnicy, chorzy z ciężkimi złamaniami, z sal przeznaczonych dla przypadków traumatycznych (lub „dramatycznych” jak wymawiał to felczer Paweł Pawłowicz, nie podejrzewając w swoim przejęczeniu gorzkiej ironii). Prawie syty, prawie w ciepło. A wymyślania naczałstwa, pogrożki lekarzy - wszystko dla Koli drobiazgi. Bo też to są drobiazgi. W ciągu tych dwóch błogosławionych miesięcy, kiedy Kola Rączkin przebywał w szpitalu, przydarzały mu się dziwne i straszne rzeczy - oderwana przez wybuch ręka, nieistniejąca kiść, bolała jak przedtem. Kola czuł ją całą; zgięte palce ręki ułożone w tej samej pozycji, w której znieruchomiały na trzonku łopaty czy też na trzonku kilofa w kopalni, ni mniej, ni więcej. Taką ręką trudno trzymać łyżkę, ale w kopalni akurat łyżka nie była niezbędna - wszystko, co przeznaczone było do zjedzenia, dawało się wypić „przez burkę” miski: zupa i kasza, kisiel i herbata. Jedynie porcję chleba dawało się utrzymać w tych na zawsze już zgiętych palcach. Ale Rączkin odrąbał je, odstrzelił w diabły. Dlaczego więc odczuwa ich istnienie - tych po kopalnianemu zgiętych palców? Przecież lewa kiść już przed miesiącem zaczęła się rozginać, obracać jak zardzewiały zawias potraktowany odrobiną smaru, i Rączkin płakał wtedy z radości.

On i teraz ją rozgina, położywszy się brzuchem na lewej dłoni. A prawa, urwana, nie rozgina się. Wszystko to przydarzało się w nocy. Ogarnięty zimnym strachem Rączkin budził się, płakał i nawet sąsiadów bał się spytać - bo jeżeli to ma jakieś znaczenie? Może mu się już miesza w głowie? Z „kabiny” wyszedł felczer, Paweł Pawłowicz, trzymając w ręce niezapalonego papierosa, i usiadł obok Rączkina.

- Może ognia, Pawle Pawłowiczu? - Rączkin usłużnie zgina się przed felczerem - Jedną chwileczkę!

Rzuca się Rączkin w kierunku pieca, otwiera drzwiczki, zgarnia lewą ręką na podłogę kilka drobnych, gorejących węgielków. Zręcznie podrzuciwszy jeden z nich, tlejący, łowi go dłonią i przetaczając go na nich spieszy podać „ogień” felczerowi. Unosi poczerniały, ale zachowujący jeszcze resztkę płomienia, zaciekle go rozdmuchuje, aby nie zgasł, i podsuwa wprost felczerowi pod nos. Ten zaś, trzymając papierosa w ustach, z mocą wciąga powietrze i w końcu przypala. Nad głową felczera unoszą się pasma błękitnego dymu. Nozdrza Rączkina rozszerzają się. Zapach ten budzi chorych, którzy nadaremnie wciągają dym - właściwie nie dym, lecz biegnący przed nim jego cień. I wszyscy wiedzą, że to Rączkinowi przypadnie w udziale dopalenie papierosa. Rączkin zaś kombinuje: sam zaciągnie się ze dwa

razy, a potem zanieś niedopałek na oddział chirurgiczny frajerowi z odbitym grzbietem. Tam na Rączkina czeka obiadowa porcja chleba - to nie byle co. Jeśli zaś Paweł Pawłowicz zostawi więcej, to z „byczka” powstanie drugi papieros, który będzie wart więcej niż jedna porcja chleba.

- Chyba już niedługo pojedziesz, Rączkin
- wolno mówi Paweł Pawłowicz - Pokantowałeś tutaj porządnie, przypuchłeś sumiennie, ale to nieważne... Powiedz, jak ty się odważyłeś? Może będzie co dzieciom opowiadać. Jeżeli jeszcze je ujrzę.

- Przecież ja się z tym nie kryję, Pawle Pawłowiczu - odpowiada Rączkin i kombinuje: słabo widać skręcił papierosa Paweł Pawłowicz. Patrzcie no, jak robi wddech, wciągnie powietrze, to ogień przesuwa się i papier się opala. Nie żarzy się felczerski papieros, lecz płonie jak lont Bickforda. Właśnie jak taki lont. Wynika z tego, że należy opowiadać jak najkrócej.

- No?

- Rano wstaję, pobieram chleb, chaps i za pazuchę. Dawano nam pajki na cały dzień. Idę do Miszki, strzałowego. „No jak?” - mówię. „Jest”. Oddaję mu całą swoją pajkę-osiemsetkę, a otrzymuję za nią zapalnik i lont. Idę do krajan, do swojego baraku. Po prawdzie to nie krajanie, ale tak się mówi. Fiedia i jakiś tam Pietro. „Gotowe?” - pytam.

„Gotowe” - mówią. „No, to dawajcie”. Oddają mi swoje pajki. Biorę te dwie pajki za pazuchę i człapiemy do pracy. Tam, w czasie gdy brygada pobiera narzędzia, wyciągam z piecyka głównię i odchodzimy na nasyp. Ustawiliśmy się jak najciaśniej, trzymamy we trzech zapalnik - każdy swoją prawą ręką. Podpaliliśmy lont, ciach! - i palce odleciały. Brygadzista się drze: co wy dobrego robicie?! A naczelnik konwoju: marsz do łagru, do sanitariatu! Tam nas opatrzyli. A potem krajan gdzieś odesłali, a ja z temperaturą trafiłem do szpitala. Paweł Pawłowicz prawie do końca wypalił skręta, ale Rączkin tak zajął się opowiadaniem, że omal nie zapomniał o papierosie.

- A pajeczki, te dwie pajeczki, co ci zostały, zjadłeś?

- A jakże! Od razu po opatrunku zjadłem. Moi krajanie przystawiali się do mnie: odłam kawałeczek. „Idźcie do diabła!” - mówię. „To mój handel”.

KALIGULA

Kartkę otrzymano w RUR-ze jeszcze przed syreną o zmierzchu. Komendant zapalił benzynówkę, przeczytał papierek i pospiesznie poszedł wydać rozporządzenie. Nie dziwił się niczemu.

- Czy on przypadkiem nie...tego? - spytał dyżurny nadzorca, wskazując na czoło.

Komendant spojrział zimno na żołnierza i dyżurny przeraził się swojej lekkomyślności. Skierował wzrok na drogę. - Prowadzą - powiedział - sam Ardatjew idzie.

We mgle widniały sylwetki dwu konwojentów z karabinami. Za nimi wozak prowadził za lejce szarego, wychudzonego konia. Z tyłu kroczył wprost po śniegu, obok drogi, masywny, wysoki człowiek. Biały półkożuszek z owczej skóry był rozpięty, a czapka-barnaułka zsunięta na tył głowy. W ręce trzymał kij i bezlitośnie walił nim po kościstych, brudnych, zapadniętych bokach konia. Koń wzdrygał się przy każdym uderzeniu i włókł się dalej, nie mając sił przyspieszyć. Przy budce wartowniczej konwojenci zatrzymali konia i do przodu wyszedł, chwiejąc się na nogach, Ardatjew. Dyszał jak zgoniony koń, owiewając wyprężonego jak struna komendanta zapachem spirytusu.

- Gotowe? - wychrypiał.

- Tak jest - odpowiedział komendant.

- Zabieraj go! - wrzasnął Ardatjew - Bierz na utrzymanie. Ludzi karzę - to mam się nad koniem litować? Ja go zmuszę do pracy. Trzeci dzień już nic nie robi - mamrotał, szturchając komendanta kułakiem w pierś - Chciałem posadzić wozaka. Przecież plan się wali. Pla-a-a-n...Wozak zaklina się: „to nie ja, to koń nie chce pracować”. Ja rozumiem - Ardatjewowi odbijało się - w-wierzę.

Wziąłem lejce - nie idzie. Biję - nie idzie. Daję cukier - specjalnie wziąłem z domu - nie chce wziąć. Ach ty, myślę, gadzino, gdzież ja teraz podzieję twoje roboczodni? Tam ja - do wszystkich fiłonów-nierobów, do wszystkich wrogów ludzkości - do karceru. Na samą wodę! Trzy doby na pierwszy raz.

Ardatjew usiadł na śniegu i zdjął czapkę. Mokre, poskręcane włosy spełzały mu na oczy. Próbując wstać, zachwiał się i nagle upadł na plecy. Nadzorca i komendant wciągnęli go do dyżurki. Ardatjew spał.

- Odniesiemy do domu?

- Lepiej nie. Żona tego nie lubi.

- A co z koniem?

- Trzeba go zaprowadzić. Przebudzi się i dowie, żeśmy go nie zamknęli - pozabija. Wsadź go do czwórki. Razem z inteligencją.

Dwaj stróże, więźniowie, wnieśli do dyżurki drwa na noc i zaczęli je układać obok pieca.

- No i co pan powie, Piotrze Grigorjewiczu? - odezwał się jeden z nich, wskazując oczami na drzwi, za którymi chrapał Ardatjew.

- Powiem, że to nic nowego...Kaligula...

- Tak, tak jak u Dzierżawina - podchwycił drugi i wyprostowawszy się, zadeklamował z uczuciem:

Kaligulo twój koń w senacie
Zabłysnąć nie mógł, cały w złocie

Starzy zapalili i niebieski machorkowy dym popłynął po pokoju.

ARTYSTA ŁOPATY

W niedzielę, po pracy, Kristowi powiedziano, że przenoszą go w celu uzupełnienia do szybko topniejącej, złotej kopalnianej brygady Kostoczkina. Nowina była ważna. Czy to dobrze, czy źle - o tym nie warto było myśleć, bo nic się nie da zmienić. A o samym Kostoczkinie Krist wiele słyszał w tej pozbawionej jakichkolwiek wieści kopalni, w tych głuchych, niemych barakach. Krist, podobnie jak każdy inny więzień, nie wiedział, skąd pojawiają się w jego życiu nowi ludzie - jedni na krótko, inni na dłużej, ale za każdym razem ludzie ci znikali z jego życia, niczego o sobie nie powiedziawszy, odchodzili tak, jakby umierali, umierali - niby odchodząc. Naczelnicy, brygadziści, kucharze, magazynierzy, sąsiedzi z nar, bracia od taczki, towarzysze od kilofa... Ten kalejdoskop, to przesuwanie się coraz to nowych twarzy, nie męczył Krista. Całkiem po prostu nie myślał o tym, życie nie pozostawiało czasu na takie rozmyślenia. „Krist, nie denerwuj się, nie myśl o nowych naczelnikach. Ty jesteś jeden, a naczelników będziesz mieć jeszcze wielu”. Tak mawiał jakiś żartowniś i filozof - a kto to był, Krist zapomniał.

Nie mógł sobie przypomnieć ani nazwiska, ani twarzy, ani głosu tego, co mu powiedział te żartobliwe, ale ważne zdania. Ważne właśnie dlatego, że żartobliwe. Któż ośmielał się żartować, uśmiechać, choćby najbardziej skrycie, potajemnie, ale jednak uśmiechać, na pewno uśmiechać. Tacy ludzie istnieli, ale Krist do nich nie należał. Jakich brygadzystów miał Krist...Albo to byli swoi, z pięćdziesiątego ósmego, którzy brali się do zbyt poważnej sprawy i szybko byli usuwani, zostawali usunięci, zanim zdążyli zamienić się w morderców. Albo swoi (pięćdziesiąty ósmy) - choć frajerzy, to jednak kuci na cztery nogi doświadczeni, umiejący nie tylko wydawać w pracy rozkazy, ale i organizować, będący przy tym w zgodzie z ustalającymi normy, biurek wszelkiego rodzaju nacjonalizmem i potrafiący dać łapówkę. No i ci swoi nie chcieli nawet pomyśleć o tym, że najgorszym grzechem w łagrze jest przymuszanie do pracy, że tam gdzie się odbywa krwawa rozprawa, gdzie człowiek jest poza prawem, branie na siebie odpowiedzialności za rozporządzanie cudzą wolą na życie lub śmierć jest zbyt wielkim, śmiertelnym grzechem, którego się nie wybacza. Byli brygadziści umierający razem z brygadą. Byli i tacy, których ta straszna władza nad cudzym życiem natychmiast deprawowała i w rozmowach ze swoimi towarzyszami zaczęły im pomagać rączka

łopaty i trzonek kilofa. I kiedy wspominali o tym, to powtarzali jak modlitwę ponure łagrowe powiedzenie: „umrzyj ty dzisiaj, a ja jutro”. Jednak bardzo często brygadzystami Krista wcale nie byli więźniowie skazani na podstawie pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Najczęściej - a w te najbardziej straszne lata zawsze - brygadzystami Krista byli pospolici przestępcy, osądzeni za zabójstwa, za przestępstwa związane z pracą. Byli to normalni ludzie, tylko z powodu władzy, która znalazła się w ich rękach i silnego nacisku z góry w postaci potoku zbrodniczych instrukcji, postępowali w sposób, na który przedtem nigdy by się nie zdecydowali. Granica pomiędzy przestępstwem a „działaniem niepodlegającym karze” w „administracyjnych” paragrafach, a także w większości tych, które dotyczą przestępstw pospolitych, jest bardzo subtelna, czasami wprost nieuchwytna. Często dzisiaj sądzono za to, za co wczoraj by nie sądzono, nie mówiąc już o „środkach prewencyjnych” - o tej całej gamie odcieni pomiędzy wykroczeniem a przestępstwem. Brygadziści, przestępcy pospolici, stawali się zwierzętami na rozkaz. Ale nie na rozkaz byli nimi brygadziści-błatniacy. Błatniak-brygadzista - to najgorsze, co się może brygadzie przytrafić. Kostoczek nie był ani błatniakiem, ani pospolitym

przestępcą. Był on jedynym synem ni to wielkiego partyjniaka, ni to wysokiego urzędnika na Kolei Wschodnio-chińskiej - KWŻD, którego pociągnięto do odpowiedzialności w sprawie tej właśnie kolei i uśmiercono. Jednak, który uczył się w Charbinie i niczego oprócz Charbina nie znał, został, mając swoje dwadzieścia pięć lat, osadzony jako „CzR” - „członek rodziny”, jako „liternik” na... piętnaście lat. Wychowany za granicą, w Charbinie, gdzie tylko w powieściach czynno o niewinnie skazanych - głównie w przekładach - młody Kostoczkina w głębi swego umysłu nie znajdował pewności, że ojciec został niewinnie skazany. Ojciec wychował go w wierze w nieomylność NKWD. Kostoczkina zupełnie nie był przygotowany na to, aby mógł myśleć inaczej. I kiedy ojciec został aresztowany, kiedy został aresztowany on sam i wysłany z bardzo Dalekiego Wschodu na Bardzo Daleką Północ - był zły przede wszystkim na ojca, który mu zniszczył życie swoim tajemniczym przestępstwem. Cóż on, Kostoczkina, wie o życiu dorosłych. On, który zna cztery języki - dwa europejskie i dwa wschodnie, najlepszy tancerz w Charbinie który się uczył najprzeróżniejszych bluesów i rumb u przyjeżdżających mistrzów, najlepszy bokser Charbina w wadze średniej, przechodzący do półciężkiej, uczący się prostych i podbródkowych od byłego

championa Europy - co on wie o tej wielkiej polityce? Jeżeli rozstrzelali ojca - to musiało coś tam być. Możliwe, że NKWD pospieszyło się, może trzeba było dać dziesięć, piętnaście lat. A jemu, młodemu Kostoczkiniowi - jeśli już trzeba było - pięć zamiast piętnastu. Kostoczkini powtarzał cztery słowa - zmieniając ich kolejność - i za każdym razem wychodziło źle, niepokojąco. „Coś tam musiało być”. „Coś tam być musiało”. Przez wywołanie nienawiści do rozstrzelanego ojca i namiętnego pragnienia pozbycia się tego piętna, tego ojcowskiego przekleństwa - pracownicy organów śledczych osiągnęli istotny sukces. Ale śledczy nie wiedział o tym. Ten, który prowadził sprawę Kostoczkina, już dawno sam został rozstrzelany w kolejnej „sprawie NKWD”. Młody Kostoczkini uczył się w Charbinie nie tylko fokstrotów i rumb. Ukończył Politechnikę Charbińską i otrzymał dyplom inżyniera mechanika. Kiedy przywieziono Kostoczkina do kopalni, tam gdzie miał odbywać karę, udało mu się zobaczyć z naczelnikiem kopalni, którego prosił o pracę zgodną z jego zawodem, wyklinając ojca i błagając miejscowych naczelników, obiecując uczciwie pracować. „Będiesz malować nalepki na puszki do konserw” - sucho powiedział naczelnik kopalni, ale obecny przy rozmowie miejscowy pełnomocny NKWD wychwycił jakieś znane mu nutki w głosie

charbińskiego inżyniera. Naczelnicy porozmawiali ze sobą, później pełnomocny porozmawiał z Kostoczkim i nagle przodkowe brygady obleciała wiadomość, że brygadzystą jednej z brygad mianowany został nowy, swój, z pięćdziesiątego ósmego. Optymiści upatrywali w tej nominacji zapowiedź szybkich zmian na lepsze, pesymiści mruzcili coś na temat nowej miotły. Ale i jedni, i drudzy byli zdziwieni - oczywiście oprócz tych, co już dawno oduczyli się czemukolwiek dziwić. Każda brygada żyje swoim życiem, w swojej „sekcji” w baraku, posiadającej oddzielne wejście, i z pozostałymi jego mieszkańcami spotyka się jedynie w stołówce. Krist często spotykał Kostoczkina - takiego okazałego, czerwonego na twarzy, barczystego, potężnego. Jego kragi - rękawice z szerokimi mankietami - były z futra. Co biedniejsi brygadziści mają kragi zrobione ze szmat, zszyte z watowanych, pikowanych spodni. Czapkę też miał „wolną”, futrzaną uszanke, a walonki - prawdziwe, nie jakieś tam burki czy sznurkowe chodaki-czunie. Wszystko to wyróżniało Kostoczkina. Pracował jako brygadzysta już cały ten zimowy miesiąc - a więc musiał wypełniać plan, dawać procenty, a ile, o tym można było się dowiedzieć z tablicy wiszącej koło wartowni. Ale Krist, jako stary atesztant, nie zaprzętał sobie głowy takimi sprawami. Życiorys swojego

przyszłego brygadzysty Krist ułożył sobie, rozmyślając na narach. Ale był pewien, że się nie pomylił, nie może się mylić. Żadne inne drogi nie mogły wprowadzić charbińczyka na stanowisko brygadzysty. Brygada Kostoczkin topniała, tak jak to zresztą powinno być z każdą brygadą pracującą w przodku kopalni złota. Od czasu do czasu - co powinno brzmieć: co tydzień, a nie co miesiąc - do brygady Kostoczkin kierowano uzupełnienie. Dzisiaj był nim Krist. Pewnie Kostoczkin wie, kto to taki Einstein, pomyślał Krist, zasypiając na nowym miejscu. Jako nowemu w brygadzie, Kristowi przydzielono miejsce oddalone od pieca. Lepsze miejsca zajmowali ci, co przyszli do brygady wcześniej, i Krist o tym dobrze wiedział. Brygadzysta siedział w kącie przy stole, blisko lampy i czytał jakąś książkę. Jako brygadzysta, pan życia i śmierci swoich robociarzy, mógł dla własnej wygody postawić tę jedyną lampę koło swojego stolika, pozbawiając światła innych mieszkańców baraku - nie dlatego zresztą, aby czytać czy rozmawiać... Rozmawiać można również w ciemności, a przy tym nie ma o czym i nie ma kiedy. Ale brygadzysta Kostoczkin sam urządził się przy ogólnej lampie i czytał, czytał, od czasu do czasu rozchylając w uśmiechu swoje dzieciinne, pulchne usta, mrużąc swe ładne, duże, szare oczy. Kristowi tak spodobał się

ten tak dawno nie widziany, spokojny obraz brygadzysty wypoczywającego wraz ze swą brygadą, że postanowił sobie pozostać w tej brygadzie i oddać wszystkie swoje siły nowemu brygadziście. Był też zastępca brygadzysty - Ośka, człowiek niskiego wzrostu, który mógłby być ojcem Kostoczki. Pełnił on jednocześnie funkcję gospodarza baraku, sprzątał go i zajmował się sprawami związanymi z wyżywieniem brygady - tak jak powinno być u ludzi. I zasypiając, Krist pomyślał, że jego brygadzysta na pewno wie, kto to taki Einstein. Uszczęśliwiony tą myślą, zagrznany dopiero co wypitym na noc kubkiem wrzątku, Krist usnął. W nowej brygadzie nie było awantur przy wychodzeniu do pracy. Kristowi pokazano przechowalnię narzędzi - wszyscy je tam pobrali, a Krist przystosował sobie łopatę, podobnie jak to robił tysiące razy przedtem. Wyrzucił w diabły krótki trzonek z poprzeczką, przymocowany do amerykańskiej łopaty-szufli, obuchem topora poszerzył ją na kamieniu, wybrał ze stojących w kącie szopy nowy, długi, bardzo długi trzonek, wprawił go w gniazdo łopaty, zamocował, przystawił pod kątem, opierając szufelę koło nóg, odmierzył, zaznaczył, umieszczając koniec trzonka naprzeciw swojego podbródka, i według tej miary odciął ostrym toporem, zestrugał i starannie wygładził czołową stronę trzonka. Wstał

i odwrócił się. Za nim stał brygadzysta, uważnie przypatrując poczynaniom nowego. Zresztą Krist spodziewał się tego. Kostoczek nic nie powiedział i Krist zrozumiał, że swój osąd brygadzysta odkłada do momentu pracy w przodku. Przodek był niedaleko i praca się rozpoczęła. Trzonek drgnął, a w plecach pojawił się ćmiący ból, gdy palce obu dłoni ustawionych w zwykłej pozycji mocno go objęły. Trzonek był nieco za gruby, ale Krist poprawi to wieczorem. I podostrzy pilnikiem łopatę. Ręce poczęły ją unosić raz za razem i w melodyjny zgrzyt metalu o kamień wniknął jakiś przyspieszony rytm. Łopata szorowała, zgrzytała, kamienie ześlizgiwały się z niej przy podrzucie i padały na dno taczki, które odpowiadało drewnianym głosem, a potem kamień odzywał się do kamienia – całą tę muzykę górniczego przodka Krist znał doskonale. Wszędzie stały takie same taczki i zgrzytały takie same łopaty, szeleścił odrabany kilofem, osypując się kamień i znów zgrzytały łopaty. Krist położył łopatę i zastąpił pracującego z nim w parze kolegę przy „maszynie OSO” – dwie rączki i kółko, jak po aresztancku nazywano na Kołymie taczki. Nie było to po błatniacku, ale coś koło tego. Krist postawił taczkę opartą dnem o deskę trapu, zwróconą rączkami w kierunku przodka i szybko ją napełnił. A potem, uchwyciwszy za rączki, nagiął się,

napiął brzuch i złapawszy równowagę, potoczył swoją taczkę do butary, do przemywania. Z powrotem przyprowadził ją podobnie jak to przez katorżnicze stulecia czynili taczkarze - rączkami do góry i kołem naprzód. Ręce Krista odpoczywały, trzymając uchwyty, a potem postawił taczkę i wziął łopatę. Łopata znów zazgrzytała. Charbiński inżynier, brygadzysta Kostoczkin, stał wsłuchany w symfonię wyrobiska i przyglądał się ruchom Krista.

- Toś ty, jak widzę, artysta łopaty - i Kostoczkin zaczął się śmiać. Był to dziecinny, niepohamowany śmiech. Wytarł usta rękawem - kategorię otrzymywałeś tam, skąd przyszedłeś?

Mowa była o „kategorii wyżywienia”, o tej „skali żołądka” podganinianej aresztanta. „Kategorie” te - Krist o tym wiedział - wynalezione zostały na Kanale Białomorskim, w czasie „przekuwania” - reedukacji. Śliniący się romantyzm „przekuwania” miał swoją realistyczną bazę, okrutną i złowrogą w postaci tej „żołądkowej skali”.

- Trzecią - powiedział, starając się jak najbardziej podkreślić intonacją głosu swą pogardę dla poprzedniego brygadzysty, który nie docenił talentu artysty łopaty. Zrozumiawszy przyszłą korzyść, Krist już z przyzwyczajenia troszkę kłamał.

- U mnie będziesz dostawać drugą. Od razu, od dzisiaj.

- Dziękuję - powiedział Krist.

W nowej brygadzie było chyba nieco ciszej niż w innych brygadach, z którymi musiał mieszkać i pracować Krist, było nieco czystiej w baraku, trochę mniej ordynarnych przekleństw. Krist chciał, zgodnie ze swoim wieloletnim przyzwyczajeniem, podpiec kawałeczek chleba, który pozostał mu z obiadu, ale sąsiad - Krist nie znał i nigdy zresztą nie dowiedział się jego nazwiska - szturchnął go i powiedział, że brygadzysta nie lubi, kiedy podpieka się chleb. Krist podszedł do żelaznego, wesoło palącego się piecyka, rozpostarł dłonie nad strumieniem ciepła i wsunął twarz w strugę gorącego powietrza. Z najbliższych nar podniósł się Ośka, zastępca brygadzysty, i silną ręką odsunął go. „Idź na swoje miejsce. Nie zagradzaj piecyka. Niech wszystkim będzie ciepło”. W ogóle to było sprawiedliwie, ale trudno jest utrzymać własne ciało, gdy pcha się ono do ognia. Aresztanci z brygady Kostoczkina nauczyli się tego. I Krist też będzie się musiał nauczyć. Powrócił na miejsce i zdjął buszlat. Wsunął nogi do rękawów, poprawił czapkę, skurczył się i zasnął. Usypiając, Krist jeszcze widział, jak ktoś wszedł do baraku, by przekazać jakieś polecenie, i jak Kostoczkin zaklął, nie odrywając się od czytania przy lampie. Ośka przyskoczył i uchwyciwszy intruza zręcznie i szybko za

łokcie, wypchnął go z baraku. W minionym życiu Ośka był wykładowcą historii w jakimś instytucie. Łopata Krista zgrzytała przez wiele jeszcze następnych dni i przez dni szeleścił piasek. Kostoczkini szybko się zorientował, że za precyzyjną techniką ruchów Krista od dawna nie kryje się już żadna siła i że jakkolwiek by się on starał, jego taczki napełniają się zawsze nieco mniej niż potrzeba - to przecież nie zależy od jego własnej woli, taką miarę dyktuje jakiś wewnętrzny instynkt, kierujący mięśniami - wszystkimi - zdrowymi i słabymi, młodymi i zniszczonymi, jednakowo umęczonym. Za każdym razem okazywało się, że przy obmiarze wyrobiska, w którym pracował Krist, wcale tak wiele nic zostało zrobione, jak tego oczekiwał brygadziści na podstawie profesjonalizmu ruchów artysty łopaty. Ale Kostoczkini nie czepiał się Krista, nie objeżdżał go bardziej niż innych nie wyżywał się w klątwach, nie perorował. Być może rozumiał, że Krist pracuje, oddając wszystkie swe siły, zachowując dla siebie jedynie to, czego nie można roztrwonić dla przypodobania się żadnemu brygadziście na świecie, w żadnym z łagrów. A może tylko wyczuwał, jeśli nie rozumiał - przecież nasze odczucia są znacznie bogatsze od myśli - bezkrwisty język aresztantów przekazuje nie to, co kryje się w głębi duszy. Uczucia także bledną, słabną, ale

znacznie później niż myśli, o wiele później niż ludzka mowa, język. A Krist rzeczywiście pracował tak, jak już dawno tego nie czynił - i chociaż tego, co zrobił, nie starczało na „drugą kategorię”, to jednak ją otrzymywał. Za gorliwość, za staranie się...Przecież „druga kategoria” - to było coś najwyższego, co mógł osiągnąć. Pierwszą otrzymywali rekordziści - wykonujący sto dwadzieścia procent normy i więcej. W brygadzie Kostoczkinia nie było rekordzistów. Byli natomiast tacy, którzy otrzymali „trzecią kategorię” - wypełniający normę, a także „czwartą” - ci nie dawali rady i wypełniali ją w siedemdziesięciu, osiemdziesięciu procentach. Ale nie filony-nieroby, zasługujące jedynie na karną rację według piątej kategorii. Takich w brygadzie Kostoczkinia również nie było. Mijał dzień za dniem, a Krist stawał się wciąż słabszy i słabszy. Pokorna cisza w baraku brygady Kostoczkinia coraz mniej mu przypadała do gustu. Ale jakoś tak wieczorem Ośka, wykładowca historii, odprowadził Krista na bok i cicho oznajmił: „dzisiaj przyjedzie kasjer. Brygadzysta wypisał ci pieniądze, wiedz o tym”. Serce Krista zabiło. A więc Kostoczkin docenił gorliwość Krista, jego mistrzostwo. Jednak ten charbiński brygadzysta, który wiedział, kto to jest Einstein, ma jeszcze sumienie. W brygadach, w których przedtem Krist

pracował, nigdy nie wypisywano mu pieniędzy. W każdej brygadzie zawsze znajdowali się ludzie bardziej tego godni - albo rzeczywiście silniejsi fizycznie i lepiej pracujący, albo całkiem po prostu przyjaciele brygadzisty - takimi bezpłodnymi rozważaniami Krist nigdy się nie zajmował, uznając otrzymaną kartkę obiadową - a kategorie zmieniane były co dziesięć dni - za zrządzenie losu, za szczęście lub nieszczęście, powodzenie albo pech, które zakończą się, odmieniają, nie będą trwać wiecznie. Wiadomość o pieniądzach, które mu dzisiaj wieczorem wypłaca, przepelniła duszę Krista i całe jego ciało gorącą, niepowstrzymaną radością. Okazuje się, że starcza mu jeszcze uczuć i sił, aby móc się cieszyć. Ile pieniędzy mogą mu wypłacić... Nawet pięć, sześć rubli - to pięć, sześć kilogramów chleba, Krist gotów był adorować Kostoczkina i z trudnością doczekał się końca pracy. Przyjechał kasjer. Był to zupełnie zwykły człowiek, ale w dobrym, garbowanym półkożuszku i z wolnego najmu. Przyszedł z nim strażnik, który gdzieś ukrył rewolwer czy pistolet lub pozostawił broń na wartowni. Kasjer usiadł za stołem, otworzył teczkę wypchaną pogniecionymi, różnokolorowymi banknotami, podobnymi do wypranych szmat. Wyciągnął gęsto poliniowaną listę, upstrzoną najróżniejszymi podpisami

ludzi - uradowanych lub rozczarowanych tym, co im wyliczono. Kasjer wywołał Krista i wskazał mu odznaczone ptaszkiem miejsce. Krist zauważył, poczuł w tej wypłacie, w tym, co mu miano dać, coś osobliwego. Nikt oprócz Krista nie podszedł do kasjera. Nie było żadnej kolejki. Być może pozostali byli tak przyuczeni przez troskliwego brygadzystę. Ale po cóż o tym myśleć! Pieniądze zostały wypisane, kasjer płaci. A więc to Krista szczęście. Samego brygadzysty nie było w baraku, nie przyszedł jeszcze z biura i poświadczaniem tożsamości otrzymującego pieniądze zajmował się Ośka, wykładowca historii. Wskazującym palcem pokazał, gdzie Krist ma się podpisać.

- A...a...ile? - tracąc oddech, wychrypiał Krist.

- Pięćdziesiąt rubli. Zadowolony?

W sercu Krista coś zaśpiewało, przyspieszając jego rytm. To jest właśnie szczęście. Pospiesznie, rozrywając ostrym piórem papier i omal nie przewracając kałamarza, Krist podpisał się na liście.

- No toś zuch - powiedział z aprobatą Ośka.

Kasjer zamknął teczkę.

- Więcej nie ma nikogo z waszej brygady?

- Nie.

Krist wciąż jeszcze nie mógł pojąć, co tu się dzieje.

- A pieniądze? A pieniądze?

- Dałem Kostoczkiniowi - powiedział kasjer - Jeszcze w ciągu dnia.

A niski Ośka żelazną ręką, z siłą, której nie posiadał żaden rębacz z tej brygady, oderwał Krista od stołu i cisnął go w ciemność. Brygada milczała. Żaden człowiek nie podtrzymał Krista, o nic nie spytał. Nawet nie nazwali go durniem... To było straszniejsze od tej bestii Ośki, od jego chwytnej jak szpony, żelaznej ręki. Bardziej straszne niż dziecinne, pulchne wargi brygadzisty Kostoczki. Drzwi baraku otwarły się na oścież i do oświetlonego stołu szybkimi, lekkimi i sprężystymi krokami podszedł brygadzista Kostoczkini. Belkowanie podłogi prawie nie drgnęło pod nim.

- Oto i sam brygadzista, pomów z nim - powiedział Ośka, cofając się. I wyjaśnił Kostoczkiniowi, o co chodzi, wskazując na Krista: - Pieniędzy mu się zachciewa!

Ale brygadzista jeszcze na progu wszystko zrozumiał. Kostoczkini od razu poczuł się jak na charbińskim ringu. Wyprowadził w kierunku Krista piękny, dobrze opanowany bokerski cios „z ramienia” i Krist upadł ogłuszony na podłogę.

- Nokaut, nokaut - chrypiał Ośka, tańcząc wokół półżywego Krista, w roli sędziego na ringu - osiem...dziewięć... Nokaut.

Krist nie wstawał z podłogi.

- Pieniędze? Jemu pieniądze? - mówił Kostoczkini, sadowiąc się z wolna przy

stole i biorąc z rąk Ośki łyżkę, aby wziąć się do miski z grochem - To właśnie ci trockiści - ciągnął Kostoczkina wolno i pouczająco - to oni gubią mnie i ciebie, Osia. - Kostoczkina podniósł głos - Przynieśli zgubę krajowi i nas obu gubią. Pieniędzy mu się zachciało, artyście łopaty, pieniądze. Hej, wy! - wrzeszczał Kostoczkina do brygady - Wy, faszyci! Słyszycie? Nie zarżniecie mnie. Tańcz, Ośka.

Krist wciąż leżał na ziemi. Ogromne postacie brygadzysty i sprzątającego zasłaniały mu światło. I nagle spostrzegł, że Kostoczkina jest pijany, bardzo pijany. To te same pięćdziesiąt rubli wypisane dla Krista... Ile za nie można było „wykupić” spirytusu, który został już wydany i wydaje się brygadzie... Ośka, zastępca brygadzysty, posłusznie ruszył w tan, przyśpiewując:

Ja kupiłem dwa koryta
Zona moja ta Rozita...

- To nasza, odeska, brygadysto. Nazywa się "Od mostu do rzeźni". - i wykładowca historii w jakimś stołecznym instytucie, ojciec czworga dzieci, znowu poszedł w tan.

- Stój, nalej.

Ośka namacał pod narami jakąś butelkę i coś tam nalał do puszki po konserwach. Kostoczkina wypił i zakąsił, wybierając palcami resztkę grochu z miski.

- Gdzie ten artysta łopaty?

Ośka podniósł Krista i popchnął w kierunku stołu.

- Co, nie masz siły? Czyżbyś nie dostawał swojej porcji? Drugą kategorię to kto dostaje? Jeszcze ci tego mało, trockistowska swołocz?

Krist milczał. I brygada milczała.

- Wszystkich powyduszam. Przeklęci faszyci! - szalał Kostoczkin.

- Idź, idź na swoje miejsce, artysto łopaty, bo ci brygadzysta jeszcze przyłoży - dobrotliwie poradził Ośka, obejmując pijanego Kostoczkiną i zaprowadziwszy do kąta, położył go na wspaniałą, brygadierską, pojedynczą pryczę - jedyną w całym baraku, gdzie wszystkie nary były podwójne, dwupiętrowe, typu „kolejowego”. A sam Ośka, zastępca brygadzysty i gospodarz baraku, śpiący na skrajnych narach, podejmował teraz swoją trzecią ważną funkcję, w pełni oficjalną, nocnego stróża snu brygadzysty, jego spokoju i życia. Krist po omacku dolazł do swojej pryczy. Nie udało się jednak zasnąć ani Kostoczkinowi, ani Kristowi. Drzwi baraku otworzyły się, wpuszczając strumień białej pary, i pojawił się w nich jakiś człowiek w futrzanej uszance i ciemnym zimowym płaszczu z karakułowym kołnierzem. Płaszcz był porządnie wymięty, karakuły przetarte, ale jednak był to prawdziwy płaszcz i prawdziwe karakuły. Człowiek przeszedł przez cały

barak, kierując się do stołu, światła i do pryczy Kostoczkin. Powitawszy gościa z szacunkiem, Ośka zabrał się do budzenia brygadzysty.

- Prosi cie Minia Grek.

Krist znał to imię. Był to brygadzysta błatniaków.

- Ciebie prosi Minia Grek.

Ale Kostoczkin już się ocknął i siadł na pryczy twarzą do światła.

- Wciąż zabawiasz się, pogromco? Sam widzisz...doprowadzili gady... - Minia Grek coś mruknął ze współczuciem.

- Wysadzą cię kiedyś w powietrze, pogromco. Co? Wsadzą amonit pod łóżko, podpala sznur i znajdziesz się tam... - Grek pokazał palcem w górę - ci głowę piłą odetną. Szyję masz grubą, trzeba będzie długo piłować.

Kostoczkin, powoli dochodząc do siebie, czekał, co mu powie Grek.

- Nie nalać po maleńkim? Powiedz, obalimy raz-dwa.

- Nie. Tego spirytusu mamy w brygadzie pełno, sam przecież wiesz. Mam poważniejszą sprawę.

- Chętnie służę.

- Chętnie służę - zaśmiał się Minia Giek

- Więc tak uczono w Charbinie rozmawiać z ludźmi.

- Ja tak sobie - pospiesznie wtrącił Kostoczkin - Po prostu nie wiem jeszcze, o co ci chodzi.

- No to słuchaj. - Grek zaczął coś szybko mówić, a Kostoczkin kiwał zgodnie

głową. Grek narysował coś na stole i Kostoczkini pokiwał ze zrozumieniem. Ośka z zainteresowaniem przysłuchiwała się rozmowie.

- Chodziłem do ekspozytury - mówił Minia Grek ani ponuro, ani z ożywieniem, całkiem zwyczajnym głosem - wyznaczający normy mówi: to kolej Kostoczki.

- Przecież zabierano mi także w zeszłym miesiącu...

- A cóż ja mam począć... - i głos Greka poweselał - Mam naszym odebrać kubiki? Mówiłem mu. A ten na to, że to kolej Kostoczki.

- Ale przecież...

- E, co tam. Sam przecież znasz naszą sytuację...

- No dobrze - powiedział Kostoczkini - Podliczysz tam w biurze i powiesz, żeby wzięli od nas.

- Nie bój się, frajerze - powiedział Minia Grek i poklepał Kostoczki po ramieniu - Dzisiaj ty pomogłeś mnie, a jutro - ja tobie.

- Jutro pocałujemy się obaj. - Ośka zaczął tańczyć, uradowany z podjętej ostatecznie decyzji, wcześniej pełen obaw, że ociąganie się brygadzysty wszystko popsuje.

- No to żegnaj, pogromco - powiedział Minia Grek, wstając z ławki - Ten w biurze powiedział: „idź śmiało do Kostoczki, do pogromcy. On ma w sobie kroplę krwi żulika”. Nie bój się, nie

przejmuj. Twoi chłopcy dadzą sobie radę. Masz takich artystów łopaty...

RUR

No nie byliśmy robotami. Robotami z „RUR” według powieści Ćapka? Górnikami z węglowego Zagłębia Ruhry? Nie, nasz RUR to „Rota Usilionnogo Rieżyma” - kompania zastrzonego reżimu - czyli kompania karna, więzienie w więzieniu, łagier w łagrze. Nie, to nie robotami byliśmy, bo w nieczułości metalu robotów bywa coś z człowieka. Zresztą, kto z nas w trzydziestym ósmym roku myślał o Ćapku czy węglowym Zagłębiu Ruhry? Dopiero po dwudziestu, trzydziestu latach pojawiają się siły dla dokonania porównań i prób wskrzeszenia minionego czasu, jego barw i odczucia przeszłości. Wtedy jedynym naszym doznaniem była niejasna, bolesna radość ciała, wysuszonych przez głód mięśni, które chociaż na moment, na godzinę, na jeden dzień mogą uwolnić się od złotego wyrobiska, od przeklętej roboty, od znienawidzonej pracy. Praca i śmierć to synonimy i to synonimy nie tylko dla skazanych na zgubę „wrogów ludu”. Praca i śmierć są również synonimami dla łagrowego naczalstwa i dla Moskwy, gdyż w innym wypadku nie pisano by w specjalnych instrukcjach, w moskiewskich skierowaniach na śmierć: „wykorzystać jedynie do ciężkich robót”. Przywieziono nas do RUR jako nierobów,

markierantów, tych, co nie wykonują normy. Ale nie jako tych, co odmawiają pracy. Odmowa pracy w łagrze to przestępstwo, za które karze się śmiercią. Rozstrzeliwują za trzykrotną odmowę pracy, za trzykrotne „niewyjście” do pracy. Trzy protokoły. Wychodziliśmy więc z łagrowej zony i dopełzali jakoś do miejsca pracy. Do jej wykonywania nie starczało już sił. Ale nie byliśmy tymi, co odmawiają. Doprowadzono nas do wrót łagru. Dyżurny nadzorca wyciągnął rękę w kierunku mojej piersi, a ja od razu zatoczyłem się, ledwie utrzymując na nogach - szturchnięcie naganem w pierś złamało mi żebro. Ból nie dawał mi spokoju przez kilka lat. Nie było to właściwie złamanie, jak mi to później objaśnili specjaliści, lecz rozdarcie okostnej. Poprowadzono nas do RUR, ale na tym miejscu nie było niczego. Ujrzałem żywą jeszcze ziemię, czarną i kamienistą, pokrytą nadpalonymi korzeniami drzew i krzewów, wypolerowanymi przez ludzkie ciała. Zobaczyłem czarny prostokąt nadpalonej ziemi, jednakowo rażący i pośród bujnej zieleni żywiołowego kołymskiego lata, i wśród martwej bieli niekończącej się zimy. Czarną jamę po ogniskach, ślad ciepła, ślad ludzkiego życia. Jama jednak żyła. Ludzie przewracali kłody, spieszyli się, klęli, i na moich oczach podnosił się odmłodzony RUR, wznosiły się ściany karnego baraku. Od razu, na

miejscu, wyjaśniono nam, w czym rzecz. Wczoraj wsadzono do ogólnej celi RUR pijanego kierownika sklepu, ze środowiska kryminalistów. Po pijanemu porozwalał ściany RUR, rozbierając to więzienie belka po belce. Wartownik nie strzelał. Szalał przecież kryminalista, a wartownicy znakomicie orientowali się w kodeksie karnym, w łagrowej polityce i nawet w kapryсах władzy. Wartownik więc nie strzelał do niego. Wyprowadzono go i wsadzono do karceru mieszczącego się przy oddziale łagrowej straży. Ale nawet ów kryminalista-kierownik sklepu, oczywisty bohater, nie odważył się wtedy wyjść z czarnej jamy. Rozebrał jedynie ściany. A teraz setka ludzi z pięćdziesiątego ósmego paragrafu, którymi wypchany był RUR, uważnie i cierpliwie odbudowywała swoje więzienie, wznosząc jego ściany, lecz bojąc się przekroczyć brzeg tej jamy poprzez jakiś nieostrożny krok na pozabawionym ludzkich śladów białym śniegu. Ci z pięćdziesiątego ósmego spieszyli się z odbudową. Bez gróźb i popędzania. Setka ludzi cisnęła się na pryczach, na szkieletach połamanych nar. Nie były to nary, lecz same belki i żerdzie, z których się je składa bez jednego gwoźdźca; na Kołymie gwoździe to rzecz cenna. Nary zostały spalone przez błatniaków siedzących w RUR. Paragraf pięćdziesiąty ósmy nie odważyłby się odłamać nawet kawałeczka ze swoich nar,

aby ogrzać zziębnięte ciała i wyschnięte, podobne do powrozów mięśnie. Niedaleko RUR stał już mniej zakopcony budynek mieszkalny oddziału łagrowej straży. Zewnętrznie barak strażników niczym nie różnił się od aresztanckich pomieszczeń, a i wewnątrz różnice były niewielkie - brudny dym, w oknach worki zamiast szyb. Mimo wszystko był to barak straży. RUR wychodził do pracy. Ale nie do złotego wyrobiska, lecz do lasu przygotować drewno opałowe, kopać rowy lub przedeptywać drogę. W RUR wszystkich karmiono jednakowo i to także cieszyło. Dla RUR dzień roboczy kończył się wcześniej niż dla tych w wyrobisku. Jakże wiele razy podnosząc oczy znad taczki, kilofa czy łopaty w wykopie, przyglądaliśmy się z zazdrością ciągnącym na nocleg, nierównym szeregom RUR! Nasze konie rżały na widok rurowców, domagając się zakończenia pracy. A może wiedziały same - lepiej niż ludzie - że właśnie nadszedł już czas, niepotrzebny był im do tego RUR... Teraz ja sam podskakiwałem, to utrafiając w krok, to z niego wypadając i gubiąc ogólny rytm; to doganiając, to pozostając w tyle...Miałem tylko jedno pragnienie: aby RUR nigdy się nie skończył. Nie wiedziałem, na ile dni - dziesięć, dwadzieścia czy trzydzieści - zostałem „osadzony w RUR”. „Osadzony” - doskonale byłem zaznajomiony z tym więziennym zwrotem. Wydaje mi się, że

czasownik „osadzić” używany bywa tylko w miejscach pozbawienia wolności. Natomiast zwrot „wydalić” znalazł szerokie zastosowanie w języku dyplomacji - „wydalić poza granice” i tak dalej. Czasownikowi „osadzić” starano się nadać groźne, bliskie znęcaniu się zabarwienie, ale życie zmienia relacje i w naszym przypadku „osadzić” znaczyło prawie „uratować”. Każdego dnia po zakończeniu pracy „goniono” rurowców po drewno „dla siebie”, jak mówiło naczalstwo. „Goniono” zresztą także brygady z wyrobisk. Były to wyprawy saniami wyposażonymi w druciane szleje, druciane pętle, w które można było wsunąć głowę i ramiona, poprawić je i ciągnąć, ciągnąć... Sanie trzeba było zawlec cztery kilometry pod górę, gdzie znajdowały się sterty przygotowanego w czasie lata cedrowca - czarnego, poskręcane go i lekkiego. Sanie ładowało się i puszczało wprost na dół. Sadowili się na nich błatniacy - ci zachowali jeszcze siły - i zjeżdżali, chichocząc, z góry. A my spełzaliśmy, nie mając dość siły, aby zbiec. Lecz ześlizgiwaliśmy się szybko, hamując za pomocą zmrożonych, obłamanych na zboczu gałęzi wikliny czy olchy. Było to pełne radości - kończył się dzień. Owe ukryte pod śniegiem sterty cedrowca trzeba było wyszukiwać każdego dnia wciąż dalej, ale nie burczeliśmy - wyprawa po drewno była

czymś w rodzaju uderzenia młotkiem w szynę czy głosu syreny - sygnałem wzywającym do jedzenia i snu. Wyładowaliśmy drewno i zaczęliśmy z radością ustawiać się w szeregu.

- W tył zwrot!

Nikt się nie obrócił. Ujrzałem we wszystkich oczach śmiertelny smutek, brak wiary w to, że coś się powiedzie; zawsze ich się przecież oszukuje, fałszuje obliczenia i pomiary. Nawet jeśli drewno to nie kamień, a sanie - nie taczki.

- W tył zwrot!

Nikt się nie obrócił. Aresztanci są niezwykle uczuleni na niedotrzymywanie obietnic, chociaż wydawałoby się, że o jakiej sprawiedliwości mogłaby tu być mowa? U drzwi baraku straży, na ganku, ustawiło się dwóch ludzi - naczelnik łagru, starszy wiekiem porucznik, i naczelnik oddziału straży, porucznik - młodszy. Nie ma nic gorszego, niż kiedy działają jednocześnie dwaj naczelnicy równi sobie szarżą. Zamiera w nich wtedy wszystko, co ludzkie i każdy chce ujawnić swą „czujność”, nie „wykazać słabości”, wypełniać państwowe nakazy.

- Wprzęgnijcie się do sań!

Nikt się nie odwrócił.

- To zorganizowana akcja! Dywersja! Nie pójdziecie po dobremu?

- Nie potrzebujemy waszego dobra.

- Kto to powiedział? Wystap!

Nikt nie wyszedł. Na rozkaz wybiegło z baraku straży jeszcze kilku konwojentów, którzy otoczyli nas, grzęznąc w śniegu. Szczękali zamkami karabinów, dusząc się od złości na ludzi, którzy pozbawili ich odpoczynku, korzystania ze zmiany, z rozkładu zajęć.

- Padnij!

Legliśmy w śniegu.

- Powstań!

Wstaliśmy.

- Padnij!

Legliśmy.

- Powstań!

Wstaliśmy.

- Padnij!

Legliśmy. Z łatwością uchwyciłem ten nieskomplikowany rytm. I dobrze pamiętam: nie było ani zimno, ani gorąco. Jak gdyby działało się to poza mną. Klasnęło kilka wystrzałów, ostrzegawczych.

- Powstań!

Wstaliśmy.

- Kto pójdzie, przejść na lewą stronę!

Nikt się nie poruszył. Naczelnik podszedł, zbliżył się na styk z rozpaczliwym smutkiem tych szalonych oczu. Podszedł i tknął w pierś najbliższego stojącego.

- Ty, pójdiesz?

- Pójdę.

- Odejść w lewo! Ty, pójdiesz?

- Pójdę.

- Wprzęgaj się! Konwój, przyjmujcie ludzi, liczcie.

Zaskrzypiały drewniane płozy sań.

- Jechać! Tak to się robi - powiedział ów starszy porucznik.

Nie wszyscy jednak odjechali. Dwóch pozostało na miejscu: Sierioża Usolcew i ja. Sierioża Usolcew był błatniakiem. Wszystkie młode złodziejaszki już dawno ciągnęły sanie razem z tymi z pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Ale Sierioża nie mógł dopuścić do tego, żeby wytrzymał jakiś parszywy frajer, a on, złodziej z dziada pradziada, poddał się.

- Zaraz nas puszczą do baraku...Trochę postoiemy - ponuro uśmiechnął się Usolcew - I do baraku, grzać się.

Ale do baraku nas nie puszczono.

- Psa! - zarządził starszy porucznik.

- Weź to - powiedział Usolcew, nie odwracając głowy, a jego palce położyły mi na dłoni coś bardzo cienkiego i lekkiego - Zrozumiałeś?

Zrozumiałem. Trzymałem w palcach ułamane ostrze żyłki i niepostrzeżenie dla konwojentów pokazywałem je psu. Pies widział to i rozumiał. Warczał, skowyczał, szarpał się, ale nie próbował chwycić ani mnie, ani Sierioży. W ręce Usolcewa widniał drugi kawałek żyłki.

- Jeszcze młody! - powiedział wszystkowiedzący, doświadczony naczelnik łagru, ten porucznik starszy wiekiem - Młody! Gdyby tu był Walet, pokazałby,

jak to się robi. Zostaliby goli! Do baraku!

Otworzyli drzwi, odsunęli ciężki, żelazny rygiel - przegroda usunięta. Zaraz będzie ciepło, ciepło. Ale starszy porucznik powiedział coś dyżurnemu nadzorcy i ten wyrzucił tlejące główne z pieca na śnieg. Główne zasyczały, pokryły się ciemnoniebieskim dymem, a dyżurny zarzucił je śniegiem, podgarniając go nogami.

- Wchodźcie do baraku!

Usiedliśmy na szkielecie nar. Nie poczuliśmy niczego oprócz nagle objawionego zimna. Wsunęliśmy ręce do rękawów i skuliliśmy się...

- Nie bój się - powiedział Usolcew - Zaraz wrócą chłopcy z drewnem. A tymczasem zatańczymy. - i zaczęliśmy skakać.

Zgiełk, radosny zgiełk zbliżających się głosów przerwany został czyjąś ostrą komendą. Otworzyły się nasze drzwi, lecz nie było w nich światła tylko ciemność baraku.

- Wychodzić!

Latarnie typu „nietoperz” pobłyskiwały w rękach konwojentów.

- Stanać do szeregu.

Nie od razu spostrzegliśmy, że tuż obok stoją w szeregu ci, co powrócili z pracy. Że wszyscy stoją i czekają. Ale na kogo? W ćmie białej mgły słychać było wycie psów i poruszały się pochodnie oświetlające drogę szybko zbliżającym

się ludziom. Po sposobie przesuwania się światła można było wywnioskować, że to nie idą więźniowie. Na przędzie szybko kroczył, wyprzedzając swoją obstawę, brzuchaty, ale sprężyste poruszający się pułkownik, którego rozpoznałem od razu - niejednokrotnie zaglądał do złotych wyrobisk, gdzie pracowała nasza brygada. Był to pułkownik Garanin. Ciężko dysząc, rozpiąwszy kołnierz munduru, zatrzymał się przed szeregiem i wetknąwszy miękki, wypielęgnowany palec w brudną pierś najbliższego stojącego więźnia powiedział:

- Za co siedzisz?

- Ja z artykułu...

- Na diabła mi twój artykuł! Za co siedzisz w RUR?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Ej, naczelniku!

- Oto dziennik rozkazów, towarzyszu pułkowniku.

- Na diabła mi twój dziennik! Ech, gady! Garanin ruszył dalej zaglądając każdemu w twarz.

- A ty, staruszkule, za co trafiłeś do RUR?

- Ja jestem w trakcie śledztwa. Zjedliśmy zdechłego konia. Jesteśmy stróżami.

Garanin splunął.

- Słuchać rozkazu! Wszyscy do baraków, do swoich brygad! A jutro do przodka!

Szereg rozsypał się, wszyscy pobiegli drogą, śnieżną ścieżką do baraków i do

brygad. I my z Usolcewem powlekliśmy się również.

BOGDANOW

Bogdanow - to był elegancik. Zawsze gładko wygolony, domyty, pachnący - Bóg jeden wie, co to były za perfumy - na głowie wspaniała czapka-uszanka z futra białego rena, zawiązana u góry na jakąś skomplikowaną kokardę z czarnej mory, w jakuckiej wyszywanej we wzory kurtce, i futrzanych, wzorzystych butach-pimach. Wypolerowane paznokcie, bielusieńki, krochmalony, podszywany kołnierzyk. W ciągu całego trzydziestego ósmego, rozstrzeliwującego roku pracował jako oficer operacyjny NKWD w jednym z kołymskich zarządów. Kiedy zachwiały się enkawudzistowskie trony i jedna za drugą zaczęły spadać głowy naczelników, przyjaciele ukryli Bogdanowa na Czarnym Jeziorze, w zwiadzie geologicznym poszukującym węgla. Nowy naczelnik z wypolerowanymi paznokciami pojawił się w głuchej tajdze, gdzie chyba od stworzenia świata nie było błota, pojawił się z żoną i trojgiem dzieci, jednym mniejszym od drugiego. Zarówno dzieciom, jak i żonie nie wolno było wychodzić z domu, w którym mieszkał Bogdanow, dlatego też jego rodzinę widziałem tylko dwa razy - w dniu przyjazdu i w dniu odjazdu. Produkty żywnościowe przynosił magazynier prosto

do domu, a dwustu litrową beczkę spirytusu przetoczyli robociarze po deskach - ścieżce z drewna położonej w tajdze dla takich właśnie przypadków, prowadzącej do domu naczelnika. Bo, jak uczo Bogdanowa na Kołymie, spirytus to jest to, co należy chronić przede wszystkim. A pies? Nie, Bogdanow nie miał psa. Ani psa, ani kota. Zwiad posiadał barak mieszkalny i namiot robociarzy. Wszyscy mieszkali razem - i wolni, i więźniowie-robotnicy. Nie było między nimi żadnej różnicy, ani w postaci drewnianych prycz, ani w przedmiotach osobistych, gdyż „wolniaszki”, do wczoraj będący więźniami, nie zdążyli się jeszcze wyposażyć w kuferki - owe własnej roboty obozowe walizki, znane każdemu więźniowi. W rozkładzie dnia i w „reżimie” też nie było różnic, gdyż poprzedni naczelnik, uruchamiający wiele odkrywek i przebywający na Kołymie prawie od stworzenia świata, nie znosił z jakiegoś powodu wszystkich owych „tak jest” i „melduję”. Przy Paramonowie, bo tak się nazywał poprzedni naczelnik, nie było żadnych apeli - i bez nich wstawaliśmy ze wschodem słońca, a kładliśmy się, gdy zachodziło. Zresztą, wiosną słońce już prawie nie opuszczało nieba, a na początku lata - jakie tu mogą być apele? Noc w tajdze jest krótka. I „pozdrawiać” naczelnika też nie byliśmy przyuczeni. Toteż kiedy Bogdanow wszedł do baraku,

nikt nie zawołał „baczność!”, a jeden z nowych robociarzy, Rybin, nie przestał nawet naprawiać swojego porwanego brezentowego płaszcza. Bogdanow był oburzony. Krzyczał, że zaprowadzi porządek wśród faszystów. Że polityka władzy sowieckiej ma dwa oblicza - wychowujące i karzące. I że on, Bogdanow, obiecuje nam wypróbować to drugie w pełnej mierze i nie pomoże nam żadne prawo poruszania się bez konwoju. Mieszkańców baraku, tych więźniów, do których zwracał się Bogdanow, było pięciu czy sześciu - raczej sześciu, bo na piątym z kolei miejscu siedzieli, jeden za drugim, dwaj nocni stróże. Wychodząc, Bogdanow chwycił za drewniane drzwi namiotu, chcąc nimi trzasnąć, ale uległy brezent tylko się zakołysał, nie wydając żadnego dźwięku. Następnego dnia odczytany został nam, pięciu więźniom plus nieobecnemu stróżowi, rozkaz pierwszy rozkaz naczelnika. Sekretarz naczelnika głośno i wyraźnie przeczytał pierwszy literacki utwór nowego dowódcy - „Rozkaz nr 1”. Jak się okazało, zeszyt szkolny córki Bogdanowa przemieniony został w książkę rozkazów rejonu węglowego: "zauważyłem, że więźniowie tego rejonu rozpuścili się i zapomnieli o łagrowej dyscyplinie, co wyraża się niestawaniem do apelu i niepozdrawianiem naczelnika. Uważając, iż jest to naruszenie podstawowych nakazów władzy sowieckiej, kategorycznie polecam..". W

tym samym rozkazie powołane zostało stanowisko starosty, wyznaczony został dyżurny sprzątający, wypełniający tę czynność równoległe z zasadniczą pracą. Namioty zostały przedzielone brezentową zasłoną, oddzielając czystych od nieczystych. Nieczyści ustosunkowali się do tego obojętnie, ale czyści - jeszcze wczoraj nieczyści - nigdy nie wybaczyli Bogdanowowi tego postępu. Rozkaz ten zasiał wrogość pomiędzy wolnymi robotnikami i naczelnikiem. Bogdanow na robocie się nie znał i wszystkie związane z tym sprawy przerzucił na barki kierownika robót - „proraba”. Natomiast cała administracyjna gorliwość czterdziestoletniego, nudzącego się naczelnika zwrócona została przeciwko sześciu więźniom. Codziennie zauważane były jakieś wykroczenia naruszające łagrowy reżim i graniczące z przestępstwem. W tajdze wyciosany został pospiesznie karcer, a u kowala Mojżesza Mojżeszowicza Kuźniecowa - zamówiono rygiel. Żona naczelnika ofiarowała własną kłódkę. Kłódka ta bardzo się przydała. Każdego dnia wędrował do karceru któryś z więźniów. Pojawiły się słuchy, że niedługo wezwany zostanie konwój, oddział łagrowej straży. Przesztano nam wydawać przydziałową - polarną - porcję wódki. Ustanowiona została norma na cukier i machorkę. Każdego wieczoru wzywano któregoś z zeków do biura, gdzie rozpoczynała się

rozmowa z naczelnikiem rejonu. Ja także zostałem wezwany. Kartkując moje wypchane „akta personalne”, Bogdanow czytał wyjątki z licznych not, zachwycając się bez miary ich składnią i stylem. Czasem wydawało się nawet, że Bogdanow zapomniał, jak się czyta - w jego mieszkaniu, oprócz pomiętych dziecięcych książek, żadnych innych nie było. Nagle spostrzegłem, ku swojemu zdziwieniu, że Bogdanow jest całkiem po prostu pijany. Zapach tanich perfum mieszał się ze spirytusowym odorem. Oczy miał mętne, zamglone, ale mówił zupełnie jasno. Poza tym wszystko, co mówił, było takie właśnie jak zawsze. Na drugi dzień spytałem wolnego, Kartaszowa, który był sekretarzem naczelnika, czy to możliwe... - Coś ty, dopiero teraz zauważyłeś? On cały czas jest pijany. Każdego dnia od rana. Wiele nie pije, ale jak poczuje, że mija rausz, na nowo pół szklaneczki. Żonę bije, podlec - powiedział Kartaszow - Dlatego właśnie ona się nie pokazuje. Wstyd jej siniaków. Bogdanow bił nie tylko swoją żonę. Uderzył Szatalina, uderzył Klimowicza. Do mnie jeszcze kolejka nie doszła. Ale kiedyś wieczorem ponownie zostałem wezwany do biura.

- Po co? - spytałem Kartaszowa.

- Nie wiem. - Kartaszow był jednocześnie posłańcem, sekretarzem i nadzorującym karcer.

Zastukałem i wszedłem do biura. Bogdanow siedział za biurkiem i przyczesywał się, starając się zrobić pięknym, przed wtaszczonego do biura ciemnym lustrem.

- A, faszysta - powiedział, odwracając się do mnie - nie zdążyłem wypowiedzieć przepisowego zwrotu - Będziesz pracować czy nie?

- Ja pracuję, obywatelu naczelniku.

- Widzisz, listy do ciebie nadeszły.

Od dwóch lat nic miałem łączności z żoną, nie mogłem się z nią skontaktować, nie wiedziałem, co dzieje się z nią i moją półtoraroczną córką. I oto nagle jej charakter pisma, jej ręka, od niej listy. Wyciągnąłem po nie dygoczące ręce. Bogdanow, nie wypuszczając z rąk listów, podsunął je wprost w kierunku moich wyschniętych warg.

- Masz tu swoje listy, faszystowska swołocz! - Bogdanow porwał listy na drobne kawałeczki i rzucił je do palącego się piecyka. Listy, na które czekałem od dwóch lat w atmosferze krwi, rozstrzałów i bicia w złotych wyrobiskach Kołomy. Odwróciłem się i wyszedłem bez zwykłej formuły „czy mogę odejść” a pijany chichot Bogdanowa jeszcze dzisiaj, po wielu latach, dźwięczy mi w uszach. Plan nie był wykonany. Bogdanow nie był inżynierem. Wolni robotnicy nienawidzili go. Kropla, która przepełniła kielich, była kroplą spirytusu, gdyż zasadniczy konflikt między naczelnikiem a robociarzami

polegał na tym, że beczka spirytusu powędrowała do mieszkania naczelnika i szybko zmniejszyła swoją zawartość. Bogdanowowi można było darować wszystko - i znęcanie się nad więźniami, i bezradność w pracy, i pańskość. Ale gdy sprawa doszła do podziału spirytusu, to mieszkańcy osady podjęli już z naczelnikiem walkę - i otwartą, i podziemną. Zimową, księżycową nocą pojawił się w rejonie ubrany po cywilnemu człowiek w starym palcie z baraním kołnierzem i skromnej czapce-uszance na głowie. Rejon odległy był od szosy o dwadzieścia kilometrów i człowiek przebył je piechotą, po zamarznętej rzece. Rozebrawszy się w biurze, przyjezdny poprosił, aby obudzić Bogdanowa. Ten odpowiedział, że jutro, jutro. Ale przyjezdny upierał się i poprosił Bogdanowa, aby ten wstał, ubrał się i przyszedł do biura, wyjaśniając, iż przybył jako nowy naczelnik rejonu węglowego, któremu Bogdanow powinien wszystko przekazać w ciągu dwudziestu czterech godzin. Prosi o przeczytanie rozkazu. Bogdanow ubrał się, wyszedł i zaprosił przyjezdnego do mieszkania. Gość odmówił, oświadczając, że od razu zacznie przejmować rejon. Nowinka rozeszła się momentalnie. Biuro zaczęło się wypełniać nieodzianymi ludźmi.

- Gdzie macie spirytus?

- Jest u mnie.

- Niech przyniosą.

Sekretarz Kartaszow i sprzątający wnieśli bidon.

- A beczka?

Bogdanow wybełkotał coś niezrozumiałego.

- Dobrze. Zaplombujcie bidon. - przyjezdny przystawił pieczęć - Proszę o papier na sporządzenie protokołu.

Następnego dnia wieczorem Bogdanow, świeżo ogolony, naperfumowany, wymachując wesoło wzorzystymi rękawicami, wyjechał do „centrali”. Był zupełnie trzeźwy.

- Czy to nie ten Bogdanow, który był w zarządzie wodnym?

- Pewnie nie. Proszę pamiętać, że w tej służbie oni zmieniają swoje nazwiska.

INŻYNIER KISIELOW

Nie rozumiałem duszy inżyniera Kisielowa. Był to młody, energiczny w pracy, trzydziestoletni inżynier, który bezpośrednio po ukończeniu instytutu przyjechał na Daleką Północ dla odbycia obowiązkowej trzyletniej praktyki. Jeden z niewielu naczelników czytających Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa - mówiła o tym karta biblioteczna. A co najważniejsze - bezpartyjny; oznaczało to, że przyjechał na Daleką Północ nie dla sprawdzania czegoś tam na podstawie ogólnych poleceń. Nie spotkawszy nigdy wcześniej na swej drodze aresztantów, prześcignął w swym katostwie wszystkich katów. Oczywiście bijąc więźniów,

Kisielow dawał przykład swoim dziesiętnikom, brygadzystom oraz konwojowi. Nie mogąc uspokoić siebie, Kisielow chodził po zakończonej pracy od baraku do baraku, wyszukując ludzi, których mógłby bezkarnie znieważać, uderzyć, pobić. Takich, którzy mu podlegali, było dwustu. Żyjąca w duszy Kisielowa mroczna żądza zabijania znalazła w warunkach bezprawia i samowładzy Dalekiej Północy ujście oraz warunki wzrostu i rozwoju. Nie chodziło o to, aby tylko zwalić z nóg - takich amatorów było wielu wśród wielkich i małych naczelników na Kołymie; swędziały ich ręce, bili, aby sobie dogodzić, a już po minucie potrafili zapomnieć o wybitym zębie, zakrwawionej twarzy aresztanta, w którego pamięci owo uderzenie naczelnika pozostało na całe życie. Chodziło więc nie tylko o to, aby uderzyć, lecz zwalić z nóg i deptać na wpół żywego swoimi podkutymi butami. Niemało więźniów widziało przy swej twarzy żelazne okucia Kisielowowskich butów. Któż to dzisiaj siedzi na śniegu, wala się pod butami Kisielowa: Zelfugarow. To mój sąsiad z góry w więziennym przedziale pociągu zmierzającego wprost do piekła, osiemnastoletni chłopak, słabo zbudowany, ze zwiotczalymi mięśniami, przedwcześnie zwiotczalymi. Twarz Zelfugarowa zalana jest krwią i jedynie po czarnych, krzaczastych brwiach

rozpoznaję swojego sąsiada: Zelfugarow to Turek, fałszerz pieniędzy. Fałszerz pieniędzy według paragrafu pięćdziesiątego dziewiątego - dwanaście - żywy! Przecież nie uwierzy w to ani żaden prokurator, ani sędzia śledczy. Przecież za fałszywą monetę państwo ma tylko jedno, śmierć. Ale kiedy to się zdarzyło, Zelfugarow miał szesnaście lat. - Robiliśmy dobre pieniądze, nic się nie różniły od prawdziwych - szeptał poruszony wspomnieniami Zelfugarow w baraku, w ocieplonym namiocie, w którego brezentowe wnętrze wstawiało się drewniany szkielet z dykty - bywają i takie wynalazki. Rozstrzelano ojca, matkę oraz dwóch wujów Zelfugarowa, a on pozostał przy życiu. Zresztą i on niedługo umrze, zapewnią mu to pięści i buty inżyniera Kisielowa. Pochyliłem się nad Zelfugarowem, a ten wypluł wprost na śnieg swoje powybijane zęby. Jego twarz puchła w oczach.

- Proszę iść, proszę iść. Kisielow zobaczy, rozgniewa się. - szturcha mnie w plecy inżynier Wroński, górnik z Tuły, urodzony w Twerze, najnowszy model górniczych procesów. Podlec i donosiciel. Po wążiutkich, wyrabanych w skale stopniach wdrapujemy się na miejsce pracy. To „wręby” kopalni. Sztolnia „bita” na pochyłości, z której wytaszczono już niemało kamienia. Szyny uchodzą gdzieś daleko w głąb, gdzie wiercą, palują i podają „do góry” skalny

materiał. Wroński, i ja, i Sawczenko, charbiński poczciarz, i maszynista parowozu Kriukow - wszyscy jesteśmy zbyt słabi, żeby być przodkowymi, żebyśmy zostali uhonorowani dopuszczeniem do kilofa i łopaty, do „wzmocnionego” przydziału, który różni się od naszego, normalnego roboczego, tylko - zdaje się - dodatkową kaszą. Doskonale wiem, co oznacza ta skala łagrowego wyżywienia, jaką groźną treść skrywają te mające być dodatkowym bodźcem do pracy żywnościowe porcje, i nie skarżę się. Inni, nowicjusze, gorąco dyskutują najważniejszy problem: jaka kategoria wyżywienia zostanie im przydzielona na następne dziesięć dni - przydziały i kartki zmieniane są co dziesięć dni. Jaka? Jesteśmy zbyt słabi, aby liczyć na „wzmocnioną” porcję, mięśnie naszych rąk i nóg już dawno przemieniły się w coś na kształt sznurków. Ale pozostały nam jeszcze mięśnie na plecach i piersiach, mamy jeszcze skórę i kości, więc - wypełniając wolę inżyniera Kisielowa - nacieramy sobie pęcherze na piersiach. Wszyscy czterej mamy te odciski, podobnie jak białe łaty na naszych tęgogriekach, umiejscowione na piersiach. Jak gdyby to był ujednolicony aresztancki krój. W sztolni położone są szyny i po tych szynach, za pomocą sznura, konopnego powrozu, opuszczamy wagonetkę. Na dole ją ładują, a my wyciągamy na wierzch. Oczywiście, nawet

gdybyśmy we czterech jednocześnie, jak konie moskiewskich zaprzęgów, ciągnęli tę wagonetkę to jej nie wytaszczymy. W łagrze każdy ciągnie na pół albo na półtorej siły. Zgodnie ciągnąć w łagrze nie potrafią. Ale posiadamy mechanizm ten sam mechanizm, który istniał w starożytnym Egipcie i pozwolił budować tam piramidy. Piramidy, a nie jakaś tam kopalenkę. To konny kołowrót, tylko że tutaj zamiast koni zaprzęga się ludzi, nas, i każdy napiera piersiami na swoją belkę, pcha, a wagonetka powoli wypełza na wierzch. Tu zaś, opuściwszy kołowrót, toczymy wagonetkę na wysypisko, rozładowujemy, taszczymy z powrotem, ustawiamy na szynach i pchamy w kierunku czarnej gardzieli sztolni. Krwawe odciski na piersi każdego, białe łaty na piersi każdego to ślad od belkokonnego kołowrotu, egipskiego kołowrotu. Oczekuje nas tutaj, podparłszy się pod boki, inżynier Kisielow. Pilnuje, abyśmy zajęli swe miejsce w szyku. Po dopaleniu papierosa i starannym roztarciu, wdeptaniu niedopałka w kamień, Kisielow odchodzi. I chociaż wiemy, że Kisielow zrobił to specjalnie, aby nie trafiła nam się ani jedna okruszynka tytoniu, „prorab” widział rozognione pożądaniem oczy i aresztanckie nozdrza wdychające z daleka zapach tego Kisielowowskiego papierosa. Nikt nie może się opanować i całą czwórką biegniemy do skatowanego, zniszczonego skręta, usiłujemy odzyskać

choć drobinę, choć szczyptę tytoniu, ale oczywiście nie udaje nam się zebrać ani tej szczypty, ani nawet pyłka. Wszyscy mamy łzy w oczach i powracamy na swoje robocze stanowiska, do wytartych ubraniami belek konnego kołowrotu, do kręciołka-jarzma. To Kisielow, Paweł Dymitrowicz Kisielow wskrzesił na Arkagale lodowy karcer z 1938 roku, wyrąbany w skale, w wiecznej zmarzlinie, lodowy karcer. Latem rozbierano ludzi do bielizny - odpowiadającej gułagowskiej instrukcji na lato - i sadzano do tego karceru boso, bez czapek i rękawic. Zimą sadzano w odzieży zgodnej z instrukcją na zimę. Wielu więźniów, którym zdarzyło się pobyc w tym karcerze choć jedną noc, na zawsze pożegnało się ze zdrowiem. Wiele mówiono o Kisielowie i w barakach, i w namiotach. Metodyczne, codzienne bicie aż do śmierci wydawało się wielu z tych, którzy nie przeszli szkoły trzydziestego ósmego roku, czymś nażyty strasznym, nie do zniesienia. Wszystkich zdumiewało (czy zadziwiało lub może dręczyło) osobiste uczestnictwo naczelnika odcinka w owych codziennych egzekucjach. Aresztanci z łatwością wybaczali uderzenia, szturchańce konwojentom, nadzorcom, wybaczali je swoim brygadzystom, ale wstyd im było za naczelnika odcinka, bezpartyjnego inżyniera. Kisielowowska aktywność wywoływała oburzenie nawet u tych, których zdolność odczuwania została już

dawno przytępiona przez wiele lat uwięzienia, którzy widzieli różności i posiadli tę wielką obojętność, jakiej łagier uczy ludzi. To straszne zobaczyć łagier. Żaden człowiek na świecie nie powinien znać łagrów. W łagrowym doświadczeniu wszystko jest negatywne - co do jednej minuty. Człowiek staje się jedynie gorszy. I nie może być inaczej. W łagrze jest wiele tego, o czym człowiek nie powinien wiedzieć. Ale ujrzeć dno życia - to nie jest najstraszniejsze. Najstraszniejsze jest, gdy owo dno staje się własnością człowieka, gdy miara jego moralności zapożyczana jest z łagrowego doświadczenia, kiedy zastosowanie w waszym życiu znajduje moralność błatniaków. Gdy rozum człowieka stara się nie tylko usprawiedliwić owe łagrowe uczucia, ale też im służyć. Znam wielu inteligentów - i nie tylko - których postępowanie na wolności ograniczane jest po cichu jedynie tym, co wyznaczają błatniackie granice. W starciu tych ludzi z łagrem - on odniósł zwycięstwo. To przyswojenie sobie takiego typu moralności, że „lepiej ukraść, niż poprosić”. To fałszywe błatniackie rozróżnienie między prywatną i państwową „pajką”. To - zbyt swobodny stosunek do wszystkiego, co „państwowe”. Wiele jest przykładów demoralizacji. A granica moralna jest bardzo ważną granicą dla więźnia. Jest to główny problem jego

życia: czy pozostał człowiekiem czy też nie. Rozróżnienie jest bardzo subtelne i nie trzeba się wstydzić wspomnień o tym, jak się było „dochodiaga”, dopalającym się „knotem” biegnącym „jak kurwa z kociołkiem”, grzebiącym w zlewiskach pomyj. Ale trzeba przyswojenia sobie błatniackiej moralności, nawet gdyby dawała szansę przeżycia, udawania, że jak błatniacy jest się „kryminalnym”, i zachowywania się w taki sposób, żeby broń Boże nie odkrył tego ani naczelnik, ani towarzysze. Wszystko jedno, czyś sądzony według paragrafu pięćdziesiątego ósmego, czy innego, związanego z wykonywaniem obowiązków, spowodowaniem manka lub niedbalstwem. Inteligent chce być łagrową Zoją Kosmodemiańską: z błatniakami być błatniakiem, z kryminalistami - kryminalistą. Kradnie i pije, ciesząc się nawet, gdy złapie „kryminalny” wyrok i przynajmniej wreszcie zostaje z niego zdjęte przekłete piętno politycznego. A przecież niczego politycznego w nim nigdy nie było. W łagrach nie było politycznych. Byli tylko urojeni, wymyśleni wrogowie, z którymi jednakże państwo rozliczało się jak z prawdziwymi wrogami - rozstrzeliwało, zabijało, morzyło głodem. Stalinowska śmierć cięła wszystkich bez różnicy, opierając się na rozdzielnikach, spisach i wykonaniu planu. Pośród tych, co zginęli w łagrze, był taki odsetek niegodziwców i tchórzów

co na wolności. Wszystko to byli ludzie przypadkowi spośród obojętnych, tchórzy, zwykłych obywateli, a nawet spośród katów - wszystkich ich przypadek uczynił ofiarami. Łagier był dla człowieka wielką próbą siły charakteru, zwykłej ludzkiej moralności i dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi nie wytrzymało tej próby. Wraz z tymi, co nie wytrzymali, umierali ci, co zdołali wytrzymać starając się być lepszymi niż wszyscy, twardszymi dla samych siebie... Była głęboka jesień i mocno już miotło śniegiem. Młoda kaczką spóźniona w odlocie, nie miała siły walczyć z zamiecią, opadała z sił. Na placyku zapalono „jupiter” i kaczką, zmylona jego niegrzejącym światłem, rzuciła się ku niemu jak ku słońcu, ciepłu, ciężko łopocząc namokniętymi skrzydłami. Ale zimny ogień reflektora nie był słonecznym, życiodajnym promieniem i kaczką przestała walczyć ze śniegiem. Usiadła na placyku przed sztolnią, gdzie my, szkielety, napieraliśmy piersiami na belki kołowrotu w takt urągań konwoju. Sawczenko złapał kaczkę rękami. Ogrzał ją za pazuchą w kościstym wnętrzu swej pachy, wysuszył jej pióra swym wyglodzonym i wychłodzonym ciałem.

- Zjemy ją? - spytałem, choć liczba mnoga zupełnie nie miała tu sensu, bo było to polowanie Sawczenki i zdobycz należała do niego, nie do mnie.

- Nie, lepiej ją oddam...

- Komu? Konwojentom?

- Kisielowowi.

Sawczenko odniósł kaczkę do domu, w którym mieszkał naczelnik odcinka. Żona naczelnika wyniosła Sawczence dwa odłamane kawałki chleba - ze trzysta gramów - i kociołek chudego kapuśniaku z kwaszonej kapusty. Kisielow wiedział, jak rozliczać się z aresztantami, i nauczył tego swoją żonę. Rozczarowani przełknęliśmy ten chleb: Sawczenko większy kawałek, ja - mniejszy. Wychłęptaliśmy zupę.

- Lepiej było samemu zjeść kaczkę - powiedział ze smutkiem Sawczenko.

- Nie trzeba było odnosić Kisielowowi - potwierdziłem.

Pozostawszy dzięki przypadkowi przy życiu po rozstrzeliwującym trzydziestym ósmym roku, nie miałem zamiaru ponownie skazywać siebie na znane mi męczarnie. Skazywać na codzienne, cogodzinne poniżenia, na bicie, na znęcanie się, na połajanki z konwojentami, z kucharzem, z łaziebny, z brygadzi, z każdym naczelnikiem, na nieustającą walkę o kawałek czegokolwiek, co dałoby się zjeść, aby nie umrzeć z głodu, dożyć takiego samego dnia nazajutrz. Trzeba było zebrać resztki rozchwianej, udręczonej, wymęczonej woli, nawet za cenę życia skończyć ze znęcaniem się władzy. Życie nie jest tak wielką stawką w łagrowej rozgrywce. Wiedziałem, że wszyscy myślą tak samo, tylko o tym nie

mówią. Ja znalazłem sposób, aby uwolnić się od Kisielowa. Półtora miliona ton pół koksującego węgla, nie ustępującego pod względem kaloryczności węglowi donbaskiemu - taki jest zapas węgla Arkagały, rejonu węglowego w Kraju Kołymskim, gdzie modrzewiowy drzewostan, mając stale nad wierzchołkami chłód, a pod korzeniami wieczną zmarzlinę, staje się dojrzały dopiero po trzystu latach. Znaczenie węglowych rezerw pochodzących z takich lasów rozumiał każdy naczelnik na Kołvmie. Dlatego w kopalni arkagalińskiej bywało często kołymskie naczalstwo najwyższej rangi.

- Jak tylko jakiegokolwiek wysokie naczalstwo przyjedzie do Arkagały trzeba dać Kisielowi po mordzie. Publicznie. Będą przecież obchodzone baraki, a już obowiązkowo kopalnie. Wyjść z szeregu i w gębę.

- Dadzą wyrok.

- Dadzą, dwa lata. Za takiego psa więcej nie dadzą. A dwa lata trzeba przyjąć. Nikt z grona starych kołymian nie liczył, że wróci żywy z Północy, wyrok nie miał dla nas znaczenia. Oby tylko nie rozstrzelali, nie zabili. A nawet... A że Kisielowa po takim policzku zabiorą od nas, przeniosą, zdegradują, to jasne. W środowisku wysokich naczelników policzek uważany jest za hańbę. My, aresztanci, tak nie myślimy a i Kisielow też pewnie nie. Lecz takie uderzenie w gębę stanie się głośne na całej Kołymie.

Pomarzywszy w ten sposób przy piecu, u stygnącego paleniska, o tym, co najważniejsze w naszym życiu, wlałem na górne nary na swoje miejsce, gdzie było trochę cieplej, i zasnąłem. Nic mi się nie przyśniło. Rano przyprowadzono nas na miejsce pracy. Drzwi kantorka otworzyły się i próg przekroczył naczelny odcinka. Kisielow nie był tchórzem.

- Ej ty! - wrzasnął - Wychodź!

Wyszedłem.

- A więc stanie się głośne na całej Kołymie?! Co?! No, to się trzymaj...

Kisielow mnie nie uderzył, nawet się nie zamachnął dla przyzwoitości, dla zachowania swojej godności naczelnika. Odwrócił się i odszedł. Musiałem uważać. Kisielow już więcej do mnie nie podchodził i nie robił żadnych uwag. Całkiem po prostu usunął mnie ze swego życia, ale ja rozumiałem, że on niczego mi nie zapomni, i czasami czułem na swych plecach pełen nienawiści wzrok człowieka, który jeszcze nie wymyślił sposobu zemsty. Wiele rozmyślałem nad wielkim łagrowym arcydziełem - arcydziełem szpiegostwa, donosicielstwa. Kiedyż to doniesiono Kisielowowi? To znaczy że szpicel nie spał w nocy, żeby pobiec do wartowni czy też do mieszkania naczelnika. Umęczony całodzienną pracą, prawowierny szpicel kradł nocne godziny swego wypoczynku, męczył się, cierpiał i „udowadniał”. Któż to? Przy rozmowie

było nas czterech. Ja sam nie donosiłem, to wiedziałem na pewno. Zdarzają się takie sytuacje w życiu, że człowiek sam nie wie, czy nie doniósł na swoich towarzyszy. Na przykład bezustanne, pełne skruchy podania różnego rodzaju partyjnych odchyleńców. Czy to są donosy czy też nie? Nie mówię już nic o nieprzytomnych zeznaniach z udziałem palącej się lutowniczej lampy. Tak też bywało. Do dziś chodzi po Moskwie jeden taki Buriat, profesor, z bliznami na twarzy po lutowniczej lampie trzydziestego siódmego roku. Kto jeszcze? Sawczenko? Sawczenko spał obok mnie. Inżynier Wroński? Tak, inżynier Wroński. To on. Należało się spieszyć. Napisałem karteczkę. Następnego dnia wieczorem z odległej o jedenaście kilometrów Arkagały przyjechał okazyjnym samochodem lekarz-więzień Kunin. Trochę go znałem z punktu przesyłowego sprzed lat. Po przeglądzie chorych i zdrowych Kunin dał mi znak i udał się do Kisielowa.

- No, jak przegląd? W porządku?

- Tak, tak jakby. Mam prośbę do pana, Pawle Dymitrowiczu.

- Chętnie słucham.

- Proszę puścić Andriejewa do Arkagały. Dam skierowanie.

Kisielow poczerwieniał.

- Andriejewa? Nie. Kogo tylko pan chce, Siergieju Michajłowiczu, ale nie Andriejewa. - zaśmiał się - To, jakby

wyrazić literackim językiem, mój osobisty wróg.

Istnieją dwie szkoły naczelników w łagrach. Jedni uważają, że wszystkich więźniów, i to nie tylko każdego kto personalnie dokuczy naczelnikowi, należy czym prędzej odesłać, przenieść gdzie indziej, wygonić z danej pracy. Według drugiej szkoły, wszystkich osobistych wrogów i znieważycieli trzeba trzymać jak najbliżej siebie, na oczach, sprawdzając osobiście skuteczność tych karzących zabiegów, które zostały przedsięwzięte przez naczelnika dla zadośćuczynienia miłości własnej i własnej bezwzględności. Kisielow wyznawał zasady drugiej szkoły.

- Nie śmiej się nalegać - powiedział Kunin - Prawdę mówiąc, to ja nie po to przyjechałem. Mam tutaj protokoły, dość dużo - Kunin rozpiął wygniecioną brezentową teczkę - Protokoły podbić. Jeszcze nie podpisywałem. Ja, wie pan, trzymam się prostego, „ludowego” poglądu na te sprawy. Umarłych się nie wskrzesi, a złamanych kości nie skleji. A zresztą martwych nie ma w tych protokołach. Wspominam tak i martwych, żeby być w zgodzie z powiedzonkiem. Nie życzę panu źle, Pawle Dymitrowiczu, mógłbym zmiękczyć niektóre lekarskie orzeczenia. Nie zniszczyć, lecz właśnie zmiękczyć. Przedstawić to, co było, łagodniej. Ale widząc pana stan nerwowy, nie będę

oczywiście pana niepokoić swoją osobistą prośbą.

- Nie, nie, Siergieju Michajłowiczu - powiedział Kisielow, powstrzymując za ramię podnoszącego się z taboretu Kunina - Dlaczego? A nie można by zupełnie porwać tych głupich protokołów? Przecież naprawdę, słowo honoru, to tak w uniesieniu. A przy tym to tacy niegodziwcy. Każdego doprowadzą do furii. - Co do tego, że ci niegodziwcy każdego doprowadzą do ostateczności, to ja mam swój pogląd, Pawle Dymitrowiczu. A protokoły... Nie można ich oczywiście zniszczyć, ale złagodzić można.

- Więc proszę to zrobić!

- Chętnie bym to zrobił - chłodno powiedział Kunin, patrząc Kisielowowi prosto w oczy - Ale przecież prosiłem pana o jednego aresztancika do Arkagały, tego oto dochodiagę Andriejewa, a pan nawet słyszeć nie chce. Tylko się pan zaśmiał...

Kisielow milczał.

- Wy wszyscy to swołocz! - powiedział wreszcie - Proszę pisać skierowanie do szpitala.

- Zrobi to felczer pańskiego odcinka, z pańskiego nakazu - odpowiedział Kunin. Tego samego wieczoru odwieziono mnie do Arkagały, do głównej łagrowej zony, z diagnozą „ostre zapalenie kiszki”, i więcej nie widziałem Kisielowa. Ale nie minęło nawet pół roku, gdy znowu o nim usłyszałem. W ciemnych chodnikach

kopalni szeleszczono gazetą i śmiano się. W gazecie wydrukowano wiadomość o nagłej śmierci Kisielowa. Po raz setny opowiadano sobie wszystkie szczegóły, zachłystując się z radości. Nocą do mieszkania inżyniera wlaźł przez okno złodziej. Kisielow nie był tchórzem, a nad jego łóżkiem wisiała zawsze nabita myśliwska dwururka. Usłyszawszy szelest, Kisielow wyskoczył z łóżka, odwiódł kurki i rzucił się do sąsiedniego pokoju. Na odgłos kroków gospodarza złodziej porwał się w kierunku okna, lecz przełaząc przez wąski otwór zakleszczył się na moment. Kisielow uderzył złodzieja z tyłu kolbą, tak jak przy obronie w walce na bagnety - według wszelkich zasad, jak uczono wszystkich wolnych w czasie wojny, według sposobów walki wręcz ich dziadów. Dwururka wystrzeliła i cały ładunek trafił do brzucha Kisielowa. Po dwóch godzinach Kisielow zmarł - bliżej niż w odległości czterdziestu kilometrów nie było chirurga, a Siergiejowi Michajłowiczowi, jako więźniowi, nie zezwolono na tę pilną operację. Dzień, w którym przyniesiono do kopalni wiadomość o śmierci Kisielowa, był dla więźniów dniem świątecznym. Nawet, zdaje się, wypełniono w tym dniu plan.

MIŁOŚĆ KOMANDORA TOLLY'EGO

Najlepsza praca w brygadzie wydobywającej złoto to praca „trapowego” - cieśli dosztukowującego drewniany chódnik-trap; za pomocą gwoździ łączy on deski, po których pcha się taczki z kruszywem do „butary” - prymitywnego, w kształcie beczki, sita do przemywania. Drewniane „wały” doprowadzone są od centralnego trapu do każdego przodka. Wszystko to gdy spojrzeć z góry, od butary, podobne jest do gigantycznej, rozplaszczonej stonogi, wyschniętej i przygwożdżonej do dna złotego wyrobiska. Praca trapowego to „kant” - lekka praca w porównaniu z robotą rębacza czy też pchającego taczki. Nie miewa on w rękę ani rączek taczki, ani trzonka łopaty czy kilofa, ani łomu. Topór i garść gwoździ to wszystkie jego narzędzia. Do tej niezbędnej, nie do pominięcia pracy brygadzista wyznacza robociarzy po kolei, dając im w ten sposób choć trochę odpoczynku. Oczywiście w ciągu jednego dnia lekkiej pracy palce, obejmujące na zawsze martwym chwytem trzonek łopaty, nie zdążą się rozgiąć - na to trzeba rocznej albo i dłuższej bezczynności. Ale w owych kolejnych zamianach ciężkiej pracy na lekką istnieje jakaś kropla sprawiedliwości. Nie ma tu sztywnej kolejki - kto jest słabszy, ten ma większe szanse pracy w charakterze trapowego. Do tego, aby przybijać

gwoździe i podciosywać deski, nie trzeba być ani stolarzem, ani cieślą. Ludzie posiadający wyższe wykształcenie doskonale dawali sobie z tym radę. W naszej brygadzie „kant” nie podlegał kolejce. Miejsce trapowego zajmował zawsze jeden i ten sam człowiek - Izaak Rabinowicz, były prezes Państwowej Ubezpieczalni ZSRR. Rabinowicz liczył sobie blisko siedemdziesiąt lat, ale był z niego jeszcze krzepki staruszek, mający nadzieję, że przetrzyma swój dziesięcioletni łagrowy wyrok. W łagrze zabija praca, dlatego każdy, kto wychwala pracę w łagrze, to ktoś podły albo dureń. Dwudziestoletni i trzydziestoletni ludzie umierali jeden za drugim - po to ich przywieziono do tej „spec-zony” - a trapowy Rabinowicz żył. Miał jakieś tam znajomości z łagrowym naczalstwem, jakieś tajemnicze więzy, gdyż pracował to w dziale gospodarczym, to jako biuralista. Izaak Rabinowicz rozumiał, że każdy dzień spędzony poza przodkiem niesie mu obietnicę życia, niesie ratunek, podczas gdy praca na przodku zguba, śmierć. Do spec-zony nie należało przywozić staruszków w wieku emerytalnym. Dane znajdujące się w ankiecie personalnej Rabinowicza wiodły go do spec-zony na śmierć. I tutaj Rabinowicz zaparł się, nie chciał umierać. Pewnego razu zamknęli nas obu razem, „odizolowali” na Pierwszego Maja, jak zwykle każdego roku.

- Ja już od dawna patrzę na pana - powiedział Rabinowicz, a mnie sprawiło nieoczekiwaną przyjemność to, że ktoś zwraca na mnie uwagę, że coś tam bada, i to ktoś nie należący do tych, którzy mają obowiązek to robić. Uśmiechnąłem się do Rabinowicza swoim krzywym uśmiechem, który rozdzierał moje poranione wargi i chore od skorbutu dziąsła.

- Z pana to pewnie porządny człowiek. Nigdy pan nie wyraża się nieprzyzwoicie o kobietach.

Nie zwróciłem na to uwagi.

- A czy tutaj rozmawia się o kobietach?

- Rozmawiają. Tylko że pan się nie miesza do tych rozmów.

- Jeśli mam powiedzieć prawdę, Izaakowi Dawidowiczowi, to ja uważam, że kobiety są lepsze od mężczyzn. Rozumiem, że dwoje ludzi, mąż i żona, stanowi jedność i tak dalej. Ale jednak macierzyństwo i praca... Kobiety pracują lepiej od mężczyzn.

- To rzeczywiście prawda - powiedział sąsiad Rabinowicza, buchalter Bieznożenko - Na wszystkich udarnikach, na wszystkich subotnikach nigdy nie ustawiaj się razem z babą. Zagoni, zamęczy. Ty chcesz popalić, a ona się złości.

- To też - z roztargnieniem powiedział Rabinowicz - Pewnie, pewnie... Na przykład Kołyma - kontynuował - Bardzo wiele kobiet przyjechało tu w

poszukiwaniu swoich mężów; straszny los, zaloty naczelstwa, tych wszystkich chamów, którzy pozarządzali się syfilisem. Wie pan o tym lepiej ode mnie. A żaden mężczyzna nie przyjechał w poszukiwaniu zasądzonej i zesłanej żony. Prezesem ubezpieczalni byłem bardzo krótko - mówił Rabinowicz - Ale wystarczyło, aby złapać „dziesiątkę”. Przez wiele lat podlegały mi jej zewnętrzne aktywa. Czy pan rozumie, w czym rzecz?

- Rozumiem - odpowiedziałem bezmyślnie, gdyż nic nie rozumiałem.

Rabinowicz uśmiechnął się bardzo uprzejmie, dla przyzwoitości.

- Oprócz tej ubezpieczalnianej pracy, za granicą... - spojrzawszy mi nagle w oczy Rabinowicz odczuł, że nic mnie to nie obchodzi. Przynajmniej do obiadu. Rozmowa została podjęta po pierwszej łyżce zupy.

- Chce pan, opowiem panu o sobie. Przez wiele lat mieszkałem za granicą i teraz w szpitalach, w których leżałem, w barakach, w jakich mieszkałem, wszyscy prosili, aby opowiedzieć im o jednym; jak, gdzie i co tam jadłem. To motywy gastronomiczne. Gastronomiczne koszmary, marzenia i sny. Czy panu też potrzebne takie opowiadanie?

- Owszem, mnie też - odpowiedziałem, i dobrze.

- Jestem agentem ubezpieczeniowym z Odessy. Pracowałem w „Rossiji”, istniała taka agencja ubezpieczeniowa. Byłem

młody, starałem się pracować dla właściciela jak najuczciwiej i jak najlepiej. Wyuczyłem się języków. Wysłano mnie za granicę. Ożeniłem się z córką właściciela. Mieszkałem za granicą do samej rewolucji. Rewolucja nie bardzo przeraziła mego pryncypała, który - podobnie jak Sawwa Morozow - stawiał na bolszewików. W czasie rewolucji byłem z żoną i córką za granicą. Teść mój umarł jakoś tak przypadkowo, nie przez rewolucję. Miałem wielu znajomych, ale im do niczego nie była potrzebna rewolucja pałdziernikowa. Czy pan mnie pojmuje?

- Owszem.

- Władza sowiecka dopiero stanęła na nogi. Przyjechali do mnie ludzie; Rosja, RSFRR, dokonywała pierwszych zakupów za granicą. Potrzebny był kredyt. Ale dla otrzymania kredytu nie wystarczało zobowiązanie Banku Państwa. Wystarczała natomiast karteczka ode mnie i moja rekomendacja. W ten sposób skontaktowałem z RSFRR Kreigera, szwedzkiego króla zapalczanego. Kilka takich operacji i pozwolono mi wrócić do ojczyzny. Zająłem się tu pewnymi delikatnymi sprawami. Słyszał pan coś niecoś o sprzedaży Spitsbergenu i związanych z tą sprzedażą rozliczeniach?

- Coś tam słyszałem.

- No więc ja przeładowywałem na Morzu Północnym norweskie złoto na nasz szkuner. Jak pan widzi, oprócz

zajmowania się zagranicznymi aktywami spełniałem cały szereg takich oto poleceń. Nowym moim gospodarzem została władza sowiecka. A ja, podobnie jak w towarzystwie ubezpieczeniowym, służyłem uczciwie.

Inteligentne oczy Rabinowicza spoglądały na mnie spokojnie.

- Ja umrę. Jestem już stary i widziałem życie. Żał mi tylko żony. Mieszka w Moskwie. I córka też tam. Jeszcze nie uwięzły w obławie na członków rodzin... Nie uda mi się chyba ich zobaczyć. Często do mnie piszą. Przysyłają paczki. A panu? Przysyłają panu paczki?

- Nie. Napisałem, że nie trzeba mi paczek. Jeżeli przeżyje, to bez żadnej pomocy z zewnątrz. Będę zobowiązany jedynie sobie.

- W tym jest coś rycerskiego. Żona i córka nie rozumieją tego?

- Nie ma w tym niczego rycerskiego, a my obaj nie jesteśmy po drugiej stronie dobra i zła, ale poza wszystkim, co ludzkie. Po tym, co widziałem, nie chcę być nikomu w czymkolwiek zobowiązany, nawet własnej żonie.

- Trochę to mętne. A ja piszę i proszę. Paczka to zapewnione na miesiąc miejsce w łagrowej obsłudze; za to stanowisko dałem swoje najlepsze ubranie. Pan pewnie myśli, że naczelnik zlitował się nad staruszką...

- Myślałem że ma pan z łagrowym naczalstwem jakieś specjalne stosunki.

- Niby donosiciel, czy tak? Ależ komu tu potrzebny siedemdziesięcioletni donosiciel! Nie. Ja całkiem po prostu dałem łapówkę, dużą łapówkę. I z nikim się nie podzieliłem rezultatami tej łapówki, nawet z panem. Otrzymuję, piszę i proszę.

Po odsiedzeniu Pierwszego Maja powróciliśmy do baraku razem i zajeliśmy obok siebie miejsca na narach, ustawionych jak w wagonie. To nie było tak, że się zaprzyjaźniliśmy - w łagrze nie można się zaprzyjaźnić - ale całkiem po prostu odnosiliśmy się z szacunkiem jeden do drugiego. Ja posiadałem duże łagrowe doświadczenie, a staruszek Rabinowicz - młodzieńczą ciekawość życia. Zorientowawszy się, że nie sposób przytłumić mojej złości, zaczął odnosić się do mnie z szacunkiem, ale nic poza tym. A może wynikało to z niezaspokojonej tęsknoty staruszka - jak to bywa w wagonie - za opowiadaniem o sobie pierwszemu przygodnemu osobnikowi. O życiu które chciało się pozostawić na ziemi. Wszy nas nie przerażały. Właśnie w okresie mojej znajomości z Izaakiem Rabinowiczem ukradziono mi szalik, oczywiście bawełniany, ale jednak zrobiony szydełkiem, prawdziwy szalik. Razem wychodziliśmy na odprawę, po pracy na rozprowadzanie "bez ostatniego" jak wyraziście i jednocześnie strasznie nazywają w łagrach takie odprawy. Rozprowadzanie do pracy "bez ostatniego".

Nadzorcy łapali ludzi, konwojent popychał kolbą zaganiając, spychając tłum oberwańców z lodowej góry, zrzucając ich na dół, a tego kto nie zdążył (to właśnie nazywało się rozprowadzaniem bez ostatniego) chwymano za ręce i nogi i ciskano w dół po zboczu tej góry. I ja i Rabinowicz staraliśmy się jak najszybciej zeskoczyć w dół, dotoczyć się i stanąć na placyku gdzie już oczekiwał konwój, uderzeniami w zęby ustawiający nas w szeregi do pracy. W większości przypadków udawało się nam szczęśliwie stoczyć na dół i żywym dobrnąć do wykopu - a tam, co Bóg da. Tego ostatniego, który się spóźnił i został zrzucony z góry, przywiązywano do konnego włoku za nogi i wleczono do miejsca pracy w wykopie. I Rabinowicz, i ja szczęśliwie jakoś unikaliśmy owej śmiertelnej przejażdżki. Miejsce łagrowej zony dobrano w taki sposób, aby przy powrocie z pracy trzeba było wdrapywać się po wąziutkich stopniach, czepiając się resztek gołych, obłamanych krzaczków, pełznąć w ten sposób do góry. Wydawałoby się, że po pracy w wykopie kopalni złota człowiek nie znajdzie w sobie sił, ażeby jeszcze pełznąć w górę. A jednak - pełzliśmy. I chociaż po półgodzinie, po godzinie, wszak przepelzaliśmy do wrót straży, do „zony”, do baraków, do mieszkania. Na frontonie wrót widniał, jak zawsze, napis: „Praca to sprawa honoru i chwały,

sprawa dzielności i bohaterstwa". Szliśmy do stołówki, coś tam piliśmy z misek, szliśmy do baraku, kładliśmy się spać. Z rana wszystko zaczynało się od początku. Nie wszyscy tutaj głodowali, ale dlaczego, nie dowiedziałem się nigdy. Kiedy zrobiło się cieplej, na przedwiośniu, nastąpiły białe noce i w łagrowej stołówce rozpoczęły się straszne zabawy zwane „na żywca”. Kładziono na stół pajkę chleba i chowano się gdzieś w kącie, czekając, aż wygłodzona ofiara, jakiś tam dochodiaga podejdzie - zaczarowany przez ten chleb - dotknie go i chwyci. Wtedy wszyscy rzucali się z ciemnego kąta i rozpoczynało się bicie na śmierć złodzieja, żywego szkieletu. Była to nowa dla mnie rozrywka, z którą nie spotkałem się nigdzie poza Dźełgałą. Inicjatorem tych rozrywek był doktor Kriwicki, stary rewolucjonista, były zastępca ludowego komisarza przemysłu zbrojeniowego. Razem z dziennikarzem z "Izwestii", Zasławskim, Kriwicki był głównym organizatorem owych krwawych, strasznych przynęt „na żywca”. Miałem szalik, bawełniany oczywiście, ale robiony szydełkiem, prawdziwy szalik. Podarował mi go felczer w szpitalu, gdy mnie wypisywano. Kiedy wyładowano nasz etap przy kopalni Dźełgała, pojawiło się przede mną szare, pozbawione uśmiechu oblicze z głęboko wrytymi przez Północ zmarszczkami i plamami starych odmrożeń.

- Wymieniamy?

- Nie.

- Sprzedaj.

- Nie.

Wszyscy miejscowi, a zbiegło się ich przy naszym samochodzie ze dwie dziesiątki, spoglądali na mnie ze zdziwieniem, zdumieni moim nieopatrznyim postępowaniem, głupotą i hardością.

- To starosta, łagrowy starosta - podszeptał mi ktoś, ale nadal kręciłem odmownie głową.

Na obliczu pozbawionym uśmiechu brwi uniosły się w górę. Starosta kiwnął na kogoś, wskazując na mnie. Jednakże w tej zonie nie zdecydowano się na żaden rozbój ani grabież. O ileż prościej było zrobić coś innego - i ja wiedziałem, co to ma być. Zawiązałem szalik na węzeł wokół szyi i nigdy go więcej nie zdejmowałem - ani w łaźni, ani w nocy, nigdy. Łatwo byłoby zachować szalik, ale przeszkadzały wszy. Było ich w szaliku tyle, że kiedy go zdjąłem na moment, żeby strząsnąć z siebie wszy, i położyłem przy lampie na stole, to się ruszał. Przez dwa tygodnie walczyłem ze złodziejskimi cieniami, wmawiając sobie, że to cienie, nie złodzieje. Wystarczył jeden raz, gdy po upływie dwóch tygodni powiesiłem szalik wprost przed sobą na narach i obróciłem się, aby nalać sobie kubek wody, a szalik zniknął, pochwycony doświadczoną złodziejską ręką. Taki byłem zmęczony tą nieustanną walką o

szalik, takiego wytężenia sił wymagała ta mająca nastąpić kradzież, która wyraźnie przeczuwałem, że nawet ucieszyłem się, iż nie potrzebuję niczego pilnować. I po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Dżelgały mocno usnąłem i miałem dobre sny. A może dlatego, że znikły tysiące wszy i ciało odczuło ulgę. Izaak Rabinowicz ze współczuciem przypatrywał się mojej bohaterskiej walce. Oczywiście nie pomagał mi w strzeżeniu zawzonego szalika - w łagrze każdy sam dba o siebie, więc i ja nie oczekiwałem pomocy. Ale Izaak Rabinowicz pracował przez kilka dni w administracji gospodarczej i wsunął mi obiadowy talon, chcąc pocieszyć mnie po mej stracie. Podziękowałem mu. Po pracy wszyscy od razu się kładą, podścielając pod siebie swoją brudną roboczą odzież. Izaak Rabinowicz rzekł do mnie:

- Pragnę poradzić się pana w jednej sprawie, nie związanej z łagrem.

- A z generałem de Gaulle'em?

- Nie, niechże pan się nie śmieje. Otrzymałem ważny list. To znaczy ważny dla mnie.

Odegnałem morzacy mnie sen, sprężyłem się całym ciałem, otrząsałem się i począłem słuchać.

- Mówiłem już panu, że moja żona i córka znajdują się w Moskwie. Nie ruszyli ich. Córka chce wyjść za mąż. Otrzymałem od niej list. I od jej narzeczonego, o,

proszę. - Rabinowicz wyciągnął spod poduszki paczkę listów , paczkę złożoną z ładnych kartek zapisanych wyraźnym i pospiesznym charakterem pisma. Przypatrzyłem się, nie były to litery pisane grażdanką, lecz łacińskie. - Moskwa zezwoliła na przesłanie tych listów do mnie. Czy pan zna angielski?

- Angielski? Nie.

- To po angielsku. Od narzeczonego. Prosi o zezwolenie na małżeństwo z moją córką. Pisze: „Moi rodzice wyrazili już zgodę. Pozostała tylko zgoda rodziców mojej przyszłej żony. Proszę pana, mój drogi ojczcie...”. A oto list od mojej córki: „Ojczcie, mój narzeczonny, morski attache Stanów Zjednoczonych Ameryki, komandor Tolly, prosi o twoje zezwolenie na nasze małżeństwo. Tato, odpowiedz szybko”.

- Cóż to za brednie? - powiedziałem.

- To nie brednie, lecz list komandora Tolly'ego do mnie. I list od mojej córki. I od mojej żony. - Rabinowicz z wolna namacał wieszak za pazuchą, wyjął ją i rozduśił na pryczy.

- Pana córka prosi o zezwolenie na małżeństwo?

- Tak.

- Narzeczonny pańskiej córki, morski attache Stanów Zjednoczonych, komandor Tolly, prosi o zgodę na małżeństwo z pańską córką?

- Tak.

- To leć pan do naczelnika i pisz pan podanie o zezwolenie na list w trybie nadzwyczajnym.

- Ale ja nie chcę dawać zezwolenia na małżeństwo. W tym właśnie chcę się pana poradzić. Byłem całkiem po prostu oszołomiony tymi listami, opowiadaniem i postępowaniem. Jeżeli zgodzę się na małżeństwo, to już jej nigdy więcej nie zobaczę. Ona pojedzie z komandorem Tollym.

- Niech pan posłucha, Izaaku Rabinowiczu, pan niedługo będzie miał siedemdziesiąt lat. Uważam pana za rozsądnego człowieka...

- Ja po prostu tak czuję, jeszcze tego do końca nie przemyślałem. Odpowiedź wyślę jutro.

- Pora spać. Lepiej jutro świętujmy już to wydarzenie. Zjemy kaszę przed zupą. A zupę po kaszy. Można jeszcze podpiec chleb. Nasuszyć sucharów. Ugotować chleb na wodzie. Co, Izaaku Rabinowiczu?

Nawet trzęsienie ziemi nie powstrzymałoby mnie przed snem, snem - zapomnieniem. Zamknąłem oczy i zapomniałem o komandorze Tollym. Następnego dnia Rabinowicz napisał list i wrzucił do skrzynki przy strażnicy. Wkrótce po tym zawieziono mnie na sąd, osadzono i po roku wieziono znowu do tej samej spec zony. Nie miałem już szalika, ale nie było starosty. Przyjechałem jako najzwyklejszy łagrowy dochodiaga, dopalający się człowiek-knot, bez

żadnych charakterystycznych cech. Ale Izaak Rabinowicz mnie poznał i przyniósł kawałek chleba. Izaak Rabinowicz umocnił się w dziale gospodarczym i nauczył się nie myśleć o dniu jutrzejszym. Nauczyła go tego praca na przodku.

- Pan, zdaje się, był tutaj wtedy, gdy moja córka miała wyjść za męża?

- Byłem, a jakże.

- Ta historia ma swój dalszy ciąg.

- Niechże pan mówi.

- Komandor Tolly ożenił się z moją córką, na tym chyba wtedy się zatrzymałem

- począł opowiadać Rabinowicz. Oczy mu się śmiały. - Pomieszkał komandor Tolly

trzy miesiące. Trzy miesiące potańczył. Otrzymał dowództwo okrętu liniowego na

Oceanie Spokojnym i wyjechał na miejsce swej służby. Mojej córce, żonie

komandora Tolly'ego, nie zezwolono na wyjazd. Stalin zapatrywał się na takie

małżeństwa jak na osobistą zniewagę, a w Ministerstwie Spraw Zagranicznych

szeptano komandorowi Tolly'emu na ucho: jedź sam, zabaw się, chłopie, co cię

wiąże? Ożeń się jeszcze raz. Jednym słowem, to ostateczna odpowiedź, ta

kobieta pozostanie tutaj. Komandor odjechał i przez rok nie było od niego

listów. A po roku skierowano moją córkę do pracy w poselstwie w Sztokholmie.

- Jako wywiadowczynię czy co? Do tajnej roboty?

Rabinowicz spojrzał na mnie z dezaprobatą, jakby ganiąc moje gadulstwo.

- Nie wiem, nie wiem, do jakiej pracy. Do ambasady. Córka przepracowała tam jeden tydzień. Przyleciał samolot z Ameryki i odleciała do Ameryki, do męża. Teraz już nie będę oczekiwał listów z Moskwy.

- A miejscowe naczalstwo?

- Miejscowi nie ośmielają się... obawiają się mieć swoje zdanie w takich kwestiach. Przyjeżdżał moskiewski sędzia śledczy, przesłuchiwał mnie w tej sprawie. I odjechał.

Na tym nie zakończyło się szczęście Izaaka Rabinowicza. Cudem nad cudy było zakończenie się jego wyroku dokładnie, dzień w dzień, bez żadnych doliczeń dni roboczych. Organizm byłego agenta ubezpieczeniowego był na tyle silny, że Izaak Rabinowicz pracował jeszcze jako wolny człowiek w charakterze inspektora finansowego na Kołymie. Na „kontynent” go nie puszczono. Umarł na dwa lata przed XX zjazdem partii.

KRZYŻ

Ślepy duchowny szedł przez podwórze, wymacując nogami wąską deskę, coś na kształt okrętowego trapu położonego na ziemi. Szedł wolno pewnym krokiem, prawie się nie potykając, gdy zaczepiał czworokątnymi noskami ogromnych, wydeptanych, synowskich butów o tę swoją ścieżkę z drewna. W obu rękach niósł wiadra z dymiącym poidłem dla swoich

kóz, zamkniętych w niziutkiej, ciemnej szopie. Było ich trzy: Maszka, Ela i Tonia - imiona dobrane zostały umiejętnie, różniąc się między sobą samogłoskami. Zazwyczaj gdy zawołał, odzywała się tylko ta koza, którą wołał; natomiast rano, gdy zbliżał się czas karmienia, beczały jedna przez drugą przenikliwymi głosami, wysuwając po kolei mordki przez szczelinę w drzwiach szopy. Przed półgodziną ślepy duchowny wydoił je do wielkiego szkopka i odniósł parujące mleko do domu. Ogarnięty wieczną ciemnością, często mylił się przy dojeniu i cienka stróżka mleka trafiała bez szmeru obok szkopka, na ziemię - kozy oglądały się bojaźliwie na swe mleko dojone wprost na ziemię. A może i się nie oglądały. Mylił się często nie tylko dlatego, że był ślepy. Przeszkadzało mu również to, że gdy ciepłą ręką ścisnął wymię kozy, zapominał o sobie i o tym, co robi. Rozmyślał o rodzinie. Duchowny oślepił wkrótce po śmierci syna, czerwonoarmisty w kompanii chemicznej, zabitego na froncie północnym. Glaukoma. „Żółta woda” zaostrzyła się silnie i duchowny stracił wzrok. Miał jeszcze inne dzieci - dwóch synów i dwie córki - ale ten średni był dzieckiem ukochanym i tak jakby jedynym. Dogładaniem kóz, karmieniem, dojeniem i sprzątaniami zajmował się sam - i ta desperacka, niepotrzebna praca była dla niego miarą

samoutwierdzenia się w życiu. Ślepiec przyzwyczajony był do tego, że utrzymywał dużą rodzinę, przywykł do zajmowania swego miejsca w życiu w niezależności od nikogo - ani od społeczeństwa, ani od własnych dzieci. Nakazał żonie, aby skrupulatnie zapisywała wydatki ponoszone na utrzymanie kóz i dochody pochodzące ze sprzedaży mleka w lecie. Kozie mleko kupowano w mieście chętnie, uznając je za szczególnie potrzebne chorym na gruźlicę. Pogląd ten nie miał większej wartości w aspekcie medycznym, w każdym razie nie więcej niż znana, polecana przez kogoś dla gruźlików dieta z mięsa młodych czarnych szceniąt. Ślepy i jego żona pili po kubku czy po dwa dziennie a wartość tego mleka duchowny też kazał zapisywać. Od razu, w ciągu pierwszego lata, okazało się, że pasza kosztuje więcej niż uzyskiwane mleko, a przy tym podatki od „drobnych zwierząt” wcale nie były takie małe. Ale żona popa ukrywała prawdę przed mężem i powiedziała, że kozy przynoszą dochód. I ślepy duchowny dziękował Bogu, że znalazł w sobie jeszcze siły, aby w czymkolwiek pomóc swojej żonie. Jego żona, którą do 1928 roku wszyscy w mieście nazywali mateczką (w 1929 zaś przestali - kiedy prawie wszystkie cerkwie w miastach wysadzono w powietrze, a „zimny sobór”, w którym niegdyś modlił się Iwan Groźny, przekształcono w muzeum), jego żona była

kiedyś tak otyła, gruba, że jej własny syn, mający wtedy sześć lat, kaprysił i płakał, powtarzając: „ja nie chcę z tobą iść, ja się wstydzę, taka jesteś gruba!”. Od dawna nie była już taka gruba, ale otyłość, niezdrowa otyłość osoby chorej na serce pozostała w jej olbrzymim ciele. Ledwo chodziła po pokoju, z trudem przemieszczając się od pieca w kuchni do okna w pokoju. Z początku duchowny prosił, aby mu coś poczytała, ale żona nie miała czasu – w gospodarstwie pozostawało zawsze tysiące spraw do załatwienia, trzeba było ugotować jedzenie dla siebie i dla kóz. Do sklepów nie chodziła, niewielkie zakupy robiły dla niej sąsiedzkie dzieci, którym nalewała trochę koziego mleka lub wtykała w rękę landrynkę. Na przedpiecku rosyjskiego pieca stał kocioł – „sagan”, tak zwa to naczynie na Północy. Sagan miał odbity brzeg, odbity jeszcze w pierwszym roku małżeństwa. Kipiące poidło dla kóz przelewało się przez ten wyszczerbiony brzeg i ściekało na przedpieczek, a stamtąd skapywało na podłogę. Obok sagana stał garnek z kaszą – obiad dla popa i jego żony. Ludzie potrzebowali znacznie mniej od zwierząt. Ale i oni czegoś tam potrzebowali. Zajęć było właściwie niewiele, lecz kobieta zbyt wolno poruszała się po pokoju, trzymając się rękami mebli, i pod koniec dnia była tak zmęczona, że nie znajdowała w sobie sił na czytanie.

Zasypiała, a duchowny się złościł. On sypiał bardzo mało, chociaż przymuszał się, żeby spać, spać... Kiedyś jego syn, który przyjechał do domu na urlop, zmartwiony tym beznadziejnym stanem ojca, spytał w zdenerwowaniu:

- Tato, dlaczego ty ciągle śpisz, i dniem, i nocą? Dlaczego ty tak dużo śpisz?

- Głupiś - odpowiedział duchowny - przecież właśnie we śnie widzę.

I syn nie mógł zapomnieć tych słów aż do samej śmierci. Radio przeżywało swój dziecięcy wiek. Detektorowe odbiorniki skrzypiały u miłośników radia i nikt nie odważał się podłączyć przewodu uziemienia do kaloryfera czy aparatu telefonicznego. Duchowny wprowadził tylko słyszał o odbiornikach radiowych, ale czuł że jego dzieci, które wyleciały w świat, nie zdołają zebrać pieniędzy dla niego nawet na słuchawki. Ślepiec nie rozumiał dobrze, dlaczego musieli opuścić pokój, w którym przeżyli ponad trzydzieści lat. Żona coś mu tam szeptała swoimi bezzębnymi, ogromnymi i sepleniącymi ustami, coś niezrozumiałego w podnieceniu i złości. Nigdy nie powiedziała mu prawdy: o tym, jak milicjanci wynosili przez drzwi nieszczęsnego pokoju połamane krzesła, starą szafę, skrzynkę z fotografiami, dagerotypami, sagany i garnuszki oraz trochę książek - resztkę ogromnej kiedyś biblioteki, a także kufer w którym

przechowywany był złoty krzyż do noszenia na piersi, ostatnie, co im pozostało. Ślepiec nic nie zrozumiał. Odprowadzono go do nowego mieszkania, a on milczał, modląc się w duszy do Boga. Drące się kozy przeprowadzono na nowe miejsce, urządził je tam znajomy cieśla. W owym zamieszaniu jedna z kóz zaginęła, ta czwarta - Ira. Ci, co mieli teraz zamieszkać tam nad brzegiem rzeki - młody prokurator i jego żona modnisia - oczekiwali w Hotelu Centralnym na zawiadomienie, że mieszkanie jest już wolne. Do pokoju popa wprowadzono ślusarza wraz z rodziną, z mieszkania naprzeciwko, a dwa pokoje ślusarza przechodziły na użytek prokuratora. Miejski prokurator nigdy nie widział i później też nie zobaczył ani duchownego, ani ślusarza, na których miejscu, jeszcze „ciepłym” miejscu, miał zamieszkać. Duchowny i jego żona rzadko wspominali poprzednie mieszkanie dlatego, że był ślepy, a ona dlatego, że zbyt wiele nieszczęść musiała w tym mieszkaniu oglądać - więcej niżli radości. Pop nigdy nie dowiedział się że żona - dopóki mogła - piekła pierożki i sprzedawała na targu, cały czas pisała listy do znajomych i krewnych, prosząc o jakąś pomoc dla siebie i ślepego męża. I zdarzało się, że przychodziły pieniądze niewielkie, ale jednak można było za nie kupić siano i wytłoki, opłacić pastucha..

Kozy należało już dawno sprzedać – sprawiały tylko kłopot. Ale żona bała się nawet o tym myśleć – przecież to jedyne zajęcie ślepego męża. I pamiętając jakim żywym i energicznym człowiekiem był mąż do czasu owego strasznego kalectwa, nie znajdowała w sobie dość siły, aby zacząć z nim rozmowę o sprzedaży kóz. Wszystko zatem pozostawało bez zmian. Pisała również do dzieci, które dawno wyrosły i miały swoje rodziny, dzieci odpowiadały na jej listy – wszystkie miały własne kłopoty, własne dzieci; zresztą, nie wszystkie dzieci odpisywały. Starszy syn już dawno, jeszcze w latach dwudziestych, wyrzekł się ojca. Istniała wtedy taka moda wyrzekania się swoich rodziców, niemało znanych później pisarzy i poetów rozpoczęło swoją działalność literacką od tego rodzaju oświadczeń. Starszy syn nie był ani poetą, ani niegodziwcem. Całkiem po prostu obawiał się życia i kiedy zaczęto mu dokuczać w pracy rozmowami o „pochodzeniu społecznym”, skierował stosowne oświadczenie do gazety. Nie przyniosło mu ono korzyści i to Kainowe piętno niósł ze sobą aż do trumny. Córki duchownego powychodziły za mąż. Starsza mieszkała gdzieś na południu, nie rozporządzała w swojej rodzinie pieniędzmi, obawiając się męża, ale często pisała do domu łzawe, pełne udręki listy; a stara matka odpowiadała, płacząc nad jej listami i pocieszając ją.

Starsza córka co roku przysyłała matce paczkę zawierającą kilkadziesiąt kilogramów winogron. Paczka z południa szła długo, lecz matka nigdy nie napisała córce, że winogrona zawsze przychodzą zepsute - z całej paczki mogła wybrać zaledwie kilka jagód dla siebie i męża. Za każdym razem dziękowała, uniżenie dziękowała i wstydziła się poprosić o pieniądze. Druga córka była felczerką. Po wyjściu za mąż miała zamiar odkładać swą miżerną pensyjkę i przekazywać ją ślepemu ojcu. Jej mąż, pracownik związków zawodowych, pochwalił ten zamiar i przez trzy miesiące mogła przekazywać swoją „wypłatę” do rodzinnego domu. Ale po porodzie przestała pracować, krzątając się dniami i nocami przy swoich bliźniętach. W niedługim czasie okazało się, że mąż - ów pracownik związków zawodowych - to nałogowy pijak. Staczał się w swojej zawodowej karierze i po dwóch latach był już tylko zaopatrzeniowcem; ale i przy tej pracy nie mógł się długo utrzymać. Żona, pozostawszy z dwojgiem małych dzieci bez żadnych środków do życia, musiała ponownie podjąć pracę i borykała się, jak mogła, utrzymując za pensję siostry medycznej dwójkę dzieci i siebie. Jak więc mogła pomóc swej starej matce i ślepemu ojcu? Młodszy syn nie ożenił się. Jemu właśnie wypadałoby żyć wspólnie z ojcem i matką, ale on wolał próbować

szczęścia w pojedynkę. Po średnim bracie został spadek - myśliwska strzelba, prawie nowiutki bezkurkowy sauer - i ojciec kazał go matce sprzedać za dziewięćdziesiąt rubli. Za dwadzieścia uszyto dwie satynowe koszule-tołstojówki i młodszy syn pojechał do ciotki w Moskwie, gdzie najął się do pracy w fabryce. Posyłał do domu pieniądze, ale niewiele, po pięć, po dziesięć rubli miesięcznie. Wkrótce jednak, za udział w konspiracyjnym zebraniu, został aresztowany, zesłany i ślad po nim zaginął. Ślepy duchowny i jego żona wstawali zawsze o szóstej rano. Staruszka matka rozpalała w piecu, a ślepiec szedł doić kozy. Pieniądzy w ogóle już nie było, ale starej kobiecie udawało się czasem pożyczyć kilka rubli od sąsiadów. Cóż, kiedy trzeba je było oddawać, a nic nie pozostało do sprzedania - wszystko, co nadawało się do noszenia, wszystkie obrusy, bielizna, krzesła, wszystko już dawno zostało sprzedane lub wymienione na mąkę dla kóz i kaszę do zupy. Obydwie ślubne obrączki i srebrny łańcuszek na szyję zostały sprzedane jeszcze w zeszłym roku w „Torgsinie”. Tylko z okazji wielkich świąt gotowana była zupa na mięsie, a i cukier staruszkowie kupowali jedynie przy święcie. Chyba że zaszedł ktoś i wetknął cukierek lub bułkę - stara matka brała to wtedy, niosła do swego pokoju i wsuwała między suche, nerwowe,

bezustannie poruszające się palce męża. Śmiali się i całowali wzajemnie; stary duchowny całował zniekształcone przez ciężką domową pracę, popuchnięte, popękane i brudne palce żony. Stara kobieta płakała i całowała staruszką w głowę. Dziękowali sobie wzajemnie za całe dobro, którym obdarzyli się w życiu, i za to, co ofiarowywali sobie teraz. Każdego wieczoru duchowny stawał przed ikoną, gorąco się modlił i dziękował Bogu, że ma taką żonę. Bywało czasem, że nie stanął zwrócony twarzą do ikony, a wtedy żona spełzała z łóżka i objawszy jego ramiona, ustawiała go twarzą skierowaną na obraz Jezusa Chrystusa. A ślepy duchowny złościł się. Staruszka starała się nie myśleć o dniu jutrzejszym. Lecz oto nastąpił taki poranek, że nie było co dać jeść kozom, a ślepy duchowny obudził się i zaczął się odziewać, wymacując buty pod łóżkiem. Wtedy staruszka poczęła krzyczeć i płakać, jak gdyby to ona była winna temu, że nie ma już co jeść. Starzec wdział buty i usiadł na swoim połamanym, miękkim fotelu. Pozostałe meble zostały dawno sprzedane, ale ślepiec o tym nie wiedział - matka podarowała je jakoby córkom. Ślepy pop siedział, odchyliwszy się na oparcie fotela, i milczał. Na twarzy jego nie widać było zakłopotania. - Daj mi krzyż - powiedział, wyciągając obie ręce i poruszając palcami.

Żona pokuszyła do drzwi i założyła haczyk. Unieśli we dwójkę stół, wyszarpnęli spod niego kufer. Z drewnianego pudełka z nićmi żona duchownego wydostała kluczyk i otworzyła kufer. Był pełen rzeczy, ale co to były za rzeczy - dziecinne koszulki synów i córek, wiązki pożółkłych listów, które przed czterdziestu laty pisali do siebie, ślubne świece z drucianymi ozdobami (już dawno wykruszył się z nich wosk), kłębki różnokolorowej wełny, wiązki szmacianych skrawków na łaty. A na samym dnie dwie niewielkie skrzyneczki, w jakich bywają przechowywane ordery, zegarki lub kosztowności. Kobieta, prostując się, westchnęła ciężko i z godnością otworzyła skrzyneczkę, w której na nowiutkiej jeszcze, atłasowej poduszeczce leżał krzyż do noszenia na piersi - z maleńką rzeźbioną figurką Jezusa Chrystusa. Był czerwony, z dukatowego złota. Ślepy duchowny obmacał krzyż.

- Przynieś topór - powiedział cicho.

- Nie trzeba, nie trzeba - zaszeptała i objęła ślepcę, starając się zabrać krzyż z jego rąk.

Ale ślepy duchowny wyrwał krzyż ze zgrubiałych i opuchniętych palców swojej żony, boleśnie ją przy tym urażając.

- Przynieś - powiedział - przynieś!...
Czy w tym jest Bóg?

- Ale ja nie będę... Jeśli chcesz, to sam...

- Tak, tak, ja sam.

Na wpół oszalała z głodu żona popa pokuszyła do kuchni, gdzie zawsze leżał topór i suche polano na szczapki do rozpalaenia samowara. Przyniosła topór do pokoju, założyła haczyk i głośno, bez łez, poczęła lamentować.

- Nie patrz - powiedział ślepy duchowny, układając krzyż na podłodze.

Ale ona nie mogła, nie potrafiła nie patrzeć. Krzyż leżał figurką w dół. Ślepiec namacał krzyż i zamachnął się toporem. Uderzył, a krzyż odskoczył po podłodze, z lekka podzwaniając. Duchowny chybił. Namacał go ponownie, położył znowu tam, gdzie przedtem, i unióśł topór. Tym razem krzyż wygiął się tak, że udało się palcami odłamać kawałek. Żelazo było twardsze od złota; okazało się, że wcale nietrudno porąbać krzyż. Żona popa już nie płakała i nie lamentowała, jak gdyby krzyż porąbany na kawałki przestał być czymś świętym, a stał się całkiem po prostu tylko cennym metalem, czymś na kształt złotego samorodka. Spiesznie i jednocześnie bardzo wolno zawijała kawałki krzyża w szmatki, wkładając je z powrotem do skrzynki na ordery. Nałożywszy okulary, uważnie obejrzała ostrze topora, czy nie zostały na nim okruszynki złota. Kiedy już wszystko zostało schowane i kufer postawiony na miejscu, duchowny wdział

swój brezentowy płaszcz, nałożył czapkę, wziął szkopek i poszedł wzdłuż położonej na podwórzu deski doić kozy. Spóźnił się z dojeniem. Był już pełny dzień i sklepy dawno zostały otwarte. Sklepy „Torgsinu”, gdzie sprzedawali produkty spożywcze za złoto, otwierano o dziesiątej rano.

PIERWSZY CZEKISTA

Tracą barwę ciemnobłękitne oczy. Chabrowe w dzieciństwie, przemieniają się wraz z mijającymi latami w brudnomętne oczka filistra; lub też szklane macki śledczych i strażników; albo w „stalowe” oczy żołnierzy. Tych odcieni bywa wiele. I bardzo rzadko oczy zachowują barwę dzieciństwa. Splot więziennych krat rozdzielił czerwony pęk promieni słonecznych na kilka mniejszych; gdzieś pośrodku celi zlewały się one w jeden ciągły, czerwonozłoty strumień światła. W tej świetlnej strudze złocił się gąszcz drobinek pyłu, a muchy, znalazłszy się w niej, same stawały się złote jak słońce. Promienie zachodu biły wprost w drzwi okute błyszczącym żelazem. Brzęknął zamek - był to dźwięk słyszany w więziennej celi przez każdego aresztanta, śpiącego czy na jawie - w każdej chwili. Nie ma takiej rozmowy w celi, która mogłaby zagłuszyć ten dźwięk. Nie ma takiego snu w celi, który uwolniłby aresztanta od

tego dźwięku. Nie ma takiej myśli, która mogłaby... Nikt nie zdoła tak się skupić na niczym, by móc przegapić ten dźwięk, nie usłyszeć go. Każdemu zamiera serce, gdy słyszy stuk zamka - przeznaczenie pukające do drzwi celi, do serc, umysłów i duszy. Ten dźwięk każdego napełnia obawą. I nie można go pomylić z żadnym innym. Brzęknął zamek, drzwi się otworzyły i potok promieni wyrwał się z celi. Widać było przez otwarte drzwi, jak przebiegły one korytarz, uderzyły w jego okna, przeleciały przez więzienny podwórzec i roziły się na szybach drugiego więziennego bloku. Zdażyło to spostrzec sześćdziesięciu mieszkańców celi przez ten krótki moment, gdy drzwi były otwarte. Zamykając się, wydały one dźwięk podobny do tego, z jakim zatraskuje się wieko starych kufrów. I od razu wszyscy aresztanci - śledzący ten przerzut strumienia światła, jakby to była żywa istota, ich towarzysz i brat - pojęli, że słońce zamknięto wraz z nimi. Wtedy dopiero wszyscy zobaczyli, że przy drzwiach, mrużąc od ostrego światła i chwytając na swą szeroką czarną pierś uderzenie promieni wchodzącego światła, stoi człowiek. Niemłody, wysoki i barczysty, z głową całą pokrytą jasnymi włosami. Dopiero przyjrząwszy się bliżej, można było pojąć, że to już od dawna siwizna rozjaśniała jego złote włosy. Pełna zmarszczek, podobna do plastycznej mapy

geograficznej twarz pokryta była mnóstwem głębokich śladów po ospie, przypominających księżycowe kratery. Człowiek odziany był w czarną, sukienną, wojskową bluzę bez pasa, rozpiętą na piersiach, w czarne sukienne spodnie galife, w długie buty. W rękach miętosił czarny wojskowy płaszcz, porządnie już przetarty. Ubranie jakoś tam się trzymało - wszystkie guziki zostały odprute.

- Aleksiejew - powiedział cicho, skierowując dużą, owłosioną kiść ręki dłonią ku swej piersi - Witajcie... Ale już szli ku niemu, ośmielając go nerwowym aresztanckim śmiechem, poklepywali po ramionach, ściskali ręce. Już zbliżał się starosta celi, wybrana władza, aby wskazać nowemu miejsce.

- Gawryił Aleksiejew - powtarzał niedźwiedziowaty człowiek. I ponownie: - Gawryił Timofiejewicz Aleksiejew... Czarny człowiek odsunął się w bok i promień słońca nie przeszkadzał już widzieć oczu Aleksiejewa - dużych, chabrowych, dziecinnych oczu. Cela szybko dowiedziała się o szczegółach życia Aleksiejewa - naczelnika straży pożarnej narofomińskiej fabryki - stąd jego czarne, urzędowego kroju ubranie. Tak, członek partii od 1917 roku. Tak, jako żołnierz-artyleryzista brał udział w październikowych walkach w Moskwie. Tak, usunięty z partii w dwudziestym siódmym roku. Potem przywrócony w prawach

członka. I ponownie usunięty – przed tygodniem. Będąc aresztowanymi, ludzie różnie się zachowują. U jednych przełamanie bariery nieufności to trudna sprawa. Powoli, dzień po dniu przywykają oni do swojego losu, zaczynają coś niecoś rozumieć. Aleksiejew był inny. Tak jakby przez wiele lat milczał i dopiero areszt, więzienna cela, przywróciły mu dar mowy. Znalazł tu możliwość tego co najważniejsze – rozeznania własnego losu i zrozumienia dlaczego... Znalezienia odpowiedzi na ogromne, gigantyczne „dlaczego”, co nawisło nad jego życiem i przeznaczeniem, i nie tylko nad nim, lecz nad setkami tysięcy innych. Aleksiejew liczył na uniewinnienie, nie pytając, lecz starając się po prostu zrozumieć, porównać, rozeznąć. Od rana do wieczora chodził tam i z powrotem po celi, ogromny, podobny do niedźwiedzia, w czarnej wojskowej bluzie bez pasa, objawszy kogokolwiek swoim ogromnym łapskiem, i rozpytywał, rozpytywał, rozpytywał... Albo opowiadał.

- Za cóż ciebie usunęli, Gawriusza...

- No, rozumiesz, tak. Były to zajęcia kółka politycznego. Temat - „Październik w Moskwie”. A przecież ja jestem żołnierzem Murałowa, artylerzysta, miałem dwie rany. Osobiście nakierowywałem działa na junkrów, było to przy Nikitskich Wrotach. Mówi do mnie wykładowca na zajęciach: „kto dowodził

wojskami sowieckiej władzy w Moskwie w czasie przewrotu?". Ja mówię - Murałow, Mikołaj Iwanowicz. Dobrze go znałem, osobiście. Jakże inaczej powiem? Co powiem?

- To było prowokacyjne pytanie, Gawriło Timofiejewiczu. Przecież wiedziałeś, że Murałowa ogłoszono wrogiem ludu?

- No, ale jak inaczej powiesz? Przecież ja to wiem nie z ich politycznych nauk. Też nocy zostałem aresztowany.

- A jak trafiłeś do Narofomińska? Do straży pożarnej?

- Dużo piłem. Zdemobilizowano mnie z Czeki jeszcze w osiemnastym roku. A tam właśnie skierował mnie Murałow. Jako nadzwyczaj pewnego... No i tam zaczęła się moja choroba.

- Jaka choroba, Gawriusza..? Ty, taki zdrowy niedźwiedź?

- Jeszcze zobaczycie. Ja sam nawet nie wiem, jaką to mam chorobę. Nie potrafię zapamiętać. Nie pamiętam, co się ze mną dzieje. A coś się jednak dzieje. Pojawia się niepokój, złość, i przychodzi ona...

- To od wódki?

- Nie, nie od wódki... Od życia. Wódka swoją drogą.

- A gdyby tak uczyć się..? Były po temu wszystkie możliwości.

- Jak jednak mogłem się uczyć. Dla jednych nauka, a dla innych obrona tego uczenia się. Co, nieładnie mówię rodaku? A potem nadeszły te lata - przecież nie do rabfaku trzeba było iść. Pozostał

tylko ten przeklęty WOCHR. I wódka. I Ona.

- A dzieci masz?

- Była córka, od pierwszej żony. Odeszła ode mnie. Żyję teraz z jedną tkaczką. No, a mój areszt uczynił ją półżywą ze strachu. Jeżeli jej nie przerazi na śmierć. A dla mnie areszt - od razu zrobiło się lekko. O niczym nie trzeba myśleć. Wszystko zadecyduje się poza mną. Beze mnie pomyślą. Jakże dalej żyć Gawriuszy Aleksiejewowi?

Niewiele dni minęło, wszystkiego kilka dni. Przyszła Ona. Aleksiejew krzyknął żałościwie, rozrzucił ręce i runął na wznak na nary. Twarz jego poszarzała, a z jego posiniałych, bezwładnych warg ściekała przepełniona pęcherzykami piana. Na szarych policzkach i uwłosionych piersiach wystąpił zimny pot. Sąsiedzi z nar uchwycili za ręce i zwalili się na nogi Aleksiejewa. Ciało jego drgało, silnie wstrząsane. „Chrońcie mu głowę, głowę”, ktoś podsunął mu czarny szynel pod spoconą głowę ze zwichrzonymi włosami. Przyszła Ona. Atak padaczki trwał długo. Potężne kłęby mięśni wciąż się napinały, pięści kogoś biły, a niezręczne palce sąsiadów starały się rozginać te mocarne kułaki. Nogi gdzieś tam biegły, ale ciężar kilku ludzi utrzymywał Aleksiejewa na narach. W końcu mięśnie zwiotczały i palce się rozgięły. Aleksiejew spał. Przez cały czas dyżurny

celi stukał do drzwi, zaciekle wzywając lekarza. Przecież powinien być jakiś lekarz w Butyrkach. Jakiś Fiodor Pietrowicz Gaas. Lub całkiem po prostu wojskowy lekarz jakiegoś tam stopnia, porucznik służby medycznej. Okazało się, że to nie takie proste wezwać lekarza, ale w końcu lekarz przyszedł. Pojawił się w lekarskim fartuchu, założonym na mundur oficera, w towarzystwie dwu krzepkich pomocników, wyglądających na felczerów. Lekarz wlaź na nary i zbadał Aleksiejewa. Atak już minął i Aleksiejew spał. Nie mówiąc ani słowa ani nie odpowiadając na żadne z pytań, którymi go zasypali aresztanci, lekarz odszedł. W ślad za nim odeszli jego milczący pomocnicy. Zadzwieczyła zamek, powodując wybuch oburzenia. I dopiero kiedy pierwsze podniecenie opadło, otworzyło się „okienko” w więziennych drzwiach i dyżurny nadzorca rzekł: „lekarz powiedział - nic nie trzeba robić. To epilepsja. Zwracajcie uwagę, aby język się nie zapadał... Jeśli nastąpi kolejny atak - nie trzeba wzywać. Na tę chorobę nie ma lekarstwa”. Tak więc cela nie wzywała już więcej lekarza do Aleksiejewa. A ataków epilepsji miał on jeszcze bardzo wiele. Po atakach Aleksiejew leżał, skarżąc się na ból głowy. Mijał jeden czy dwa dni i znów wypełzała ogromna, podobna do niedźwiedzia postać w czarnej, sukiennej,

wojskowej bluzie, w czarnych sukienkach spodniach, galife i chodziła, chodziła po cementowej podłodze celi. Znow błyskały ciemno-błękitne oczy. Po dwu więziennych dezynfekcjach - „przepakach” czarne sukno odzieży Aleksiejewa stało się bure i nie wydawało się już tak czarne. A Aleksiejew wciąż chodził, chodził - prostodusznie opowiadał o swoim minionym życiu, o życiu przed chorobą, spiesząc się wyłożyć swojemu rozmówcy to, co jeszcze nie zostało powiedziane w tej celi.

- Teraz, jak mówią, są specjaliści wykonawcy. A wiesz jak u Dzierżyńskiego była postawiona sprawa?

- Jak?

- Jeżeli Kolegium orzeka najwyższy wymiar, to wyrok powinien wykonać ten sam śledczy, który prowadził sprawę, ten, który ją referował i żądał takiej kary. Żadasz kary śmierci dla tego człowieka? Jesteś przekonany o jego winie, pewien, że jest on wrogiem i winien jest śmierci? Zabij go własnoręcznie. To bardzo wielka różnica - czy podpisać papierek potwierdzający wyrok, czy zabić samemu. Oprócz tego każdy śledczy powinien był sam znaleźć czas i miejsce dla tych swoich spraw... Różnie bywało. Jedni w gabinecie, drudzy na korytarzu, inni w jakiejś piwnicy. Wszystko to przy Dzierżyńskim śledczy sam przygotowywał... Tysiąc razy

pomyślisz, zanim poczniesz prosić o karę śmierci dla człowieka...

- Gawriusza, a widziałeś rozstrzeliwania?

- No, widziałem. Kto ich nie widział?

- A czy to prawda, że ten, kogo rozstrzelują, pada na twarz do przodu?

- Tak, to prawda. Gdy patrzy na ciebie.

- A jeśli strzelać z tyłu...

- Wtedy upadnie na wznak.

- A czy tobie przydarzali się... tak...

- Nie, ja nie byłem śledczym. Przecież nie mam wykształcenia. Po prostu byłem w oddziale. Zwalczałem bandytyzm i tak dalej. Ale zachorowałem na to i zdemobilizowali mnie. Jako epileptyka. No i zacząłem popijać. Co także, jak mówią, nie sprzyja wyzdrowieniu.

Więzienie nie lubi spryciarzy. W celi każdy przez dwadzieścia cztery godziny jest u wszystkich na oczach. Człowiekowi nie starczy sił, aby w celi więzienia śledczego skryć swój charakter, udawać, że jest kimś innym w ciągu tych minut, godzin, dób, tygodni, miesięcy napięcia i nerwów - kiedy wszystko, co zbędne, na pokaz, zlatuje z ludzi jak łuska. I pozostaje prawda - nie ta, którą stworzyło więzienie, ale ta przez więzienie sprawdzona i wypróbowana. Wola jeszcze niezłamana, niezmiądzona, jak to nieuchronnie bywa w łagrze. Ale kto wtedy myślał o łagrze, o tym, co to jest. Być może niektórzy wiedzieli i chętnie opowiedzieliby o łagrze, uprzedzili nowicjusza. Człowiek jednak

wierzy w to, w co chce wierzyć. Oto siedzi czarnobrody Weber, śląski komunista, kominternowiec, którego przywieźli z Kołymy na dodatkowe śledztwo. On wie, co to łagier. A oto Aleksander Grigorjewicz Andriejew, dawny sekretarz generalny towarzystwa katorżan-więźniów politycznych, pravicowy eser, znający zarówno carską katorgę, jak i sowieckie zesłanie, Andriejew, ten zna pewną prawdę nieznaną większości. Nie wolno o niej powiedzieć. Nie dlatego, że to sekret, lecz dlatego, że w nią nie można uwierzyć. Dlatego Weber i Andriejew milczą. Więzienie – to więzienie. Więzienie śledcze – jest więzieniem śledczym. Każdy ma swoją sprawę, własną walkę, własny sposób bycia, którego nie podpowiesz, własny obowiązek, własny charakter, swoją duszę, swój zapas sił duchowych, swoje doświadczenie. Wartości ludzkie zostają poddane próbie nie tylko w samej więziennej celi czy poza jej ścianami, w jakimś gabinecie śledczego. Ten los, uzależniony jak gdyby od łańcucha przypadkowości, najczęściej jednak wcale od nich nie zależy. Nawet śledcze więzienie – nie tylko doraźne – lubi ludzi prostodusznych, otwartych. Do Aleksiejewa cela odnosiła się życzliwie. Czy lubiła go? Czy można kogoś lubić w celi śledczej? Przecież to śledztwo, punkt przesyłowy, tranzytka. Do Aleksiejewa cela odnosiła się życzliwie.

Mijały tygodnie, miesiące i wciąż Aleksiejewa nie wywoływano na przesłuchanie. A Aleksiejew wciąż chodził, chodził. Wśród śledczych istnieją dwie szkoły. Według pierwszej należy aresztowanego natychmiast oszołomić, ogłuszyć. Szkoła ta buduje swoje powodzenie na szybkim ataku psychologicznym, nacisku, stłamszeniu woli znajdującego się pod śledztwem aresztanta, dopóki ten się nie pozbierał, nie rozęjrzał, nie zebrał się wewnątrz. Sędziowie śledczy należący do tej szkoły rozpoczynają przesłuchania w noc aresztu, wielogodzinne, pełne wszystkich możliwych pogroźek. Druga szkoła uważa, że jedynie cela więzienna wymęczy, osłabi wolę sprzeciwu u aresztanta. Czym dłużej pobędzie aresztant w celi śledczej przed spotkaniem z prowadzącym śledztwo, tym jest to dla śledczego dogodniejsze. Aresztowany przygotowuje się do przesłuchania, pierwszego w jego życiu, pełen napięcia. A przesłuchania nie ma! Nie ma go tydzień, miesiąc, dwa miesiące. Całą pracę mającą na celu zgniębienie psychiki aresztanta wykonuje za śledczego więzienna cela. Nie wiadomo, jak jedna i druga szkoła wykorzystuje tak efektywne narzędzie pracy jak tortury. Opowiadanie to dotyczy początku trzydziestego siódmego roku, a stosowanie tortur rozpoczęto w drugiej połowie tego roku. Śledczy

Gawryiła Timofiejewicza Aleksiejewa należał do drugiej grupy. Pod koniec trzeciego miesiąca Aleksiejewskiego chodzenia po celi przybiegła dziewczyna w wojskowej bluzie i wywołała Aleksiejewa - „według inicjałów”, ale „bez rzeczy” - a więc na przesłuchanie. Aleksiejew przygładził swoje jasne kędziory własnym łapskiem - i poprawiwszy swoją wyszarzałą bluzę, przekroczył próg celi. Z przesłuchania powrócił szybko. A więc przesłuchiowano go w specjalnym korpusie więzienia, przeznaczonym na przesłuchania, nigdzie nie wożąc. Aleksiejew był zdziwiony, przygnębiony, porażony, wstrząśnięty i przestraszony.

- Czy coś się stało, Gawryile Timofiejewiczu?

- Tak, stało się. Coś nowego na przesłuchaniu. Oskarżają mnie o spisek przeciwko rządowi.

- Spokojnie, Gawriusza... W tej celi wszystkich oskarżają o spisek przeciwko rządowi.

- Mówią, że chciałem zabić.

- I tak też często bywa. A o co ciebie przedtem oskarżali?

- A w Narofomińsku, po aresztowaniu. Byłem naczelnikiem straży pożarnej w fabryce włókienniczej. Czyli że niewysokie stanowisko.

- Tutaj nie zwracają uwagi na stopnie, Gawriusza.

- No i pytali wtedy o zajęcia kółka politycznego. Kto chwalił Murałowa. A ja przecież byłem u niego w oddziale w Moskwie. Ja powiem... A teraz nagle wcale nie było mowy o Murałowie.

Ślady po ospie i zmarszczki wystąpiły wyraźniej. Aleksiejew uśmiechał się tak jakoś specjalnie spokojnie i jednocześnie niepewnie, a jego ciemnobłękitne oczy rozpalały się coraz rzadziej. Ale dziwna sprawa - ataki epilepsji stały się rzadsze. Bliskie niebezpieczeństwo, konieczność walki o życie tak jakby odsunęły na bok te ataki.

- Co robić, oni mnie wykończą.

- Nic nie trzeba robić. Mów tylko prawdę. Zeznawaj prawdę, dopóki masz siłę.

- To myślisz, że nic się nie stanie?

- Na odwrót, obowiązkowo coś tam się stanie. Bez tego stąd nie wypuszczają, Gawriusza. A rozstrzał to nie to samo, co dziesięć lat wyroku. A dziesięć lat to nie pięć.

- Zrozumiałem.

Gawryił Timofiejewicz zaczął częściej śpiewać. A śpiewał cudownie. Takim czystym, jasnym tenorem. Śpiewał cicho w kąciaku oddalonym od „judasza”.

Jaka piękna była ta niebieska nocka,
Jak łagodnie świecił blado lity księżyc..

Ale częściej, coraz częściej inna:

Otwórzcie mi okno, otwórzcie,

Niedługo mi zostało żyć.

Na wolność, na wolność mnie puśćcie,

By miłość i ból mógł się zbyć.

Aleksiejew przerywał pieśń, zrywał się i chodził, chodził...Bardzo często się kłócił. Więziennne życie w śledztwie sprzyja powstawaniu kłótni. Trzeba o tym wiedzieć, rozumieć, cały czas trzymać się w ryzach albo umieć się oderwać... Gawryił Aleksiejew nie znał tych więziennych subtelności i pchał się do kłótni, do awantury. Ten coś tam powiedział Aleksiejewowi nie tak, tamten obraził Murałowa. Murałow był bogiem Aleksiejewa. Był to bóg jego młodości, bóg jego całego życia. Kiedy Wasia Zaworonkow, maszynista z parowozowni sawiełowskiej coś tam powiedział o Murałowie w stylu ostatnich partyjnych podręczników, Aleksiejew rzucił się na niego, chwycił miedziany czajnik, w którym rozdawano w celi wrzątek. Czajnik ten, pozostały w butyrskim więzieniu jeszcze z carskich czasów - to ogromny miedziany cylinder. Wyczyszczony cegłą połyskiwał jak zachodzące słońce. Przynoszono ten czajnik na drażu, a nasi dyżurni musieli go trzymać we dwóch, gdy rozlewali ten wrzątek. Siłacz, herkules Aleksiejew śmiało uchwycił rączkę czajnika, ale nie mógł go ruszyć z miejsca. Czajnik był napełniony wodą - do kolacji, kiedy go zabierano, było jeszcze daleko. I tak wszystko skończyło

się na śmiechu, chociaż Wasia Zaworonkow zbladł i przygotował się na uderzenie. Wasia Zaworonkow był prawie z tej samej sprawy co Gawryił Timofiejewicz. Jego również aresztowali po zajęciach kółka politycznego. Prowadzący zajęcia zapytał go: „co byś zrobił, Zaworonkow, gdyby władza sowiecka nagle przestała istnieć?”. Prostuduszny Żaworonkow opowiedział: „jak to co? Pracowałem jako maszynista w parowozowni, tak jak teraz. Ja mam czworo dzieci”. Następnego dnia Zaworonkow został aresztowany i śledztwo już ukończono - maszynista czekał na wyrok. Sprawa była podobna i Gawryił Aleksiejew radził się Zaworonkowi - byli przyjaciółmi. Ale kiedy okoliczności sprawy Aleksiejewa zmieniły się - zaczęto go oskarżać o spisek przeciwko rządowi - tchórzliwy Zaworonkow odsunął się od przyjaciela. I nie omieszkał wstawić uwagi na temat Murałowa. Ledwie uspokoiono Aleksiejewa po tym na wpeł komicznym starciu z Zaworonkowem, gdy wybuchła nowa kłótnia. Aleksiejew ponownie przezwiał kogoś chytrusem. Znowu Aleksiejewa odciągali od kogoś. Już cała cela rozumiała i widziała: już wnet powinna przyjść Ona. Koledzy chodzili za Aleksiejewem, wzięwszy go pod rękę, gotowi w każdej sekundzie uchwycić je, złapać za nogi, podtrzymać głowę. Ale Aleksiejew nagle wyrwał się, wyskoczył na parapet okienny,

wczepił się obu rękami w więzienną kratę i wstrząsał nią, wstrząsał, klnąc i wrzeszcząc. Czarne ciało Aleksiejewa zawisło na kracie jak ogromny, czarny krzyż. Aresztanci odrywali od krat palce Aleksiejewa, rozginali jego dłonie, spieszyli się, bo strażnik na wieżycze już spostrzegł krzątanicę przy otwartym oknie. I wtedy Aleksander Grigorjewicz Andriejew, sekretarz generalny związku katorżan-więźniów politycznych, rzekł, wskazując na czarne, splezające z kraty ciało:

- Pierwszy czekista...

Ale w głosie Andriejewa nie było złośliwej satysfakcji.

WEISMANISTA

Na ziemi, u progu laboratorium widniały świeże ślady niedźwiedzich pazurów. Zameczek, zmyślny śrubowy zameczek, na który zamykano drzwi, walał się w krzakach wyrwany razem ze skoblem, całkiem po prostu - z „mięsem"...Wewnątrz butelki, flakoniki, słoiki zmiecione zostały z półek na ziemię i zamienione w szklaną kaszę. W domku utrzymywał się ostry zapach kropli walerianowych. Zeszyty z felcherskich kursów, na których uczył się Andriejew, porwane były w strzępy. Przez kilka godzin zbierał z trudem, kartkę po kartce, swoje drogocenne notatki - przecież na tych kursach nie było

żadnych podręczników. Do walki z chorobami w głębokiej tajdze felczer Andriejew uzbrojony był tylko w te notatki. Jeden z zeszytów ucierpiał bardziej niż inne: zeszyt z anatomii i jego pierwsza strona, gdzie nie przyuczoną do rysowania ręką Andriejewa przedstawiony został schemat podziału komórki, elementy jej jądra, tajemnicze chromosomy. Niedźwiedzie pazury znęcały się tak wściekle nad tym rysunkiem, nad tym zeszytem z celuloidową okładką, że trzeba było rzucić go do pieca, do żelaznego piecyka. Strata była nie do powetowania. Był to cykl wykładów profesora Umańskiego. Kursy felczerów prowadzone były przy szpitalu dla więźniów, a Umanski był anatomopatologiem, prosektorem prowadzącym kostnicę. Anatomopatolog - to jakby zza grobu prowadzona kontrola pracy lekarzy. W czasie sekcji, otwarcia ciała, rozkrojenia trupa, sądzi się o słuszności diagnozy, o prawidłowości leczenia. Ale kostnica dla więźniów - to specjalna kostnica. Zdawałoby się, że wielka demokratka, śmierć, nie powinna interesować się tym, kto leży na stole sekcyjnym kostnicy, nie powinna w różnych językach rozmawiać z trupami. Leczenie chorego więźnia, a do tego jeszcze przez lekarza-więźnia, to nie takie proste, jeżeli ten lekarz nie jest nikczemnikiem. W szpitalu i w kostnicy dla więźniów wszystko odbywa się według

tęgo samego schematu, do którego należy się stosować w każdym szpitalu na świecie. Ale proporcje są przesunięte - i „historia choroby” więźnia to co innego niż „historia choroby” wolnego. Rzecz nie tylko w tym, że przedstawiciel śmierci - anatomopatolog, sam jest żywym jeszcze człowiekiem ze swoimi namiętnościami, urazami, zaletami i wadami - człowiekiem o różnym doświadczeniu. Tu chodzi o coś więcej, gdyż oficjalna suchość protokołu sekcji nie wystarcza ani dla potrzeb życia, ani śmierci. Jeżeli chory umierał, mając postawioną diagnozę raka, a w czasie sekcji nie znaleziono tej złośliwej opuchliny - gdyż było to głębokie, zapuszczone wycięczenie - Umański oburzał się i nie przebaczał lekarzom, którzy nie potrafili uratować chorego od śmierci wywołanej głodem. Ale jeżeli widać było, że lekarz rozumie, o co chodzi, i nie mając prawa postawienia diagnozy w postaci „dystrofii alimentarnej”, szuka gorączkowo synonimów (głód upostaciowany awitaminozami, poliawitaminoza, szkorbut, pelagra, nazw tych cały legion), Umański wspierał wtedy lekarza swoim pewnym osądem. A nawet więcej. Jeżeli lekarz chciał ograniczyć się do pełni respektowanej diagnozy w postaci pogrypowego zapalenia płuc albo niewydolności serca, to wskazujący palec anatomopatologa zwracał uwagę lekarzy na

łagrową osobliwość każdej choroby. Lekarskie sumienie Umańskiego również było skrzępowane, skute. Pierwsza oficjalna diagnoza - „dystrofia alimentarna”, postawiona została po wojnie, po blokadzie leningradzkiej, kiedy głód w łagrach doczekał się właściwej nazwy. Anatomopatolog powinien być sędzią, a Umański był współsprawcą... Właśnie dlatego był sędzią, że mógł być współsprawcą. Jakkolwiek by był związany instrukcją, nakazem, objaśnieniami, Umański patrzył głębiej, dalej, bardziej zasadniczo. Swoje obowiązki upatrywał nie w tym, żeby przyłapywać lekarzy na drobiazgach, na drobnych błędach, lecz w tym, żeby widzieć i wskazywać innym - to wielkie, co kryło się za tymi drobiazgami, to „tło” utworzone przez głodowe wycieńczenie, zmieniające obraz choroby, którą lekarz studiował z podręczników. Podręcznik chorób więźniów nie był jeszcze napisany. Nigdy nie został napisany. Odmrożenia w łagrze są czymś szokującym dla frontowych lekarzy przybyłych z „kontynentu”. Leczenie złamań prowadzi się wbrew woli chorych. Po to, aby trafić na oddział chorych na gruźlicę, chorzy wiozą ze sobą cudzą plwocinę i przed analizą, przy przyjęciu do szpitala, biorą do ust jawnie „bakteryjną” truciznę. Chorzy dodają do moczu krew z własnego rozdrapanego palca, aby trafić do szpitala, aby chociaż na dzień, na godzin wyzwolić się

od tego, co najstraszniejsze dla pozbawionych wolności - zabójczej i poniżającej pracy. Umański, podobnie jak i wszyscy starzy kołymianie-lekarze, wiedział o tym, uznawał i wybaczał. Podręcznik chorób więźniów nie był jeszcze napisany. Wykształcenie medyczne Umański zdobył w Brukseli, a w czasie rewolucji powrócił do Rosji, leczył... W łagrze zrozumiał, że dla spokoju sumienia lepiej jest ciąć martwych, niż leczyć żywych. Umański został prowadzącym kostnicę anatomopatologiem. Siedemdziesięcioletni, wcale jeszcze nie niedołężny staruszek, z rozchwianymi obu szczękami, ze srebrzystą, krótko, po aresztancku ostrzyżoną głową, kpiarz o zadartym nosie wszedł do klasy. Wykład jego miał dla uczestników kursu specjalne znaczenie. Nie dlatego, że był to pierwszy wykład, lecz dlatego, że od teraz, od pierwszego wypowiedzianego przez profesora Umańskiego słowa, rozpoczynało się życie kursu, jawnie i na serio, wbrew temu, że mogło się to wydać bajką. Minał czas obaw. Decyzja o otwarciu kursów została podjęta. Dla wielu skończy się wyniszczająca praca w złotych wyrobiskach, codzienna walka o życie. Nauka rozpoczęła się cyklem wykładów profesora Umańskiego: „anatomia i fizjologia człowieka”. Srebrnowłosego staruszka w rozpiętym półkożusku, czarnym i znoszonym - nie w watowanym buszłacie, jak myśmy chodzili, a w

półkożuszku - podszedł do tablicy i ujął swoją ręką ogromny kawał kredy. Pomiętą czapkę-uszankę profesor rzucił na stół - był kwiecień, jeszczebyło chłodno.

- Swoje wykłady rozpocznę opowieścią o budowie komórki. Obecnie wiele jest sporów w nauce...

Gdzie? Jakie spory? Uprzednie życie wszystkich tych trzydziestu ludzi - od sędziego śledczego do sprzedawcy z wiejskiego sklepu - było bardzo dalekie od życia jakiegokolwiek nauki. Uprzednie życie uczestników kursu było bardziej oddalone od teraźniejszego, niż życie pozagrobowe - każdy był tego pewien... Co oni mieli do tego, że istnieją jakieś tanie spory w jakiejś tam nauce. A przy tym, co to za nauka - anatomia? Fizjologia, biologia, mikrobiologia? W tym dniu żaden z uczestników kursu nie potrafiłby powiedzieć, co to takiego „biologia”. Ci zaś z nich, bardziej wykształceni, zbyt długo głodowali, aby zachować zainteresowanie sporami w jakiejś tam nauce...

- ...wiele jest sporów w nauce. Dziś przyjęło się wyklądać tę część tematyki kursu inaczej, ale przedstawiam ją tak, jak uważam za słusne. Dogadałem się z waszą administracją, że ten rozdział przedstawię po mojemu.

Andriejew spróbował wyobrazić sobie tę administrację, z którą dogadał się brukselski profesor: naczelnika szpitala, który ostrym spojrzeniem

strażnika przeszywał każdego kursanta podczas egzaminu wstępnego, albo pachnącego spirytusem, jakającego się, o czerwonym nosie, pełniącego obowiązki naczelnika wydziału zdrowia. Poza tym żadnej wyższej administracji Andriejew nie potrafił sobie ani wyobrazić, ani wymyśleć.

- ...ten rozdział przedstawię po swojemu.

I nie chcę ukrywać przed wami swoich poglądów.

- Ukrywać swoich poglądów - szeptem powtórzył Andriejew, zachwycony tymi niezwykłymi słowami z niezwykłej nauki.

- ...nie chcę ukrywać swoich poglądów. Ja jestem weismanista, moi drodzy...

Umański zrobił pauzę, żebyśmy mogli docenić jego śmiałość i delikatność.

Weismanista? Kursantom było to obojętne.

Nikt spośród trzydziestu ludzi nie wiedział i nigdy się nie dowiedział, co to takiego mitozą i co to takiego nukleoproteidowe nici - chromosomy, zawierające kwas dezoksyrybonukleinowy.

Nie interesowała się również dezoksyrybonukleinowym kwasem

administracja szpitala. Ale minął rok czy dwa i życie społeczne zaczęły

przecinać we wszystkich kierunkach ciemne promienie biologicznej dyskusji i

słowo „weismanista” stało się dostatecznie jasnym pojęciem dla sędziów

śledczych ze średnim wykształceniem prawniczym i dla zwykłych ludzi,

wystawionych na burze politycznych

represji. „Mendlista-weismanista” -
zadźwiewało groźnie, zadźwiewało
złowrogo, tak jak dobrze znane -
„trockista” i „kosmopolita”. Wtedy
właśnie, gdy minał rok biologicznej
„dyskusji”, Andriejew wspominał i
doceniał śmiałość i delikatność
staruszka Umańskiego. Trzydzieści
ołówków w trzydziestu zeszytach rysowało
wyobrażone przez siebie chromosomy. Ten
właśnie zeszyt z chromosomami wywołał
taką specjalną wściekłość niedźwiedzia.
Ale nie tylko dzięki tajemniczym
chromosomom, nie tylko z powodu
wrozumiałe prowadzonych i mądrych
sekcji utkwiał Umański w pamięci
Andriejewa. Pod koniec kursu, gdy
medyczni rekruci czuli już na sobie
biały felczerski fartuch oddzielający
ich od zwykłych śmiertelników, Umański
wystąpił z dziwnym oświadczeniem.

- Nie będę prowadzić wykładu o anatomii
organów płciowych. Dogadałem się z waszą
administracją. Poprzednie grupy miały
ten wykład i nic dobrego z tego nie
wyszło. Lepiej poświęcę te godziny na
praktykę terapeutyczną - przynajmniej
bańki nauczycie się stawiać.

Tak więc kursanci otrzymali dyplomy, nie
przechodząc ważnego rozdziału anatomii.
Ale czyż tylko tego nie znali przyszli
felczerzy? Jakieś dwa miesiące po
rozpoczęciu kursu, kiedy udało się
powstrzymać bezustanne ssanie głodu,
zwalczyć go, zagłuszyć, i Andriejew nie

rzucał się już na każdy niedopałek, który spostrzegł na drodze, ulicy, na ziemi, na podłodze, a na jego twarzy poczęły się pojawiać jakieś nowe - a może stare? - ludzkie rysy, i samo spojrzenie, nie tylko oczy, stało się bardziej ludzkie, Andriejew został zaproszony do profesora Umańskiego na herbatę. Podrapany, emaliowany kubek z gorącą herbatą oczekiwał Andriejewa. Obok kubka stała szklanka gospodarza - prawdziwa szklanka, zielonkawo-mętna i nieprawdopodobnie brudna, nawet jak na przyzwyczajone do wszystkiego oczy Andriejewa. Umański nigdy nie mył swojej szklanki. To także było odkrycie Umańskiego, jego wkład w naukę, higienę, zasada, którą wprowadzał twardo w życie z uporem i pedagogiczną nietolerancją.

- Niemyta szklanka jest w naszych warunkach czystsza, bardziej sterylna niż myta. To najlepsza higiena - jedyna być może... Czy pan pojmuje? - Umański pstryknął palcami - Ręcznik zawiera więcej infekcji niż powietrze. Ergo: szklanki nie należy myć. Ja posiadam starowerską, prywatną szklankę. I płukać nie trzeba - w powietrzu mniej jest infekcji niż w wodzie. To abecadło wymogów sanitarnych i higieny. Pojmuje pan?

Umański przymrużył oczy. To odkrycie nie tylko dla kostnicy. Herbata - to właśnie była herbata. Ani chleb, ani cukier tu się nie należał i Andriejew nie

oczekiwał takiego picia herbaty z chlebem. Herbata - to była wieczorna pogawędka z profesorem Umańskim, pogawędka w cieple, sam na sam. Umański mieszkał w kostnicy, w kancelarii. Do prosektorium drzwi w ogóle nie istniały i z pokoju widać było, ze wszystkich jego kątów, stół do sekcji, zaścielony zresztą ceratą. Do prosektorium nie było drzwi, ale Umański tak przywykł do wszystkich zapachów na świecie, że zachowywał się, jakby drzwi były. Andriejew nie od razu się zorientował, co powoduje, że ten pokój jest pokojem, ale potem zrozumiał, że podłoga tego pokoju położona została o pół metra wyżej niż podłoga w prosektorium. Gdy praca dobiegała końca, Umański ustawiał na swoim roboczym stole fotografię młodej kobiety, zdjęcie w jakiejś blaszanej ramce z nierówno i niedokładnie wprawionym szkłem okiennym. Prywatne życie profesora Umańskiego zaczynało się właśnie tym sprawdzonym, nawykłym ruchem. Palce prawej ręki chwytały ściankę szuflady, wysuwały ją, opierając o brzuch profesora. Lewą ręką Umański brał fotografię i stawiał przed sobą na biurku...

- Córka?

- Tak. Gdyby syn, to byłoby znacznie gorzej, prawda?

Na czym polegała dla więźnia różnica pomiędzy synem i córką, Andriejew rozumiał dobrze. Z szuflad stołu -

okazało się, że jest ich bardzo wiele – profesor Umański wyciągnął niezliczone kartki, nacięte z rulonów papieru, pomięte, zniszczone, poliniowane w słupki – mnóstwo takich słupków, mnóstwo wierszy. W każdej komórce drobnym pismem Umańskiego wpisane było słowo. Tysiące, dziesiątki tysięcy zapisanych wyblakłym pod wpływem działania czasu atramentem, gdzieś gdzie wpisanych na nowo. Umański znał pewnie ze dwadzieścia języków.

- Znam dwadzieścia języków – powiedział Umański – Jeszcze przed Kołymą je znałem. Doskonale znam hebrajski. To korzeń wszystkiego. Tutaj, w tej samej kostnicy, wyuczyłem się arabskiego, tureckiego, farsyjskiego, gruzińskiego... Sporządziłem tablice – zestawienie wspólnego, jednolitego języka. Rozumie pan, w czym rzecz?

- Wydaje mi się, że tak – powiedział Andriejew.

- Matka – „mutter”, brat – „bruder”. To to, ale wszystko jest bardziej złożone, ważniejsze. Poczyniłem pewne odkrycia. Ten słownik będzie moim wkładem do nauki, potwierdzeniem mojego życia. Czy pan nie jest lingwista?

- Nie, profesorze – powiedział Andriejew i kłujący ból przeszył mu serce – tak zapragnął nim być w tym momencie.

- Szkoda.

Deseń zmarszczek twarzy Umańskiego zmienił się nieco i ponownie przybrała ona swój zwykły, ironiczny wyraz.

- Szkoda. To jest zajęcie bardziej interesujące niż medycyna. Ale medycyna - bardziej pewna, zbawcza.

Umański uczył się w Brukseli. Po rewolucji powrócił do ojczyzny, pracował jako lekarz, leczył. Umański rozszyfrował istotę trzydziestego siódmego roku. Rozumiał, że jego długi pobyt za granicą, jego znajomość języków, jego wolnomyślicielstwo - to wystarczający powód do represji - staruszek popróbował przechytrzyć los. Zrobił śmiały krok - podjął służbę w Dalstroju i wyjechał na Kołymę, na Daleką Północ w charakterze lekarza i przybył do Magadanu jako wolny. Leczył i żył. Umański nie wziął pod uwagę uniwersalności działających instrukcji - Kołyma nie uratowała go, podobnie jak by go nie uratował i biegun północny. Został aresztowany, osadzony przez trybunał i otrzymał dziesięcioletni wyrok. Córka wyrzekła się „wroga ludu” i znikła z życia Umańskiego, pozostała jedynie przypadkowo ocalona fotografia na biurku brukselskiego profesora. Dziesięcioletni wyrok dobiegał końca, premiovane zaliczenia roboczych dni Umański otrzymywał punktualnie i bardzo się nimi interesował. Jeszcze w czterdziestym szóstym roku, po kolejnej herbatce w kostnicy z Andriejewem i lingwistycznym czarowaniu, Umański, tracąc prawie oddech, wyszeptał na ucho Andriejewowi:

- Najważniejsze to przeżyć Stalina. Wszyscy, którzy przeżyją Stalina - będą żywi. Pan rozumiał? Nie może tak być, żeby przekleństwa milionów ludzi spadające na jego głowę nie zmaterializowały się. Zrozumiał pan? On na pewno umrze od tej ogólnej nienawiści. Będzie miał raka albo jeszcze coś innego. Pan rozumie? Jeszcze będziemy żyć.

Andriejew milczał.

- Rozumiem i uznaję pańską ostrożność - powiedział Umański, już nie szeptem - Myśli pan, że jestem jakimś tam prowokatorem? Przecież mam siedemdziesiąt lat.

Andriejew milczał.

- Słusznie pan milczy - powiedział Umański - Prowokatorami bywali też siedemdziesięcioletni staruszkowie. Wszystko było...

Andriejew milczał, zachwycając się Umańskim, nie mając siły, aby się przemóc i przemówić. To bezwiedne, mechaniczne milczenie było częścią sposobu bycia, do którego przywykł Andriejew w ciągu swojego życia w łagrze, z oskarżeniami, śledztwami, przesłuchaniami i wewnętrznymi zasadami, które nie tak łatwo było naruszyć, odrzucić. Andriejew ucisnął rękę Umańskiego, suchą, gorącą, maleńką, starczą dłoń z chwytnymi, gorącymi palcami. Kiedy profesor skończył swój wyrok, otrzymał w przydziale pobyt do

końca życia w Magadanie. Umański zmarł 4 marca 1953 roku, do ostatniej minuty kontynuując swoją nikomu nie pokazaną, przez nikogo nie podjętą pracę z zakresu lingwistyki. I tak profesor nigdy się nie dowiedział, że skonstruowany został mikroskop elektronowy i że teoria chromosomów została eksperymentalnie potwierdzona.

PRYZYSTAŃ PIEKIEŁ

Ciężka pokrywa ładowni otworzyła się nad nami i po wąskiej, żelaznej drabince zaczęliśmy pojedynczo wychodzić na pokład. Konwojenci byli ustawieni jeden przy drugim wzdłuż relingu na rufie statku ze skierowanymi na nas karabinami. Ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Ktoś tam krzyczał - szybciej, szybciej, tłum cisnął się jak na każdym dworcu przy wsiadaniu do pociągu. Drogę wskazywano tylko tym z przodu - wzdłuż karabinów do szerokiego trapu - na barkę, a z barki drugim trapem - na ład. Nasz rejs się skończył. Dwanaście tysięcy ludzi przywiózł nasz parowiec i dopóki ich wyładowywano - był czas, aby się rozejrzeć. Minęły już gorące, rozświetlone jesiennym słońcem, władwostockie dni, zniknęły przeczyste kolory dalekowschodniego nieba o zachodzie - nieskazitelne i wyraziste, bez półtonów i przejść, pozostające w pamięci na całe życie. Z białawomętneho,

posępnego, jednobarwnego nieba padał chłodny, drobny deszcz. Wprost przed nami stały gołe, bezleśne, kamieniste zielonawe sopki, a w prześwitach pomiędzy nimi, u samych podnóży przewijały się brudnoszare, poszarpane chmury. Jak gdyby strzępy olbrzymiego koca okrywały ten posępny, górzysty kraj. Pamiętam dobrze - byłem zupełnie spokojny, gotowy na wszystko, ale serce mi zabiło i ścisnęło się mimo woli. I odwracając wzrok, pomyślałem: przywieźli nas tu na śmierć. Kurtka moja z wolna namakała. Siedziałem na walizce, którą przy aresztowaniu zabrałem z domu powodowany wieczną, ludzką zapobiegliwością. Wszyscy, wszyscy mieli jakieś rzeczy: walizki, plecaki, pozwijane koce... Znacznie później zrozumiałem, że idealny ekwipunek aresztanta to niewielka płócienna torba, a w niej drewniana łyżka. Cała reszta, czy to ogryzek ołówka, czy koc - wszystko to tylko przeszkoda. Czego jak czego, ale pogardy do własności osobistej to nas nauczono niegorzej. Spoglądałem na parowiec, który przycisnął się do nabrzeża, taki maleńki i przechylany ciemnoszarymi falami. Poprzez szarą siatkę deszczu przebijały posępne sylwetki skał okrażających zatokę Nagajewo i tylko tam, skąd przypłynął parowiec, widniał pofałdowany w nieskończoność ocean, który jak ogromny zwierz warował u brzegu, ciężko

wzdychając, a wiatr poruszał jego sierścią, układającą się łuskowatymi, błyszczącymi także w deszczu falami. Było zimno i strasznie. Gorąca, jesienna wyrazistość kolorów słonecznego Władystoku pozostała gdzieś tam, w innym, prawdziwym świecie. Tutaj był świat nieprzyjemny i posępny. W pobliżu nie było widać żadnych budynków mieszkalnych. Jedna droga, omijająca sopkę, uchodziła gdzieś wyżej. Wyładunek zakończył się wreszcie i już o zmierzchu „etap” wolno ruszył w góry. Nikt o nic nie pytał. Ludzki tłum popełził drogą, często zatrzymując się dla odpoczynku. Walizki zaczęły ciążyć, a odzież namokła. Po dwu zakrętach zobaczyliśmy obok nas w skalnym załomie szeregi drutów kolczastych. Od wewnątrz do drutów cisnęli się ludzie. Coś tam krzyczeli i nagle poleciały w naszym kierunku bochenki chleba. Przerzucali je przez drut, a my łapaliśmy, rozłamywaliśmy i dzielili. Mieliśmy za sobą miesiące więzienia, 45 dni etapu koleją, 5 dni morza. Głodni byli wszyscy. Nikomu nie dano pieniędzy na drogę. Chciwie jedliśmy ten chleb. Szczęśliwiec, któremu udało się złapać bochenek, obdzielał nim wszystkich chętnych - szlachetne postępowanie, którego po trzech tygodniach oduczyliśmy się na zawsze. Prowadzono nas wciąż dalej i dalej. Zatrzymywaliśmy się coraz częściej. I wreszcie drewniane wrota,

drut kolczasty, a wewnątrz szeregi pociemniałych od deszczu brezentowych namiotów - białych i ciemnozielonych, ogromnych. Dzielono nas, odliczając i wypełniając jeden namiot za drugim. W namiotach znajdowały się drewniane piętrowe nary wagonowego typu - każda nara na ośmiu ludzi. Zajęliśmy swoje miejsca. Brezent przeciekał, na podłodze i na narach stały kałuże, ale byłem tak zmęczony (i inni nie mniej ode mnie) - przez ten deszcz, powietrze, przemarsz, namokniętą odzież, walizkę - że zwinąłem się byle jak, nie myśląc o przesuszeniu odzieży - zresztą gdzie ją było suszyć - ległem i zasnąłem. Było ciemno i chłodno...

DO SZPITALA

Krist był wysokiego wzrostu, ale felczer był jeszcze wyższy. Barczysty i z dużą gębą - już od dawna, od wielu lat Kristowi wydawało się, że wszyscy naczelnicy mają takie same wielkie gęby. Ustawwszy Krista w kącie, felczer oglądał swą zdobycz z wyraźnym uznaniem.

- Więc mówisz, że byłeś sanitariuszem?

- Byłem.

- To dobrze. Potrzebuję sanitariusza. Prawdziwego sanitariusza. Żeby był porządek. - i felczer powiódł rękami po ogromnym ambulatorium podobnym do stajni.

- Potrzebny jest mi szpital - powiedział Krist przyprochlebnie - Jestem chory.

- Wszyscy są chorzy. Zdążysz. Zaprowadzimy porządeczek. Uruchomimy tę oto szafę. - felczer postukał w drzwi ogromnej, pustej szafy - No, już późno. Wyszoruj podłogę. I kładź się... Obudzisz mnie po pobudce.

Zanim Krist zdażył rozprowadzić lodowatą wodę po wszystkich zakątkach przemrożonego ambulatorium, jego pracę przerwał senny głos nowego gospodarza. Krist wszedł do sąsiedniego pokoju, także o wyglądzie stajni, z wciśniętą w kąt pryczą. Schowany pod kupą porwanych koców, półkożuszków, szmat, usypiający felczer wołał Krista.

- Zdejmij mi walonki, sanitariuszu!

Krist ściągnął z nóg felczera śmierdzące walonki.

- Postaw przy piecu - nieco wyżej. A z rana podasz mi ciepłutkie. Lubię ciepłutkie.

Krist ściągnął szmatą brudną, lodowatą wodę, wytarł podłogę ambulatorium, legł na pryczy, pogrążył się w półsennym zapomnieniu i - jak gdyby po chwili, przebudził się. Felczer targał go za ramię.

- Co ty wyczyniasz? Już od dawna wychodzą do pracy!

- Ja nie chcę być sanitariuszem. Proszę odesłać mnie do szpitala.

- Do szpitala? Na szpital trzeba zasłużyć...A więc nie chcesz być sanitariuszem?

- Nie - odpowiedział Krist, chroniąc nawykłym ruchem twarz przed uderzeniem.

- No to wychodź do pracy! - felczer wypchnął Krista z ambulatorium i poprzez mgłę zaczął iść z nim w kierunku wartowni - Przeñońcie go, przeñońcie - wykrzykiwał felczer do konwojentów wyprowadzających kolejną partię więźniów za „druty” - to próżniak, symulant!

Doświadczeni konwojenci szturchali bezboleśnie Krista bagnetami i kolbami. Grupa ruszyła szybciej. Nosili do łagru drewno dryftowe - lekka praca. Drewno to pochodziło z odległych o dwa kilometry zatorów wiosennych górskiej, przemarzniętej do dna rzeki. Wymyte, wysuszone przez wiatr bierwiona trudno było wytaszczyć z zatoru - trzymały je ręce wodorostów, kamieni i sęków. Ale drewna było dużo i nie było bierwion nie dających się unieść. Krist cieszył się z tego. Każdy więzień wybrał sobie bierwiono odpowiadające jego siłom. Dwukilometrowa wędrówka zabrała prawie pół dnia. Była to „delegatura” dla inwalidów - zapotrzebowanie osady było niewielkie. Witaminowy OŁP. Oddzielny Lagrowy Punkt - Witaminowy. Niech żyje Wita! Krist jednak nie rozumiał, nie chciał rozumieć tej strasznej ironii. Mijał dzień za dniem, a Krista nie odsyłali do szpitala. Odesłali innych, ale nie Krista, który nie zechciał być „sanitariuszem” u felczera. Każdego dnia felczer przychodził pod wartownię i

wskazywał rękawicą na Krista: „przeгонcie go, przegoncie!” – krzyczał. I wszystko rozpoczynało się od nowa. Szpital, upragniony szpital był odległy od osady zaledwie o cztery kilometry. Ale żeby tam trafić, potrzebne było skierowanie. Felczer wiedział, że jest panem życia i śmierci Krista. Krist też to rozumiał. Od baraku, w którym Krist spał – w łagrze nazywa się to „mieszkał” – było do wartowni wszystkiego sto metrów. Ta witaminowa osada była jedną z najbardziej zapuszczonych – tym wyższy więc, grubszy, większy wydawał się felczer i tym bardziej nędzny – Krist. Na tej stumetrowej drodze Krist spotkał – i nie mógł sobie przypomnieć – kogo? Aczkolwiek już przeszedł mimo niego i skrył się we mgle. Osłabiona głodem pamięć nie potrafiła niczego podpowiedzieć. A jednak... Krist myślał dzień i noc, walcząc z mrozem, głodem i bólem poodmrażanych rąk i nóg. Kto? Kto spotkał się z nim na leśnej ścieżce? Czyżby zaczęło mu się mieszać w głowie? Krist znał tego człowieka, który odszedł we mgle. Znał go nie z wolności, z Moskwy. Nie, to znacznie bliższe, znacznie ważniejsze, o wiele bardziej potrzebne. I Krist przypomniał sobie. Przed dwoma laty ten człowiek był naczelnikiem łagru. Też OŁP-u. Ale nie witaminowego, lecz złotego, w kopalni złota, gdzie Krist spotkał się oko w oko z Kołymą. Był to naczelnik „obsys”, jak

mówią błatniacy, naczelnik z wolnego najmu - sądzono go, gdy Krist tam był. Naczelnik gdzieś znikł. Mówiono, że go rozstrzelali - i oto on spotkał się z Kristem na leśnej ścieżce witaminowej delegatury. Krist odnalazł go w łagrowym biurze. Pracował na jakimś nieznanym stanowisku, ale bez wątpienia - „kancelaryjnym”. Były naczelnik miał oczywiście pięćdziesiąty ósmy paragraf, ale nie „litery”, mógł więc pracować w biurze. Oczywiście, że Krist mógł znać i rozpoznać naczelnika. Ale naczelnik nie mógł go pamiętać. A jednak... Krist podszedł do barierki, za którą na całym świecie siedzą urzędnicy biurowi.

- Co, rozpoznajesz, czy jak? - powiedział po błatniacku były naczelnik łagru, obracając się twarzą do Krista.

- Tak, przecież ja z kopalni - powiedział Krist.

- Miło widzieć krajana. - doskonale rozumiejąc Krista, były naczelnik rzekł: - Zajdź do mnie wieczorem. Wyniosę ci śledzia.

Obaj nie znali ani swoich imion, ani nazwisk. Ale coś znikomego, przelotnego, co ich kiedyś przypadkowo łączyło, nagle stało się siłą, która mogła zmienić ludzkie życie. I człowiek, oddając swojego śledzia nie swoim witaminowym kolegom, lecz Kristowi, który był na złocie, sam pamiętał, że złoto i witaminowa delegatura - to dwie różne rzeczy. Ani jeden, ani drugi nie mówili

o tym. Obaj odczuwali, obaj rozumieli: Krist - swoje skryte prawo, a były naczelnik - swój obowiązek. Każdego wieczoru wynosił Kristowi śledzia - coraz to większego. Łagrowy kucharz nie dziwił się z powodu nagłego kaprysu pracownika biura, który przez całe miesiące nie pobierał tych śledzi z kuchni. Krist zjadał je zgodnie ze swoim kopalnianym nawykiem - wraz ze skórą, głową i ośćmi. Czasami były naczelnik przynosił także obgryziony, niedojedzony chleb. Można było rozważyć - co dalej? Krist opowiedział byłemu naczelnikowi, że jego, Krista, odsyłano do szpitala, ale felczer, na mocy swej władzy, zatrzymał go tu i oto...

- Tak, tutejszy felczer to dobra suka. Jestem tutaj więcej niż rok, ale nikt go jeszcze nie pochwalił. Oszukamy go. Do szpitala odsyłają każdego dnia. A listy ja sporządzam.

I były naczelnik uśmiechnął się. Wieczorem wywołano Krista na wartownię. Stało tam już dwoje więźniów - jeden miał w rękach maleńką walizeczkę z dykty. - Nie ma konwoju, żeby was odesłać. - dyżurny wyszedł na ganek - Jutro odeślemy.

Dla Krista było to śmiercią: jutro wszystko się wykryje. Felczer zapędzi go do jakiegoś... Krist nie wiedział, jak zwie się to piekło, gdzie on może trafić i co może być gorszego od tego, co już widział? Ale Krist nie wątpił, że takie

miejsca, gdzie jest jeszcze gorzej - istnieją. Pozostawało czekać i milczeć. Ponownie wyszedł dyżurny.

- Idźcie do baraku. Konwoju nie będzie. Ale aresztant z walizeczką zaczął błagać:
- Dajcie mi skierowanie, obywatelu dyżurny, ja wszystkich doprowadzę. Lepiej niż każdy żołnierz. Przecież znacie mnie. Robiono tak wiele razy. Ja jestem „bezkonwojny”, a ci - dokąd oni uciekną? Nocą i w mróz.

Dyżurny, wszedłszy do wartowni do środka, zaraz powrócił i podał papier człowiekowi z walizeczką.

- Macie rzeczy ze sobą?

- Jakie rzeczy...

- No to jazda...

Żelazny rygiel odsunął się i wypuścił trzech aresztantów w białą, mroźną mgłę. Bezkonwojny szedł przodem - Krist uważał, że biegł. Mgła gdzie niedzie rozsuwała się, przepuszczając żółte światło osiedlowych latarni elektrycznych. Minęło nieskończenie wiele czasu. Krople gorącego potu spełzały po wpadniętym brzuchu Krista i po kościstych plecach. A serce biło, biło, biło. Krist wciąż biegł za swoimi towarzyszami uchodzącymi we mgle. Przy rogu osady rozpoczynała się duża szosa.

- Jeszcze czekać na ciebie!

Krist przeraził się, że go zostawia, porzucą.

- Słuchaj, ty - powiedział bezkonwojny - Wiesz, gdzie jest szpital?

- Wiem.

- My pójdziemy naprzód. A przy szpitalu poczekamy.

Towarzysze znikli we mgle, a Krist, złapawszy oddech, popełził wzdłuż rowu, zatrzymując się co minutę i ponownie rzucając się do przodu. Rękawice zgubił i nie zauważył, że drapie śnieg, lód i kamienie gołymi rękami. Wrzeszczał, sapał, darł ziemię. Z przodu nic nie było widać oprócz mgły. Wyskakiwały z niej, wyjąc wściekle, ogromne ciężarówki i natychmiast ponownie się w niej skrywały. Ale Krist nie zatrzymywał się żeby przepuścić samochód i ponownie pełznął w kierunku szpitala, trzymał się rękami za nasyp rowu - ogromną linę przeciągniętą przez lodowatą otchłań ku ciepłu i ocaleniu. Krist pełzł, pełzł, pełzł. Mgła z lekka się przprzedziła i Krist zobaczył zakręt prowadzący do szpitala oraz maleńkie domki szpitalnej osady. Trzysta metrów, nie więcej i rycząc, Krist popełził ponownie.

- Myśleliśmy już, żeś zdechł - obojętnie, ale bez złości powiedział stojący na ganku szpitalnego baraku bezkonwojnik - Nie przyjmują tu nas bez ciebie.

Ale Krist nie słuchał i nie odpowiedział. Teraz miało nadejść to, co najważniejsze i najtrudniejsze - położą go w szpitalu czy nie położą? Przyszedł lekarz - młody, czysty człowiek w

nieprawdopodobnie białym fartuchu.
Zapisał wszystkich do książki.

- Rozbierajcie się.

Skóra Krista łuszczyła się, złącząc w postaci lekkich płatków, podobnych do odcisków daktyloskopijnych w „aktach sprawy”.

- To się nazywa pelagra - powiedział bezkonwojnik.

- Ja to już miałem - powiedział trzeci z ich grupy, i były to pierwsze i jedyne słowa, które usłyszał Krist - Jakby rękawice zdejmowali. Z obu rąk. Posłali do muzeum w Magadanie.

- Do muzeum? - pogardliwie powiedział bezkonwojny - Czy mało takich rękawic w Magadanie?

Ale trzeci aresztant nie słuchał bezkonwojnego.

- Ty - szarpał za rękę Krista - słuchaj mnie. Tobie, z tą chorobą przepiszą gorące zastrzyki, na pewno. Mnie przepisali - a ja je za chleb z błatniakami wymieniałem. I tak się podreperowałem.

Wydostano z szafy „historie choroby”.
Trzy blankiety. Położą wszystkich.
Wszedł sanitariusz.

- Na razie do drugiej. Polewanie ciepłą wodą, bielizna bez wszy.

Korytarz, gdzie na stole dyżurnego nie zgaszony jeszcze knot kopciłki z tranem, nalany na spodek zrobiony z denka puszki po konserwach. Drzwi do pustej izby, skąd powiało mrozem, dworem,

lodem. Sanitariusz poszedł po drewno - rozpaścić piec.

- Wiecie co - powiedział bezkonwojnik - położymy się razem, bo inaczej wyciągniemy kopyta.

Położyli się do jednego łóżka, objawszy się nawzajem, jakby na zgodę. Potem bezkonwojnik wyśliznął się spod trzech kocy, zebrał wszystkie sienniki i wszystkie koce znajdujące się w izbie szpitalnej. Zwalił wszystko na kupę na łóżko, do którego położyli się towarzysze, i sam dał nura w kościste objęcia Krista. Chorzy usnęli.

CZERWIEC

Andriejew wyszedł ze sztolni i udał się do lampowni, aby zdać swoją wygasłą „wolfę”. Znowu się przyczepią, pomyślał leniwie o służbie bezpieczeństwa kopalni.

- drut zerwany...W szybie palili, nie oglądając się na zakazy. Palenie groziło wyrokiem, ale jeszcze nikt nie wpadł. Niedaleko od stożkowatego wysypiska rudy Andriejew spotkał Stupnickiego, profesora Akademii Artylerii. Chociaż miał on swój pięćdziesiąty ósmy paragraf, pracował jako dziesiętnik na powierzchni. Był zręcznym służbistą, sumienny i wnikliwy pomimo swoich lat; tacy dziesiętnicy nie śnili się nawet kopalnianemu naczalstwu.

- Niech pan posłucha - powiedziała Stupnicki - Niemcy bombardowali Sewastopol, Kijów, Odessę.

Andriejew słuchał z uprzejmości. Informacja ta miała taki wydźwięk jak wiadomość o wojnie w Paragwaju czy Boliwii. Co mu, Andriejewowi, do tego? Stupnicki jest syty, jest dziesiętnikiem - to i interesują go takie sprawy jak wojna. Podszedł Grisza Grek, złodziej.

- A co to takiego automaty?

- Nie wiem. Pewnie coś w rodzaju karabinów maszynowych.

- Nóż jest groźniejszy niż jakakolwiek kula - pouczająco powiedział Grisza.

- Słusznie - rzekł Borys Iwanowicz, chirurg-więzień - Nóż w brzuchu to pewna infekcja, stałe zagrożenie zapaleniem otrzewnej. Rana postrzałowa jest lepsza, czystsza...

- Najlepszy jest gwóźdź - rzekł Grisza Grek.

- Zbiórka!

Ustawwszy się w szeregi, poszli z kopalni do łagru, prowadzeni przez konwój. Konwojenci nigdy nie wchodzili do środka kopalni - podziemna ciemność chroniła ludzi przed biciem. Wolni dziesiętnicy też się pilnowali. Nie daj Boże zwali się na głowę „z komina” bryła węgla... Nawet Mikołaj Antonowicz, „starszy”, zawsze tak chętny do rękoczynów, prawie się odzwyczyił od swego starego nawyku. Tłukł tylko Miszka Timoszenko, młody nadzorca więźniów,

„robiący karierę”. Miszka Timoszenko szedł i myślał: złożę podanie na front. Posłać nie poślą, a korzyść będzie. A tak, wojuj nie wojuj - niczego oprócz wyroku nie zwojujesz. Z rana poszedł do naczelnika łagpunktu, Kosarenki - chłop z niego był niezły. Miszka przyjął „przepisową pozycję”.

- Oto podanie na front, obywatelu naczelniku.

- Patrzcie go...No dawaj, dawaj. Będziesz pierwszy...Ale ciebie nie wezmą.

- Z powodu paragrafu, obywatelu naczelniku?

- No tak.

- Co mam począć z tym paragrafem? - powiedział Miszka.

- Nie zginiesz. Jesteś spryciarz - wychrypiał Kosarenko - Zawołaj do mnie Andriejewa.

Andriejewa zdziwiło to wezwanie. Nigdy nie wołano go przed dostojne oblicze samego naczelnika łagpunktu. Ale pozostała zwykła obojętność, gotowość na wszystko, apatia. Andriejew zastukał do zrobionych z dykty drzwi gabinetu.

- Melduję się zgodnie z rozkazem. Więzień Andriejew.

- Ty jesteś Andriejew? - zapytał Kosarenko, przyglądając się mu z ciekawością.

- Andriejew, obywatelu naczelniku.

Kosarenko poszperał w papierach na stole, coś tam znalazł i zaczął w milczeniu czytać. Andriejew czekał.

- Mam robotę dla ciebie.

- Ja pracuję jako wozak na trzecim odcinku...

- U kogo?

- U Koriagina.

- Jutro zostaniesz w domu. Będziesz pracować w łagrze. Koriagin nie umrze bez wozaka.

Kosarenko wstał, potrząsnął papierkiem i wychrypiał:

- Będiesz likwidować zonę. Zwijać drut. Waszą zonę.

Andriejew pojął, że mowa była o zonie pięćdziesiątego ósmego paragrafu i w odróżnieniu od wielu łagrów, barak, w którym mieszkali „wrogowie ludu”, był otoczony wewnątrz łagrowej zony drutem kolczastym.

- Razem z Maslakowem.

Pewnie wojna, pomyślał Andriejew, to zgodnie z planem mobilizacyjnym.

- Czy mogę odejść, obywatelu naczelniku?

- Poczekaj! Dlaczego Koriagin skarży się na ciebie?

- Koriagin?

- Tak. Mam dwa raporty na ciebie.

- Pracuję nie gorzej od innych, obywatelu naczelniku...

- No, idź już...

Rozginali zardzewiałe gwoździe i zdejmowali drut kolczasty, nawijając go na drąg. Dziesięć rzędów, dziesięć żelaznych nici, do tego jeszcze poprzeczne i ukośne – starczyło pracy na cały dzień. Dla Andriejewa i Maslakowa.

Praca ta w niczym nie była lepsza od jakiegokolwiek innej. Kosarenko pomylił się – odczucia więźniów nie były podatne na zmiany. W porze obiadowej jeszcze nowa wiadomość: przydział chleba został obniżony z kilograma do pięciuset gramów – była to złowieszcza wiadomość, gdyż gorąca strawa nic w łagrze nie znaczyła. Decydował chleb. Następnego dnia Andriejew powrócił do kopalni. Było tam jak zwykle chłodno i ciemno. Andriejew zszedł zejściem dla ludzi na dolny chodnik. Próżnych wagonów jeszcze z góry nie podawano i Kuzniecowa, drugi wozak tej zmiany, siedział niedaleko dolnej płyty, w świetle i czekał na niego. Andriejew usiadł obok niego. Kuzniecowa był kryminalistą, wiejskim zabójcą.

- Słuchaj – powiedział Kuzniecowa – Wołano mnie.

- Dokąd?

- Tam. Za most.

- No i co?

- Kazano mi złożyć oświadczenie na ciebie.

- Na mnie?

- Tak

- A ty?

- Złożyłem. Co zrobisz?

Rzeczywiście, pomyślał Andriejew, co zrobisz?

- I coś ty tam napisał?

- Napisałem to, co powiedzieli. Że chwalił Hitlera...

Przecież on nie jest łajdakiem, całkiem po prostu nieszczęśliwy człowiek...

- Co teraz ze mną zrobią? - spytał Andriejew.

- Nie wiem. Oficer polityczny powiedział: „to tak, dla porządku”.

- No tak - powiedział Andriejew - Oczywiście, dla porządku. Przecież w tym roku kończę wyrok. Zdążą spreparować nowy.

Po pochyłości gruchotały wagoniki.

- Hej, wy - krzyknął starszy pokładu - bajarze! Zabierajcie wagoniki!

- Ja chyba odmówię pracy z tobą - powiedział Kuzniecowa - będą przecie mnie znowu wzywać, a ja wtedy powiem: „nie wiem, nie pracuję z nim”. Ot tak...

- Tak chyba najlepiej - zgodził się Andriejew.

Od następnej zmiany towarzyszem pracy Andriejewa został Czudakow, również niepolityczny. W odróżnieniu od skorego do rozmów Kuzniecowa ten - milczał. Albo taki już był od urodzenia, albo uprzedzono go „za mostem”. Minęło parę zmian i Andriejewowi wraz z Czudakowem wyznaczono miejsce pracy w chodniku wentylacyjnym prowadzącym do górnego pokładu - mieli spuszczać po trzydziestometrowej pochyłości puste wagoniki i wyciągać załadowane. Wagoniki obracali, ustawiali kółka na szynach uchodzących po pochyłości, przymocowywali do wagonika stalową linę i przyczepiwszy ją do liny windy,

spychali wagonik w dół. Zaczepiali na zmianę. Teraz była kolej Czudakowa. Wagoniki szły i szły, jeden za drugim, dzień roboczy był w pełnym toku, gdy nagle Czudakow pomylił się - zepchnął wózek, nie zaczepiwszy go za linę.

- Uwaga! Awaria w kopalni!

Rozległ się głuchy łoskot, wizg żelaza, trzęszczenie podpór; słupy białego pyłu wypełniły pochyłość. Czudakowa od razu aresztowali, a Andriejew wrócił do baraku. Wieczorem wezwano go do Kosarenki, naczelnika. Kosarenko miotał się po gabinecie.

- Coś ty narobił? Coś ty narobił, pytam. Sabotażysta!

- Pan chyba zwariował, obywatelu naczelniku - powiedział Andriejew - Przecież to Czudakow, przypadkiem...

- Tyś go poinstruował, gadzie! Sabotażysta! Zatrzymał kopalnię!

- Co ja mam do tego? I nikt kopalni nie zatrzymywał - pracuje. Czego pan wrzeszczy?

- On nie wie! Tu Koriagin pisze... On jest członkiem partii.

Rzeczywiście, napisany drobnym charakterem pisma Koriagina, leżał na stole naczelnika duży raport.

- Odpowiedz!

- Pańska wola.

- Idź, gadzie!

Andriejew wyszedł. W baraku, w „kabinie” dziesiętników prowadzono głośną rozmowę, przerwana przy wejściu Andriejewa.

- Ty do kogo?

- Do pana, Mikołaju Antonowiczu - zwrócił się do „starszego” Andriejew - Dokąd mam iść do pracy jutro?

- Najpierw dożyj do jutra - powiedział Miszka Timoszenko.

- Nie troszcz się o to.

- O właśnie, przez takich uczonych ja mam wyrok, słowo daję Antonyczu - rzekł Miszka - Przez tych Iwanów Iwanowiczów.

- Pójdiesz do Miszki - powiedział Mikołaj Antonowicz - Tak zarządził Koriagin. Jeżeli cię nie aresztują. A Miszka już z ciebie wycisnie, co trzeba.

- Musisz pojąć, gdzie się znajdujesz - powiedział Timoszenko - Przeklęty faszysta.

- Ty sam jesteś faszysta, durniu - powiedział Andriejew i poszedł oddać kolegom różne swoje rzeczy: zapasowe onuce, stary, ale jeszcze mocny, bawełniany szalik - tak żeby przed aresztem nie mieć żadnych zbędnych rzeczy. Sąsiadem Andriejewa na narach był dziekan wydziału górnictwa, Tichomirow. W kopalni pracował przy obudowach. Główny inżynier starał się „wysunąć” profesora chociażby na stanowisko dziesiętnika, ale naczelnik rejonu górnictwa węglowego Swiszczew kategorycznie odmówił i nieprzyjemnie spojrzął na swojego zastępcę.

- Jeżeli wyznaczyć Tichomirowa - powiedział Swiszczew do głównego inżyniera - to pan nie ma co robić na

kopalni. Jasne? I żebym nigdy takiej gadki nie słyszał.

Tichomirow czekał na Andriejewa.

- No i co?

- Lepiej prześpijmy tę sprawę - powiedział Andriejew.

Nie aresztowano Andriejewa. Okazało się, że Czudakow nie chce kłamać. Przetrzymani go coś koło miesiąca na karcerowej porcji - kubek wody i trzysta gramów chleba - ale nie mogli go skłonić do żadnych oświadczeń. Czudakow nie pierwszy raz był pozbawiony wolności i wiedział, co ile jest warte.

- Co ty mnie pouczasz? - powiedział śledczemu - Andriejew nic złego mi nie zrobił. Ja znam te sprawy. Przecież was to nie interesuje - jak mnie sądzić. Andriejew jest wam potrzebny. No, ale póki jestem żyw nie zasądzicie go, jeszcze za mało łagrowej kaszy zjedliście.

- A więc w tobie jedyna nadzieja - powiedział Koriagin do Miszki Timoszenki - Ty dasz radę.

- Tak jest, rozumiem - rzekł Timoszenko.

- Najpierw „po żołądku” go - obniżymy rację żywnościową. I gdy wygada się...

- Dureń - powiedział Koriagin - Co to ma do rzeczy, że się wygada. Pierwszy dzień żyjesz na tym świecie, czy co?

Koriagin usunął Andriejewa z roboty pod ziemią. W zimie temperatura w kopalni spadała tylko do dwunastu stopni na najniższych poziomach, a na dworze do

sześćdziesięciu. W czasie nocnej zmiany Andriejew stał na wysokim usypisku, gdzie zwalano urobek. Napełnione nim wagoniki podjeżdżały tam od czasu do czasu i zadaniem Andriejewa był ich rozładunek. Wagoników było mało, chłód straszny i nawet najłżejszy wiatr zamieniał noc w piekło. Tam, po raz pierwszy na kołymskiej ziemi, Andriejew rozplakał się - przedtem nigdy mu się to nie zdarzało, chyba tylko za młodych lat, gdy przychodziły listy od matki i Andriejewowi nie starczało sił, aby przeczytać je bez łez i bez łez o nich wspominać. Ale to było dawno. A dlaczego tutaj się rozplakał? To poczucie bezsilności, samotność, chłód - Andriejew przyzwyczał się, nastawił na przypominanie sobie wierszy w łagrze, żeby coś szeptać, cichutko powtarzać - na mrozie nie udawało się myśleć. Ludzki mózg nie potrafi pracować na mrozie. Kilka takich lodowatych zmian i Andriejew, znów w kopalni, znowu na sprowadzaniu wagoników, z Kuzniecowerem jako towarzyszem pracy.

- Dobrze, że tu jesteś! - ucieszył się Andriejew - I mnie również wzięli z powrotem do kopalni. Co się stało z Koriaginem?

- Mówią, że na ciebie już zebrano materiał. Wystarczy - więcej nie trzeba. To i wróciłem. Z tobą dobrze się pracuje. Czudakow wyszedł. Dali mu izolator. Wygląda jak szkielet. Na razie będzie

łaziennym. Więcej w kopalni nie będzie pracować.

Nowości były znaczące. Dziesiętnicy-aresztanci, po wypełnieniu obowiązkowej sprawozdawczości, chodzili do łagru bez konwoju. Miszka Timoszenko postanowił pójść do łaźni przed przyjściem robociarzy, tak jak to zawsze robił. Otworzył mu drzwi nieznajomy, kościsty łazienny.

- Ty dokąd?

- Jestem Timoszenko.

- Widzę, żeś Timoszenko. Ty tu mniej gadaj - powiedział dziesiętnik - Nie próbowałaś mojego termometru - to popróbujesz.

- Idź, dawaj parę. - i odsunawszy łaziennego, Timoszenko wszedł do łaźni. Górniczą łaźnię wypełniał wilgotny, czarny mrok. Czarny, zakopcony sufit, czarne cebrzyki, czarne ławki wzdłuż ścian, czarne okna. W łaźni było sucho i zimno jak w szybie, a pośrodku wisiała wetknięta w stojący tam słup górnicza lampa „wolfa”, podobnie jak w kopalni. Miszka szybko się rozdział, wybrał sobie beczkę z zimną wodą, wprowadził do niej parową rurkę - w pomieszczeniu łaźni znajdował się bojler i wodę ogrzewano gorącą parą. Kościsty łazienny przypatrywał się z proggu pulchnemu, różowemu ciału Timoszenki i milczał.

- Ja lubię tak - powiedział Timoszenko - żeby pareczka była żywa. Nagrzejesz trochę wodę, ja wleżę do beczki, a ty

puszczaj z wolna parę. Jak będzie dobrze, zastukam w rurę i ty wyłączysz parę. Poprzedni łaźnienny, ten jednooki, znał dobrze moje przyzwyczajenia. Gdzie on jest?

- Nie wiem - odpowiedział kościsty łaźnienny. Obojczyki wypierały mu bluzę.

- A ty skąd?

- Z izolatora.

- Toś ty Czudakow?

- Tak, Czudakow.

- Nie poznałem. Będziesz bogaty - zaśmiał się dziesiętnik.

- Ja tak w izolatorze dopłynąłem, to i nie poznajesz. Słuchaj, Miszka - powiedział Czudakow - a ja ciebie widziałem...

- Gdzie?

- A za mostem. Słyszałem, coś ty tam wyśpiewał politycznemu...

- Każdy ratuje sam siebie - powiedział Timoszenko - Prawo tajgi. Wojenny czas. A ty jesteś cudak. Jesteś dureń, Czudakow. Dureń z chłodnymi uszami. Tak ci się dostało przez tego czorta Andriejewa.

- No, to już moja sprawa - powiedział łaźnienny i wyszedł.

Para zahurkotała, zabulgotała w beczce, woda się nagrzała. Miszka zastukał - Czudakow wyłączył parę. Miszka wlaź na ławeczkę i z niej zsunął się do wąskiej, wysokiej beczki... Były beczki niższe, były szersze, ale dziesiętnik lubił się parzyć właśnie w tej. Woda sięgała

Miszce do gardła. Mrużąc oczy z zadowolenia, dziesiętnik zastukał w rurę. Natychmiast zabulgotała para. Zrobiło się ciepło. Miszka przesłał sygnał po rurze, ale rura nie przestawała chlustać gorącą parą. Para paliła ciało i Timoszenko przestraszył się, jeszcze raz zastukał, starając się wyrwać, wyskoczyć z beczki, ale beczka była wąska, żelazna rura przeszkadzała mu wyleźć w łaźni, nic nie było widać prócz białej, kłębiącej się, gęstniejącej pary i Miszka zaczął wrzeszczeć dzikim głosem. Tego dnia nie było łaźni dla robotników. Kiedy otworzono drzwi i okna, rozviała się mętnobiała mgła, przyszedł łagrowy lekarz. Timoszenko już nie oddychał - ugotował się żywcem. Czudakowa przeniesiono gdzieś z pracy w łaźni, powrócił jednooki, nikt nie usuwał go z pracy, po prostu przez jeden dzień był w grupie „W” - czasowo zwolniony z pracy.

MAJ

Dno beczki zostało wybite i wstawiono w to miejsce kratę zrobioną z płaskownika. W beczce siedział pies Każbek. Sotnikow karmił Każbeka surowym mięsem i prosił wszystkich przechodzących mimo, aby go szturchali kijem. Każbek warczał i gryzł kij na drobne szczepki. Kierownik robót Sotnikow wyrabiał złość w przyszłym psie łańcuchowym. Przez całą wojnę wymywano złoto za pomocą korytek - osiągnięcia

poszukiwaczy, zabronionych przedtem do stosowania w kopalniach. Dawniej mógł ich używać jedynie przemysławca, należący do zwiadu geologicznego. Przed wojną plan dobowy podawany był w metrach sześciennych gruntu, w czasie wojny – w gramach metalu. Jednoręki przemysławca zręcznie zgrzebywał zgarniakiem grunt na korytko i dodawszy wody, ostrożnie wstrząsał naczyniem nad strumieniem, usuwając wraz z wodą kamieniste cząstki. Na dnie pozostawała złota krupka. Robotnik chwycił ją pod paznokcie i położywszy korytko na ziemię, prznosił krupkę na kawałeczek papieru, który następnie zawijany był podobnie jak proszek w aptecę. Cała brygada jednoręcznych okaleczeńców latem i zimą „myła” złoto. I oddawała te krupki metalu, te złote ziarenka do kopalnianej kasy. Za to dawano jednoręcznym jeść. Śledczy Iwan Wasiljewicz Jefremow schwytał tajemniczego zabójcę, którego poszukiwano już ponad tydzień. Przed tygodniem w izdebce członków zwiadu geologicznego zostali zarąbani toporem czterej strzałowci. Ukradziono chleb i machorkę, pieniądze nie zostały znalezione. Minął tydzień i w robotniczej stołówce Tatar z ciesielskiej brygady Rusłanowa wymieniał gotowaną rybę za szczyptę machorki. Nie było jej na kopalni od początku wojny, przywozili jedynie „amonal” – zieloną, nieprawdopodobnej mocy samosiejkę,

próbowano też hodować tytoń. Machorkę mieli tylko wolni. Tatar został aresztowany i przyznał się do wszystkiego. I nawet wskazał miejsce w lesie, gdzie wyrzucił w śnieg okrwawiony topór. Iwanowi Wasiljewiczowi Jefremowowi przypadła więc wielka nagroda. Tak się akurat zdarzyło, że Andriejew był sąsiadem tego Tatara na narach - był on zupełnie zwykłym, głodnym chłopakiem "knotem". Aresztowano więc również Andriejewa. Wypuszczono go po dwu tygodniach - przez cały ten czas wydarzyło się wiele nowego: Kolka Żukow zarabiał znieawidzonego brygadzystę Korolowa. Brygadzista ten co dzień bił Andriejewa na oczach całej brygady, bił bez złości, nie spiesząc się i Andriejew obawiał się go. Andriejew namacał w kieszeni buszłata kawałek amerykańskiego białego chleba, który został mu z obiadu. Istniało z tysiąc sposobów rozkoszowania się pożywieniem. Można było ten chleb lizać, dopóki nie zniknie z dłoni; można było odszcypywać z niego najdrobniejsze okruchy, przewracać je językiem w ustach, ssąc oddzielnie każdy z nich. Można było go podpiec na piecyku, który zawsze się palił, podsuszyć go i jeść ciemnobrązowe, opalone kawałeczki, które nie stały się jeszcze sucharami, a przestały już być chlebem. Można było krajać chleb na cieniutkie plasterki i dopiero wtedy je suszyć. Można było zaparzyć chleb gorącą

wodą, zagotować, zamieszać i przemienić go w gorącą zupę - takie mączne poidło. Można było kruszyć kawałeczki do zimnej wody i solić - wychodziło z tego coś w rodzaju „tiury”. Wszystko to trzeba było zrobić w ciągu tego kwadransa, który pozostał Andriejewowi do dyspozycji z przerwy obiadowej. Andriejew dojadał chleb po swojemu. W maleńkiej puszcze po konserwie gotowała się woda ze śniegu, zanieczyszczona drobnymi węgielkami lub igłami cedrowca. Andriejew wsadził swój chleb do białej kipieli i czekał. Chleb pęczniał jak gąbka. Pręcikiem lub szczepką Andriejew odrywał gorące kawałeczki i wkładał je do ust. Rozmoczony chleb znikał w nich natychmiast. Nikt nie zwracał uwagi na te przedsięwzięcia Andriejewa. Był on jednym z setek tysięcy kołymskich „knotów”, „dochodiagów” - o zachwianym od dawna rozumie. Kasza również była z lend-leaseu - amerykańska owsianka z cukrem. I chleb z lend-leaseu, z kanadyjskiej mąki z domieszką mączki kostnej i ryżu. Chleb wypiekali nadzwyczaj pulchny i żaden rozdawca nie ważył się przygotować „pajki” w przeddzień wieczorem - każda „dwusetka” traciła w ciągu nocy dziesięć do piętnastu gramów i najbardziej uczciwy rozdawca chleba mógł się mimo woli okazać żulikiem. Z białego chleba prawie nie było odchodów - organizm ludzki raz na kilka dni wyrzucał to, co zbędne.

Zupa - pierwsze danie - była także z lend-leaseu; każdemu trafiały się w obiadowych miskach włókna mięsa, podobne do pałeczek gruzlicy pod mikroskopem, oraz zapach konserwowej wieprzowiny w sosie własnym. Była podobno jeszcze kiełbasa, konserwowana kiełbasa, ale dla Andriejewa pozostawała ona legendą, podobnie jak zagęszczone mleko „Alfa”, które wielu pamiętało z dzieciństwa, z paczek „Ara”. Firma „Alfa” wciąż jeszcze istniała. Z lend-lease'u pochodziły też czerwone, skórzane buty na grubej klejonej podeszwie. Wydawano je tylko naczalstwu - nawet nie każdy mistrz górniczy mógł posiadać to importowane obuwie. Do kopalnianego naczalstwa przychodziły też „garnitury” w paczkach - ubrania, marynarki i koszule z krawatami. Podobno wydawano i wełniane rzeczy, zebrane pośród ludności Ameryki, ale do więźniów one nie trafiały - żony naczelników doskonale orientowały się w gatunkach materiałów. Natomiast dochodziły do więźniów narzędzia pracy. Były one również z lend-lease'u - amerykańskie wygięte łopaty z krótkimi malowanymi rączkami. To były „zgrabne” łopaty - ktoś myślał nad samym ich kształtem. Wszyscy byli zadowoleni z tych łopat. Trzonki łopat powybijano i zrobiono nowe, proste i długie, każdemu do miary - koniec trzonka powinien sięgać do podbródka. Kowale rozprostowali nieco nosek łopaty,

podostrzyli i wyszło z tego znakomite narzędzie. Amerykańskie topory były marne. Właściwie nie były to topory, lecz toporki podobne do meinreedowskich indiańskich tomahawków i nie nadawały się do poważnej ciesielskiej roboty. Te topory z lend-lease'u wywarły na naszych cieślach silne wrażenie - widać było, że używane przez tysiące lat narzędzie już się „kończy”. Piły poprzeczne były ciężkie, grube i niewygodne w pracy. Znakomity natomiast okazał się solidol, podobny do masła, biały i bez zapachu. Błatniacy spróbowali sprzedawać go zamiast masła w kopalni, ale nie było już nikogo, kto mógłby kupować masło. Po stromiznach Kołomy uganiały się studebakery otrzymane z lend-lease'u. Był to jedyny samochód, który nie miał problemów ze wzniesieniami. Ogromne diamenty, także z lend-lease'u, taszczyły dziewiętnastotonowe nowe ładunki. A i my byliśmy leczeni amerykańskimi lekarstwami. Po raz pierwszy pojawiła się, cudotwórcza z początku, sulfidyna. Naczynia laboratoryjne także były podarunkiem otrzymanym z Ameryki. Aparaty rentgenowskie, gumowe grzałki i gumowe pęcherze... O tym, że rychło nastąpi koniec amerykańskiego białego chleba, mówiono jeszcze zeszłego roku po łuku kurskim, ale Andriejew nie zwracał uwagi na łagrowe „parasze”. Co będzie, to będzie. Przeszła jeszcze jedna zima, a

on, nigdy nie planujący niczego dalej niż do wieczora, wciąż jeszcze żył. Razowiec będzie niebawem, razowiec. Czarny chleb. Nasi dochodzą do Berlina, myślał.

- Czarny chleb zdrowszy - mówili lekarze. Amerykanie to pewnie durnie. Na tej mającej dopiero powstać kopalni nie było ani jednego radioodbiornika. „Infekcja zabójstw”, mawiał Woronow - przypomniał to sobie teraz Andriejew. Dokonywanie zabójstw jest zaraźliwe. Jeżeli gdzieś zamordują brygadzystę - to od razu znajdą się naśladowcy, i brygadziści wyszukują ludzi, którzy pełnią dyżury, by chronić sen brygadzysty. Ale to wszystko na darmo. Jednego zarabali, drugiemu rozłupali głowę łomem, trzeciemu przepiłowali dwuręczną piłą szyję... Jeszcze miesiąc temu Andriejew siedział przy ognisku - była to jego kolej, aby się pogrzać. Zmiana się już skończyła, ogień wygasał i czworo kolejnych aresztantów siedziało z czterech stron ogniska i zgiąwszy się, wyciągało ręce do gasnącego płomienia, do uchodzącego ciepła. Każdy z nich prawie dotykał odmrożonymi, pozbawionymi czucia palcami czerwonych węgli. Biała mgła spadała na barki i plecy, wstrząsane dreszczami z zimna. Coraz większe stawało się pragnienie przyciśnięcia się do ognia i brakowało sił, aby się podnieść i pójść na swoje miejsce, każdy do swojego szurfu, gdzie

oni wiercili, wiercili, wiercili... Brakowało sił, aby wstać i uciec od brygadzisty, który już do nich podchodził. Andriejew leniwie zastanawiał się, czym będzie bić brygadzista, jeśli się wda w bójkę. Oczywiście głownią lub kamieniem... Najlepiej jednak głownią... Brygadzista był już w odległości dziesięciu kroków od ogniska. Wtem z przyległego do ścieżki szurfu, którą szedł brygadzista, wypełzł człowiek z łomem w rękach. Dogał brygadzistę i zamachnął się łomem. Brygadzista upadł twarzą naprzód. Człowiek rzucił łom w śnieg i przeszedł mimo ogniska, przy którym siedział Andriejew z trzema innymi. Poszedł dalej do wielkiego ogniska, przy którym grzali się konwojenci. W czasie zabójstwa Andriejew nie zmienił pozy. Nikt z czterech nie ruszył się z miejsca, nie starczyło siły, aby odejść od ogniska, od uchodzącego ciepła. Każdy chciał siedzieć aż do końca, aż do momentu, kiedy go przegonią. Ale nie miał ich kto odegnąć. Brygadzista został zabity i Andriejew, podobnie jak dzisiejsi towarzysze, był szczęśliwy. Ostatnim wysiłkiem swojego biednego, wysuszonego mózgu Andriejew rozumiał, że trzeba szukać jakiegoś wyjścia. Nie chciał dzielić losu jednoręcznych przemywaczy. On, który kiedyś poprzysiągł sobie, że nigdy nie będzie brygadzystą, nie szukał ratunku w

niebezpiecznych łagrowych stanowiskach. Jego droga jest inna - nie będzie ani kraść, ani bić swoich towarzyszy, ani nie będzie na nich donosić. Cierpliwie czekał. Tego ranka nowy brygadzysta posłał Andriejewa po amonit - żółty proszek, który był przez strzałowego przesypany do papierowych pakietów. W dużej fabryce amonitowej, gdzie rozładowywano i rozdzielano przybyły z „kontynentu” materiał wybuchowy, pracowały kobiety-więźniarki, bo praca uważana była za lekką. Na tych swoich pracownikach amonitowa fabryka zostawiała piętno - ich włosy, tak jakby po perhydrolu, stawały się złociste. Żelazny piecyczek w izdebce strzałowych opalany był żółtymi kawałkami amonitu. Andriejew pokazał pisemko nadzorcy, rozpiął buszlat i rozwinął swój dziurawy szalik.

- Potrzebuję onuc, chłopcy - powiedział - worka.

- Ale czyż nasze worki... - zaczął młody strzałowy, ale ten nieco starszy trącił kolegę łokciem i ten zamilkł.

- Damy ci worek - powiedział - masz.

Andriejew zdjął szalik i oddał go strzałowemu. Potem rozerwał worek, aby zrobić z niego onuce - po chłopsku; istnieją bowiem trzy sposoby „zawijania” onuc: chłopski, wojskowy i miejski. Zrobił to po chłopsku, narzucając je z wierzchu stopy. Z trudem wcisnął nogi w burki, wstał i wziąwszy skrzynkę z

amonitem, wyszedł. Nogi miał gorące, ale gardło zimne. Andriejew wiedział, że i jedno, i drugie to już nie na długo. Oddał amonit nadzorcy i powrócił do ogniska. Trzeba było poczekać, aż ten tam podejdzie. Wreszcie podszedł.

- Popalimy - rozległo się spiesznie kilka głosów.

- Kto popali, a kto nie popali. - nadzorca odwinął ciężką połę pół kożuska i dobył blaszaną puszkę z machorką.

Dopiero teraz Andriejew rozwiązał szmatki, na których trzymały się burki, i ściągnął je z nóg.

- Dobrze onucki - bez żadnej zazdrości powiedział ktoś zamotany w szmatki, wskazując na nogi Andriejewa owinięte kawałkami zwartej, białej workowiny.

Andriejew usadowił się wygodnie, poruszył nogami i wrzasnął. Buchnął żółty płomień. Przesiąknięte amonitem onuce płonęły jaskrawo i wolno. Tlały pochwycone ogniem spodnie i waciak. Nadzorca powalił Andriejewa na wznak i przysypał śniegiem.

- Jak mogłeś, gadzie! Poślij po konia. I wypisz kartę o nieszczęśliwym wypadku. Prędko obiad, może doczekasz...

- Nie, nie doczekam - zełgał Andriejew i zamknął oczy.

W szpitalu zalano nogi Andriejewa ciepłym roztworem nadmanganianu potasu i nie bandażując, położono go do łóżka. Koc został umocowany na prętach - wyszło

z tego coś w rodzaju namiotu. Dla Andriejewa szpital był zapewniony na długo. Pod wieczór przyszedł na salę lekarz.

- Słuchajcie, panowie katorżanie - powiedział - wojna się skończyła. Przed tygodniem się skończyła. Właśnie drugi już kurier dotarł z Zarządu. A pierwszego, jak mówią, zabili uciekinierzy.

Ale Andriejew nie słuchał, co mówi lekarz. Podniosła mu się gorączka.

MEŻNE OCZY

Świat baraków cisnął się w wąskim, górskim wąwozie. Granice wyznaczały kamienie i niebo. To, co było w przeszłości, pojawiało się jedynie spoza ścian, drzwi i okien. Wewnątrz nikt niczego nie wspominał. Wewnątrz był świat tego, co istnieje realnie, świat codziennych drobnostek, który nie mógłby być nazwany codzienną krzątaniną, gdyż świat ten zależał od czyjejs cudzej, nie naszej woli. Po raz pierwszy wyszedłem z tego świata po niedźwiedziej ścieżce. Stanowiliśmy bazę zwiadu geologicznego i każdego lata, krótkiego lata, udawało się nam zrobić kilka wypadów do tajgi - były to pięciodniowe wyprawy wzdłuż koryt strumieni, mimo źródeł podziemnych rzeczuszek. Dla tych, co w bazie - rowy, grzebanina w ziemi, szurfy; dla tych, co w drodze zbieranie próbek. Ci, co w

bazie - to silniejsi; ci, co w drodze - słabeusze. Wie o tym wieczny dyskutant Kałmajew - poszukiwacz sprawiedliwości, odmawiający pracy. Budowano baraki dla zwiadu i zwożenie poprzez rzadziżnę w tajdze spiłowanych, ośmiometrowych modrzewiowych bierwion - to była praca dla koni. Ale koni nie było i wszystkie pnie wlekli ludzie za pomocą pasów, sznurów, po burłacku: raz, dwa - wzięli. Nie spodobało się to zajęcie Kałmajewowi i w czasie rozprowadzania do pracy powiedział: „widzę, że potrzebny nam traktor. Wsadźcie do obozu traktor i włóczcie, ciągnijcie te drzewa. Ja nie koń”. Drugim był pięćdziesięcioletni Pikulew - sybirak, cieśla. Pośród nas nie było bardziej spokojnego człowieka od niego. Ale dziesiętnik Bystrow wypatrzył swoim doświadczonym i wyćwiczonym w łagrze okiem pewną właściwość Pikulewa.

- Co z ciebie za cieśla - mówił Bystrow do Pikulewa - jeżeli twój tyłek wciąż szuka miejsca. Ledwo skończysz pracę - nie postoisz ani minuty, nie pochodzisz, a od razu w tymże miejscu sadowisz się na pniu.

Staremu trudno było, ale Bystrow mówił z przekonaniem. Tym trzecim byłem ja - od dawna nieprzyjaciel Bystrowa. Jeszcze minionej zimy, kiedy po raz pierwszy wyprowadzono mnie do pracy i podszedłem do dziesiętnika, Bystrow, powtarzając swój ulubiony dowcip, w który wkładał

całą swoją duszę, swoją całą głęboką pogardę, swoją wrogość i nienawiść do takich jak ja, powiedział:

- A pan, jaką pracę każe sobie wyznaczyć

- białą czy czarną?

- Wszystko jedno.

- Białej u nas nie ma. Pójdziemy do wykopu.

I chociaż znałem doskonale to powiedzonko, chociaż potrafiłem wszystko, umiałem nie gorzej od innych wykonać dowolną pracę i innych nauczyć - dziesiętnik Bystrow odnosił się do mnie wrogo. Oczywiście ja nie podlizywałem się, nie dawałem ani nie obiecywałem łapówek - można było oddać Bystrowowi spirytus. Czasem go nam wydawano. Więc kiedy zapotrzebowano trzeciego człowieka na wyprawę - Bystrow wymienił moje nazwisko. Czwartym był zatrudniony na umowie geolog z wolnego najmu, Machmutow. Geolog był młody i wszystko wiedział. W drodze ssał cukier, czekoladę, jadł oddzielnie, wydobywając z woreczka suchary i konserwy. Obiecał nam ustrzelić kuropatkę czy cietrzewia i rzeczywiście, dwukrotnie w czasie naszej drogi łopotały skrzydła, nie był to jednak cietrzew, lecz głuszec, ale geolog strzelał, denerwując się i pudłując. Nie umiał strzelać w locie. Upadła nadzieja na to, że ustrzeli nam ptaka. Konserwy mięsne dla geologa gotowaliśmy w oddzielnym kociołku, nie uważano jednak, że jest to naruszenie

obyczaju. W barakach więźniów nikt nie żąda, aby dzielić się pożywieniem, a tutaj - to już zupełnie specjalna sytuacja współistnienia dwu różnych światów. Jednakże nocą wszyscy trzej - i Pikulew, i Kałmajew, i ja - budziliśmy się, słysząc, jak Machmutow chrupie, ciamka i jak mu się odbija. Ale nie bardzo to nas drażniło. Nadzieja na dziczyznę rozviała się jeszcze pierwszego dnia. Stawialiśmy o zmierzchu namiot nad brzegiem strumienia, który srebrną nicią wił się u naszych nóg, a po drugiej stronie rosła gęsta trawa, rozciągająca się na przestrzeni trzystu metrów aż do skalistego prawego brzegu. Trawa ta rosła na dnie strumienia - wiosną było wszystko w krąg zalane - i teraz tworzyła z całą potęgą zieleni łąkę, podobną do górskiego ujęcia. Nagle wszyscy stali się czujni. Zmierzch jeszcze nie zdążył zgęstnieć. Po trawie, kołyszac się, sunał jakiś zwierz - niedźwiedź, rosomak czy ryś. W morzu trawy ruchy jego były dobrze widoczne - Pikulew i Kałmajew wzięli topory, a Machmutow, czując się w roli bohatera powieści Jacka Londona, zdjął z ramienia małokalibrową strzelbę nabitą „żakanem” - kawałkiem ołowiu, przygotowanym na spotkanie niedźwiedzia. Ale trawiaste zarośla skończyły się i pełznąc na brzuchu i machając ogonem, przybliżył się do nas szczeniak, Henryk - syn zabitej suki Tamary. Szczeniak odmachał

dwadzieścia kilometrów przez tajgę i dogonił nas. Po naradzie odegnaliśmy szczeniaka z powrotem. Przez dłuższy czas nie mógł zrozumieć, dlaczego go tak okrutnie traktujemy. W końcu pojał i ponownie ruszył w trawę, trawa znów zafalowała, ale tym razem w drugim kierunku. Mrok zgęstniał, a wraz ze słońcem i silnym wiatrem rozpoczął się drugi dzień. Szliśmy w górę wzdłuż rozwidleń niekończących się rzeczek, szukaliśmy osypisk na skłonach, ażeby doprowadzić Machmutowa do obnażonych miejsc, z których geolog mógłby odczytać istnienie węgla. Ale ziemia milczała i ruszyliśmy wzdłuż niedźwiedziej ścieżki - w tym wiatrołomie, w tym chaosie drzew zwalonych do wąwozu przez wiatr w ciągu stuleci nie było innej drogi. Kałmajew i Pikulew ponieśli namiot w górę strumienia, a ja i geolog weszliśmy w głąb tajgi i znalazłszy niedźwiedzią ścieżkę, przerabując się przez wiatrołom, ruszyliśmy wzdłuż niej. Modrzewie pokryte były zielenią, zapach igliwia przenikał przez delikatną woń butwiejących, umarłych pni - wydawało się, że pleśń jest również wiosenna, zielona, że jest także żywa, a martwe pnie wydzielają zapach życia. Zielona pleśń na pniach zdawała się żyć, zdawała się być symbolem, znakiem wiosny. A w rzeczywistości to barwa uwiadu, kolor gnicia. Ale Kołyma stawiała przed nami trudniejsze pytania i podobieństwo życia

i śmierci nie napełniało nas niepokojem. Ścieżka była pewna - stara, sprawdzona niedźwiedzia ścieżka. Teraz szli nią ludzie po raz pierwszy od stworzenia świata, geolog z małokalibrową strzelbą, z młotkiem geologicznym w rękę i ja z tyłu z toporem. Była wiosna, wszystkie kwiaty kwitły naraz, ptaki śpiewały razem wszystkie swoje pieśni, zwierzęta starały się w pośpiechu dogonić drzewa w ich szaleńczym przedłużaniu gatunku. Niedźwiedzią ścieżkę przegradzał krzywy, martwy pień modrzewia, ogromne drzewo, którego wierzchołek ułamany przez burzę, utracony. Kiedy? Rok temu albo dwieście lat wstecz. Nie znam pozostawionych przez stulecia znaków i czyż one istnieją? Nie wiem, jak długo tkwi w ziemi to, co było drzewem, i jakie ślady na pniu rok za rokiem odkłada czas. Żywe drzewa odliczają czas poprzez słoje pierścieniowe, co rok to nowy. A jak znaczona jest zmiana czasu w przypadku martwych drzew - nie wiem. Jak długo można korzystać z martwego modrzewia, rozwalonego przez skałę, z lasu powalonego przez burzę - wykorzystywać na norę, na legowisko - wiedzą to tylko zwierzęta. Ja tego nie wiem. Co zmusza niedźwiedzia, aby wybrał inne legowisko? Co zmusza zwierzę, aby dwukrotnie i trzykrotnie kładło się do tej samej nory? Burza położyła złamany modrzew, ale nie zdołała wyrwać go z ziemi, zabrakło jej siły. Złamany pień zawisł nad ścieżką i

niedźwiedzi ślad okrążył martwy pień i dalej skierował się prosto. Można łatwo obliczyć wzrost czworonoga. Machmutow uderzył geologicznym młotkiem w pień i drzewo odezwało się głuchym dźwiękiem, głosem pustego pnia, pustego wnętrza, które tworzyło dziuplę, ochronę z kory, osłonę życia. Z dziupli wypadła wprost na ścieżkę łasica, maleńkie zwierzątko. Nie znikło ono jednak w trawie leśnej, w tajdze. Łasiczka spojrzała ludziom w oczy wzrokiem pełnym odwagi i zaciekłości. Łasica była w sytuacji na moment przed porodem, który rozpoczął się na ścieżce przed nami. Zanim zdołałem cokolwiek uczynić, krzyknąć, zrozumieć, zatrzymać, geolog wypalił wprost w łasicę ze swojej małokalibrówki, nabitej „żakanem”, ołowianym pociskiem przygotowanym na spotkanie z niedźwiedziem. Machmutow źle strzelał nie tylko do ptaków w locie... Raniona łasica popełzła po niedźwiedziej ścieżce wprost na Machmutowa i Machmutow odstąpił, cofając się przed jej wzrokiem. Tylne łapki brzemiennej łasicy została odstrzelona i łasica ciągnęła za sobą krwawą kaszę nienarodzonych jeszcze zwierzątek, dzieci, które urodziłyby się, gdybyśmy obaj z Machmutowem byli już daleko od złamanego modrzewia, narodziłyby się i wyszły w trudny i pełen powagi świat zwierząt tajgi. Widziałem, jak łasica pełzła do Machmutowa, widziałem śmiałość, złość,

pragnienie zemsty, zaciekłość malująca się w jej oczach. Widziałem, że nie było w nich strachu.

- Przegryzie buty, ścierwo - powiedział geolog, cofając się, aby uchronić swoje nowiutkie, przeznaczone na błoto buty.

I uchwyciwszy berdanę za lufę, podstawił kolbę pod pyszczek umierającej łasicy. Ale jej oczy zgasły i znikła z nich nienawiść. Podszedł Pikulew, pochylił się nad martwym zwierzątkiem i powiedział:

- Miała mężne oczy.

Czyżby coś pojął? A może nie? Nie wiem. Po niedźwiedziej ścieżce weszliśmy na brzeg rzeki, przed namiot w miejscu zbiórki. Jutro rozpoczniemy drogę powrotną - ale już nie tą ścieżką, lecz inną.

W ŁAŻNI

W tych niedobrych żartach, którymi tylko łagier potrafi się zabawiać, łaźnię często nazywa się „beżprawiem”. Frajerzy krzyczą: „beżprawie! - naczelnik zagania do łaźni!” - to zwykła, powiedziec można, tradycyjna ironia, pochodząca od błatniaków, jak zawsze spostrzegawczych. W tym żartobliwym spostrzeżeniu skryta jest gorzka prawda. Łaźnia - to zawsze przykre wydarzenie dla więźniów, utrudniające ich bytowanie. Uwaga ta jest jeszcze jednym świadectwem tej „zmiany skali”, która jest

najistotniejszą cechą wprowadzaną do psychiki człowieka przez łagier, do którego trafił i w którym odbywa swój wyrok lub - jak określa to Dostojewski - „termin”. Wydawałoby się, jak to może być? Unikanie łaźni - to zawsze zaskoczenie dla lekarzy i naczelników, upatrujących w tej łaźniennej absencji rodzaj protestu, naruszenie dyscypliny, wyzwanie rzucone łagrowemu reżimowi. Ale fakt jest faktem. I przez całe lata, zawsze, dzień łaźni w łagrze jest wydarzeniem. Mobilizowany i instruowany jest konwój, wszyscy naczelnicy biorą udział w łowach na unikających łaźni, nie mówiąc już o lekarzach. Łaźnia w łagrze i dezynfekcja odzieży w komorze dezynfekcyjnej jest bezpośrednim obowiązkiem służby sanitarnej. Cała łagrowa administracja niższego szczebla składająca się z więźniów (starostowie, dyspozytorzy) również pozostawia wszystko i zajmuje się tylko łaźnią. W końcu i naczelstwo związane z produkcją zmuszone jest zająć się tym wielkim problemem i uruchomić cały szereg środków w dni łaźni (jest ich trzy w ciągu miesiąca). I w takie dni wszyscy są na nogach od rana do wieczora. O co więc chodzi? Czyż człowiek, bez względu na poziom jego nędzy, na który został sprowadzony, nie zgodzi się umyć w łaźni, zmyć z siebie brud i pot, które pokryły jego zżerane przez choroby skóry ciało, i nie zechce chociażby na godzinę

poczuć się czystym? Istnieje takie rosyjskie powiedzonko: „szczęśliwy jak po łaźni”. Jest ono słuszne i dokładnie oddaje tę fizyczną błogość, którą odczuwa człowiek mając czyste, wymyte ciało. Czyż do tego stopnia zanikł u ludzi rozum, że nie pojmują, nie chcą zrozumieć, iż bez wszy jest lepiej niż z wszami? A wszy jest dużo, nie można się ich pozbyć bez komory dezynfekcyjnej, zwłaszcza przy tak ciasno nabitych barakach. Oczywiście zawszenie jest pojęciem wymagającym uściślenia. Jakiś tam dziesiątek wszy w bieliźnie nie jest uważany za coś istotnego. Zawszenie dopiero wtedy zaczyna niepokoić zarówno kolegów, jak i lekarzy kiedy wszy dają się strzepywać z bielizny, a wełniany sweter rusza się od zagnieżdżonych w nim insektów. Czyż więc człowiek - kimkolwiek by on był - nie chce uwolnić się od tej męczarni, nie pozwalającej mu spać i zmuszającej do rozdrapywania swojego brudnego ciała? Oczywiście, że nie. Ale - pierwszym „ale” jest to, że na łaźnię nie ma wolnych dni. Do łaźni prowadzą albo po, albo przed pracą. A po wielogodzinnej pracy na mrozie (latem również nie jest lżej), kiedy wszystkie nadzieje i zamiary skupiają się na pragnieniu jak najszybszego dostania się do pryczy, do pożywienia i snu - zwłoka związana z łaźnią staje się nie do wytrzymania. Łaźnia znajduje się zawsze w znacznej odległości od baraku. Jest

tak dlatego, że ta sama łaźnia służy również wolnym, nie tylko więźniom – i zazwyczaj nie jest umiejscowiona na terenie łagru, lecz w osiedlu dla wolnych. Przetrzymanie w łaźni to nie jakaś tam godzina przeznaczona na umycie się i dezynfekcję odzieży z wszy. Ludzi myje się wielu, partiami, jedna za drugą, i wszyscy, którzy się spóźnili (dowiezieni wprost z pracy z pominięciem łagru, bo tam rozbiegliby się, znajdując sposoby ukrycia się przed łaźnią), oczekują na mrozie swej kolejki. W czasie wielkich mrozów naczałstwo stara się skrócić ten czas pobytu aresztantów na mrozie – wpuszcza się ich do szatni mieszczących 10-15 osób, zaganiając tam setkę odzianych ludzi. Szatnia nie jest opalana albo jest opalana słabo. Wszystko jest tam wymieszane – nadzy i odziani w półkożuszki, wszyscy tłoczą się, przeklinają, hałasują. Korzystając z ciasnoty i hałasu kradną – złodzieje i niezłodzieje – rzeczy swoich towarzyszy (przyszły przecież inne, nie mieszkające razem brygady – nigdy kradzionego się nie znajdzie). Drugie, a ściśle trzecie „ale” – to to, że podczas kiedy brygada myje się w łaźni, obsługa powinna pod kontrolą służby sanitarnej przeprowadzić sprzątanie baraku: podmieść, wymyć, wyrzucić wszystko, co jest zbędne. To wyrzucanie zbędnych rzeczy przeprowadza się w sposób bezwzględny. A przecież każda szmatka jest cenna i trzeba zużyć

nie mało energii, aby posiadać zapasowe rękawice, zapasowe onuce, nie mówiąc już o innych, mniej przenośnych rzeczach. A o żywności nawet mówić nie warto. Wszystko to znika bez śladu i dopóki odbywa się łaźnia - zgodnie z prawem. Zupełnie bezcelowe jest zabieranie ze sobą zapasowych rzeczy do pracy i potem do łaźni: bystre, wprawne oczy błatniaków szybko je wypatrzą. Każdemu złodziejowi dadzą chociażby zapalić za jakiegokolwiek rękawiczki czy onuce. Człowiek ma to do siebie, że szybko obrasta różnymi drobnymi przedmiotami, bez względu na to, czy jest żebrakiem czy jakimś laureatem. Przy każdej zmianie miejsca pobytu (wcale nie mającego nic wspólnego z więzieniem) u każdego ujawnia się tyle drobiazgów, że aż dziw, skąd ich się tak wiele mogło zebrać. I oto są one rozdawane, sprzedawane, wyrzucane aż do uzyskania możliwości zamknięcia wieka walizy. Obrasta tak aresztant. Przecież jest on robotnikiem - musi mieć igłę i materiał na łatkę, i być może dodatkową starą miskę. Wszystko to było wyrzucane - i po kolejnej łaźni wszyscy na nowo „zagospodarowywali się”, jeżeli nie zdążyli wcześniej upchać tego głęboko w śniegu, ażeby na drugi dzień wydobyć. Za czasów Dostojewskiego dawano w łaźni jeden cebrzyk gorącej wody (co ponad - było kupowane przez frajerów). Norma ta pozostała bez zmiany po dzień dzisiejszy.

Drewniany cebrzyk nie bardzo gorącej wody i palące, przylepiające się do palców kawałki lodu zwalonego do beczki – w nieograniczonej ilości. Cebrzyk jest jeden, żadnego innego naczynia do rozprowadzenia gorącej wody się nie wydaje. A więc gorąca woda schłodzona jest kawałkami lodu i to jest cała porcja wody, za pomocą której aresztant powinien umyć głowę i ciało. Latem wydawana jest zimna woda zamiast lodu, mimo wszystko woda, a nie lód. Załóżmy, że aresztant powinien umieć wymyć się każdą ilością wody, od łyżki do cysterny.

Jeśli jest jej łyżka, to przemyje on nią zlepiające się, zaropiałe oczy i uzna toaletę za zakończoną. Jeżeli jest jej cała cysterna, to będzie obryzgiwać nią sąsiadów, będzie co minutę zmieniać wodę i tak wykombinuje, aby zużyć swoją porcję w przepisany czas. Wszystko to obrazuje pomysłowość w rozwiązywaniu takiego bytowego problemu, jakim jest problem łaźni. Ale oczywiście nie rozwiązuje problemu czystości. Marzenie o tym, aby wymyć się w łaźni – to marzenie nieziszczalne. W samej łaźni, wyrażającej się wciąż tym samym zgiełkiem, dymem, krzykiem i ciasnotą (krzyczeć jak w łaźni – to wyrażenie żywego języka) nie ma żadnej wody w nadmiarze, a także nie można jej dokupić. Ale tam nie tylko brakuje wody. Tam nie starcza ciepła. Żelazne piece nie zawsze rozpalone są do czerwoności i

w łaźni (w ogromnej większości przypadków) całkiem po prostu jest chłodno. To odczucie potęguje się za sprawą tysięcy maleńkich przeciągów przez drzwi i szczeliny: pomiędzy bierwionami ścian ułożony jest mech, który szybko wysycha i wykrusza się, tworząc w nich otwory. Każda łaźnia - to ryzyko przeziębienia - wszyscy o tym wiedzą (w tej liczbie oczywiście i lekarze). Zawsze w dzień po łaźni powiększa się lista zwolnionych z pracy z powodu choroby, rzeczywiście chorych, i o tym również wiedzą wszyscy lekarze. Pamiętajmy, że drewno opałowe dla łaźni przynoszą w jej przeddzień same brygady na swoich barkach, co znowu odciąga powrót do baraków i mimo woli nastraja przeciw łaźni. Ale to jeszcze nie wszystko. Najstraszniejsze - to komora dezynfekcyjna, obowiązkowa, zgodnie z instrukcją, przy każdym myciu się. Bielizna w łagrze bywa „indywidualna” i „ogólna”. To biurokratyczne, oficjalnie przyjęte wyrażenia obok takich perełek, jak „zawszawienie”, „zapluskwienie” itd. „Indywidualna” bielizna - to bielizna nowa i lepsza, którą zachowuje się dla obsługi łagrowej, dla dziesiętników-więźniów i innych uprzywilejowanych osób. Bielizna ta nie jest przydzielana indywidualnie każdemu z tych aresztantów, ale za to jest prana oddzielnie i częściej wymieniana na nową. Natomiast „ogólna” bielizna - jest

bielizną wspólną. Rozdaje się ją od razu w łaźni po umyciu się, w zamian za brudną, zbieraną zresztą i podliczaną oddzielnie wcześniej. Nie może być nawet mowy o dobieraniu jej sobie według wzrostu. Czysta bielizna - to prawdziwa loteria i dziwny to był widok, wyciskający łzy z moich oczu, gdy dorośli ludzie płakali skrzywdzeni, otrzymując w zamian za oddaną mocną bieliznę - czystą, ale zetloną. Nic nie potrafi zmusić człowieka, aby stanął jakby obok tych przykrości, z których składa się życie. Nie zastanawia się nad tym, że to tylko do następnej łaźni, że w końcu to życie jest stracone i co tu myśleć o parze bielizny, którą ostatecznie otrzymał też przypadkowo - a oni spierają się i płaczą. Jest to oczywiście zjawisko z tego samego rodzaju odchylen psychiki więźniów od normy, które charakteryzuje prawie wszystkie ich poczynania, ta sama „demencja”, którą pewien lekarz-neuropatolog nazwał chorobą uniwersalną. Życie aresztanta, w sferze jego przeżyć duchowych, zeszło na takie pozycje, że odbiór bielizny z ciemnego okienka, wiodącego do tajemniczych głębin łaźniennych pomieszczeń - to wydarzenie kosztujące wiele nerwów. Już długo przedtem ci, którzy się wymyli, tłoczą się przy tym okienku. Zastanawiają się i rozważają, jaką bieliznę wydano zeszłym razem, jaką wydawano przed pięciu laty w

Bamłagu, i jak tylko odsunie się deska zakrywająca okienko od wewnątrz, wszyscy rzucają się ku niemu, odpychając jeden drugiego śliskimi, brudnymi i śmierdzącymi ciałami. Bielizna ta nie zawsze była sucha. Zbyt często bywa ona mokra - nie nadążają z suszeniem, nie starcza drzewa. A wkładanie mokrej bielizny po łaźni to wątpliwa przyjemność. I sypią się przekleństwa na głowy przywykłej do wszystkiego obsługi łaźni. Ci, co włożyli wilgotną bieliznę, zaczynają przemarzać do kości, ale muszą czekać na dezynfekcję wierzchniej odzieży. Cóż to takiego komora dezynfekcyjna? To wylepiona od wewnątrz glina, pokryta brezentowym dachem jama, opalana żelaznym piecykiem, z paleniskiem wychodzącym na przedsionek. Wieszka się w niej na drągach buszłaty, waciaki i spodnie, zamyka drzwi i dezynfektor zaczyna „dawać żaru”. Nie ma tam żadnych termometrów, żadnych woreczków z siarką, ażeby można było określić temperaturę. Sukces tego zabiegu zależy od przypadku albo od sumienności dezynfektora. W najlepszym przypadku tylko te rzeczy dobrze się nagrzeją, które wiszą blisko pieca. Pozostałe, przykryte innymi, tylko wilgotnieją, a te zawieszane w oddalonym kącie pozostają chłodne. Komora ta nie zabija żadnych wszy. To tylko pro forma i zabieg ten służy dodatkowemu męczoniu aresztantów. Doskonale wiedzą o tym

również lekarze, ale nie pozostawia przecież łagru bez komory dezynfekcyjnej.

I oto po godzinie oczekiwania w dużej „odzieżalni” zaczynają naręczami wyciągać rzeczy, zupełnie jednakowe „komplety”; rzucają je na ziemię, pozostawiając każdemu odszukanie swoich. Aresztanci, przeklinając, wciągają przesiąknięte parą buszłaty, waciaki i watowane spodnie. Teraz, nocą, kradnąc resztki swojego snu, będą suszyć te waciaki i spodnie przy barakowym piecu. Nic dziwnego, że dzień łaźni nikomu się nie podoba.

DIAMENTOWE ŹRÓDŁO

Ciężarówka zatrzymała się przy przeprawie i ludzie zaczęli się „wyładowywać”, niezgrabnie i leniwie przerzucając swoje niezginające się nogi przez klapę samochodu. Lewy brzeg rzeki był niski, a prawy skalisty, tak jak to powinno być według teorii akademika Baera. Zeszliśmy z drogi wprost do koryta górskiej rzeki i przeszliśmy dwieście kroków po wymytych suchych kamieniach, stukoczających pod naszymi nogami. Ciemny pasek wody, który wydawał się tak wąski z brzegu, okazał się szeroką i bystrą, płytką, górską rzeką. Oczekiwała nas łódka-płaskodenka i przewoźnik z drągiem zamiast wiosła, „przeganiający” łódkę z trzema pasażerami na drugą stronę i powracający

samotnie. Przeprowa ciągnęła się aż do wieczora. Na drugim brzegu długo drapaliśmy się w górę po wąskiej ścieżynce, pomagając jeden drugiemu jak alpinieści. Ledwie widzialna pomiędzy wyległą, pożółkłą trawą ścieżynka prowadziła do wąwozu, gdzie w błękitniejącej dali widniały z prawa i lewa schodzące się szczyty gór – znajdujący się w tym wąwozie potok nazywał się właśnie Diamentowe Źródło. Była to zadziwiająca „delegatura” – właśnie to Diamentowe Źródło, do którego staraliśmy się tak usilnie i nadaremnie dostać ze złotych wyrobisk i o którym wszyscy słyszeli tak wiele nieprawdopodobnych rzeczy. Mówiono, że w tym miejscu nie ma konwojentów, nie ma apeli, nie ma niekończącego się sprawdzania, nie ma drutu kolczastego, nie ma psów. Przywykliśmy do szczękania karabinowych zamków, wyuczyliśmy się na pamięć ostrzeżeń konwojentów – krok w lewo, krok w prawo uważam za ucieczkę – naprzód marsz! – i szliśmy. Jakiś dowcipniś, a oni zawsze istnieją, w każdym, najcięższych nawet warunkach, gdyż ironia to broń bezbronnych; jakiś dowcipniś powtarzał odwieczny łagrowy żart: „podskok uważam za agitację”. Ten złośliwy żart wypowiedany był tak, aby konwojent nie słyszał. Wnosił on pokrzepienie, okruch ulgi na sekundę. Uprzedzenie otrzymywaliśmy czterokrotnie w ciągu dnia: rano, gdy wychodziliśmy do

pracy, w dzień, gdy szliśmy na obiad i z powrotem, i wieczorem - jak pożegnalne słowa przed powrotem do baraku. I za każdym razem, po tej znajomej formule, ktoś podrzucał uwagę na temat podskoku; nikogo to nie drażniło i nigdy się nie uprzykrzyło. Na odwrót, byliśmy gotowi słuchać tego żartu tysiące razy. I oto teraz urzeczywistniły się nasze marzenia, jesteśmy na Diamentowym Źródle, nie ma z nami konwoju, jedynie młody człowiek z czarną brodą, wyraźnie zapuszczoną dla dodania sobie „solidności”, pilnuje naszej przemyki. Objasniono już nam, że to naczelnik leśnego rejonu, nasz naczelnik, dziesiątnik z wolnego najmu. Na Diamentowym Źródle prowadzone były prace nad przygotowaniem słupów dla linii elektrycznej wysokiego napięcia. Niewiele jest miejsc na Kółymie, gdzie rosną wysokie drzewa; my będziemy prowadzić „wyrwkowy” wyrąb lasu - najkorzystniejsza praca dla naszej braci. Złote wyrobisko - to praca zabijająca człowieka i do tego - szybko. Tam racja żywnościowa większa, ale właśnie ona zabija w łagrze, a nie ta mała. Już dawno przekonaliśmy się o słuszności tego powiedzenia. Rębaczka, który stał się „dochodiagą”, nie odkarmi żadną czekoladą. Wyrwkowy wyrąb lasu jest dla nas korzystniejszy od wyrębu ciągłego, gdzie las jest rzadki, niskorosły - wyrosnięty na błotach, nie

ma w nim olbrzymów, a zwózka - znoszenie pni na własnych plecach po sypkim śniegu i układanie w stopy - to bardzo męcząca praca. A przecież dwunastometrowe słupy dla linii elektrycznej nie powinny być ściągane przez ludzi. Zrobi to koń lub traktor. A więc da się żyć. Oprócz tego ta delegatura jest bez konwoju, a więc nie ma żadnych karcerów, żadnego bicia, naczelnik odcinka - z wolnego najmu, inżynier albo technik; bez wątpienia udało się nam. Przenocowaliśmy na brzegu, a z rana po ścieżce ruszyliśmy do naszego baraku. Jeszcze słońce nie zaszło, gdy doszliśmy do niskiego zrębowego zabudowania z dachem pokrytym mchem i zasypanym kamieniami. W baraku mieszkało pięćdziesięciu dwóch ludzi, a i nas doszło dwudziestu. Nary zrobione były z belek, wysokie, sufit był niski - jedynie w przejściu można było stać wyprostowanym. Naczelnik był ruchliwym i obrotnym chłopcem. Młodymi oczyma, ale doświadczonym wzrokiem, obejrzał szereg swoich nowych robociarzy. Natychmiast zainteresował go mój szalik. Nie był to oczywiście wełniany szalik, lecz tylko bawełniany, ale mimo wszystko - szalik, „wolny” szalik. Podarował mi go poprzedniego roku felczer w szpitalu i od tego czasu nie zdejmowałem go z szyi ani zimą, ani latem. Prałem go jak mogłem w łaźni, ale ani razu nie oddawałem go do odwyszalni. Nie zniszczyłaby ona tych wszy, które

znajdowały się w nim w dużej ilości, natomiast szalik zostałby od razu ukradziony. Regularne polowanie na niego i tak było prowadzone przez moich sąsiadów z baraku, towarzyszy codziennego życia i pracy. Bywało też inne - prowadzone przez każdego przypadkowego człowieka - bo któż by odrzucił okazję zdobycia pieniędzy na tytoń, na chleb - taki szalik kupi każdy „wolniaszka”, a wszy można łatwo wyparzyć. Tylko aresztantowi jest to trudno zrobić. Ja jednak bohaterko wiązałem go w węzły na swojej szyi przed snem, cierpiąc przez te wszy, do których nigdy nie można się przyzwyczaić, podobnie jak nie można przywyknąć do chłodu.

- Nie sprzedałbyś? - zagadnął czarnobrody.

- Nie - odpowiedziałem.

- No, jak chcesz. Tobie szalik nie jest potrzebny.

Nie spodobała mi się ta rozmowa. Niedobre było i to, że karmiono nas tylko jeden raz na dobę - po pracy. A rano - tylko wrzątek i chleb. Ale coś takiego spotkałem już przedtem. Naczelnicy zwracali niewiele uwagi na żywienie aresztantów. Każdy urządzał to jak najprościej. Wszystkie produkty były przechowywane u wolnego dziesiętnika - mieszkał on wraz ze swoją strzelbą „izówką” w maleńkiej, zrębowej chatce w odległości dziesięciu kroków od baraku.

Ten sposób przechowywania produktów też był nowością - zazwyczaj nie znajdują się one w rękach naczalstwa związanego z pracą, lecz na terenie łagru, ale widać porządki na Diamentowym Źródle były lepsze - pozostawianie w rękach aresztantów zapasów żywności to zawsze sprawa ryzykowna i niebezpieczna - wszyscy o tym wiedzą. Do pracy chodziliśmy daleko - cztery kilometry i jasne było, że dzień po dniu ten wrywkowy wyrąb będzie się odsuwał wciąż dalej i dalej w głąb wąwozu. Daleki marsz, choćby nawet z konwojem, to dla aresztanta sytuacja raczej dobra niż zła - im więcej czasu schodzi na drogę, tym mniej na pracę, jakkolwiek by liczyli normalizatorzy i dziesiętnicy. Praca nie była ani gorsza, ani lepsza od każdej aresztanckiej pracy w lesie. Zwalaliśmy drzewa oznaczone zaciosami przez dziesiętnika, obrąbywali gałęzie, oczyszczaliśmy pnie z sęków i zbierali je na kupę. Najtrudniejsze było zwalenie drzewa tak, aby gruby jego koniec pozostał przy pniu, by uratować go przed śniegiem, ale dziesiętnik wiedział, że wywóz drzew będzie terminowy, że nadejdą traktory, wiedział, że na początku zimy nie będzie głębokiego śniegu, który przykryłby te zwalone drzewa, i nie zawsze wymagał, aby podnosić drzewo na pień. Coś zadziwiającego czekało na mnie dopiero wieczorem. Kolacja na Diamentowym Źródle - to było śniadanie,

obiad i kolacja: połączone razem wcale nie wyglądały obficie i bardziej sycąco niż jakikolwiek obiad czy kolacja na kopalni. Mój żołądek upewniał mnie uporczywie, że ogólna kaloryczność i zdolność odżywcza jest mniejsza niż na kopalni, gdzie otrzymywaliśmy mniej niż połowę należnych nam racji - reszta zatrzymywała się w miskach naczelników, obsługi i błatniaków. Ale ja nie wierzyłem mojemu wygłodzonemu na Kołymie żołądkowi. Jego oceny były przesadzone albo w jednym, albo w drugim kierunku - chciał zbyt wiele, zbyt nieustępliwie wymagał, był nadmiernie stronniczy. Po kolacji nikt, nie wiadomo dlaczego, nie kładł się spać, wszyscy na coś czekali. Na apel? Nie, apeli tu nie było. Wreszcie drzwi się otworzyły i wszedł nasz niestrudzony dziesiętnik z papierem w rękę. Sprzątający zdjął benzynową kopciłkę z góry nar i postawił ją na stole wkopanym pośrodku baraku. Dziesiętnik usiadł przy świetle.

- Co to ma być? - spytałem sąsiada.

- Procenty za dzień dzisiejszy - powiedział sąsiad i z tonu jego głosu wyłowiłem coś takiego, co mnie przestraszyło - taki ton słyszało się w bardzo poważnych sytuacjach, kiedy ofiarom trzydziestego ósmego roku mierzono wyniki ich każdego dnia pracy na zasadzie „indywidualnego pomiaru”. Nie mogłem się mylić. Tutaj było coś takiego, czego jeszcze nie znałem, jakaś

niebezpieczna nowość. Dziesiętnik, nie spoglądając na nikogo, odczytał znudzonym głosem nazwiska i procenty wypełnienia norm przez każdego, zwinął papierek i wyszedł. Barak milczał. W ciemności słychać było tylko ciężkie oddechy kilku dziesiątków ludzi.

- U kogo się zmniejszyło - wyjaśnił poweselały sąsiad - temu jutro nie wydadzą chleba.

- Zupełnie?

- Zupełnie!

Czegoś takiego rzeczywiście nigdy i nigdzie nie spotkałem. Na kopalniach racje żywnościowe określane były według tego, co wypracowała brygada w czasie dekady. W najgorszym przypadku karny przydział, ale nie pozbawiano całkowicie chleba. Rozmyślałem w napięciu. Chleb - to nasze podstawowe tutaj wyżywienie. W chlebie otrzymujemy połowę wszystkich kalorii. Natomiast strawa - to rzecz nieokreślona - jej wartość odżywcza uzależniona od tysiąca różnych przyczyn - od uczciwości kucharza, od jego sytości, jego pracowitości, gdyż kucharzowi-próżniakowi pomagają robociarze których on podkarmia; od sprzątającego, sytości i przyzwoitości konwojentów; od istnienia lub nieobecności błatniaków. I w końcu wydarzenia zupełnie przypadkowe - czerpak rozdawcy, podchwytyjący jedynie samą wodę, może sprowadzić całą wartość gorącej strawy do zera. Oczywiście

obrotny dziesiętnik wyliczał procenty „z sufitu”. I wtedy dałem sobie słowo: jeżeli mnie dotknie to pozbawienie chleba jako metoda oddziaływania - nie będę czekać. Minał tydzień, w czasie którego pojąłem, dlaczego procenty przechowywane są u dziesiętnika pod łóżkiem. O szaliku on nie zapomniał.

- Słuchaj, Andriejew, sprzedaj mi szalik.

- Podarowany, obywatelu naczelniku.

- Nie rozśmieszaj mnie.

Ale ja kategorycznie odmówiłem. Tego samego wieczoru znalazłem się na liście tych, co nie wypracowali normy. Nie zamierzałem niczego udowodniać. Rano rozwiązałem swój szalik i odniosłem go naszemu szewcowi.

- Tylko uważaj, wyparz go.

- Wiem, nie jestem dzieckiem - wesoło odpowiedział szewc, ciesząc się ze swojego nieoczekiwanego nabytku. Szewc dał mi za szalik porcję chleba, pięćsetkę. Odłamałem od niej kawałek i schowałem resztę za pazuchę. Napiłem się wrzątku i wyszedłem ze wszystkimi do pracy, ale pozostawałem nieco w tyle, a potem skręciłem z drogi do lasu i okrążając z daleka naszą osadę, poszedłem wzdłuż tej samej drogi, którą przyszedłem miesiąc temu. Szedłem w odległości pół wiorsty od ścieżki, śnieg, który upadł, nie utrudniał mi marszu, myśliwskich psów czarnobrody dziesiętnik nie posiadał i dopiero później dowiedziałem się, że zdażył on

przybiec na nartach do budki przewoźnika - bo czarna rzeka nie zamarzała tutaj na długo - i zdążył dać znać do łagru o mojej ucieczce przez udających się tam konwojentów. Usiadłem na śniegu i zacisnąłem szmatkami burki poniżej kolan. Ten rodzaj obuwia był tylko z nazwy „burkami”. Był to miejscowy model - ekonomiczna produkcja czasów wojny. Burki wykrawano setkami tysięcy ze starych, znoszonych, watowanych spodni. Podeszwa wykonana była z tego samego materiału, przestemblowanego kilkakrotnie i zaopatrzonego w tasiemki. Do burek wydawano flanelowe onuce - w taki sposób obuwano robotników wydobywających złoto przy 50, 60 stopniowym mrozie. Takie burki rozłaziły się po kilku godzinach pracy w lesie - rozrywały się o sęki, gałęzie; po kilku zaś dniach - przy pracy w złotym wyrobisku. Dziury w burkach łatanie były „na żywą nitkę” w warsztatach szewskich pracujących w nocy. Do rana „naprawa” była zakończona. Na podeszwę naszywano warstwę za warstwą, aż ostatecznie stawała się bezkształtna, podobna do brzegu górskiej rzeki, obnażonego po obвале. W takich burkach, z kijem w ręce szedłem w kierunku rzeki - kilka kilometrów powyżej przeprawy. Spełzłem z kamiennej stromizny i pod moimi stopami zachrzęścił lód. Przegrodziła mi drogę luka w lodzie, której końca nie było widać. Lód nadłamał się i lekko

wstąpiłem w dymiącą się perlístą wodę, a moja podeszwa wyczuła wypukłe kamienie dna. Podniosłem wysoko nogę - oblodzone burki zabłyszczały, stąpiłem głębiej, powyżej kolan i pomagając sobie kijem, przepравиłem się na drugą stronę. Tam dokładnie obiliśmy burki kijem, zdrapałem z nich lód, a także ze spodni - nogi były suche. Pomacałem kawałek chleba za pazuchą i poszedłem wzdłuż brzegu. Po jakichś dwóch godzinach wszedłem na drogę. Przyjemnie było iść bez zawszawionego szalika - gardło i szyja jakby odpoczywały, okryte starym ręcznikiem, który szwec dał w zamian za mój szalik. Szedłem bez obciążenia. To bardzo ważne przy długich przemarszach - i zimą, i latem - aby ręce były swobodne. Ręce uczestniczą w ruchu i podobnie jak nogi rozgrzewają się w ruchu. Nie należy tylko niczego nieść w rękach - nawet ołówek wyda się nieznośnym ciężarem po dwudziestu-trzydziestu kilometrach. O tym wszystkim już od dawna i dobrze wiedziałem. Wiedziałem też o czymś innym: jeżeli człowiek potrafi przenieść jedną ręką jakiś ciężar na odległość kilku kroków - to może nieść, taszczyć ten ciężar bez końca - pojawi się drugi, trzeci, dziesiąty oddech. Ja sam jestem „dochodnikiem” - dojdę wszędzie. Po równej drodze zimą idzie się nawet łatwiej niż latem, jeżeli mróz nie jest zbyt silny. Nie myślałem o niczym, a i

myśleć na mrozie nie można - mróz usuwa myśli i przemienia cię w zwierza. Szedłem, na nic nie licząc, chciałem jedynie wydostać się z tej przeklętej delegatury bez konwoju. Przy trzydziestu kilometrach od łagru, przy drodze, w izdebce mieszkali drwale i tam liczyłem na odegrzanie się, a jeśli się uda, na nocleg. Było już późno, gdy dotarłem do tej izdebki, otworzyłem drzwi i przekroczywszy mroźną parę, wszedłem do środka. Spoza rosyjskiego pieca podniósł się na moje spotkanie człowiek - znajomy mi brygadzysta drwali Stiepan Żdanow, oczywiście z więźniów.

- Rozbieraj się, siadaj.

Powoli rozbrałem się, rozzułem i rozwiesiłem odzież koło pieca. Stiepan otworzył drzwiczki piecyka i włożywszy rękawice, wyciągnął stamtąd garnek.

- Siadaj i jedz. - podał mi chleb i zupę. Położyłem się spać na podłodze, ale nie zasnąłem od razu - doskwierały mi nogi i ręce. Skąd i dokąd idę - Stiepan nie pytał. Ocenilem na zawsze jego delikatność. Nigdy już więcej go nie widziałem. Ale i teraz wspominam gorącą pszeniczną zupę, zapach przypalonej kaszy, podobny do zapachu czekolady, smak ustnika fajki, wyciągniętego do mnie po obtarciu go rękawem, abym „dymnął” na drogę. Mglistym zimowym wieczorem dotarłem do łagru i usiadłem w śniegu nieopodal wrót. Oto zaraz wejść i wszystko się skończy. Skończą się te

cudowne dwa dni wolności po wielu latach
 więzienia - i znowu wszy, znowu lodowate
 kamienie, biała para, głód i bicie.
 Właśnie wszedł przez wachtę do łagru
 aktor z kultbrygady - samotny
 bezkonwojnik. Znałem go. Przyszli
 robotnicy z tartaku - przytupują, aby
 nie zmarznąć, a konwojent wszedł na
 wachtę, do ciepła, i nie spieszy mu się.
 Wszedł naczelnik łagru lejtnant
 Kozaczew, rzucił niedopałek „kazębka” w
 śnieg i od razu rzucili się tam drwale
 stojący koło wachty. Już czas. Całą noc
 nie będziesz siedzieć. Trzeba starać się
 doprowadzić do końca wszystko, co się
 zaplanuje. Pchnąłem drzwi i wszedłem do
 przejścia. Trzymałem w ręku oświadczenie
 skierowane do naczelnika o tych
 wszystkich porządkach panujących na
 bezkonwojowej delegaturze. Kozaczew
 przeczytał oświadczenie i odesłał mnie
 do izolatora. Spałem tam, dopóki nie
 wezwano mnie do śledczego, ale tak jak
 myślałem, nie zaczęli mi „robić sprawy”
 miałem zbyt duży wyrok.

- Pojedziesz do karnej kopalni -
 powiedział śledczy. Odesłano mnie tam po
 kilku dniach - na centralnym punkcie
 tranzytowym nie trzymano ludzi długo.

ZIELONY PROKURATOR

Wszystko nabrało innego wymiaru i każcie
 ludzkie pojęcie, zachowując swą treść w
 mowie i w piśmie w postaci znanego

układu liter i dźwięków, zawiera w sobie coś innego, co na „kontynencie” nie ma imienia: przykłada się tu inne miary, inne są obyczaje i nawyki; zmieniło się znaczenie każdego słowa. W tych przypadkach, kiedy nowego wydarzenia, uczucia, pojęcia nie sposób wyrazić zwykłymi ludzkimi słowami, rodzi się słowo nowe, zapożyczone z języka błatniaków - dyktatorów mody i gustów na Dalekiej Północy. Metamorfozy znaczeniowe dotyczą nie tylko takich pojęć, jak Miłość, Rodzina, Charakter, Honor, Praca, Cnota, Wada, Prześwinstwo, ale również charakterystycznych dla tego świata i w nim zrodzonych - na przykład Ucieczka... We wczesnej młodości zdarzyło mi się czytać o ucieczce Kropotkina z Twierdzy Pietropawłowskiej. Elegancka dorożka podstawiona przed więzienne wrota, a w niej przebrana dama z rewolwerem w rękach, odliczenie kroków do drzwi wartowni, bieg aresztanta pod kulami strażników, stukot kopyt rysaka po kamiennym bruku - to była niewątpliwie ucieczka w klasycznym stylu. Później przeczytałem wspomnienia zesłańców z Jakucji, z Wierchojańska i gorzko się rozczarowałem. Żadnego przebierania się, żadnej pogoni! Jazda w czasie zimy końmi, zaprzężonymi „gęsiego”, jak w „Córce kapitana”, przybycie na stację kolei żelaznej, kupno biletu w kasie... Nie rozumiałem, dlaczego nazywa się to „ucieczką”. Tego

rodzaju ucieczkom dawano niegdyś nazwę „samowolne oddalenie się z miejsca pobytu”, i według mnie taka formuła lepiej oddaje istotę rzeczy niż romantyczne słowo „ucieczka”. Nawet ucieczka esera Zienzinowa z Zatoki Opatrzności, kiedy amerykański jacht podpłynął do łódki, z której łowił on ryby, i wziął uciekiniera na pokład, nie wygląda jak prawdziwa ucieczka - tak jak w wypadku Kropotkina. Na Kołymie zawsze było dużo ucieczek i zawsze - nieudanych. Przyczyną tego są szczególne właściwości tego surowego, polarnego kraju, którego nigdy nie zdecydowały się zasiedlić więźniami rzady, tak jak na Sachalinie, po to, ażeby „zagospodarować” ten kraj, „skolonizować” go. Odległość do „kontynentu” liczona była tysiącami wiorst, „najwęższe” miejsce, taka „próżnia” w tajdze - odległość do najbliższych osiedli górniczych Dalstroju i Ałdanu - to około tysiąca kilometrów głuchej tajgi. To prawda, że w kierunku Ameryki odległości były znacznie mniejsze - Cieśnina Beringa w swoim najwęższym miejscu ma tylko trochę ponad sto kilometrów - ale za to straż na tym kierunku, uzupełniona oddziałami wojsk pogranicza, była absolutnie „nie do przejścia”. Pierwotna droga doprowadzała do Jakucka, a stamtąd dalej, albo końmi, albo wodą - linii lotniczych jeszcze wtedy nie było, a

przy tym nie ma nic prostszego, niż zamknąć samoloty na głucho. To zrozumiałe, że w czasie zimy żadne ucieczki się nie zdarzają; przeżycie zimy pod dachem, gdzie jest żelazny piecyk - to namiętne marzenie każdego aresztanta, i nie tylko jego. Niewola staje się nie do zniesienia wiosną - tak bywa zawsze i wszędzie. Tutaj do tego naturalnego „meteorologicznego” czynnika, tak skrajnie oddziałującego na zmysły człowieka, dołącza i rozważa zrodzona przez chłodną logikę rozumu. Podróżowanie po tajdze możliwe jest tylko latem, kiedy można - gdy produkty się skończą - jeść trawę, grzyby, jagody, korzenie roślin, piec placki z rozartego na mąkę mchu reniferowego, łowić myszy polne, burunduki, wiewiórki, orzechówki, zające... Jakkolwiek chłodne by były letnie noce w krainie wiecznej zmarzliny, to jednak doświadczony człowiek nie przeziębii się, jeżeli urządzi sobie nocleg na jakichkolwiek kamieniach. Jeśli będzie w odpowiednim czasie przewracać się na drugi bok, nie będzie spać na plecach, podścieli sobie trawę czy gałązki... Ucieczka z Kołymy jest niemożliwa. Miejsce pod łagry wybrane zostało genialnie. A jednak moc iluzji, za którą płaci się ciężkimi dniami karczeru, dodatkowym wyrokiem, biciem, głodem, a często i śmiercią - ta moc działa i tutaj, jak wszędzie i zawsze. Ucieczek bywa bardzo wiele.

Zaledwie odrosty modrzewi pokryją się szmaragdem - a już uciekinierzy „ida”. Są to prawie zawsze nowicjusze-pierwszorocznicy, w których sercach nie została zabita wola, miłość własna i których rozsądek nie rozpoznał jeszcze warunków Dalekiej Północy, zupełnie niepodobnych do znanego im świata na „kontynencie”. Nowicjusze znieważeni są tym, co widzieli, do głębi duszy - biciem, dręczeniem, znęcaniem się, deprawacją człowieka... Nowicjusze uciekają - jeden sprawniej, drugi mniej - ale wszystkich spotyka ten sam koniec. Jednych chwytają już po dwu dniach, drugich - po tygodniu, innych - po dwóch... Te wędrówki uciekinierów „z ukierunkowaniem” (ten termin później zostanie wyjaśniony) dłużej nie trwają. Ogromna ilość etatowego konwoju i „operatywki” wraz z tysiącami owczarków niemieckich oraz z oddziałami wojsk pogranicza i ta armia, która rozmieszczona na Kołymie skrywa się pod nazwą „kołympułku” - wystarcza, aby wyłapać stu ze stu możliwych uciekinierów. Jakże więc możliwa staje się ucieczka i czy nie prościej skierować siły „operatywki” na bezpośrednie pilnowanie, a nie na łowy na ludzi? Względy ekonomiczne wykazują, że utrzymywanie etatowych „łowców czaszek” jest jednak mniej kosztowne niż „głuche” pilnowanie więziennego typu. Zapobieganie samej ucieczce jest

niezwykle trudne. Nie pomoże tu też gigantyczna sieć informatorów spośród samych więźniów, którym naczalstwo wypłaca się machorkowymi papierosami i „zupką”. To sprawa psychiki człowieka z jej zawiłościami i odchyleniami, i niczego tu się nie da przewidzieć - kto i kiedy zdecyduje się na ucieczkę. To, co zdarza się w rzeczywistości, w niczym nie jest podobne do zamierzeń. Oczywiście istnieją w tej mierze zabiegi profilaktyczne - areszty, umieszczanie w karnej zonie, w tym „więziennym więzieniu”, przenoszenie podejrzanych z miejsca na miejsce - wypracowano bardzo wiele „przedsięwzięć”, które prawdopodobnie mają wpływ na zmniejszanie się liczby ucieczek - i być może byłoby ich jeszcze więcej, gdyby nie było karnych zon, z pewną i wieloosobową strażą rozmieszczoną daleko w głuszy. Ale z karnych zon też uciekają, natomiast na bezkonwojowych delegaturach nikt tego nie próbuje. W łagrze bywa wszystko. Wiąże się z tym wnikliwe spostrzeżenie Stendhala w "Pustelni parmeńskiej", że „więziennik mniej myśli o swoich kluczach niż aresztant o swoich kratkach” - spostrzeżenie trafne i słusze.

Ech, Kołyma, ty, Kołyma
Cudnaś ty planeta.
Prawie cały czas jest zima,
Cała reszta lato.

Dlatego, gdy nadchodzi wiosna, wszyscy się przygotowują i operatywka zwiększają etatowe stany ludzi i psów, jednych i drugich przyuczają; aresztanci chowają konserwy i suchary, dobierają sobie „partnerów”...Istnieje tylko jeden przypadek klasycznej ucieczki z Kołomy, starannie przemyślanej i przygotowanej, zrealizowanej z talentem i bez pośpiechu- jest to właśnie ten wyjątek, który potwierdza regułę. Ale i ta ucieczka pozostawiła za sobą wijącą się nitkę, posiadającą koniec, niewiele zdawałoby się nieistotne zaniedbanie, które pozwoliło odnaleźć uciekiniera - ni mniej, ni więcej, aż po dwu latach. Jak widać miłość własna Vidoców i Lecoqów była silnie urażona i udzielono tej sprawie znacznie więcej uwagi oraz sił i środków, niż to robiono w zwykłych przypadkach. Ciekawe, że człowiek, który „poszedł na ucieczkę”, realizując ją z bajeczną energią i pomysłowością, wcale nie był „politycznym” aresztantem i nie był też „błatniakiem” - specjalistą w takich sprawach. Był osądzonym na dziesięć lat oszustem. To zrozumiałe. Ucieczka „polityka” zawsze wykazuje związek z nastawieniem „woli” i, podobnie jak więzienna głodówka, czerpie siły z takiego związku. Trzeba wiedzieć, dobrze wiedzieć zawczasu - po co i dlaczego uciekasz. Jakiż „polityk” 1938 roku mógł odpowiedzieć na takie pytanie? Ludzie przypadkowi w polityce nie

uciekają z więzień. Mogliby uciekać do rodzin, do znajomych, ale w trzydziestym ósmym roku oznaczało to wystawić na ciosy represji wszystkich, na kogo spojrzą na ulicy. Tu nie wykręcisz się ani piętnastoma, ani dwudziestoma latami. Wystawienie na śmiertelne niebezpieczeństwo życia bliźnich i znajomych - to jedyny możliwy rezultat ucieczki takiego „polityka”. Trzeba przecież, żeby go ktoś chował, ukrywał i pomagał. Pomiędzy „politykami” 1938 roku takich ludzi nie było. W rzadkich przypadkach powrotu po zakończeniu wyroku pierwszym, co robiły ich własne żony, było sprawdzenie prawdziwości i prawomocności dokumentów powracającego z łagru, a potem, na wyścigi z właścicielem odnajmowanego mieszkania, bieg na milicję, aby zaawiadomić naczalstwo o przybyciu męża. Rozprawa z przypadkowymi, niewinnymi ludźmi była bardzo prosta. Zamiast upomnieć, uprzedzić, męczono ich, a potem dawano dziesięć, dwadzieścia lat „odległych taborów” albo katorgi czy więzienia. Pozostawało tylko umierać. I umierali, nie myśląc o żadnych ucieczkach, wykazując kolejny raz narodową cechę cierpliwości, sławioną jeszcze przez Tiutczewa i bezwstydnie odnotowywaną przez polityków wszystkich szczebli. Błatniacy nie uciekali, gdyż nie wierzyli, że dotrą do „kontynentu”. A przy tym wiedzieli, że wywiadowcy

milicyjni i ludzie z łagrowego aparatu, doświadczeni pracownicy, rozpoznają ich jakimś szóstym zmysłem, zapewniając, że błątniacy noszą na sobie jakieś kainowe piętno, które jest nie do ukrycia. Najbardziej jaskrawym wyjaśnieniem, jak działa ten szósty zmysł, był przypadek, kiedy ponad miesiąc łowiono zabójcę i grabieżcę na kołymskich drogach - z rozkazem natychmiastowego rozstrzelania po rozpoznaniu. Operatywnik Siewastjanow zatrzymał w pobliżu stacji benzynowej nieznanego człowieka w baranym kożuchu i gdy człowiek ten odwrócił się, Siewastjanow strzelił mu prosto w łeb. I chociaż Siewastjanow nigdy nie widział jego twarzy, chociaż działo się to zimą i uciekinier był ubrany w zimową odzież, chociaż cechy podane operatywnikowi miały bardzo ogólny charakter (nie będziesz przecież oglądać tatuażu każdego spotkanego na drodze), a fotografia była źle wykonana, niewyraźna, to jednak wycucie nie zawiodło Siewastjanowa. Spod poły zabitego wypadł obcięty karabin, a w kieszeni znaleziono browning. Jak ocenić energię zadziałania tego szóstego zmysłu? Jeszcze minuta i Siewastjanow sam zostałby zastrzelony. A jeśli zastrzeliliby niewinnego człowieka? Do ucieczki na „kontynent” błątniacy nie znajdowali w sobie ani siły, ani chęci. Zważywszy na wszystkie „za” i „przeciw”, świat przestępczy zdecydował nie

ryzykować, a jedynie ograniczyć się do urzędzenia się w nowych miejscach – co, oczywiście, było rozsądne. Uciezki z tych miejsc wydawały się kryminalistom zbyt śmiałą awanturą, niepotrzebnym ryzykiem. Któż więc będzie uciekać? Wieśniak? Pop? Zdarzyło mi się spotkać tylko jednego popa-uciekiniera, a do tego uciezka ta zdarzyła się przed tym słynnym spotkaniem patriarchy Siergieja z Bullittem, kiedy przekazano pierwszemu amerykańskiemu posłowi z rąk do rąk listy słynnych duchownych odbywających wyroki więzienia i zesłania na całym terytorium Związku Radzieckiego. Patriarcha Siergiej, w czasie gdy był on metropolitą, sam zaznajomił się z więzieniem butyrskim. Po Rooseveltowskim demarche wszystkie osoby duchowne, co do jednej, zostały zwolnione z więzień i zesłania. Projektowany był konkordat z uwagi na zbliżającą się wojnę. A może osadzony za przestępstwo kryminalne – deprawację nieletnich, defraudację, łapówki, zabójstwo? Dla nich uciezka nie miała żadnego sensu. Ich wyrok, „termin” według wyrażenia Dostojewskiego, był zazwyczaj niewielki, w czasie pozbawienia wolności korzystali z wszelkich udogodnień i pracowali w łagrowej „obsłudze”, w łagrowej administracji i w ogóle na wszystkich uprzywilejowanych stanowiskach. Zaliczenie pracy skracające ich pobyt w łagrze mieli dobre, a co najważniejsze –

po powrocie, do wioski i do miast, spotykali się z życzliwością. Nie dlatego że życzliwość jest cechą narodu rosyjskiego, współczującego „nieszczęśnikom”; współczucie do nich już dawno odeszło w krainę baśni, stało się miłą i literacką bajeczką. Czasy się zmieniły. Wielkie zdyscyplinowanie społeczeństwa podpowiadało „prostym ludziom” rozżalenie stosunku „władzy” w tym przedmiocie. Stosunek ten był jak najbardziej życzliwy, ten „kontyngent” bowiem wcale nie niepokoił naczalstwa. Nienawidzić należało jedynie „trockistów”, „wrogów ludu”. Była i druga, również ważna przyczyna obojętnego stosunku do powracających z więzień. Trzymano w nich tak wiele ludzi, że nie było chyba w kraju ani jednej rodziny, której członkowie lub ich znajomi nie byliby ścigani i represjonowani. Po szkodnikach nadeszła kolej na kułaków, po kułakach - na trockistów, po trockistach - na ludzi o niemieckich nazwiskach. Mało brakowało, aby została ogłoszona wyprawa krzyżowa przeciwko Żydom. Wszystko to doprowadziło ludzi do stanu wielkiego zubożenia, wyrobiło obojętność w stosunku do tych napiętnowanych przez kodeks karny, jakimkolwiek jego paragrafem. Jeżeli w dawnych czasach człowiek, po bytności w więzieniu i powrocie do rodzinnej wioski, wywoływał postawę czujności, wrogości, pogardy lub

też - jawnego czy tajonego współczucia, to teraz na takich ludzi nikt nie zwracał uwagi. Moralna izolacja „napiętnowanych katorżan” od dawna pograżyła się w niebycie. Ludzie wychodzący z więzienia - pod warunkiem że za zezwoleniem naczalstwa - witani byli jak najserdeczniej. W istocie każdy szubarowiec, który zdeprawował i zaraził syfilisem swoją małoletnią ofiarę, mógł po odbyciu wyroku liczyć na pełną „duchową” swobodę w tych kręgach, w których wcześniej się obracając, „wychylił się poza ramy” kodeksu karnego. Beletrystyczna interpretacja kategorii prawnych odegrała tu niepoślednią rolę. Nie wiadomo dlaczego, w charakterze teoretyków prawa występowali pisarze i dramaturdzy. A więźniowie i łagrowa praktyka pozostawała księgą zamkniętą na siedem pieczęci; z raportów sporządzanych na drodze służbowej nie wyprowadzono żadnych wniosków... Po co więc mieli uciekać z łagrów przestępcy niepolityczni? Nie uciekali pokładając całe zaufanie w staraniach naczalstwa. Tym bardziej dziwna była ucieczka Pawła Michajłowicza Kriwoszeja. Krępy, krótkonogi, z grubą szyją, łączącą się w jedno z tyłem głowy, Paweł Michajłowicz nie na darmo nosił swoje nazwisko. Inżynier-chemik w jednej z charkowskich fabryk, doskonale znał kilka obcych języków, wiele czytał, dobrze znał się na malarstwie i rzeźbie, miał dużą

kolekcję antyków. Będąc wyróżniającą się osobistością wśród specjalistów Ukrainy, bezpartyjny inżynier Kriwoszej do głębi duszy pogardzał wszystkimi wszelakiego rodzaju politykami. Mądrala i chytrus, już od młodszych lat chowany był w namiętym pragnieniu rozkoszowania się życiem, nie przez dorabianie się - to byłoby dla Kriwoszeja zbyt ordynarne, niemądre - rozumiał to po swojemu, a oznaczało to - wypoczynek, rozpustę. Przyjemności duchowe nie były w jego guście. Kultura i wysoki poziom wiedzy otwierały przed nim, na równi z materialnym dostatkiem, większe możliwości w zaspokajaniu niskich, nikczemnych pragnień i potrzeb. Dobrego rozumienia malarstwa Paweł Michajłowicz także nauczył się, aby podnieść swoją wartość, zająć wysokie miejsce pomiędzy znawcami i koneserami, aby nie zblamować się przed kolejnym obiektem swoich uczuciowych zainteresowań, czy to żeńskiej, czy to męskiej płci. Malarstwo samo w sobie ani trochę go nie poruszało, ale uważał za swój obowiązek móc wyrazić własny pogląd nawet na kwadratową salę Luwru. Podobnie i literatura, którą czytywał przeważnie po francusku lub po angielsku i głównie dla wprawy w językach - literatura sama w sobie mało go interesowała. Jedną powieść mógł czytać nieskończenie długo - po jednej stroniczce na sen. Ale już niepodobna było pomyśleć, aby mogła

istnieć taka książka na świecie, którą Paweł Michajłowicz czytałby do samego rana. Swojego snu strzegł on starannie i żadna powieść detektywistyczna nie mogła naruszyć wymierzonego, Kriwoszejewskiego reżimu. W muzyce Paweł Michajłowicz był zupełnym profanem. Nie miał słuchu, a o rozumieniu muzyki w stylu Błoka nie zdarzyło mu się nawet słyszeć. Ale Kriwoszej już dawno zrozumiał, że brak mu słuchu muzycznego to „nie wada, lecz nieszczęście” - i pogodził się z tym. W każdym razie starczało mu cierpliwości, aby wysłuchać jakiejś fugi czy sonaty i podziękować wykonawcy, a raczej wykonawczyni. Cieszył się znakomitą zdrowiem, ciałem o budowie zawodnika, ze skłonnością do tycia, co zresztą nie groziło mu w łagrze. Kriwoszej urodził się w 1900 roku. Zawsze nosił okulary w rogowej oprawie lub zupełnie bez niej, okrągłe szkła. Powolny w ruchach, niezgrabny, z wysokim, łysiejącym czołem, Paweł Michajłowicz był niebywale okazałą figurą. Tkwiło prawdopodobnie też w nim wyrachowanie - wyniosłe maniere robiły wrażenie na naczelnikach i powinny były ulżyć losowi Kriwoszeja w łagrze. Pozbawiony uczucia dla sztuki, pozbawiony emocji twórcy czy odbiorcy sztuki, Kriwoszej odnalazł siebie w działalności zbieracza, w antykach. Oddał się temu z całą pasją - było to zyskowne i ciekawe oraz przysparzało Kriwoszejowi nowych znajomości. A

wreszcie takie hobby uszlachetniało
nikczemne prowadzenie się inżyniera.
Inżynierska pensja - według „specstawki”
tamtych czasów - stała się
niewystarczająca, aby prowadzić życie na
tak wysokiej stopie, jak to robił Paweł
Kriwoszej, antykwariusz-amator.
Potrzebne były odpowiednie środki -
państwowe, a już na to Paweł
Michajłowicz decydował się łatwo.
Otrzymał rozstrzał, zamieniony na
dziesięć lat - wyrok olbrzymi w środku
lat trzydziestych. Musiały więc tam być
milionowe oszustwa. Majątek jego został
skonfiskowany i poszedł pod młotek, ale
oczywiście taki finał został już
wcześniej przewidziany przez Pawła
Michajłowicza. Byłoby dziwne, gdyby
Kriwoszej nie potrafił ukryć kilkuset
tysięcy. Ryzyko było niewielkie, a
rachunek prosty. Kriwoszej,
„niepolityczny”, odsiedzi jako
„przyjaciół ludu” połowę wyroku, albo i
jeszcze mniej, i wyjdzie albo na
podstawie zaliczeń pracy skracających
odbywanie wyroku, albo na podstawie
amnestii, i będzie wydawać przechowane
pieniądze. Jednakże w „kontynentalnym”
łagrze trzymano Kriwoszeja niedługo -
odwieziono go, jako więźnia z
długoterminowym wyrokiem, na Kołymę.
Skomplikowało to jego plany. Co prawda
to, że liczył na „paragraf” i na pańskie
maniere, sprawdziło się w zupełności i
Kriwoszej nie był ani jednego dnia na

„robotach ogólnych” w kopalnianym wyrobisku. Wkrótce skierowano go, zgodnie z jego specjalnością inżyniera, do laboratorium chemicznego Arkagalińskiego Rejonu Górniczego. Były to czasy, kiedy jeszcze nie odkryto słynnego czajurjińskiego złota i na miejscu licznych osiedli z tysiącami mieszkańców stały jeszcze stare modrzewie i sześćsetletnie topole. Były to czasy, kiedy nikt jeszcze nie myślał, że samородki z doliny At-Urjachskiej mogą się wyczerpać albo gdzie indziej mogą być lepsze; życie nie przesunęło się jeszcze na północny zachód w kierunku ówczesnego bieguna zimna - Ojmjakona. Kończono wydobywanie w starszych kopalniach i otwierano nowe. Życie kopalni - to sprawa czasu. Węgiel Arkagały - przyszłego arkagalińskiego zagłębia - był wysuniętą placówką poszukiwaczy złota i przyszłą bazą paliwową kraju, usytuowaną wokół maleńkiej sztolni, w której, stanawszy na szynach, można było dosięgnąć dachu, sufitu sztolni drażonej ekonomicznie, „po tajgowemu”, jak mówiło naczalstwo. Sztolni ręcznej roboty - wykonanej kilofem i łopata, podobnie jak wszystkie ówczesne tysiąc wiorstowe drogi Kołymy. Drogie były kopalnie tych pierwszych lat - drażone ręcznie, gdzie stosowano tylko jeden rodzaj mechanizmów: „maszynę OSO - dwie ręczki i kółko”; aresztancka praca - tanizna. Geologiczne grupy

poszukiwaczy zachłystywały się jeszcze złotem Susumana, złotem Górnego At-Urjacha. Ale i Kriwoszej doskonale to zrozumiał – geologiczne marszruty wyjąda poza okolice Arkagały i przesuną się dalej w kierunku Jakucka. W ślad za geologami przyjdą cieśle, górnicy, straż...Trzeba się było spieszyć. Minęło kilka miesięcy i do Pawła Michajłowicza przyjechała z Charkowa jego żona. Nie przyjechała ona jednak na widzenie się z nim, przyjechała w ślad za mężem, powtarzając bohaterski czyn żon dekabrystów. Żona Kriwoszeja nie była ani pierwszą, ani ostatnią spomiędzy „rosyjskich bohatererek” – na Kołymie szeroko jest znane imię Fainy Rabinowicz. Rabinowicz – to wybitny geolog. Jej los – to wyjątek. Żony, przyjechawszy tutaj, skazywały same siebie na stałe męczarnie wędrówek za mężem, którego co rusz to gdzieś przenosili, i trzeba było rzucać z trudem znaną pracę i jechać w krainę pełną niebezpieczeństw dla kobiety, gdzie może spotkać się z gwałtem, grabieżą, znęcaniem się... Ale nawet bez konieczności takich podróży każdą taką męczennicę oczekiwało ordynarne nadszkakiwanie i czepianie się naczałstwa, od najwyższego poczynając, a kończąc na jakimkolwiek konwojencie, który już zasmakował kołymskiego życia. Propozycje uczestniczenia w pijackim towarzystwie kawalerów były udziałem

wszystkich bez wyjątku kobiet i jeżeli więźniarce wydawano po prostu komendę - „rozbieraj się i kładź!” - bez żadnych tam Puszkiców czy Szekspirów - i zarażano ją syfilisem, to traktowanie żon zeków było jeszcze bardziej swobodne. Przy zgwałceniu więźniarki bowiem można się było napatoczyć na donos swojego przyjaciela lub konkurenta, podwładnego lub naczelnika, a za „miłość” z żonami zeków, jako z osobami prawnie niezależnymi, nie można było dopasować żadnego paragrafu. Najważniejsze, że cała ta podróż, trzydzieści tysięcy wiorst, okazywała się zupełnie bezsensowna: żadnych widzeń z mężem biednej kobiecie nie dawano, a obietnice na takie zezwolenie służyły ułatwieniu własnych zaleceń. Niektóre żony przywoziły pozwolenie z Moskwy na widzenie raz na miesiąc, pod warunkiem przykładowego zachowania się męża i wypracowania normy. Oczywiście bez możliwości wspólnego noclegu, przy obowiązkowej obecności łagrowego naczelnika. Prawie nigdy nie udawało się żonie znaleźć pracy w tym samym osiedlu, gdzie odbywał wyrok jej mąż. A jeśli już, wbrew wszelkim oczekiwaniom, udawało jej się znaleźć pracę w pobliżu męża - to natychmiast przenoszono go w inne miejsce. Nie było to zabawą naczelników - było to wykonanie instrukcji służbowej - „rozkaz to rozkaz”. Takie przypadki były przez Moskwę przewidziane. Żonie

nie udawało się przekazać żadnych produktów żywnościowych - w tej mierze także istniały nakazy, normy, uzależnienie od rezultatów pracy i zachowania. Przekazać mężowi chleb przez konwojentów? - będą się bać, nie wolno im tego robić. Przez naczelnika? Naczelnik zgadza się, ale żąda zapłaty w naturze - własnym ciałem. Pieniądzy nie potrzebuje, nie wie i tak co z nimi robić, nie darmo od dawna jest „stoprocentnikiem”, tzn. otrzymuje poczwórną pensję. A przy tym mało prawdopodobne, aby taka kobieta miała pieniądze na łapówki, zwłaszcza według kołymskich miar. Takie to właśnie położenie bez wyjścia stwarzano żonom więźniów. A jeżeli jeszcze była ona żoną „wroga ludu”, to od razu przestawano się z nią patyczkować - każde sponiewieranie jej uważane było za zasługę, za wyczyn i oceniane było pozytywnie w sensie politycznym. Wiele żon przyjechało, zawierbowawszy się na trzy lata, i zmuszone były czekać w tym potrzasku na powrotny statek. Te silne duchem - a potrzebna była im ta siła bardziej niż ich mężom-aresztantom - doczekały się końca umowy i odjechały z powrotem, nie zobaczywszy męża. Słabe, wspominając prześladowania na „kontynencie” i bojąc się tam powracać, żyjąc w warunkach rozpasań, odurzenia, pijaństwa, dużych pieniędzy - powychodziły ponownie za mąż, raz i drugi, narodziły dzieci i

machnęły ręką na męża-aresztanta i na samą siebie. Żona Pawła Michajłowicza Kriwoszeja, jak należało się spodziewać, nie znalazła pracy w Arkagale i odjechała po krótkim tam pobycie do stolicy kraju - Magadanu. Urządziwszy się tam w pracy jako księgowa - Angelina Grigorjewna nie posiadała żadnego zawodu, całe swe życie była gospodynią domową - żona Kriwoszeja wyszukała jakiś kąt i zamieszkała w Magadanie, gdzie mimo wszystko było weselej niż w tajdze, w Arkagale. A stamtąd właśnie, do tegoż Magadanu, do naczelnika Oddziału Śledczego mieszczącego się na tej samej, prawie jedynej ulicy, gdzie znajdował się podzielony na przegródki barak dla tych „z rodzinami”, w którym znalazła schronienie Angelina Grigorjewna, poleciała po tajnym przewodzie zaszyfrowana wiadomość: zbiegł z/k Kriwoszej Paweł Michajłowicz, urodzony w 1900 roku, paragraf 163, wyrok 10, numer akt personalnych...Myślano, że ukrywa go żona w Magadanie. Aresztowano ją, ale niczego od niej nie uzyskano. Tak, byłam, widziałam, odjechałam, pracuję w Magadanie. Długa obserwacja i inwigilacja nie dały żadnych rezultatów. Wzmocniono kontrolę odpływających parowców i odlatujących samolotów, ale wszystko na darmo - nie było żadnych śladów męża Angeliny Grigorjewnej. Kriwoszej uciekał w stronę przeciwną do morza, trzymając się kierunku na Jakuck.

Szedł bez obciążenia. Oprócz brezentowego płaszcza, młotka geologicznego i torby z niewielką ilością „próbek” minerałów, zapasu zapalek i pieniędzy nie miał nic ze sobą. Szedł jawnie i bez pośpiechu, drogami jucznych koni, ścieżkami reniferów, trzymając się obozowisk, osad, nie odchodząc daleko w tajgę i zawsze nocując pod dachem – szałas, czumu lub izby... W pierwszym dużym jakuckim osiedlu od razu wynajął robotników, którzy kopali według jego wskazówek „szurfy”, jamy, rowy, jednym słowem wykonywali taką samą pracę jak przedtem, dla prawdziwych geologów. Kriwoszejowi wystarczyło wiedzy, aby być zbieraczem, a przy tym Arkagała, gdzie mieszkał około roku, była ostatnim postojem bazowym wielu grup geologicznych i Kriwoszej przypatrzył się manierom i nawykom geologów. Powolność ruchów, rogowe okulary, codzienne golenie się, opiłowane paznokcie - wszystko to wzbudzało bezgraniczne zaufanie do niego. Kriwoszej nie spieszył się. Zapełniał podręczny zeszyt tajemniczymi znakami, nieco podobnymi do polowych dzienników geologów. Z wolna, niezachwianie posuwał się ku Jakuckowi. Czasami nawet zawracał, odchodził w bok, zatrzymywał się - wszystko to było potrzebne dla zbadania zagłębia wokół źródła „Pstrego” dla uprawdopodobnienia, dla zatarcia

śladów. Nerwy Kriwoszej miał żelazne i przyjazny uśmiech sangwinika nie schodził z jego twarzy. Po upływie miesiąca przeszedł górski grzbiet (Jabłonowy); dwóch Jakutów, przydzielonych mu przez kołchoz dla ważnej rządowej pracy niosło jego torby z „próbkami”. Zaczęli zbliżać się do Jakucka. W Jakucku Kriwoszej zostawił swoje kamienie w przechowalni bagażu na przystani parowców i udał się do miejscowego urzędu geologicznego - z prośbą o pomoc w przesłaniu kilku ważnych przesyłek do Moskwy, do Akademii Nauk. Następnie Paweł Michajłowicz poszedł do łaźni, do fryzjera, kupił drogie ubranie, kilka kolorowych koszul, bieliznę i zczesawszy swoje rzędzące włosy, zgłosił się do wysokiego naukowego naczalstwa, dobrodusznie się uśmiechając. Wysokie naukowe naczalstwo odniosło się do Kriwoszeja życzliwie. Znajomość języków obcych, ujawniona przez niego, wywarła należyte wrażenie. Widząc, że przyjezdny odznacza się wielką kulturą, czego brakowało ówczesnemu Jakuckowi, naukowe naczalstwo ubłagało Kriwoszeja, aby pobył u nich dłużej. W odpowiedzi na pełną zakłopotania replikę Kriwoszeja, że spieszy mu się do Moskwy, naczalstwo obiecało urządzić mu na państwowy koszt przejazd do Irkucka. Kriwoszej, nie tracąc godności, spokojnie podziękował. Ale naukowe naczalstwo miało swoje plany

odnośnie do Pawła Michajłowicza.

- Nie odmówi pan, drogi kolego - mówiło naczalstwo schlebającym tonem - wygłosić ze dwa, trzy wykłady dla naszych pracowników naukowych...o...na dowolny temat, oczywiście według pańskiego wyboru. Może coś na temat złóż węgla na Wyżynie Średnio-Jakuckiej, co? Kriwoszej poczuł ssanie w dołku.

- Oczywiście, z wielką przyjemnością. Ale, jak by to powiedzieć, w dopuszczalnych granicach... Wiadomości, sam pan rozumie, bez zgody Moskwy... W tym miejscu Kirwoszej puścił się w komplementy dla sił naukowych Jakucka. Żaden śledczy nie sformułowałby chytrzej pytania, niż zrobił to jakucki profesor z sympatii dla swojego gościa, dla jego postawy, okularów w rogowej oprawie i chęci jak najlepszego przysłużenia się rodzinnemu krajowi. Wykład odbył się i nawet zebrał sporą liczbę słuchaczy. Kriwoszej uśmiechał się, cytował po angielsku Szekspira, coś tam kreślił, wyliczając dziesiątki zagranicznych nazwisk.

- Niewiele wiedzą ci moskwianie - mówił w bufecie do profesora jego sąsiad z audytorium. - Wszystko, co jest w tym wykładzie z geologii, w gruncie rzeczy znane jest każdemu uczniowi szkoły średniej, czyż nie tak? A analiza chemiczna węgla - to już nie z geologii, no nie? Jedynie okulary błyszczą!

- Proszę tak nie mówić - nachmurzył się profesor - Wszystko to przyda się, a nasz stołeczny kolega posiada niewątpliwy dar popularyzacji. Trzeba będzie go poprosić o powtórzenie tego dla studentów.

- No, chyba tylko dla studentów... pierwszego roku - nie ustępował sąsiad profesora.

- Proszę milczeć. W końcu to uprzejmość, przysługa. Darowanemu koniowi...

Okazując wielką uprzejmość, Kriwoszej powtórzył wykład dla studentów. Wywołał ogólne zainteresowanie i uzyskał w pełni przychylną ocenę słuchaczy. Ze środków jakuckich organizacji naukowych moskiewski gość zawieszony został do Irkucka. Jego kolekcję - kilka skrzyń napełnionych kamieniami - odesłano wcześniej. W Irkucku „kierownikowi ekspedycji geologicznej” udało się odesłać te kamienie pocztą do Moskwy, pod adresem Akademii Nauk, gdzie dotarwszy, przeleżały kilka lat w składach jako tajemnica naukowa, której rzeczywistej wartości nikt się nie domyślił. Przypuszczano, że za tą tajemniczą przesyłką, zebraną przez jakiegoś pomyłonego geologa, który utracił swą wiedzę i zapomniał, jak się nazywa, kryje się jakaś tragedia z za kręgu polarnego, jeszcze dotychczas niewyjaśniona.

- I co najdziwniejsze - mawiał Kriwoszej - że w ciągu mojej prawie

trzymiesięcznej wędrówki nikt i nigdzie – ani w radach koczowisk, ani w wysokich naukowych urzędach – nie pytał o dokumenty. Ja je posiadam, ale nigdzie, ani razu nie miałem okazji ich przedstawić.

Do Charkowa oczywiście nawet nie wtykał nosa. Zatrzymał się w Mariupolu, kupił tam dom i podjął pracę na fałszywych dokumentach. Dokładnie po dwu latach, w rocznicę swojej „wyprawy”, Kriwoszej został aresztowany, sądzony i ponownie skazany na dziesięć lat i skierowany do odbywania kary znowu na Kołymę. Gdzie doszło do przeoczenia, które obróciło wniwecz to prawdziwie bohaterskie działanie, wyczyn wymagający zadziwiającego opanowania, giętkości umysłu, siły fizycznej – wszystkich cech ludzkich jednocześnie? Ucieczka ta jest bezprecedensowa ze względu na staranność jej przygotowania, finezyjną i głęboką koncepcję oraz psychologiczną kalkulację leżącą u podstaw całego przedsięwzięcia. Zadziwia maksymalnie mała liczba osób biorących udział w organizacji tej ucieczki. Od tego właśnie zależało jej powodzenie. Wspaniałość tej ucieczki polega jeszcze na tym, że to w pojedynkę, w bezpośredniej walce z państwem, z tysiącami ludzi uzbrojonych w karabiny, w kraju Czajdonów i Jakutów, przyuczonych do otrzymywania pół puda białej mąki za każdego zbiega – taka była taryfa carskich czasów, również

potem prawomocna - wystąpił człowiek słuszenie mogący widzieć w każdym spotkaniem na drodze donosiciela i tchórza - wystąpił do walki, walczył i zwyciężył! Gdzież więc było to przeoczenie, które zgubiło tak błyskotliwie pomyślane i wspaniale przeprowadzone dzieło? Żonę zatrzymano na Północy. Nie zezwolono jej na wyjazd na „kontynent” - potrzebne dokumenty wydawał ten sam urząd, który zajmował się sprawą męża. Zresztą to było przewidziane. Zaczęła oczekiwać na zezwolenie. Ciągnęły się miesiące za miesiącami, jej wciąż odmawiano - jak zawsze bez podania przyczyny odmowy. Spróbowała wyjazdu z drugiego końca Kołymy - samolotem nad tymi samymi rzekami w tajdze i wąwozami, po których posuwał się jej mąż przed kilkoma miesiącami. Ale tam również czekała ją odmowa. Okazało się, że jest zamknięta w olbrzymim kamiennym więzieniu wielkości jednej ósmej Związku Sowieckiego - i nie mogła znaleźć wyjścia. Była kobietą; zmęczyła się niekończącą się walką z kimś, czyjej twarzy nie mogła ujrzeć, walką z kimś, kto był znacznie silniejszy od niej, silniejszy i bardziej chytry. Pieniądze, które przywozła ze sobą, skończyły się - życie na Północy jest drogie: jabłko na magadańskim bazarze kosztowało sto rubli. Angelina Grigorjewna zaczęła pracować na państwowej posiadzie, ale

urzędniczkom z miejscowego najmu, nie „zawerbowanym” z „kontynentu” płacono inne pensje, mało różniące się od tych w obwodzie charkowskim. Mąż jej często powtarzał: „wojnę wygrywa ten, co ma silniejsze nerwy” i Angelina Grigorjewna często szeptała te słowa niemieckiego generała w czasie bezsennych, białych, polarnych nocy. Czowała, że jej nerwy zaczynają słabnąć. Wymęczyła ją ta biała, milcząca przyroda, głucha ściana ludzkiej obojętności, brak wiadomości i niepokój, obawa o los męża - przecież mógł on po prostu umrzeć w drodze z głodu. Mogli go zabić inni uciekinierzy, mogli zastrzelić „operatywnicy” i jedynie na podstawie nieustannego zainteresowania jej osobą i jej prywatnym życiem ze strony Urzędu Angelina Grigorjewna z radością wnioskowała, że jej mąż nie został schwytany, że „jest poszukiwany”, a więc ona nie cierpi nadaremnie. Chciałaby zwierzyć się komuś, kto mógłby ją zrozumieć, coś poradzić - przecież tak mało znała Daleką Północ. Chciała zmniejszyć ten straszny ciężar zalegający w jej duszy, który, jak jej się wydawało, rósł z każdym dniem, z każdą godziną. Ale komu mogła zaufać? W każdym i w każdej widziała, wyczuwała szpiega, donosiciela, i to odczucie nie było mylne - wszyscy jej znajomi, we wszystkich osiedlach i miastach Kołymy zostali wezwani i uprzedzeni przez Urząd.

Wszyscy oni oczekiwali od niej szczerości. W drugim roku poczyniła kilka prób skontaktowania się za pośrednictwem poczty z charkowskimi znajomymi - wszystkie jej listy zostały skopiowane, a kopie przesłane do charkowskiego Urzędu. Pod koniec drugiego roku swojego wymuszonego „pozbawienia wolności”, bliska rozpaczy i prawie nędzarka, wiedząc jedynie, że jej mąż żyje i chcąc się z nim skontaktować, wysłała do wszystkich większych miast listy na nazwisko Pawła Michajłowicza Kriwoszeja „urząd pocztowy, poste restante”. W odpowiedzi otrzymała przekaz pieniężny i w ślad za nim zaczęła otrzymywać każdego miesiąca niewielkie sumy, po pięćset, osiemset rubli, z różnych miejsc, od różnych osób. Kriwoszej był zbyt mądry, aby wysyłać pieniądze z Mariupola, a Urząd zbyt doświadczony, żeby tego nie zrozumieć. Mapa geograficzna, przeznaczona w takich przypadkach dla oznakowania „bojowych operacji”, upodobniała się do wojskowych map sztabowych. Chorągiewki na niej zatknięte - miejsca wysyłki przekazów pieniężnych do adresatki na Dalekiej Północy - układały się wzdłuż stacji kolejowych w pobliżu Mariupola w kierunku na północ, nigdy dwukrotnie się nie powtarzając. Teraz już wydział śledczy niewiele musiał się wysilić: trzeba było tylko ustalić nazwiska

ludzi, którzy przyjechali do Mariupola na stałe w ciągu ostatnich dwu lat, zidentyfikować fotografie... Tak został aresztowany Paweł Kriwoszej. Żona była jego śmiałą i wierną pomocnicą. Przywiozła mu do Arkagały dokumenty, pieniądze - ponad pięćdziesiąt tysięcy rubli. Jak tylko Kriwoszej został aresztowany, od razu zezwolono jej wyjechać. Wymęczona moralnie i fizycznie, Angelina Grigorjewna porzuciła Kołymę pierwszym parowcem. A sam Kriwoszej odbył drugi wyrok, kierując laboratorium chemicznym w centralnym szpitalu dla więźniów, korzystając z niewielkich ulg u naczelników i podobnie jak przedtem, ostrożny w rozmowach, czujnie tchórzliwy przy cudzych słowach... Ta tchórzliwość i nadmierna ostrożność miała jednakże inne podłoże niż u zwykłego tchórze-filistra. Dla Kriwoszeja wszystko to było obce, nic „politycznego” go nie interesowało i wiedząc, że za tego rodzaju „kryminał” płaci się w łagrze najwyższą cenę, nie chciał poświęcać swojego, zbyt mu drogiego, życiowego, materialnego i duchowego spokoju. Kriwoszej mieszkał w laboratorium, a nie w łagrowym baraku - uprzywilejowanym aresztantom zezwalano na to. Za szafami zawierającymi kwasy i zasady przytuliło się jego łóżko, urzędowe, czyste. Chodziły słuchy, że uprawia on rozpusztę w tej swojej pieczarze w jakiś specjalny sposób, że

nawet irkucka prostytutka Sonieczka, gotowa „na wszystkie podłogi”, była zdumiona zdolnościami i umiejętnościami Pawła Michajłowicza w tym względzie. Ale mogła być to również nieprawda, łagrowy „świst”. Niemało było „wolnych” dam, pragnących „zakręcić romans” z kwitnącym mężczyzną, jakim był Paweł Michajłowicz. Ale więzień Kriwoszej był ostrożny i miał silną wolę, przerywał wszystkie „awanse”, którymi był szczerze obdarowywany. Nie chciał żadnych niedozwolonych, nadmiernie ryzykownych i zbyt wysoko karanych związków. Pragnął spokoju. Paweł Michajłowicz regularnie otrzymywał zaliczenia pracy, bez względu na ich wielkość, i po kilku latach wyszedł na wolność, bez prawa wyjazdu z Kołomy. To zresztą nie zbijało z tropu Pawła Michajłowicza. Już następnego dnia po zwolnieniu okazało się, że posiada pierwszorzędne ubranie i płaszcz jakiegoś zagranicznego kroju, oraz doskonałego gatunku welurowy kapelusz. Urządził się w jednej z fabryk, zgodnie ze swoją specjalnością, w charakterze inżyniera-chemika - był on rzeczywiście specjalistą „wysokiej miary”. Przepracowawszy tydzień, wziął urlop „na załatwienie spraw rodzinnych”, jak było napisane w dokumencie.

- Jadę po kobietę - lekko uśmiechnawszy się, powiedział Kriwoszej - Po kobietę!... Na targ narzeczonych do sowchozu Elgen. Chcę się ożenić.

Powrócił tego samego wieczoru z „kobietą”. Koło sowchozu Elgen, „żeńskiego sowchozu”, znajduje się stacja paliwowa - na skraju osady, „w przyrodzie”. Wokoło, sąsiadując z beczkami benzyny - wiklinowe zarośla, krzewy olchy. Tutaj zbierają się wieczorem „oswobodzone” kobiety Elgenu. W to samo miejsce przyjeżdżają na ciężarówkach „narzeczeni” - byli więźniowie, poszukując towarzyski życia. Swaty przebiegają szybko - jak wszystko na kołymskiej ziemi (oprócz łagrowego wyroku), i samochody powracają z oblubienicami. W razie potrzeby dokładne wzajemne poznanie odbywa się w krzakach - wystarczająco gęstych, wystarczająco wysokich. Zimą wszystko to przenosi się do prywatnych, mieszkalnych domków. Oczywiście wzajemne oględziny zabierają wtedy znacznie więcej czasu niż w lecie.

- A co na to Angelina Grigorjewna?

- Nie koresponduję z nią teraz.

Czy to była prawda czy nie, nie warto było się dopytywać. Kriwoszej mógł odpowiedzieć znakomitym łagrowym powiedzeniem: nie wierzysz - przyjmij to za bajkę! Kiedyś tam, w latach dwudziestych, w zaraniu „chmurnej młodości” łagrowych instytucji, w nielicznych zonach zwanych się obozami koncentracyjnymi, ucieczki w ogóle nie były karane żadnym dodatkowym wyrokiem i jakby nie stanowiły przestępstwa.

Wydawało się naturalne, że aresztant, więzień, powinien uciekać, a strażnicy powinni go łapać, i że to zupełnie zrozumiałe i prawidłowe wzajemne stosunki dwu ludzkich grup, stojących z dwu stron więziennej kraty i tą samą kratą wzajemnie złączonych. Były to romantyczne czasy, kiedy, używając słów Musseta, „przyszłość jeszcze nie nastąpiła, a przeszłość już przestała istnieć”. To jeszcze wczoraj ataman Krasnow, wzięty do niewoli, zwalniany był na słowo honoru. A co najważniejsze – to były czasy, kiedy granice cierpliwości rosyjskiego człowieka nie były jeszcze wystawiane na próbę, nie były przesuwane na nieskończoną odległość, jak to uczyniono w latach trzydziestych. Jeszcze nie został napisany, nie ułożony Kodeks 1926 roku, z jego przesławnymi artykułami 16 („zgodnie z...”) i 35, wyznaczającym w społeczeństwie całą grupę „trzydziestopiątników”. Pierwsze łagry zostały utworzone na niepewnej podstawie prawnej. Było tam wiele improwizacji, a więc i tego, co nazywa się lokalnym bezprawiem. Słynny sołowiecki „Kuriłka”, wystawiający w tajdze więźniów na pastwę komarów, był oczywiście empirykiem. Empiryzm życia i jego układów był empiryzmem krwawym – przecież doświadczenia były prowadzone na ludziach, na żywym materiale. Wysokie naczalstwo mogło zaaprobować eksperyment

jakiegoś tam „Kuriłki”, i wtedy jego działania wchodziły do łagrowej składnicy przepisów, instrukcji, wskazań. Albo też eksperyment nie zostawał uznany i wtedy „Kuriłka” sam szedł pod sąd. Zresztą wtedy nie było dużych wyroków - w całym IV oddziale Sołówek było tylko dwu więźniów mających wyroki po dziesięć lat. Pokazywano ich palcami, jak jakieś znakomitości. Jednym z nich był pułkownik żandarmerii Rudenko, a drugim - Mardżanow, biały oficer. Pięcioletni wyrok był wyrokiem dużym, a większość to dwu i trzyletnie. W tych właśnie latach - przed trzydziestymi - za ucieczkę nie dawano żadnego dodatkowego wyroku. Uciekłeś - twoje szczęście, złapali cię żywego - to znów twoje szczęście. Nieczęsto łapali żywych - smak ludzkiej krwi rozpałał nienawiść konwojentów do więźniów. Aresztant obawiał się o swoje życie, zwłaszcza podczas przemarszów, etapów, kiedy nieostrożne słowo, coś powiedzianego konwojentom, mogło zaprowadzić na tamten świat, na „księżyc”. W czasie etapu obowiązują jeszcze surowsze zasady i konwojowi uchodzi wiele rzeczy. W czasie przemarszów z jednej „delegatury” do drugiej więźniowie żądali od naczalstwa, aby związane im ręce za plecami, widząc w tym pewien rodzaj gwarancji na życie i mając nadzieję, że w takiej sytuacji nie może być sporządzony „akt” w postaci

sakramentalnej formuły - „zabity przy próbie ucieczki”. W takich przypadkach śledztwo prowadzone było byle jak i jeżeli zabójca był wystarczająco domyślny, ażeby oddać drugi strzał w powietrze, to sprawa kończyła się dla konwojenta zawsze pomyślnie - według instrukcji należy oddać strzał ostrzegawczy przed wzięciem na muszkę uciekiniera. Na Wiszerze, w czwartym oddziale SŁONA-a - uralskiej filii sołowieckich łagrów - na spotkanie schwytanych uciekinierów wychodzi komendant Zarządu, Niestierow - krępy, niski, z długimi, białymi rękami o krótkich, grubych palcach, porośniętych gęstym, czarnym włosiem, wydawało się, że na dłoniach również rosną włosy. Pod jego nogi rzucono więźniów - brudnych, głodnych, pobitych zmęczonych i pokrytych od nóg do głowy kurzem.

- Ano, podejdz, bliżej podejdz.

Więzień podchodził.

- A więc zachciało ci się pospacerować! Słusznie, słusznie!

- Proszę wybaczyć, Iwanie Spirydonyczu.

- Ja przebaczam - śpiewnie i uroczyście mówił Niesuerow, wstając z krzesła - Jeżeli o mnie chodzi, to przebaczam. Państwo nie przebaczy... - jego błękitne oczy mętniały i pokrywały się czerwonymi niemi naczyń krwionośnych. Ale głos brzmiał życzliwie i dobrodusznie jak przedtem. - No, wybieraj - leniwie wymawiał słowa - w gębę czy izolator...

- W gębę, Iwanie Spirydonyczu.

Uwłosiony kułak Niestierowa wzlatywał nad głową uciekiniera i szczęśliwiec odlatywał na bok, ocierając krew i wypluwając wybite zęby.

- Idź do baraku!

Iwan Spirydonycz zwałał z nóg każdego jednym uderzeniem pięści, jednym „plaśnięciem” - tym się sławił i z tego był dumny. Aresztant też nie był stratny - „plaśnięciem” Iwana Spirydonycza kończyły się rozrachunki za ucieczkę. Jeżeli zaś uciekinier nie chciał zakończyć sprawy po rodzinnemu i nalegał na oficjalną karę, pragnąc odpowiadać zgodnie z prawem - czekał go łagrowy izolator, więzienie z żelazną podłogą. Spędzenie w nim jednego, dwu czy trzech miesięcy na karcerowej porcji wydawało się więźniowi gorsze niż Niestierowskie „plaśnięcie”. Tak więc, jeżeli uciekinier pozostawał przy życiu - żadne nieprzyjemne następstwa ucieczki go nie czekały, może jedynie przy typowaniu „na zwolnienie”, gdy „rozładowywano” łagier, były uciekinier nie mógł już liczyć na swe szczęście. Zwiększała się liczba łagrów, rosła też liczba ucieczek. Zwiększenie liczebności straży było bezcelowe - zbyt kosztowne, a przy tym w owych czasach bardzo mało było chętnych do pracy w łagrowej straży. Problem odpowiedzialności za ucieczkę rozwiązywany był w niezadowalający sposób, niesolidnie, jakoś tak po

dziecinnemu. W niedługim czasie odczytano nowe moskiewskie wyjaśnienie: dni ucieczki i okres przebywania w izolatorze nie wliczają się do okresu odbywania kary. Rozkaz ten wywołał wielkie niezadowolenie w komórkach ewidencyjnych w łagrach – należało zwiększyć liczbę etatów, a do tego tak skomplikowane arytmetyczne obliczenia nie zawsze odpowiadały umiejętnościom ludzi zajmujących się tym w łagrze. Rozkaz został wprowadzony w życie, przeczytano go na apelach wszystkim przebywającym w łagrze – więźniom i obsłudze. Niestety, nie odstraszył on przyszłych uciekinierów. Każdego dnia w meldunkach dowódców kompanii rosła rubryka „zbiegł” i naczelnik łagru, czytający codzienne zestawienia, z dnia na dzień chmurzył się coraz bardziej. Gdy zaś uciekł ulubieniec naczelnika, muzyk łagrowej orkiestry Kapitonow, powiesił swój cornet-d-pistons na sęku najbliższej sosny. Kapitonow wyszedł z łagru ze swoim błyszczącym instrumentem jako przepustką – naczelnik utracił równowagę ducha. Późną jesienią zabito w czasie ucieczki trzech więźniów. Po identyfikacji naczelnik zarządził, aby ich trupy wystawić na widok publiczny u wrót łagru, tam gdzie wszyscy wychodzili do pracy. Ale i taki nieoficjalny, ostry środek nie powstrzymał, nie zmniejszył liczby ucieczek. Wszystko to działo się pod koniec lat dwudziestych. Potem

nastąpiło „przekuwanie”; Kanał Białomorski – „koncłagry” przemianowane zostały w łagry „pracy wychowawczej”, liczba więźniów wzrosła setki tysięcy razy, ucieczka traktowana już była jako przestępstwo samo w sobie: w Kodeksie 1926 roku istniał paragraf 82, orzekający dodatkowy rok do kary zasadniczej. Wszystko to działo się na „kontynencie” – na Kołymie, w łagrach istniejących od 1932 roku, problem uciekinierów postawiony został dopiero w roku 1938. Od tej pory kara za ucieczkę została zwiększona, „termin” urósł do trzech lat. Dlaczego kołymskie lata od 1932 do 1938 włącznie nie znalazły się w kronikach ucieczek? Był to okres, gdy pracował tam Edward Piotrowicz Bierzin, pierwszy kołymski naczelnik posiadający uprawnienia wyższej partyjnej, radzieckiej i związkowej władzy w kraju, twórca Kołymy, rozstrzelany w 1938 roku i w 1956 zrehabilitowany, były sekretarz Dzierżyńskiego, były dowódca dywizji strzelców łotewskich, który wykrył słynny spisek Lokkarta. Edward Piotrowicz Bierzin próbował, i to z dużym powodzeniem, rozwiązać problem kolonizacji surowego kraju oraz problem „przekuwania” i izolacji. Były to zaliczenia pracy pozwalające dziesięcioletnikom powracać do domu po dwu, trzyletnim tam pobycie. Doskonałe wyżywienie, odzież, roboczy dzień trwający zimą 4-6 godzin, a latem – 10,

ogromne zarobki dla więźniów, które pozwalały im pomagać swym rodzinom i powracać na „kontynent” jako ludziom mającym zabezpieczony byt. W „przekuwanie” błatniaków Edward Piotrowicz nie wierzył zbyt dobrze, bowiem znał ten niepewny i podły ludzki materiał. W czasie pierwszych lat Kołymy złodziejom trudno było tam trafić - ci, którym to się udało, później tego nie żałowali. Cmentarzy dla więźniów w owych czasach było tak niewiele, że wydawać by się mogło, że kołymianie są nieśmiertelni. Uciekać z Kołymy - tego nikt nie robił - byłaby to jakaś brednia, bzdura... Te nieliczne lata - to złote czasy Kołymy, o których z takim oburzeniem mówił zdekonspirowany szpieg i wróg ludu Mikołaj Iwanowicz Jeżow na jednej z sesji CKW ZSRR, niedługo przed „jeżowszczyzną”. W 1938 roku Kołyma została przemieniona na „specłagier” dla recydywy i „trockistów”. Ucieczki zaczęto karać trzyletnimi wyrokami.

- Jak więc uciekaliście? Przecież nie mieliście ani mapy, ani kompasu.

- Tak i uciekaliśmy. To Aleksander obiecał wyprowadzić... Razem oczekiwaliśmy w „tranzytce” na odesłanie. Pechowych zbiegów było trzech: Mikołaj Kariew, dwudziestopięcioletnie chłopisko, były leningradzki dziennikarz, jego rówieśnik Fiodor Wasiljew - rostowski buchalter, i kamczackiej

narodowości - Aleksander Kotielnikow, kołymski aborygen, a z zawodu kajur - poganiacz reniferów, zasądzony za kradzież państwowego ładunku. Kotielnikow miał pięćdziesiąt lat, a może znacznie więcej - określić na oko wiek Jakuta, Ewenka czy mieszkańca Kamczatki - to rzecz trudna. Nie tylko dobrze mówił po rosyjsku, chociaż w żaden sposób nie mógł wymówić dźwięku „sz” i zamieniał go na „sr”, podobnie jak to jest we wszystkich dialektach Czukotów, ale miał pewne pojęcie o Puszkynie, Niekrasowie, bywał w Chabarowsku, jednym słowem - był podróżnikiem doświadczonym; w głębi duszy był romantykiem - nazbyt młodo błyszczały jego oczy. To on właśnie podjął się wyprowadzić na wolność swoich młodych przyjaciół.

- Mówiłem im: bliżej do Ameryki, chodźmy do Ameryki, ale oni chcieli na „kontynent” i ja prowadziłem na „kontynent”. Trzeba dojść do Czukczów, koczowników. Czukcze tu byli, odeszli, jak przyszedł ruski człowiek, to właśnie do nich... Nie zdażyłem.

Zbiegowie szli wszystkiego cztery dni. Uciekli z początkiem września, w trzewikach, w letniej odzieży, pewni, że dojdą do czukockich koczowisk gdzie, według zapewnień Kotielnikowa, czeka ich pomoc i przyjaźń. Ale spadł śnieg, gęsty, wczesny śnieg. Kotielnikow poszedł do osady Ewenków kupić torbazy-

reniferowe buty. Kupił je, a pod wieczór oddział operatywników dogonił zbiegów.

- Tunguz - wróg, sprzedawczyk - zaplawał się Kotielnikow.

Wyprowadzenia z tajgi Kariewa i Wasiljewa podejmował się stary kajur zupełnie bezpłatnie. Nowy, trzyletni „dodatek” nie napawał smutkiem Kotielnikowa.

- Przyjdzie wiosna wypuszczą do kopalni, do pracy, to ja znowu ucieknę.

Ażeby zabić czas, uczył Kariewa i Wasiljewa języka czukockiego, kamczackiego. Inicjatorem tej skazanej na fiasko ucieczki był oczywiście Kariew. Od jego postaci, teatralnej nawet w tych więziennie-łagrowych warunkach, od modulacji jego aksamitnego głosu wiało lekkomyślnością - nawet nie awanturnictwem. Z każdym dniem coraz lepiej pojmował beznadziejność takich prób, coraz częściej zamyślał się i słabł. Wasiljew był całkiem po prostu dobrym towarzyszem, gotowym dzielić każdy los przyjaciela. Uciekali oczywiście w pierwszym roku pozbawienia wolności, kiedy jeszcze istniały iluzje...i siła fizyczna.

Z namiotu-kuchni wędrownej osady geologów znikło letnią, „białą” nocą dwanaście puszek konserw mięsnych. Zaginięcie ich było w najwyższym stopniu zagadkowe - wszyscy, czterdziestu robotników wraz z technikami, byli

ludźmi wolnymi, z wysokimi zarobkami, i wątpliwe było, aby odczuwali taką potrzebę konserw. Nawet gdyby posiadały one bajeczną cenę, to nie było gdzie ich sprzedać w głuchym, niekończącym się lesie. „Niedźwiedzi” wariant też został od razu odrzucony, gdyż nic nie zostało w kuchni ruszone z miejsca. Można było pomyśleć, że zrobił to ktoś „na złość” kucharzowi, który zawiadował produktami kuchni: ale kucharz, człowiek niezwykle dobroduszny, zaprzeczał temu, że pomiędzy jego czterdziestu towarzyszami skrywa się i szkodzi jego osobisty wróg. Jeśli i to przypuszczenie było niesłuszne, to pozostawało jeszcze tylko jedno. I właśnie w celu sprawdzenia tego ostatniego przypuszczenia prowadzący prace zwiadu Kasajew udał się na przegląd przyległego terenu, wziawszy ze sobą dwu najbardziej obrotnych robotników uzbrojonych w noże, a sam - z jedyną bronią palną znajdującą się w „delegaturze” - małokalibrowym karabinkiem. Najbliższą okolicę tworzyły szarobrazowe parowy bez śladu zieleni, prowadzące na wielkie, wapienne plateau. Osada geologów ulokowała się jakby w jamie, na zielonym brzegu rzeczki. Nie trzeba było dużo czasu, aby odkryć tajemnicę. Po dwu godzinach, kiedy nie spiesząc się, weszli na plateau, jeden z robotników, najbardziej bystrooki, podniósł rękę - na horyzoncie widać było poruszający się punkt. Poszli skrajem

młodych, chwiejnych tufów, młodego kamienia, który nie zdażył jeszcze nim srać i podobny był do białego oleju o wstrętnym słonym smaku. Noga w nim grzęzła jak w błocie, a buty zanurzały się w tym na wpół ciekłym, oleistym kamieniu, pokrywały się jakby białą farbą. Poruszanie się po skraju tufów było łatwe i po półgodzinie dogonili człowieka. Odziany był w strzępy buszłata i watowane, podarte spodnie, obnażające kolana. Obydwie nogawki były obcięte - zrobione z nich było obuwie, poszarpane już i przetarte do ostateczności. W tym samym celu zostały wcześniej odcięte znoszone rękawy buszłata. Skórzane trzewiki, lub może gumowe czunie, dawno już zostały zniszczone przez kamienie i sęki, i oczywiście - porzucone. Człowiek był mocno zarośnięty, z brodą, i blady od cierpień nie do wytrzymania. Miał biegunkę, straszliwą biegunkę. Jedenaście caluteńkich puszek konserwowych leżało obok na kamieniach. Jedna była rozbita i jeszcze wczoraj zjedzona do czysta. Szedł już od miesiąca do Magadanu, krążąc po lesie, podobnie jak wioślarz w gęstej mgłę na jeziorze, i błądząc, utraciwszy poczucie kierunku, szedł na los szczęścia, dopóki nie natknął się na „delegaturę” - wtedy gdy już zupełnie osłabł. Łowił myszy polne, jadł trawę. Trzymał się aż do wczorajszego dnia. Zauważył jeszcze

wczoraj dymek, doczekał nocy, wziął konserwy i do rana dopełził na plateau. W kuchni wziął zapalki, ale nie było potrzeby, aby z nich skorzystać. Zjadł konserwę i straszne pragnienie, wyschnięte usta, zmusiły go do zejścia drugim parowem do strumyka. I tam pił, pił chłodną, smaczną wodę. W ciągu doby twarz mu opuchła, a rozpoczynający się rozstrój kiszek odebrał mu ostatnie siły. Teraz cieszył go koniec wędrówki, jakikolwiek by on był.

Innym zbiegiem, którego przywlekli z tajgi na „delegaturę” operatywniej była jakaś ważna persona. Uczestnik zbiorowej ucieczki z sąsiedniej kopalni, ucieczki połączonej z grabieżą i zabójstwem samego naczelnika kopalni - był on ostatnim z całej dziesiątki uciekinierów. Dwu zabito, siedmiu złapano i oto ostatni został pojmany w 21 dniu ucieczki. Nie miał obuwia i popękane podeszwy jego stóp broczyły krwią. W ciągu tygodnia zjadł, według jego słów, tylko malusieńką rybkę, którą łowił przez kilka godzin, osłabiony głodem. Twarz była opuchnięta, pozbawiona krwi. Konwojenci bardzo dbali o niego, o jego dietę i o wyzdrowienie - zmobilizowali felczera delegatury, przykazując mu jak najsurowiej dbać o zbiega. Przemieszkał on w łaźni osady całe trzy dni i w końcu, ostrzyżony, wymyty, syty, został poprowadzony na śledztwo, którego

wynikiem mógł być tylko rozstrzał. Sam uciekinier o tym oczywiście dobrze wiedział, ale był to aresztant obyty, zobojętniały, który już przekroczył w więzieniu tę krawędź życia, kiedy człowiek staje się fatalistą i żyje „zgodnie z prądem”. Cały czas byli przy nim żołnierze straży nie dając mu z nikim rozmawiać. Każdego wieczoru siadywał na ganku i obserwował ogromny, wiśniowej barwy zachód słońca. Ogień tego słońca wdzierał się do jego oczu, i wydawało się, że to oczy płoną - niezwykle piękny był to widok.

W jednej z kołymskich osad, w Ortukanie, stoi pomnik Tatiany Małandinej, także ortukański klub nosi jej imię. Tatiana Małandina była pracownicą kontraktową, komsomołką, która trafiła w łapy kryminalistów-uciekiniarów. Ograbili ją, zgwałcili - „chórem”, według podłego, błatniackiego określenia, i zamordowali o kilkaset metrów od osady, w tajdze. Było to w 1938 roku i nacjonalistwo na próżno rozpuszczało wieści, że to zrobili „trockiści”. Oszczerstwo tego rodzaju było już zbyt niedorzeczne i oburzyło nawet rodzzonego wujka zabitej komsomołki - porucznika Małandina, pracownika łagru, który po śmierci bratanicy gwałtownie zmienił swój stosunek do złodziei i pozostałych więźniów, nienawidząc jednych i przyznając ulgi drugim. Obaj zbiedzy

zostali pojmani wtedy, gdy siły ich były bliskie wyczerpania. Inaczej zachowywał się uciekinier zatrzymany przez grupę robotników na ścieżce w pobliżu szurfów zwiadu geologicznego. Już trzeci dzień padał bez przerwy przewlekły deszcz i kilku robotników, wciągawszy na siebie brezentowe „specówki” - kurtki i spodnie - poszło, aby zobaczyć, czy nie ucierpiał od deszczu maleńki namiot - kuchnia z naczyniami i produktami - oraz polowa kuźnia z kowadłem, paleniskiem i zapasem narzędzi wiertniczych. Kuźnia wraz z kuchnią stały w korycie strumienia, w wąwozie odległym o trzy kilometry od miejsca zamieszkania. Górskie rzeki bardzo silnie wylewają w czasie deszczów i można się było spodziewać jakichś złośliwych kawałów pogody. Jednak to, co ujrzeli, wyprowadziło ich zupełnie z równowagi. Nie było niczego. Nie było kuźni, w której przechowywano narzędzia dla całego odcinka - świdry, ich gniazda, kilofy, łopaty, narzędzia kowalskie; nie było kuchni z zapasem produktów żywnościowych na całe lato; nie było kotłów, naczyń - nie było niczego. Wąwóz przybrał nową postać - wszystkie kamienie stanęły w nim na nowo, skądś przyniesione przez rozszalałą wodę. Cały inwentarz został zniesiony w dół strumienia i robotnicy poszli brzegiem aż do samej rzeczki, do której wpadał strumień w odległości siedmiu, ośmiu

kilometrów, i nie znaleźli ani kawałeczka żelaza. Znacznie później, u ujścia tego strumienia, kiedy woda opadła, na brzegu, w zapchanych piaskiem zaroślach znaleziono zgnięcioną, pokiereszowaną, poskręcana, emaliowaną miskę ze stołówki osady - i to było wszystko, co pozostało po burzy, po powodzi. Powracając, robotnicy natknęli się na człowieka w brezentowych butach, w namokniętym płaszczu, z dużą torbą na plecach.

- Tyś zbieg, czy co? - spytał człowieka Waśko Rybin, jeden z „rowowych” zwiadu.

- Zbieg - na wpeł twierdząco odpowiedział człowiek - Obsuszyłbym się...

- No to chodźmy do nas, u nas pali się piecyk. - latem w czasie deszczu zawsze paliły się żelazne piecyki w dużym namiocie - wszyscy, czterdziestu robotników, mieszkali w nim. Zbieg zdjął buty, porozwieszał onuce wokół piecyka, wy dostał blaszaną papierośnicę, nasypał machorkę do oderwanego kawałka gazety i zapalił.

- Dokąd to idziesz w taki deszcz?

- Kieruję się na Magadan.

- Chcesz żreć?

- A co macie?

Zupa i kasza perłowa nie skusiły zbiega; rozwiązał swój worek i wyjął kawałek kiełbasy.

- No, bracie - powiedział Rybin - ty nie jesteś prawdziwym zbiegiem.

Najstarszy z robotników, zastępca brygadzisty Wasilij Koczetow, podniósł się.

- Ty dokąd? - spytał go Rybin.

- Na stronę. - i przekroczył deskę, próg namiotu. Rybin uśmiechnął się.

- No więc tak, bratku - powiedział do zbiega - zaraz zbieraj się i idź, dokąd chciałeś.

- Ten - powiedział tak o Koczetowie - pobiegł do naczelstwa. Żeby cię złapać, znaczy się. No, ale u nas nie ma żołnierzy, nie bój się, całkiem po prostu idź i idź. Weź tu chleba i paczuszkę tytoniu. I deszczyk jakby zmniejszył się na twoje szczęście. Utrzymuj kierunek na dużą sopkę, nie omylisz się.

Zbieg okręcił stopy suchymi końcami nie wysuszonych jeszcze onuc, wciągnął buty, zarzucił worek na ramię i wyszedł. Po dziesięciu minutach kawałek brezentu zastępujący drzwi odwinął się, do namiotu wlało naczelstwo - prowadzący prace Kasajew z małokalibrowym karabinkiem zwisającym z ramienia i Koczetow, który wszedł ostatni do namiotu. Kasajew chwilę postął w milczeniu, dopóki nie przywykł do ciemności, i rozglądął się. Nikt nie zwracał uwagi na przybyszów. Wszyscy zajmowali się swoimi sprawami - jedni spali, inni naprawiali odzież, ktoś wycinał jakieś zmyślne figurki z korzenia - kolejne ćwiczenia erotyczne -

ktoś grał w burę zrobionymi własnoręcznie kartami... Rybin wstawiał do piecyka na gorejące węgle zakopcony kociołek zrobiony z puszki po konserwach.

- Gdzie zbieg?! - wrzasnął Kasajew.

- Zbieg poszedł - powiedział spokojnie Rybin - zabrał się i poszedł. Cóż to - powinienem go zatrzymać?

- Przecież on był rozebrany - krzyknął Koczetow - zamierzał spać!

- Ty przecież także zamierzałeś pójść na stronę, a dokąd to biegałeś w ten deszcz?

- spytał Rybin.

- Chodźmy do domu - powiedział Kasajew - A ty, Rybin, uważaj: to dobrze się nie skończy...

- Cóż ty mi możesz zrobić? - powiedział Rybin, podchodząc bliżej do Kasajewa - Nasypać soli na głowę? Czy może zarżnąć we śnie? Co?

Prowadzący prace i dziesiętnicy wyszli. To maleńki, liryczny epizod w jednostajnie mrocznej opowieści o uciekinierach Kołymy. Naczelnik delegatury, zaniepokojony ciągłymi odwiedzinami zbiegów - trzech w ciągu jednego miesiąca - na próżno starał się u wyższych instancji o zorganizowanie na terenie delegatury posterunku złożonego z żołnierzy straży. Zarząd jednak nie poszedł na to, aby ponosić takie wydatki na wolnych, pozostawiając jego własnym siłom to, jak sobie poradzić z uciekinierami. I jakkolwiek wtedy były już, oprócz Kasajewskiego karabinka,

dwie myśliwskie dwururki na naboje, ładowane podobnie do „żakanów” kawałkami ołowiu, tak jakby na niedźwiedzia - jednak dla wszystkich było jasne, że w przypadku napaści głodnych i zdecydowanych na wszystko uciekinierów te „żakany” - to niepewna pomoc. Naczelnik, chłop bywały, wybudował nagle dwie wieżyczki strażnicze, dokładnie takie same, jakie stoją w rogach łagrowych zon. Był to sprytny kamuflaż. Fałszywe wieżyczki powinny były uciekinierów utwierdzić w przekonaniu, że „w delegaturze znajduje się uzbrojona straż”. Przypuszczenie naczelnika było prawdopodobnie słuszne - uciekinierzy nie odwiedzali już więcej tej delegatury, odległej od Magadanu zaledwie o dwieście kilometrów.

Kiedy prace związane z „pierwszym metalem”, tj. ze złotem, przesunęły się do doliny Czaj-Urjiń, droga, którą kiedyś przeszedł Kriwoszej, ruszyły dziesiątki uciekinierów. Tędy było najbliżej do „kontynentu”, ale o tym wiedziało również naczalstwo. Ilość „czujek” i „posterunków” została znacznie zwiększona - polowanie na zbiegów rozgorzało w pełni. Lotne oddziały przeczesywały tajgę i zupełnie zablokowały „zwolnienia przez zielonego prokuratora” - tak nazywano ucieczki. „Zielony prokurator” zwalniał coraz mniej i mniej, i w końcu przestał

zwalniać zupełnie. Schwytanych zabijano zazwyczaj na miejscu i niemało trupów leżało w kostnicy Arkagały, czekając na identyfikację - na przyjazd pracowników zajmujących się ewidencją więźniów, dla pobrania odcisków palców. W lesie, w odległości dziesięciu kilometrów od arkagalińskiej kopalni węgla, w osadzie Kadyczan, znanej z tego, że potężne pokłady węgla wychodziły prawie na powierzchnię - grubości 8, 13 i 21 metrów - usytuowany był taki „posterunek”, gdzie żołnierze spali, jedli, krótko mówiąc - „bazowali”.

- Wiecie, czterdziestego roku, na czele tego lotnego oddziału stał starszy szeregowiec Postniakow, człowiek o rozbudzonej żądzy zabijania, wykonujący swą pracę z ochotą, gorliwie i namiętnie. Sam osobiście schwycił aż pięciu więźniów, otrzymał medal oraz, jak to zwykle bywa w takich przypadkach, pewną nagrodę pieniężną. Nagrodę dawano jednakową - za martwych i za żywych, tak więc nie było żadnego sensu dostarczać schwytanych w „całości”. Postniakow natknął się wraz ze swoimi żołnierzami o bladym, sierpniowym świcie na zbiega, który wszedł do strumienia w miejscu, gdzie była zasadzka. Postniakow wystrzelił z mauzera i zabił uciekiniera. Zdecydowano nie ciągnąć go do osady, lecz porzucić w tajdze, było tu wiele rysich i niedźwiedzych śladów. Postniakow wziął topór i odrąbał ręce

zbiega, aby w dziale ewidencji mogli zrobić odciski palców. Włożył obie martwe kiście do swojej torby i skierował do domu - tworzyć swoje kolejne doniesienie o udanym polowaniu. Zostało ono odesłane tego samego dnia - jeden z żołnierzy poniósł "pakiet", a pozostałym Postniakow dał wolny dzień na cześć swojego Sukcesu...Nocą trup podniósł się i przyciskając do piersi okrwawione kikuty rąk wyszedł po śladach z tajgi i jakoś tam dobrnął do namiotu w którym mieszkali robotnicy-więźniowie. Z bladą, pozbawioną krwi twarzą, przyciskając się do ramy drzwiowej, zgięty, spoglądał spode łba i coś mamrotał. Wstrząsały nim silne dreszcze. Na spodniach, na waciaku i gumowych czuniach zbiega widniały czarne plamy krwi. Napojono go gorącą zupą, zawinięto jakimś szmatami jego straszne ręce i poprowadzono do lekarza do ambulatorium. Ale już z izdebki, gdzie mieszkali ci z „posterunku” lecieli żołnierze, biegł sam starszy szeregowiec Postniakow. Żołnierze odprowadzili gdzieś zbiega, ale nie do ambulatorium - i więcej nikt nie słyszał o uciekinierze z odrąbanymi rękami. Postniakow i cały jego „posterunek” pracowali do pierwszego śniegu. Przy pierwszych mrozach, gdy zmniejsza się liczba spraw związanych z poszukiwaniami w tajdze, przeniesiono tę grupę operacyjną z Arkagały w inne miejsce.

Ucieczka to wielka próba charakteru, opanowania, woli, siły fizycznej i duchowej. Wydaje się, że na żadne polarne zimowisko, na żadną ekspedycję nie jest tak trudno dobrać sobie towarzysza jak na ucieczkę. Do tego dochodzi głód, ostry głód - stałe zagrożenie uciekiniera. Jeśli przyjąć, że właśnie z głodu ucieka aresztant, a więc się go nie obawia, to wyrasta jeszcze jedno dręczące niebezpieczeństwo, z którym może się zetknąć uciekinier - może zostać zjedzony przez własnych towarzyszy. Oczywiście przypadki ludożerstwa w trakcie ucieczki są rzadkie. Mimo to zdarzają się i, jak się wydaje, nie ma ani jednego starego kołymianina, który by nie stykał się z takimi ludźmi, którzy otrzymali wyrok właśnie za zabójstwo towarzysza ucieczki i spożywanie ludzkiego mięsa. W centralnym szpitalu dla więźniów przez dłuższy czas przebywał chory o nazwisku Sołowiew, z ostrym zapaleniem kości biodrowej. Zapalenie kości - zapalenie szpiku kostnego - powstało po postrzałowej ranie kości, umiejętnie rozjątrzone przez samego Sołowiewa. Zasądzony za ucieczkę i ludożerstwo, „kotwiczył się” w szpitalu i z chęcią opowiadał jak przygotowując się z kolegą do ucieczki, celowo zaprosił trzeciego - "na wypadek, gdy zaczniemy głodować". Uciekinierzy

szli długo, około miesiąca. Kiedy trzeci został zabity, częściowo zjedzony, a częściowo „upieczony na drogę”, obaj zabójcy rozeszli się w różne strony - każdy obawiał się zostać zabity nocą. Spotykani byli i inni ludożercy. To najzwyklejsi ludzie. Nie ma na nich żadnego kainowego piętna, i dopóki nie znasz szczegółów ich biografii, wszystko jest w porządku. Nawet jeśli dowiesz się o tym, nie brzydzi cię to, nie oburza. Nie starcza siły fizycznej na wstręt i oburzenie z powodu takich rzeczy, całkiem po prostu nie starcza miejsca na tego rodzaju subtelne uczucia. A przy tym historia normalnych wypraw polarnych naszych czasów nie jest wolna od podobnych postępków; tajemnicza śmierć szwedzkiego uczonego Malmgrena, członka wyprawy Nobilego to za naszej pamięci. Czegóż więc wymagać od głodnego, zaszczutego pół człowieka, pół zwierzęcia?

Wszystkie ucieczki, o których była mowa to ucieczki do rodzinnych stron, na „kontynent”, ucieczki, mające na celu wyrwanie się z chwytnych łap tajgi i dotarcie do Rosji. Wszystkie kończą się jednakowo, nikt nie jest w stanie wyrwać się z dalekiej Północy. Fiasko tego rodzaju przedsięwzięć i ich beznadziejność to jedno, a drugie to władcza tęsknota za wolnością, nienawiść i wstręt do przymusowej pracy, pracy

fizycznej, bo niczego innego w więźniu łagier wzbudzić nie może. Na wrotach każdej łagrowej zony wywieszono, jakby drzwi, napis: „Praca to sprawa honoru i chwały, sprawa dzielności i bohaterstwa” oraz nazwisko autora tych słów. Napis wykonywany był według specjalnego okólnika i obowiązywał we wszystkich łagrach. Ta właśnie tęsknota za wolnością, palące pragnienie znalezienia się w lesie, gdzie nie ma drutu kolczastego, wieżyczek strażniczych z błyszczącymi w słońcu lufami karabinów, gdzie nie ma bicia ani ciężkiej, wielogodzinnej pracy bez snu i odpoczynku - rodzi ucieczki o osobliwym charakterze. Aresztant odczuwa nieuniknioną swoją los: jeszcze miesiąc, dwa - i umrze, podobnie jak umierający na jego oczach towarzysze. Umrze tak czy tak, więc niech umrze na wolności, a nie w wykopie, w rowie, padając ze zmęczenia i głodu. Praca w kopalni jest latem cięższa niż zimą. Właśnie latem przemywa się piasek. Osłabiony mózg podpowiada więźniowi pewne wyjście, przy którym można przetrzymać lato, a i początek zimy przeżyć w ciepłym pomieszczeniu. Tak rodzą się ucieczki „wzdłuż trasy”, barwnie nazywane „ucieczką w lody”. Więźniowie uciekają we dwóch, trzech czy czterech w tajgę, w góry i urządzają się gdzieś w pieczarze, w niedźwiedzim barłogu w odległości kilku kilometrów od

„trasy” - ogromnie długiej szosy (dwa tysiące kilometrów) przecinającej całą Kołymę. Uciekinierzy zaopatrzeni są w zapalki, tytoń, produkty żywnościowe, odzież - wszystko, co udało się zebrać w tym celu. Prawie nigdy jednak nie udaje się niczego wcześniej zebrać, bo wywołałoby to podejrzenia, unicestwiając zamiar uciekinierów. Czasami dokonują grabieży łagrowego sklepu, „kiosku” - jak mówi w łagrze, i uciekają z zagrabionymi produktami w góry. Większość jednak bez niczego - na „ziemną karmę”. Tym znajdującym się pod nogami pokarmem wcale nie jest trawa ani korzenie roślin, ani nie myszy czy burunduki. Ogromną szosą dzień i noc jadą samochody. Między nimi - wiele samochodów z produktami żywnościowymi. Szosa w górach - to wszystko podjazdy i zjazdy, samochody bardzo wolno wpełzają na przełęcze. Wystarczy skoczyć na samochód z mąką, zrzucić worek - i już masz zapas pożywienia na całe lato. A wiozą przecież nie tylko mąkę. Już po pierwszych przypadkach grabieży samochodów z produktami zaczęto je wysyłać pod ochroną konwojentów, ale nie wszystkie. Oprócz otwartej grabieży na szosie uciekinierzy grabili sąsiadujące z ich „bazą” osady, maleńkie „delegatury” drogowe, gdzie mieszka dwóch czy trzech obchodowych dróżników. Co śmielsze i co większe grupy uciekinierów zatrzymują samochody,

ograbiają pasażerów i ładunek. Jeśli się to udaje, w ciągu lata tacy uciekinierzy poprawiają się fizycznie i duchowo. Gdy ogniska rozkładano ostrożnie, ślady grabieży starannie zacierano, warty były czujne i bystre - to uciekinierzy żyli tak do późnej jesieni. Mróz i śnieg „wypierały” ich z gołego, nieprzytulnego lasu. Opadały liście z osik i topoli, modrzewie osypywały swoim rudawym igliwem brudny, chłodny mech. Uciekinierzy nie mieli sił dalej się trzymać - wychodzili na „trasę” i poddawali się na najbliższym posterunku. Aresztowano ich i sądzono, nie zawsze szybko - mijało sporo czasu od nadejścia zimy, dawano im wyrok za ucieczkę, i powracali w szeregi „robociarzy” na kopalni, gdzie (jeżeli udało im się powrócić do tej samej kopalni, skąd uciekli) nie było już ich zeszłorocznych towarzyszy z brygady - ci już umarli lub odeszli na wpeł martwi do kompanii inwalidów.

W 1939 roku po raz pierwszy zostały utworzone dla opadłych z sił robociarzy tak zwane „brygady ozdrowieńcze” i „punkty ozdrowieńcze”. Ale ponieważ „uzdrawiać” trzeba było kilka lat, a nie kilka dni, instytucje te nie wywarły pożądanego wpływu na odtwarzanie siły roboczej. Natomiast wszystkim kołymianom, wierzącym, że dopóki aresztant potrafi zachować ironię, to

pozostaje człowiekiem, zapadła w pamięć
przewrotna czastuszka:

OB, OP, wszyscy wiemy
Znak na nogę i do ziemi!

Przywieszka z numerem sprawy
przywiązywana jest do lewej nogi
aresztanta przy jego pochówku. Natomiast
uciekinię, chociaż otrzymał pięć lat w
dodatkowym wyroku - jeżeli śledczemu nie
udało się „przyszyć” do sprawy grabieży
samochodów - pozostawał żywy i zdrowy. A
mieć wyrok 5, 10, 15 czy 20 lat - nie
czyni to żadnej różnicy, dlatego że i
pięciu lat nie daje się przepracować w
wyróbisku. W kopalnianym wyróbisku można
przepracować pięć tygodni. Zwiększyła
się częstotliwość „uzdrowiskowych”
ucieczek, grabieży, zabójstw. Ale to nie
grabieże i nie zabójstwa drażniły wyższe
naczalstwo, przywykłe mieć do czynienia
z papierem, z liczbami, a nie z żywymi
ludźmi. A liczby mówiły, że wartość
tego, co zostało zagrabione - utrata
życia spowodowana zabójstwem wcale nie
była brana pod uwagę - jest znacznie
mniejsza, nieporównanie mniejsza niż
wartość utraconych godzin i dni.
„Uzdrowiskowe” ucieczki przestraszyły
naczalstwo najbardziej. Paragraf 82 Kk
został zupełnie zapomniany i nigdy
więcej nie był stosowany. Ucieczki
zaczęto traktować jako przestępstwa
przeciwko porządkowi, kierownictwu,

przeciwko państwu, jako akt polityczny. Uciekinierów zaczęto „pociągać do odpowiedzialności” na podstawie pięćdziesiątego ósmego paragrafu, ni mniej, ni więcej, tak jak za zdradę ojczyzny. Prawnicy dobrali również odpowiedni punkt pięćdziesiątego ósmego paragrafu - dobrze im znany, stosowany wcześniej w procesie „szkodników” w kopalniach. Był to punkt czternasty - „kontrrewolucyjny sabotaż”. Ucieczka stanowi odmowę pracy - jest więc kontrrewolucyjnym sabotażem. Właśnie na podstawie tego punktu pięćdziesiątego ósmego paragrafu zaczęto sądzić uciekinierów. Dziesięć lat za ucieczkę stało się minimalnym dodatkowym wyrokiem. Powtórna ucieczka karana była dwudziestu pięciu latami. Nikogo to nie przstraszyło i nie zmniejszyło ani liczby ucieczek, ani liczby grabieży. Jednocześnie z tym każde uchylanie się od pracy, odmowa pracy, zaczęto uważać za sabotaż, a wymiar kary za odmowę pracy - największe przestępstwo w łagrze - począł się ciągle zwiększać. „Dwadzieścia pięć i pięć pozbawienia praw” - oto formuła praktykowana przez wiele lat przy ferowaniu wyroków w stosunku do odmawiających pracy i uciekinierów w okresie wojny i po wojnie.

Te specyficzne cechy odróżniające ucieczki na Kołymie od zwykłych ucieczek nie czynią tych pierwszych łatwiejszymi.

Jeżeli w większości przypadków łatwo przekroczyć to, co rozgranicza ucieczkę od samotnego oddalenia się, to trudności pojawiają się z każdym dniem, każda godzina przemieszczania się w niegościnnej, wrogiej wobec wszystkiego co żywe, przyrodzie Dalekiej Północy. Skrajnie krótkie okresy możliwych ucieczek, skracane przez pory roku, wymuszają zarówno pospiech w przygotowaniach, jak i konieczność pokonywania wielkich i trudnych odległości w krótkim czasie. Ani niedźwiedź, ani ryś nie stanowią niebezpieczeństwa dla zbiega. Gubi go własna bezsilność w tym surowym kraju - gdzie tak mało środków pomocnych w walce o życie. Rzeźba terenu męczy piechura, przełęcz następują za przełęczami, wąwozy za wąwozami. Zwierzęce ścieżki trudno jest zauważyć, podłoże w rzadkim, kalekim lesie tajgi - to grząski, mokry mech. Spanie bez rozniecania ogniska jest ryzykowne - podziemny chłód wiecznej zmarzliny nie pozwala kamieniom nagrzać się w ciągu dnia. Po drodze nie ma żadnego pożywienia oprócz suchego chrobotka, mchu reniferowego, który można rozetrzeć, zmieszać z mąką i piec placki. Trafić kijem w kuropatwę czy orzechówkę - to trudne zadanie. Grzyby i jagody nie są dobrym pożywieniem w drodze. A przy tym bywają tylko pod koniec krótkiego lata. Wynika z tego, że cały zapas pożywienia należy wziąć ze

sobą z łagru. Trudne są drogi ucieczki w tajdze, ale jeszcze trudniejsze jest przygotowanie się do niej. Każdego dnia, o każdej godzinie, przyszli uciekinierzy mogą być wykryci, wydani przez swoich kolegów naczalstwu. Największe niebezpieczeństwo - to nie konwój ani nie nadzorcy, lecz własni koledzy-aresztanci, żyjący tym samym życiem ze zbiegiem, żyjący obok niego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Każdy uciekinier wie, że oni nie tylko nie pomogą mu, jeżeli cokolwiek podejrzanego zauważą, ale nie przejdą obojętnie mimo tego, co zobaczyli. Resztką sił, głodny, wyczerpany aresztant dobrnie do „wachty”, ażeby donieść i zdemaskować kolegę. Robi to nie za darmo - naczelnik może poczęstować machorką, pochwalić, podziękować. Swoje tchórzostwo, swą podłość ukazuje jako coś w rodzaju wypełniania obowiązku. Nie donosi jedynie na błatniaków dlatego, że obawia się ciosu noża lub uduszenia sznurem. Ucieczka przy udziale dwóch, trzech osób jest nie do pomyślenia, chyba że jest nagła, żywiołowa jak bunt. Nie jest możliwe przygotowanie takiej ucieczki z powodu wypełniających łagry zdeprawowanych i sprzedajnych, głodnych i nienawidzących się ludzi. To wcale nie przypadek, że jedyna grupowa przygotowana ucieczka - bez oglądania się na finał - udała się dlatego, że w tym łagrze, skąd uciekli zbiedzy,

zupełnie nie było starych kołymian -
zatrutych już, zdemoralizowanych
kołymskim „doświadczeniem”, poniżonych
przez głód, chłód i bicie - nie było
ludzi, którzy mogliby wydać uciekinierów
naczalstwu. Ilf i Pietrow w swojej
"Parterowej Ameryce" pół żartem, pół
serio wskazują na nieprzezwyciężone
pragnienie skarżenia się jako na
narodową cechę Rosjanina, coś związanego
z charakterem Rosjan. Ta narodowa cecha,
skażona w krzywym zwierciadle łagrowego
życia, wyraża się w donosach na kolegów.
Ucieczka może się zrealizować nagle, jak
improvizacja, podobnie do żywiołu, do
leśnego pożaru. Tym bardziej tragiczny
jest los jej współuczestników -
przypadkowych, spokojnych obserwatorów,
wciągniętych mimo swej woli w wir
działań. Nikt z nich jeszcze się dobrze
nie przypatrzył temu, jak podstępna bywa
jesień na Kołymie, nikt nie podejrzewa,
że purpurowego żaru liści, drzew i trawy
wystarcza na dwa, trzy dni, a z
wysokiego, bladobłękitnego nieba, o
barwie nieco bledszej niż zazwyczaj -
może zacząć się sypać miękki i chłodny
śnieg. Nikt z uciekinierów nie wie, jak
należy tłumaczyć nagłe ścielenie się po
ziemi zielonych gałęzi cedrowca,
przyciskających się do niej na ich
oczach. Jak tłumaczyć nagłą migrację ryb
w dół strumienia? Nikt nie wie, czy są w
tajdze osiedla. I jakie. Mieszkańcy
Dalekiego Wschodu, Sybiracy, na darmo

pokładają nadzieję w swojej wiedzy o tajdze i w myśliwskim talencie. Pod koniec jesieni, jesieni powojennej, jechał samochód - otwarta ciężarówka, z dwudziestu pięciu więźniami - jechał do jednego z „katorżniczych” łagrów. Kilkadziesiąt kilometrów od miejsca przeznaczenia aresztanci rzucili się na konwój i uciekli - wszystkich dwudziestu pięciu. Padał śnieg, okrutny lodowaty śnieg, więźniom brakowało odzieży. Psy szybko znalazły ślady czterech grup, na które rozdzielili się uciekinierzy. Grupę posiadającą broń odebrana konwojowi wystrzelano całą. Dwie grupy schwytano następnego dnia, a ostatnią - na czwarty dzień. Tych dostarczono wprost do szpitala: wszyscy mieli odmrożenia czwartego stopnia - rąk i nóg; kołymski mróz, kołymska przyroda były zawsze sprzymierzone z nacjonalizmem i wrogię w stosunku do pojedynczego uciekiniera. Zbiedzy długo leżeli w szpitalu, w oddzielnej sali, przy której drzwiach siedział konwojent - szpital, chociaż i aresztancki, nie był jednak katorżniczym. Wszystkich pięciu miało amputowane albo ręce, albo nogi a dwaj - obie nogi od razu. Tak rozprawił się kołymski mróz ze spieszącymi się i naiwnymi nowicjuszami.

Wszystko to doskonale rozumiał podpułkownik Janowski. Zresztą podpułkownikiem był on na wojnie - tutaj

był więźniem Janowskim, „kulturalnym” wielkiego łagru, który sformowany został zaraz po wojnie z samych nowicjuszy, własowców, byłych jeńców wojennych, służących w niemieckich oddziałach, „policajów” i mieszkańców okupowanych wiosek, podejrzanych o przyjaźnienie się z Niemcami. Tutaj byli ludzie, którzy mieli za sobą doświadczenia wojenne, doświadczenia codziennych spotkań ze śmiercią, ryzyka, doświadczenie umiejętnej, zwiерzęcej walki o byt, doświadczenie zabijania. Tutaj byli ludzie, którzy uciekali i z niemieckiej, i z rosyjskiej, i z angielskiej niewoli...Ludzie, którzy przywykli stawiać swoje życie na jedną kartę, odznaczający się śmiałością przejętą i wyuczoną. Zwiadowcy i żołnierze przyuczeni do zabijania przedłużali wojnę w nowych warunkach, wojnę o siebie – przeciwko państwu. Naczalstwo, które przywykło mieć do czynienia z posłusznymi „trockistami”, nie podejrzewało, że tutaj znajdują się ludzie czynu, a przede wszystkim - działań. Jeszcze kilka miesięcy przed zdarzeniami, o których będzie mowa, łagier ten odwiedził jakiś wielki naczelnik. Zaznajamiając się z życiem nowicjuszy i ich pracą produkcyjną, naczelnik ów utyskiwał, że praca w dziedzinie kultury, zespoły amatorskie w łagrze pozostawiają wiele do życzenia. I wtedy były podpułkownik Janowski,

kulturalny łagru, z szacunkiem zameldował: „proszę się nie niepokoić, przygotujemy taki koncert, że będzie o nim mówić cała Kołyma”. Była to bardzo ryzykowna wypowiedź, ale nikt na nią wówczas nic zwrócił uwagi; Janowski był tego pewien. Przez całą zimę dobierali się i przemieszczali na różnych stanowiskach w łagrowej obsłudze uczestnicy przyszłej, planowanej na wiosnę ucieczki. Dyspozytor, starosta, felczer, fryzjer i brygadzysta - wszystkie etatowe stanowiska zajmowane przez więźniów, obsadzone były przez ludzi dobranych przez samego Janowskiego. Byli tu lotnicy, szoferzy, zwiadowcy - wszyscy, którzy mogli przyczynić się do powodzenia śmiało pomyślanej ucieczki. Kołymskie warunki zostały przestudiowane i nikt nie lekceważył trudności i w niczym się nie mylił. Celem była wolność albo szczęście śmierci, ale nie z głodu, pobicia, nie na narach w łagrze, a w walce z bronią w rękę. Janowski rozumiał, jakie to ważne dla jego towarzyszy, aby zachować siłę fizyczną, wytrzymałość, na równi z siłą moralną i duchową. Na stanowiskach obsługi można było być prawie sytym, nie słabnąć. Nadeszła kołymska wiosna - zwykła, milcząca, bez śpiewu ptaków, bez jednej kropli deszczu. Modrzewie odziały się w jasnozielone, młode igliwie, a rzadki, nagi las jak gdyby się zagęścił, drzewa przysunęły się jedno do drugiego,

kryjąc swoimi gałęziami ludzi i zwierzęta. Zaczęły się białe, a ściślej, bladoliliowe noce...Strażnicza wartownia w pobliżu wrót łagru ma dwoje drzwi - na zewnątrz i do wewnątrz - taka jest architektoniczna specyfika tego rodzaju budowli. Dyżuruje w niej dwu nadzorców. Równo o piątej rano zastukano do okienka wartowni. Dyżurny nadzorca spojrzął w szybę - przyszedł łagrowy kucharz Sołdatow po klucz od szafy z produktami - klucz znajdował się w wartowni, wisiał na gwoździu wbitym w ścianę. Przez kilka miesięcy pod rząd, dokładnie o piątej rano, przychodził tutaj kucharz po klucz. Dyżurny uniósł haczyk i wpuścił Sołdatowa. Drugiego nadzorcy nie było, dopiero co wyszedł przez zewnętrzne drzwi - mieszkanie, w którym żył wraz z rodziną, odległe było o trzysta metrów od wartowni. Wszystko zostało wyliczone i autor przedstawienia patrzył przez małe okno, jak rozpoczyna się pierwszy akt zamyślnego spektaklu, jak wszystko to, co tysiące razy powtarzała wyobraźnia i rozum, obleka się w krew i ciało. Kucharz podszedł do ściany, gdzie wisiał klucz, a w okienko zastukano ponownie. Nadzorca doskonale znał tego, co stukał - był to więzień Szewcow, mechanik i rusznikarz, który niejednokrotnie naprawiał automaty, karabiny i pistolety oddziału - człowiek „swoj”. W tym momencie Sołdatow rzucił się z tyłu na nadzorcę i zadusił go z

pomocą Szewcowa, który zdażył wejść do wartowni. Trupa rzucili pod nary w rogu wartowni i przykryli drzewem. Ściągnęli z zabitego szynel, czapkę, buty i Sołdatow, ubrawszy się w mundur nadzorcy i uzbrojony w nagan, zasiadł za stołem dyżurnego. W tym czasie powrócił drugi nadzorca. Zanim zdażył się w czymkolwiek zorientować, został uduszony podobnie jak pierwszy. Jego odzież włożył Szewcow. Nieoczekiwanie weszła do wartowni żona drugiego nadzorcy który chodził do domu na śniadanie. Nie zabili jej, związali tylko ręce, zakneblowali usta i położyli razem z martwymi. Konwojent przyprowadził brygadę z nocnej zmiany i wszedł do wartowni „rozliczyć się z ludzi”. Został również zabity. W ten sposób został zdobyty karabin i jeszcze jeden szynel. Na zewnątrz, koło wartowni, chodzili już ludzie, jak zwykle w czasie rozprowadzania do pracy, i w tym momencie pułkownik Janowski objął dowodzenie. Przestrzeń koło wachty znajdowała się pod obstrzałem z narożnych wieżyczek strażniczych, na których byli wartownicy. Ale w mglistym poranku po białej nocy niczego podejrzanego nie zauważali na placyku przed wartownią. Jak zawsze wyszło dwu konwojentów, aby przyjąć brygadę. Ustawili ją, maleńką - wszystkiego dziesięciu, a nawet tylko dziewięciu ludzi, i poprowadzili... To, że brygada skręciła z drogi na ścieżynkę, która

proceedziła mimo oddziału straży, także nie niepokoiło wartowników - również przedtem konwojenci prowadzili nią „robociarzy”, jeżeli byli opóźnieni przy wyjściu. „Brygada” przechodziła mimo oddziału straży i senny dyżurny, widząc ją przez otwarte drzwi, zdążył się tylko zdziwić, dlaczego prowadzą brygadę jeden za drugim, gęsiego, a nie jak zwykle drogą, w zwartym szyku - i został ogłuszony i rozbrojony, a „brygada” rzuciła się do „piramidy” karabinów stojących tu w zasięgu wzroku dyżurnego, w pierwszej części koszar. Uzbrojony w automat Janowski otworzył na oścież drzwi, gdzie spało czterdziestu żołnierzy straży - młodych „kadrowców” służby konwojenckiej. Seria z automatu oddana w sufit ułożyła wszystkich na podłodze pod narami. Przekazawszy automat Szewcowowi, Janowski wyszedł na dziedziniec, gdzie jego towarzysze ciągnęli z rozbitych składów oddziału straży produkty i broń wraz z amunicją. Wartownicy z wieżyczek strażniczych nie zdecydowali się otworzyć ognia - mówili później, że nie można było zobaczyć i pojąć, co tam się dzieje w oddziale straży. Nie dano wiary ich zeznaniom i w następstwie zostali ukarani. Uciekinierzy przygotowywali się do drogi, nie spiesząc się. Janowski rozkazał brać jedynie broń i naboje, a z produktów - tylko suchary i czekoladę. Felczer Nikolski wypchał torbę ze

znakiem czerwonego krzyża opatrunkami osobistymi. Wszyscy przebrali się w nowe mundury wojskowe, każdy dobrał sobie ze składu oddziału buty na nogę. Jeszcze podczas wychodzenia w szeregi z łagru, a potem przy zdobywaniu oddziału straży wyjaśniło się, że nie wszyscy uczestniczą w ucieczce - brakowało brygadzysty Piotra Kuzniecowa, przyjaciela podpułkownika Janowskiego. Został on nieoczekiwanie przeniesiony na nocną zmianę, zamiast chorego dziesiątnika. Janowski nie chciał uciekać bez kolegi, z którym wiele przeżył i przemyślał. Posłano po brygadzystę do miejsca pracy i Kuzniecowa przyszedł i przebrał się w żołnierską odzież. Dowódca zaatakowanego oddziału straży i naczelnik łagru wyszli ze swoich mieszkań dopiero, gdy dowiedzieli się od swoich sprzątających, że zbiedzy opuścili teren łagru. Przewód telefoniczny został przecięty i dopiero wtedy, gdy zbiedzy już wyszli na „trasę”, zdołano dać znać o ucieczce do najbliższego łagru. Wyszędłszy na szosę, uciekinierzy zatrzymali pierwszą pustą ciężarówkę. Pod groźbą rewolweru szofer wylazł z kabiny i Kabaridze, lotnik, pilot myśliwców, ujął kierownicę. Janowski usiadł obok niego w kabinie i rozpostarł na kolanach mapę zabraną w oddziale straży; samochód pomknął do Siejmczanu - do najbliższego lotniska. Zdobyć samolot i odlecieć! Drugi,

trzeci, czwarty zakręt w lewo. Piąty zakręt! Samochód skręcił z dużej szosy w lewo i pomknął ponad kipiącą rzeką, wzdłuż przytulonej do skały drogi, po chrzęszczących kamieniach. Kabaridże zmniejszył szybkość - niewiele brakowało, aby zlecieć po zboczach do wody z dziesięciosążniowej wysokości. W dole, koło rzeczki, widniały podobne do zabawek domki „delegatury”. Okrążając skałę za skałą, droga zakręcała i opuszczała się w dół - samochód zjeżdżał z przełęczą. Domki osiedla wynurzyły się z tajgi w zupełnie bliskiej odległości i Janowski zobaczył przez przednią szybę kabiny biegnącego naprzeciw żołnierza, z karabinem gotowym do strzału. Żołnierz odskoczył w bok, samochód przemknął obok niego i od razu szczęknęły wystrzały - straż została już uprzedzona. Wyjście z takiej sytuacji Janowski przygotował już wcześniej i po dziesięciu kilometrach Kabaridże przyhamował samochód. Uciekinierzy porzucili ciężarówkę i przekroczywszy zarośnięty mchem rów, znikli w tajdze. Do lotniska było jeszcze z siedemdziesiąt kilometrów i Janowski zdecydował się iść przebojem. Po wystawieniu straży zanoceowali w pieczarze w pobliżu górskiego potoku, grzejąc się jeden od drugiego. Następnego dnia rano, ledwie uciekinierzy ruszyli w drogę, natknęli się na oddział operacyjny - miejscowa ich grupa przeszukiwała las. Czterech z

nich zostało zabitych pierwszymi strzałami zbiegów. Janowski kazał podpalić las - wiatr dał w kierunku pogoni i uciekinierzy poszli dalej. Ale już po wszystkich kołymskich drogach leciały ciężarówki wypełnione żołnierzami - nieprzejrzana armia regularnych wojsk spieszyła na pomoc łagrowej straży i „operatywce”. Dziesiątki wojskowych samochodów przejeżdżały centralną szosą. Wiele dziesiątków kilometrów drogi do Siejmczanu zostało zapchanych oddziałami wojska. Najwyższe kołymskie naczalstwo kierowało tą rzadką operacją. Odgadnięto koncepcję Janowskiego i do ochrony lotniska zmobilizowano taką ilość regularnego wojska, że z trudem dało się je rozmieścić na przedpolach. Pod wieczór drugiego dnia grupa Janowskiego została ponownie odkryta i podjęła walkę. Oddział wojsk pozostawił na miejscu dziesięciu zabitych. Janowski, wykorzystując kierunek wiatru, ponownie podpalił tajgę i uciekł, przeprawiwszy się przez wielki górski potok. Trzeci nocleg zbiegów, którzy jeszcze nie stracili ani jednego człowieka, został wybrany przez Janowskiego na błotach, na których stały stogi siana. Uciekinierzy nocowali w stogach i kiedy skończyła się biała noc, kiedy słońce oświetliło wierzchołki drzew w tajdze, okazało się, że błoto jest otoczone przez żołnierzy. Prawie nie kryjąc się, przebiegali oni

od drzewa do drzewa. Dowódca tego samego oddziału, na który napadli na początku swej drogi, zaczął machać szmatką i krzyknął:

- Poddajcie się, jesteście okrażeni. Nie macie gdzie iść...

Ze stogu wysunął się Szewcow:

- Twoja prawda. Chodź, przyjmuj broń...

Dowódca oddziału wyskoczył na błotnistą ścieżkę, podbiegł do stogów, zachwiał się, zgubił czapkę i upadł twarzą w błoto. Kula Szewcowa trafiła go wprost w czoło. Od razu rozpoczęła się bezładna strzelanina, słychać było rozkazy, żołnierze rzucili się ze wszystkich stron na stogi, ale okężna obrona niewidocznych zbiegów ukrytych w sianie przerwała atak. Ranieni stękali, ci, co ocaleli, zalegli w błocie; od czasu do czasu szczęką wystrzał i żołnierz, szarpnąwszy się, wyprostowywał się. Obstrzał stogów rozpoczął się ponownie, ale tym razem pozostał bez odpowiedzi. Po godzinnej strzelaninie przedsięwzięto nowy atak, znowu zatrzymany strzałami uciekinierów. Ponownie leżały w błocie trupy i stękali ranni. Rozpoczęto długi obstrzał. Ustawiono dwa karabiny maszynowe, i po kilku seriach - ponowny atak. Stogi milczały. Kiedy żołnierze rozrzućili każdy stóg w różne strony, wyjaśniło się, że przy życiu pozostał tylko jeden zbieg - kucharz Sołdatow. Miał przestrzelone obie golenie, ramię i przedramię, ale jeszcze oddychał.

Wszyscy pozostali byli martwi, zastrzeleni. Ale tych pozostałych było nie jedenastu, tylko dziewięciu. Nie było samego Janowskiego i Kuzniecowa. Tego samego wieczoru, w odległości dwudziestu kilometrów w górę rzeki, został zatrzymany nieznany człowiek, ubrany w mundur wojskowy. Otoczony przez żołnierzy, skończył ze sobą za pomocą pistoletu. Od razu go zidentyfikowano. Był to Kuzniecowa. Brakowało tylko przywódcy - podpułkownika Janowskiego. Los jego pozostał na zawsze nieznany. Szukano go długo - przez wiele miesięcy. Nie mógł popłynąć rzeką ani pójść górkami ścieżkami - wszystko było starannie zablokowane. Najprawdopodobniej popełnił samobójstwo, ukrywając się w jakiejś głębokiej pieczarze czy niedźwiedzim legowisku, gdzie zamieszkujące tajgę zwierzęta pożarły jego martwe ciało. Z centralnego szpitala zapotrzebowano na tę bitwę najlepszego chirurga z dwoma felczerami z wolnego najmu, koniecznie z takimi. Szpitalna półtoratonówka dopiero pod wieczór dobrnęła do sowchozu Elgen, gdzie mieścił się sztab działającego oddziału - tak dużo studebakerów przegradzało jej drogę.

- Co tutaj wojna, czy co? - spytał chirurg wysokiego naczelnika dowodzącego operacją.

- Wojna, nie wojna, a na razie dwudziestu ośmiu zabitych. A ilu innych - to sam pan się dowie.

Chirurg opatrywał i operował do późna w nocy.

- Iluż tych zbiegów?

- Dwunastu.

- A wy wezwaliście samoloty i bombardowali ich. Atomowymi bombami.

Naczelnik spojrział z ukosa na chirurga.

- Z pana to wieczny żartowniś, już dawno pana znam. Zobaczysz pan usuną mnie z pracy, zmuszą do przedwczesnego odejścia w stan spoczynku.

Naczelnik ciężko westchnął. Był domyślny. Przenieśli go z Kołymy i zwolnili z pracy właśnie za tę ucieczkę. Sołdatow wyleczył się i został zasądzony na dwadzieścia pięć lat. Naczelnik łagru dostał dziesięć, a wartownicy, stojący na wieżyczkach wartowniczych - po pięć lat więzienia. Zasądzono bardzo wielu ludzi z kopalni w związku z tą „sprawą”, więcej niż sześćdziesiąt osób - wszystkich, co wiedzieli i milczeli, tych, co pomagali i chcieli pomóc, ale nie zdążyli. Dowódca oddziału straży otrzymałby większy wyrok, ale kula Szewcowa wybawiła go od nieuniknionej kary. Nawet lekarz Potapowa, naczelniczka wydziału zdrowia, u której pracował na etacie zbiegły felczer Nikolski, została pociągnięta do odpowiedzialności, ale udało się ją uratować, przenosząc w inne miejsce.

Książka znikła. Leżący na ławce, ogromny, ciężki foliał znikł na oczach dziesiątków więźniów. Ten, kto widział kradzież - nie powie. Mówią, że nie ma na świecie kradzieży bez świadków - bądź żywych, bądź też nieobdarzonych życiem. No, a jeżeli istnieje takie przestępstwo? Kradzież powieści Marcela Prousta - to nie taka tajemnica, którą strach zapomnieć. A przy tym milczą pod groźbą rzuconą mimochodem. Kto widział - będzie milczał „za cenę strachu”. Książkę mógł ukraść według wskazówki złodzieja każdy frajer, aby wykazać się odwagą i chęcią należenia do świata przestępczego - gospodarzy życia w łagrze. Mógł ukraść jakikolwiek frajer, po prostu dlatego, że książka nie tak leżała. Rzeczywiście, książka leżała źle: na samym brzegu ławki znajdującej się na ogromnym, szpitalnym dziedzińcu dwupiętrowego, kamiennego budynku. Na ławce siedziałem ja i Nina Bogatyriewa. Miałem za sobą kołymskie sopki, dziesięcioletnie błąkanie się po tych górskich osiedlach, a Nina - okupację i front. Bolesna i niepokojąca rozmowa skończyła się już dawno. W słoneczny dzień chorzy wychodzili na spacer - kobiety oddzielnie. Nina, jako sanitariuszka, pilnowała chorych. Odprowadziłem Ninę do rogu, wróciłem, ławka była wciąż pusta - spacerujący

chorzy obawiali się na tej ławce usiąść, uważając, że to ławka felczerów, sióstr medycznych, nadzoru czy konwoju. Książka znikła. Kto będzie czytać tę dziwną prozę, niemającą wagi, jakby gotową do wznoszenia w kosmos, gdzie wszystkie wymiary są inne, gdzie nie ma niczego, co jest wielkie lub małe? Pamięć, podobnie jak śmierć, równa wszystkim i wszystko - autor ma prawo zapamiętać suknię służącej, zapomnieć klejnoty jej pani. Sztuka posługiwania się słowem rozszerzyła niezwykle swe horyzonty dzięki tej książce. Ja, kołymianin, zek, przeniesiony zostałem do dawno utraconego świata, innych, zapomnianych, niepotrzebnych przyzwyczajęń. Miałem dużo czasu do czytania. Byłem nocnym felczerem. Kiedy przeczytałem Stronę Guermentes, ogarnęła mnie depresja. Od tego właśnie tomu rozpoczęła się moja znajomość z Prostem. Książkę przysłano mojemu znajomemu, felczerowi Kalityńskiemu który już paradował po sali w aksamitnych spodniach-golfach, z fajką w zębach, roznoszącą nieprawdopodobny zapach capstaina. I capstain i spodnie-golfy przysłane zostały w paczce razem ze Stroną Guermentes. Ach, żony, żony, drogie i naiwne towarzyszy życia! Zamiast machorki capstain, zamiast spodni z moleskinu - aksamitne spodnie-golfy, zamiast wełnianego, szerokiego, dwumetrowego szalika z wielbłądziej sierści - coś zwiewnego, podobnego do

wstążki, do motyla - jedwabny, wspaniały szalik, skręcający się na szyi w sznurek grubości ołówka. Takie same aksamitne spodnie i taki sam jedwabny szalik przysłano w trzydziestym siódmym roku Frycowi Dawidowi, mojemu sąsiadowi z RUR - „kompanii zaostzonego reżimu”. Fryc Dawid nie mógł pracować - był zbyt wycieńczony, aksamitnych spodni i jedwabnego, wspaniałego szalika-wstążki nie można było na kopalni wymienić nawet na chleb. I Fryc Dawid zmarł, upadł na podłogę w baraku i umarł. Było zresztą tak ciasno, że wszyscy spali na stojąco i martwy Fryc nie od razu dotarł do podłogi. Najpierw umarł, a potem upadł. Wszystko to było przed dziesięciu laty - co ma z tym wspólnego "W poszukiwaniu straconego czasu"? Kalityński i ja - obaj wspominaliśmy swój świat, swój stracony czas. Dla mojego nie było spodni-golfów, ale był Proust i byłem szczęśliwy, że czytam Stronę Guermantes. Nie chodziłem spać do baraku. Proust był mi droższy od snu. A do tego Kalityński mnie gonił. Książka znikła. Kalityński był wściekły. Mało się znaliśmy i on był pewien, że to ja ukradłem książkę, aby ją sprzedać. Taka kradzież mimochodem była kołymską tradycją, głodową tradycją. Szalik, onuce, ręczniki, kawałki chleba, odsypana machorka, wyduszona - znikają bez śladu. Według Kalityńskiego na Kołymie wszyscy umieli kraść. Ja również tak uważałem. Książkę ukradziono.

Jeszcze można było do wieczora oczekiwać, że podejdzie jakiś ochotnik, bohaterski stukacz i „dmuchnie”, powie, gdzie jest książka i kto jest złodziejem. Ale minął wieczór, dziesiątki wieczorów, a po Stronie Guermentes nie zostało śladu. Jeśli nie sprzeda jej miłośnikowi Prousta (miłośnicy Prousta wśród łagrowych naczelników! Jeszcze miłośnicy Jacka Londona - takich spotyka się w tym świecie, ale Prousta!!), to pójdzie na karty - Strona Guermentes swoje waży. To była jedna z przyczyn, dla których nie trzymałem książki na kolanach, lecz położyłem ją na ławce. To grube tomisko. Tak, na karty, na karty... Potną - i koniec. Nina Bogatyriewa była pięknoscia, rosyjską pięknoscia niedawno przywieziona z „kontynentu” do naszego szpitala. Zdrada ojczyzny. Pięćdziesiąt osiem, jeden „a” lub jeden „b”.

- Spod okupacji?

- Nie, nie byliśmy pod okupacją. To teren przyfrontowy. Dwadzieścia pięć i pięć - to bez Niemców. To od majora. Aresztowali, major chciał, abym z nim żyła. Nie zrobiłam tego. I oto wyrok. Kołyma. Siedzę na tej ławce. Wszystko to prawda. I wszystko - nieprawda. Nie zaczęłam z nim żyć. Lepiej już z kimś swoim będę się zabawiać. Na przykład z tobą...

- Zajęty jestem, Nino.

- Słyszałam.

- Trudno ci będzie, Nino. Z powodu twej piękności.

- Niech będzie przeklęta ta piękność.

- Co ci obiecuje naczalstwo?

- Że zostawią w szpitalu jako sanitariuszkę. Wyuczę się na siostrę.

- Tutaj nie zostawiają kobiet, Nino. Na razie.

- A mnie obiecują zostawić. Jest taki jeden człowiek. Pomoże mi.

- Kto to taki?

- Tajemnica.

- Uważaj, to szpital państwowy, oficjalny. Nikt tutaj nie ma takiej władzy. Żaden z więźniów. Lekarz czy felczer - wszystko jedno. To nie kopalniany szpital.

- Wszystko jedno. Jestem szczęśliwa. Będę robić abażury. A potem pójdę na kurs, tak jak ty.

Nina pozostała w szpitalu i robiła papierowe abażury. A kiedy skończyła, posłali ją znów na etap.

- Czy to twoja baba jedzie z tym etapem?

- Moja.

Obejrzałem się. Za mną stał Wołodia, stary wilk z tajgi, felczer bez medycznego wykształcenia. W przeszłości jakiś tam działacz oświatowy czy sekretarz rady miejskiej. Wołodii było już dawno po czterdziestce i Kołymę znał od dawna. Kołyma również go znała. Sprawki z błatniakami, łapówki dla lekarzy. Wołodię przysłano tutaj, aby wzmocnił swe stanowisko tytułem. Ale

kurs nie został otwarty. I Wołodia uznał, że dobrze będzie powrócić do kopalni, gdzie był panem i władcą. Miał nazwisko - Raguzin chyba, ale wszyscy nazywali go Wołodia. Czyżby on był opiekunem Niny? To okropne. Spokojny głos Wołodii mówił za plecami: „kiedyś, na «kontynencie», miałem w żeńskim łagrze pełny porządek. Jak tylko zaczną dmuchać że żyjesz z babą - to ja ją na listę i buch! - na etap. I nową biorę do abażurów, i znów wszystko w porządku". Nina odjechała. W szpitalu pozostała jej siostra, Tonia. Żyła z krajaczem chleba, Złotnickim, pięknym, smagłym, potężnym mężczyzną ze środowiska kryminalistów - była to zyskowna przyjaźń. Na stanowisko krajacza chleba w szpitalu, które obiecywało ogromne dochody, Złotnicki przybył dzięki dużej łapówce, wręczonej, jak mówiono, samemu naczelnikowi szpitala. Wszystko było pięknie, ale smagły, dorodny Złotnicki okazał się syfilitykiem: konieczne było ponowne leczenie. Usunięto go i odesłano do kołymskiej wenzony, łagru dla chorych na choroby weneryczne. W szpitalu Złotnicki pozostawał przez kilka miesięcy i zdażył zarazić tylko jedną kobietę - Tonię Bogatyriewą. Zabrano ją do kobiecej wenzony. W szpitalu zaniepokojono się. Cały personel medyczny poddano analizie na reakcję Wassermana. U felczera Wołodii Raguzina - cztery krzyżyki. Syfilityk Wołodia

znikł ze szpitala. A po kilku miesiącach konwój przywiózł do szpitala chore kobiety i między nimi Ninę Bogatyriewą. Wieziono ją jednak dalej - w szpitalu tylko wypoczęła. Wieziono ją do żeńskiej wenzony. Wyszędłem do etapu. Jedynie zapadnięte, duże, czarne oczy - nic więcej nie pozostało z poprzedniej Niny.

- Widzisz, jadę do wenzony...

- Ale dlaczego do wenzony?

- Jakże? Ty, felczer, i nie wiesz, dlaczego odsyłają do wenzony? To abażury Wołodii. Urodziły mi się bliźniaki. Ale nie były do życia. Umarły.

- Dzieci umarły? To twoje szczęście, Nino.

- Tak. Teraz jestem wolna jak ptak. Podleczę się. Znalazłeś wtedy książkę?

- Nie, nie znalazłem.

- To ja ją wzięłam. Wołodia prosił o coś do poczytania.

BEZIMIENNY KOT

Kot nie zdążył wyskoczyć na dwór i szofer Misza złapał go w sieni. Wziawszy stary przyrząd do nawiercania - krótki stalowy łom, Misza przełamał kotu kręgosłup i żebra. Uchwyciwszy za ogon, szofer otworzył nogą drzwi i wyrzucił kota na dwór, w śnieg i noc, na pięćdziesięciostopniowy mróz. Kot był własnością Kruglaka, sekretarza organizacji partyjnej szpitala. Kruglak zajmował całe mieszkanie w

jednopiętrowym domu w osiedlu dla wolnych i w pokoju ponad Miszą trzymał prosiaka. Tynk na suficie Miszy wilgotniał, puchł, ciemniał, a wczoraj odskoczył i z sufitu pociekł na głowę Miszy gnój. Misza poszedł do sąsiada, aby się rozmówić, ale Kruglak przegnał szofera. Misza nie był złym człowiekiem, uraza była jednak zbyt wielka i kiedy kot trafił pod rękę...Na górze, w mieszkaniu Kruglaka milczano - nikt nie wyszedł na skowyt, przeraźliwy głos kota, aby mu pomóc. Nie wzywał on chyba pomocy. Kot nie wierzył, że ludzie mogą mu pomóc - wszystko jedno - czy Kruglak, czy szofer. Znalazłszy się w śniegu, kot wypełzł z zasy na lodową ścieżkę, błyszcząca w świetle księżyca. Przechodziłem mimo i wziąłem go ze sobą do szpitala, do więziennego szpitala. Nie zezwalano nam trzymać kota w sali, chociaż szczurów było mnóstwo i żadna strychnina, żaden arszenik nie był w stanie pomóc, nie mówiąc już o łapkach czy siódkach. Arszenik i strychnina przechowywane były za siedmiu zamkami i nie były przeznaczone dla szczurów. Ubłagałem felczera z oddziału neuropsychiatrycznego, aby wziął kota do psychicznych. Tam odżył i okrzepł. Odmrożony ogon odpadł, pozostał kikut, łapka była złamana, żebra też. Ale serce było całe i kości się zrosły. Po dwu miesiącach kot już walczył ze szczurami i uwolnił od nich oddział

neuropsychiatryczny szpitala. Opiekunem kota został Lonieczka - symulant, którego nawet nie chciało się demaskować, miernota, przez całą wojnę ratujący się w szpitalu dzięki niepojętemu kapryswi lekarza - opiekuna błatniaków, którego każdy recydywista wprawiał w drżenie, ale nie ze strachu, a z zachwytu, szacunku, uwielbienia. „Wielki złodziej”, mówił szanowny doktor o swoich pacjentach - jawnych symulantach. To nie o to chodziło, że miał on jakiś „handlowy cel” - łapówki, ściąganie pieniędzy. Nie. Całkiem po prostu nie starczało mu energii na dobre inicjatywy i dlatego rządzą nim złodzieje. A prawdziwi chorzy nie umieli trafić do szpitala, nie potrafili nawet pokazać się na oczy doktorowi. Oprócz tego - gdzie w łagrze leży granica pomiędzy rzeczywistą i pozorowaną chorobą? Symulanci, agrawanci i rzeczywiście cierpiący chorzy mało się odróżniają jeden od drugiego. Prawdziwy chory powinien być symulantem, aby trafić do szpitalnego łóżka. Ale kotu ta zachcianka psychicznych zachowała życie. W niedługim czasie kot, a właściwie kocica, odbyła wesele i się okociła. Życie jest życiem. A później przyszli na oddział błatniacy, zabili kotkę wraz z dwoma kociętami, ugotowali i dali kociołek mięsnej zupy mojemu przyjacielowi, dyżurnemu felczerowi - za milczenie i na znak przyjaźni. Felczer

uratował dla mnie kociaka, tego trzeciego, szarego, dla którego nie miałem imienia: bałem się go nazwać, ochrzcić, aby nie wywołać nieszczęścia. Jechałem wtedy do swojego rejonu w tajdze i wiozłem za pazuchą kociaka, córkę tej bezimiennej kaleki, zjedzonej przez błatniaków. W swoim ambulatorium nakarmiłem kotkę, zrobiłem jej zabawkę ze szpulki, postawiłem blaszankę z wodą. Kłopot polegał tylko na tym, że moja praca związana była z wyjazdami. Nie można było zamykać kotki na kilka dni w ambulatorium. Trzeba ją było oddać komuś, czyje stanowisko pozwoliłoby żywić drugiego - obojętne, człowieka czy zwierzę. Dziesiętnik? Dziesiętnik nienawidził zwierząt. Konwojenci? W pomieszczeniu straży trzymano kilka psów, owczarków. Skazać kociaka na wieczne męczarnie, na codzienne znęcanie się, na szczucie, kopniaki... Oddałem kociaka łagrowemu kucharzowi, Wołodii Bujanowowi. Wołodia rozdawał jedzenie w szpitalu, w którym przedtem pracowałem. Znalazł on w kotle z zupą dla chorych, w baku, mysz, ugotowaną mysz. Wołodia wszczął alarm, ale niewielki i daremny, bo żaden z chorych nie odmówiłby zjedzenia dodatkowej miski tej zupy z myszą. Historia skończyła się na tym, że Wołodię oskarżono, że on celowo i tak dalej... Kierowniczką kuchni była z wolnego najmu, na umowie, i Wołodię usunięto z tej pracy i posłano na teren

wyrębu lasu. Tam właśnie pracowałem jako felczer. Zemsta kierowniczkii kuchni dosięgła Wołodię w lesie. Stanowisko kucharza - to stanowisko godne zazdrości. Ochotnicy pisali na niego donosy, śledzili w dzień i w nocy. Każdy wie, że nie trafi mu się to stanowisko, ale jednak donosi, śledzi, ujawnia. W końcu Wołodię usunięto z pracy i przyniósł mi kociaka z powrotem. Oddałem kotkę przewoźnikowi. Rzeczka lub, jak mówią na Kołymie, „zdrój” Duskania, na której brzegach prowadzono wyrąb lasu, była, podobnie jak wszystkie kołymskie rzeki, rzeczki i strumienie, nieokreślonej szerokości, uzależnionej od ilości wody, a ta z kolei zależała od deszczów, śniegu i słońca. Bez względu na stopień, w jakim zdrój wysychał latem, konieczny był jednak przewóz, łódka dla przepłynięcia ludzi z jednego brzegu na drugi. Przy strumieniu stała izdebka, a w niej mieszkał przewoźnik i jednocześnie rybak. Szpitalne stanowiska, osiągnane na zasadzie „błatu”, nie zawsze są łatwe. Zazwyczaj ludzie ci wypełniają zamiast jednej pracy - trzy. A dla chorych, ewidencjonowanych jako leżący, sprawa była jeszcze bardziej skomplikowana, bardziej delikatna. Wybrano takiego przewoźnika, żeby łowił ryby dla naczalstwa. Świeżą rybę na stół naczelnika szpitala. W zdroju Duskania mało jest ryb, ale jednak są. Przewoźnik ten łowił ryby dla naczelnika szpitala

bardzo gorliwie. Każdego dnia wieczorem szofer wiozący drewno brał od rybaka ciemny, mokry worek, wypchany rybą i mokrą trawą, pakował go do kabiny i samochód odjeżdżał do szpitala. Rano szofer przywoził rybakowi pusty worek. Jeśli ryb było dużo, to naczelnik wołał naczelnego lekarza i innych niższych rangą. Naczalstwo nawet machorki nie dało nigdy rybakowi, uważając, że stanowisko rybaka powinno być cenione przez tego, kto jest na „historii”, czyli na historii choroby. Zaufani ludzie – brygadziści, pracownicy biura, z własnej woli pilnowali, aby rybak nie sprzedał ryby za plecami naczelnika. I znowu wszyscy pisali, ujawniali, donosili. Rybak był starym łagiernikiem, dobrze rozumiał, że przy pierwszym niepowodzeniu wyleci z hukiem do kopalni. Ale niepowodzeń nie było. Chariusy, lenki, omule spływały w dół rzeczki, wzdłuż jaśniejącego nurtu wraz z wartkim strumieniem wody do cienistej głębi pod skałą, gdzie było spokojniej i bezpieczniej. Ale tutaj stało czółenko rybaka i z dzioba zwisały wędki wabiące chariusy. I kotka siedziała w kamiennym bezruchu, jak rybak, spoglądając na spławiki. Wydawało się, że to właśnie ona zarzuciła wędki z przynętą. Kotka szybko przywykła do rybaka. Zrzuciona z łódki, kotka łatwo, ale niechętnie dopływała do brzegu, do domu – nie trzeba jej było uczyć pływać. Nie

nauczyła się jednak sama przypływać do rybaka, gdy jego łódka stała w poprzek rzeczki ustawiona tam za pomocą dwu żerdzi. Cierpliwie oczekiwała na brzegu powrotu gospodarza. Rybak przeciągał przez rzeczkę, a czasem wzdłuż brzegu, w jamach i wypłuczyskach, sznur z haczykami i nadzianą na nie przynętą z małych rybek. W ten sposób łowił większą rybę. Później przegrodził kamieniami jedną z odnóg rzeczki, pozostawiając cztery wolne przejścia, które zamknął wężierzami, zrobionymi przez siebie z wikliny. Kotka uważnie przypatrywała się tej pracy. Wężierze stawiało się zawczasu, ażeby nie przegapić zdobyczy, gdy zacznie się jesienna wędrówka ryb. Do jesieni było jeszcze daleko, ale rybak rozumiał, że gdy jesienią ryba zacznie spływać - to będzie koniec jego rybackiej pracy w szpitalu. Pośle go do kopalni. Może przez pewien czas zbierać jagody i grzyby. Przeciągnie dodatkowy tydzień - i to dobre. Kotka natomiast nie umiała zbierać jagód i grzybów. Ale jesień nie przyjdzie jeszcze ani jutro, ani pojutrze. Na razie kotka łowiła ryby łapką na płyciznach, mocno zapierając się nogami w przybrzeżny żwir. Polowanie to nie bardzo jej się udawało, za to rybak oddawał kotce wszystkie resztki. Po każdym połowie, każdego dnia rybak sortował zdobycz: większą - dla naczelnika, do specjalnego wiklinowego schowka w wodzie. Rybę średniej

wielkości - dla niższego naczalstwa, każdy przecież chce świeżej ryby. Jeszcze mniejsze - dla siebie i dla kotki. Żołnierze naszej „delegatury” przejeżdżali na nowe miejsce i pozostawili u rybaka trzymiesięcznego szczeniaka, aby go później zabrać. Chcieli sprzedać go komuś z naczalstwa, ale czy to nie było żadnych chętnych na widoku, czy też nie zgodzili się co do ceny - nikt, aż do późnej jesieni, nie przyjeżdżał po szczeniaka. Szczeniak bez trudu stał się członkiem rybackiej rodziny, zaprzyjaźnił się z kotką, która była starsza od niego - nie wiekiem, lecz pod względem mądrości życiowej. Kotka zupełnie się go nie bała i pierwszy jego atak, taki na żarty, napotkał pazury, którymi bezgłośnie podrapała mu mordkę. Potem pogodzili się i zaprzyjaźnili. Kotka uczyła szczeniaka polować. Miała do tego podstawy. Dwa miesiące wcześniej, kiedy mieszkała jeszcze u kucharza, zabito niedźwiedzia, zdarto z niego skórę i kotka rzuciła się, triumfalnie wbijając pazury w świeżą, czerwoną niedźwiedzią tuszę. Szczeniak natomiast zaskowyczał i schował się pod nary w baraku. Kotka nigdy nie polowała z matką. Nikt nie uczył jej takiego rzemiosła. Wykarmiłem ją mlekiem po śmierci matki. I proszę - była to bojowa kotka, umiejąca wszystko, co powinien umieć każdy kot. Jeszcze będąc u kucharza, maleńki kotek złapał

mysz, swoją pierwszą mysz. Na Kołymie ziemne myszy są duże, niewiele mniejsze od kociaka. Zadusił on jednak wroga. Kto go nauczył tej złości, tej wrogości? Sytego kotka mieszkającego w kuchni. Kotka godzinami siedziała koło nory ziemnej myszy i szczeniak zamierał podobnie jak kotka, naśladowując jej każdy ruch, oczekując rezultatów polowania, skoku...Kotka dzieliła się ze szczeniakiem jakby z kociakiem, rzucała mu pojmaną mysz i szczeniak warczał, ucząc się ją złapać. Sama kotka niczego się nie uczyła. Wszystko umiała od urodzenia. Ileż to razy widziałem, jak pojawiał się ten zmysł myśliwski - i nie tylko zmysł, ale też mistrzowska umiejętność. Kiedy kotka czatowała na ptaki, szczeniak, ogromnie poruszony, nieruchomiał, oczekując skoku, uderzenia. Myszy i ptaków było wiele. Kotka nie leniła się. Bardzo zaprzyjaźniła się ze szczeniakiem. Wynaleźli razem jedną zabawę, o której wiele opowiadał mi rybak, ale i ja sam obserwowałem ją trzy czy cztery razy. Przed rybacką izdebką znajdowała się wielka polana, a pośrodku niej gruby pień modrzewia o wysokości około trzech metrów. Zabawa zaczynała się od tego, że kotka ze szczeniakiem uganiali się po tajdze i zapędzali razem na tę polanę jednego za drugim pręgowane burunduki - wiewiórki ziemne, maleńkie zwierzątka z wielkimi oczami. Szczeniak biegał w koło, starając się schwycić

burunduka, a burunduk ratował się bardzo łatwo, wspinając się na pień i oczekując, kiedy szczeniak się zagapi, aby zeskoczyć i zniknąć w tajdze. Szczeniak biegał, zataczając koła, a żeby widzieć i polanę, i pień, i burunduka siedzącego na jego wierzchołku. Do pnia podbiegała po trawie kotka i wspinała się za burundukiem, który skacząc na ziemię, trafiał wprost w zęby szczeniaka. Kotka zeskakiwała za nim i szczeniak wypuszczał zdobycz. Kotka oglądała martwe zwierzątko, a potem łapką podsuwała je szczeniakowi. Często jeździłem wtedy tą drogą, gotowałem w izbie przewoźnika "czyfir"; spałem przed daleką, pieszą drogą przez tajgę - trzeba było przejść dwadzieścia kilometrów, aby dostać się do domu, do ambulatorium. Patrzyłem na kotkę, szczeniaka, rybaka, na ich zabawy i za każdym razem myślałem o nieubłaganej jesieni, o kruchości tego małego szczęścia i o przyporządkowaniu każdego temu prawu: zwierzęcia, człowieka, ptaka. Jesień ich rozłączy, myślałem. Ale rozłąka przyszła wcześniej niż jesień. Rybak pojechał po produkty do łagru, a kiedy wrócił - kotki nie było w domu. Szukał jej przez dwie noce, chodził daleko w górę strumienia, przeglądając wszystkie swoje sidła, wszystkie łapki, krzyczał, wołał ją po imieniu, którego nie miała i nie znała. Szczeniak był w domu, niczego jednak nie potrafił

powiedzieć. Wył i wzywał kotkę. Ale kotka nie przyszła.

NA ETAPIE

To był właśnie aresztancki etap, jaki mi się marzył długo w ciągu mych lat dziecięcych. Poczerniałe twarze i granatowe wargi spalone przez uralskie kwietniowe słońce. Olbrzymi konwojenci wskakują w biegu do sań, sanie lecą; cięta rana przez całą twarz jednookiego konwojenta - tego z przodu, wyraziste, szafirowe oczy naczelnika konwoju. W drugiej połowie dnia znaleźmy już jego nazwisko - Szczerbakow. Aresztanci - a było nas około dwustu - wiedzieli już, jak się nazywa naczelnik. Jakimś cudownym sposobem, niedostępnym, niepojętym dla mnie. Wymawiali to nazwisko zwyczajnie, tak jakby nasza podróż ze Szczerbakowem trwała wiecznie. I rzeczywiście wszedł on na zawsze w nasze życie. Dla wielu z nas tak właśnie było. Gibka, ogromna postać Szczerbakowa pojawiała się tu i tam, wypadając do przodu, spotykał i odprowadzał wzrokiem każdy, aż do ostatniego, wóz etapu i dopiero potem puszczał się w ślad, doganiając i objeżdżając. Tak, mieliśmy wozy, klasyczne wozy, na których syberyjscy „czaldoni” wieźli „rzeczy” - etap szedł w swoją pięciodniową podróż w aresztanckich szeregach, bez rzeczy, przypominając na postojach i apelach

nierówne szeregi poborowych na jakimś dworcu. Ale wszystkie dworce pozostały daleko od naszych życiowych dróg. Był ranek, rzeźwy kwietniowy ranek, wyłaniający się z rzednącego półmroku klasztornego podwórca, gdzie ziewając i kaszląc, ustawił się nasz etap, aby puścić się w dalszą drogę. Przebyliśmy noc w piwnicach solikamskiej milicji, w byłym klasztorze, po zamianie moskiewskiego starającego się i małomównego konwoju na hałastrę, składającą się z ogorzałych zuchów pod komendą szafirowowego Szczerbakowa. Wczoraj wieczorem zstępowaliśmy do chłodnego, wyziębionego podziemia - wokół cerkwi był lód i śnieg. Trochę tajał w ciągu dnia i zamarzał wieczorem - granatowo-szare zaspę pokrywały cały podwórzec i żeby dobrać się do istoty śniegu, do jego białości, trzeba było nadłamać sztywną, raniącą rękę skorupę lodu i dopiero wtedy można było wytaszczyć z jamki gruboziarnisty, rozsypujący się śnieg, który tak radośnie roztapiał się w ustach i paląc swoim praśnym smakiem, trochę je chłodził. Wchodziłem do lochu jeden z pierwszych, mogłem więc wybrać sobie jakieś cieplejsze miejsce. Ogromne, lodowate sklepienia napawały mnie strachem i ja - niedoświadczony młodzian - poszukiwałem wzrokiem czegoś podobnego do pieca - chociaż czegoś takiego jak u Fignera czy u Morozowa. I nie

znajdowałem niczego. Ale mój przypadkowy towarzysz, z którym los zetknął mnie tylko w tej krótkiej minucie zejścia do więziennego lochu w klasztorze, błatniak Gusiew, popchnął mnie aż do ściany, do jedyne go zakratowanego okna z podwójnymi szybami. Miało ono półokrągły kształt, metr wysokości i zaczynało się od samej podłogi lochu, podobne do strzelnicy. Chciałem zająć inne miejsce, cieplejsze, ale tłum ludzi parł nieprzerwanym strumieniem przez wąskie drzwi i nie było żadnej możliwości cofnięcia się. Gusiew, nie mówiąc do mnie ani słowa, spokojnie uderzył noskiem buta w szybę, rozbijając pierwszą, a potem drugą. Strumień chłodnego powietrza wdarł się przez wybity otwór, parząc jak wrzątek. Ogarnięty strumieniem tego powietrza, i bez tego już przemarznięty przez długie oczekiwanie i niekończące się przeliczanie na podwórku, zadrżałem z zimna. Nie od razu pojąłem całą mądrość Gusiewa - jedynie my dwaj pośród dwustu aresztantów oddychaliśmy przez całą noc świeżym powietrzem. Ludzie byli tak wepchani, wprost wbici do lochu, że nie można było ani się położyć, ani usiąść - tylko stać. Do połowy ścian podziemie było objęte białą parą oddechów, nieczystą i duszną, zakrywającą sufit tak, że nie wiedzieliśmy, czy jest on wysoko, czy nisko nad nami. Zaczęły się omdlenia. Ci, co się dusili, starali się przebić do drzwi, w których była

szczelina i judasz, „oczeko”, próbując oddychać przez nie. Ale stojący na zewnątrz konwojent szturchał od czasu do czasu w to miejsce nasadzonym na karabin bagnetem i próby złapania świeżego powietrza poprzez więzienne „oczeko” ustały. Oczywiście żadnych felczerów ani lekarzy nie wzywano do tych, co zemdleli. Jedynie my obaj szczęśliwie przetrwaliśmy tę noc - przy oknie, tak roztropnie rozbitym przez Gusiewa. Ustawialiśmy się długo... Wychodziliśmy ostatni, mgła się rozeszła i odkryła sklepiony sufit - więzienne i cerkiewne niebo było całkiem blisko, na odległość ręki. I na sklepionych ścianach sufitu lochu solikamskiej milicji znalazłem napisy, zrobione zwykłym węglem ogromnymi literami przez całą powierzchnię: "Koledzy! W tej mogile umieraliśmy przez trzy doby, a jednak nie umarliśmy. Trzymajcie się, przyjaciele!". Przy okrzykach oddziału etap wypełził poza okolice Solikamska i skierował się na nizinę. Niebo było szafirowe, szafirowe jak oczy naczelnika konwoju. Słońce piekło, wiatr chłodził nasze twarze - stały się one brązowe już po pierwszym noclegu w drodze. Przygotowany wcześniej nocleg etapu odbywał się zawsze według ustalonego rytuału. Na aresztancki nocleg wynajmowano u wieśniaków dwie izby - jedną czystsza, drugą uboższą, coś w rodzaju szopy, która czasem rzeczywiście

nią była. Trzeba było oczywiście trafić do „czystszej”. Ale nie zależało to od mojej woli: każdego wieczoru, o zmierzchu, wszystkich wpuszczano przy stojącym obok naczelniku konwoju, który jednym podrzutem ręki wskazywał, gdzie aresztant powinien spędzić kolejną noc. Wtedy to Szczerbakow wydał mi się najmądrzejszym z mądrych, dlatego że nie grzebał się w jakichś tam papierzyskach, spisach, by odszukać „dane według paragrafu”, ale natychmiast, kiedy etap zatrzymywał się, podnosił rękę i wydzielał każdego kolejnego uczestnika etapu. Później pomyślałem sobie, że Szczerbakow to spostrzegawczy człowiek: zawsze jego wybór, dokonany jakimś niepojętym sposobem, okazywał się słuszny - cały pięćdziesiąty ósmy był razem, a trzydziesty piąty - także. A jeszcze później, po dwu, trzech latach, pomyślałem, że w ówczesnej mądrości Szczerbakowa nie było niczego nadzwyczajnego - wprawy w rozpoznawaniu człowieka po wyglądzie może nabyć każdy. W naszym etapie dodatkową oznaką mogły być rzeczy, walizki. Ale wieziono je przecież oddzielnie na „podwodach”, na chłopskich wozach. Już na pierwszym noclegu wydarzyło się to, co jest przyczyną, dla której powstało to opowiadanie. Dwustu ludzi stało, oczekując nadejścia naczelnika konwoju, a z lewej strony słychać było jakieś krzyki, harmider, sapanie ludzi, wycie,

przekleństwa i w końcu wyraźny krzyk: „Potwory! Potwory!”. Przed szeregi aresztantów rzucono na śnieg człowieka. Miał rozbita do krwi twarz, a czapka-papacha, wciśnięta na głowę cudzą ręką, sterczała, nie mogąc przykryć wąskiej, sączącej krwią rany. Człowiek odziany był w brązową tkaninę domowej roboty - jakiś Ukraińiec, „chochoł”. Znałem go. Był to Piotr Zając, sekciarz. Wieźli go z Moskwy w jednym wagonie ze mną. Cały czas się modlił i modlił.

- Nie chce stać na apelu! - zameldował, dysząc ciężko, rozgorączkowany tarposzeniem się konwojent.

- Postawić go - rozkazał naczelnik konwoju.

Dwu ogromnych konwojentów postawiło Zająca na nogi, podtrzymując go pod ręce. Ale Zając był o głowę od nich wyższy, większy, cięższy. Szczerbakow uderzył Zająca pięścią w twarz. Zając splunął na śnieg. Nagle poczułem piekący żar w sercu. Zrozumiałem nagle, że w tym momencie rozstrzygnie się moje życie. I jeżeli nic nie uczynię - a co, tego sam nie wiem - to znaczy, że na darmo przyjechałem z tym etapem, że niepotrzebnie przeżyłem swoje dwadzieścia lat. Pałacy wstyd spowodowany własnym tchórzostwem spłynął z moich policzków - poczułem, jak stają się chłodne, a ciało - lekkie. Wszedłem z szeregu i drżącym głosem powiedziałem: - Nie ważcie się bić człowieka.

Szczerbakow spoglądał na mnie ze zdziwieniem.

- Wstąp do szeregu.

Powróciłem. Szczerbakow wydał komendę i etap, dzieląc się na dwie izby według wskazań jego palca, począł znikać w mroku. Palec Szczerbakowa wyznaczył mnie do „czarnej” izby. Układaliśmy się do snu na wilgotnej, pachnącej zgnilizną, zeszłorocznej słomie, rozsypanej na gołej, gładkiej ziemi. Kładliśmy się pokotem, aby było ciepłej, i jedynie błatniacy urządzili się koło lampy zwisającej z belki, by grać w swoją wieczną „burę” czy „stosa”. Ale niedługo i oni zasnęli. Zasnąłem i ja, rozmyślając o swoim postępku. Nie miałem starszego kolegi, nie miałem z kogo brać przykładu. Byłem sam w tym etapie, nie miałem ani przyjaciół, ani kolegów. Mój sen został przerwany. Latarnia świeciła mi w twarz i któryś z moich rozbudzonych sąsiadów-błatniaków służalczo powtarzał:

- To on, on...

Latarnię trzymał konwojent.

- Wychodź.

- Zaraz, ubiorę się.

- Tak wychodź.

Wyszedłem. Trzęsły mną nerwowe dreszcze, nie rozumiałem, co ma się teraz stać. Wraz z dwoma konwojentami wyszedłem na ganek.

- Zdejmuj bieliznę!

Zdjąłem.

- Stań na śniegu.

Stałem. Spojrzałem na ganek i zobaczyłem wycelowane we mnie dwa karabiny. Ile minęło czasu w ciągu tej uralskiej nocy, mojej pierwszej uralskiej nocy - nie pamiętam. Usłyszałem rozkaz:

- Ubieraj się

Wciągam na siebie bieliznę. Uderzenie w ucho zważyło mnie w śnieg. Cios ciężkiego obcasa trafił w zęby i usta wypełnione krwią zaczęły szybko puchnąć.

- Do baraku!

Wszedłem, dobrnąłem do swego miejsca, zajętego już przez inne ciało. Wszyscy spali lub udawali, że śpią... Słonawy smak krwi nie zniknął - w ustach było coś obcego, coś niepotrzebnego. Uchwyciłem to palcem i siłą wyciągnąłem z własnych ust. Był to wybity ząb. Porzuciłem go tam w stęchłej słomie, na gołej ziemnej podłodze. Objąłem rękami brudne, śmierdzące ciała towarzyszy i zasnąłem. Zasnąłem. Nawet się nie przeziębilem. Rano etap ustawił się do drogi i szafirowe, niewzruszone oczy Szczerbakowa objęły nawykłym spojrzeniem aresztanckie szeregi. Piotr Zając stał w szeregu, nie bili go, a i on nie krzyczał nic o potworach. Błatniacy spoglądali na mnie nieprzyjaźnie i z obawą - w łagrze każdy uczy się odpowiadać sam za siebie. Jeszcze dwie doby w drodze i doszliśmy do „zarządu” - nowego, zbudowanego z bierwion domku na brzegu rzeki. Przyjmować etap wyszedł

komendant Niestierow - naczelnik z owłosionymi kułakami. Wielu z błatniaków idących obok mnie znało tego Niestierowa. Bardzo go chwalili: „przyprawdzają uciekinierów. Wychodzi Niestierow: aha, zuchy, zjawili się. No to wybierajcie: plasnąć czy do izolatora? A tam izolator z żelazną podłogą, trzech miesiące ludzie nie wytrzymują, a jeszcze śledztwo, a jeszcze dodatkowy wyrok. Plasnąć, Iwanie Wasiljewiczu. Zamach - i z nóg! Ponowny zamach i znowu nakrył się nogami. To był mistrz. - Idź do baraku - to wszystko. Koniec śledztwa. Fajny naczelnik". Niestierow obszedł szeregi, uważnie spoglądając każdemu w twarz.

- Nie ma skarg na konwój?

- Nie ma, nie ma - odpowiedział nierówny chór głosów.

- A ty. - owłosiony palec dotknął mojej piersi - Dlaczego ty niewyraźnie odpowiadasz? Coś tam chrypisz.

- Zęby go bolą - odpowiedzieli moi sąsiedzi.

Nie odrzekłem, starając się zakryć swoje rozbite usta i wymawiać słowa jak tylko można twardo.

- Nie ma skarg na konwój.

- Opowiadanie niezłe - rzekłem do Sazonowa - Literacko poprawne tylko że go nie wydrukują. I koniec jakiś beżpostaciowy.

- Mam jeszcze inne zakończenie - powiedział Sazonow - po roku byłem w

łagrze wielkim naczelnikiem - wtedy przecież odbywało się „przekuwanie” - i Szczerbakowowi przypadło miejsce młodszego oficera operacyjnego w tym łagrze, gdzie ja pracowałem. Tam wiele ode mnie zależało i Szczerbakow obawiał się, że zapamiętałem tę historię z zębem.

On sam również nie zapomniał tego przypadku. Miał dużą rodzinę, praca była zyskowna, znacząca, i on, człowiek prostoduszny i bezpośredni, zgłosił się do mnie, aby się dowiedzieć, czy nie będę oponować przeciwko jego nominacji. Przyszedł z butelką na „zgode”, w myśl rosyjskiego obyczaju, ale ja nie zacząłem z nim pić, zapewniając, że nic złego mu nie uczynię. Szczerbakow ucieszył się, długo przeproszał, kręcił się przy drzwiach, cały czas zaczepiając obcasem o dywanik, i nie mógł zakończyć rozmowy.

- Przecież to droga, etap, sam rozumiesz. Byli z nami uciekinierzy.

- Ten koniec też do niczego - powiedziałem do Sazonowa.

- No to mam jeszcze jeden. Zanim otrzymałem nominację do pracy w tym łagrze, gdzie ponownie spotkaliśmy się ze Szczerbakowem, natknąłem się na ulicy łagrowego osiedla na sanitariusza Piotra Zająca. Młody, czarnowłosy, czarnobrody gigant znikł. Zamiast niego był chromy, siwy starzec z krwawym kaszlem. Nie poznał mnie nawet, a kiedy ująłem go za rękę i wymieniłem jego nazwisko - wyrwał

się i poszedł swoją drogą. I po jego oczach widać było, że Zając rozmyśla o czymś własnym tylko, niedostępnym dla mnie, gdzie moje pojawienie się jest albo niepożądane, albo obraźliwe dla gospodarza, który prowadzi rozmowy z ludźmi nie tak przyziemnymi.

- I ten wariant się nie nadaje - powiedziałem.

- No to pozostawię pierwszy. Jeśli nawet nie można wydrukować - to lżej na duszy, kiedy się napisze. Napiszesz - i można zapomnieć...

ECHO W GÓRACH

W wydziale ewidencji w żaden sposób nie mogli sobie dobrać starszego referenta. Później, kiedy wszystko się rozrosło, pracę wykonywaną na tym stanowisku musiał już prowadzić cały samodzielny oddział - „grupa zwolnień”. Starszy referent wydawał dokumenty na zwolnienie i był ważną figurą w tym świecie, gdzie całe życie nakierowane jest na ten moment, kiedy aresztant otrzyma dokument zezwalający mu nie być już aresztantem. Starszy referent powinien być dobrany ze środowiska więźniów - tak przewiduje oszczędny wykaz etatów. Oczywiście, można było obsadzić to wakujące stanowisko na zasadzie partyjnego skierowania lub jakiejś organizacji związkowej. Można było też nakłonić jakiegoś oficera zwalnającego się z

wojska - ale to jeszcze nie były te czasy. Znaleźć chętnych do pracy w łagrze, nawet przy „oczywistej” pensji - nie było takie proste. Dobrowolna praca w łagrze uważana była jeszcze za hańbiącą i w całym dziale ewidencji, zawiadującym wszystkimi sprawami więźniów, pracował tylko jeden człowiek z wolnego najmu - inspektor Paskiewicz, cichy, nałogowy pijak. W dziale bywał mało - większa część czasu schodziła mu na kurierskie wyjazdy, gdyż łagier znajdował się, tak jak powinien, daleko od ludzkich oczu. I tak oto w żaden sposób nie mogli znaleźć starszego referenta. To się nagle wyjaśni, że nowo mianowany pracownik ma powiązania ze światem błatniaków i wykonuje ich tajne rozkazy. To znów się okaże, że referent zwalnia za pieniądze jakichś tam spekulantów-waluciarzy z południa. To wreszcie zdarzy się, że chłopak jest uczciwy i nieprzekupny, ale fajtłapa, gmatwa wszystko i zwalnia nie tych, co trzeba. Wysokie naczalstwo z całą energią poszukiwało potrzebnego mu człowieka - przecież, jakkolwiek by było, pomyłki w sprawie zwolnień to kryminał, który mógł doprowadzić do szybkiego zakończenia kariery weterana z łagrów, do „zwolnienia z wojsk OGPU”, a może jeszcze i na ławę oskarżonych. To był ten sam łagier, który przed rokiem nazywał się Czwartym Oddziałem Sołowieckich Łagrów, a teraz był już

samodzielnym, ważnym łagrem na północnym Uralu. Brakowało tylko w tym łagrze starszego referenta. I oto z Sołówek, z samej wyspy przybył specjalny konwój, jak na Wiszerę, był to rzadki przypadek. Nie ma tam kogo wozić ze specjalnym konwojem. To albo cielece wagony - koloru czerwonego z narami wewnątrz, albo znane, pasażerskie z przedziałami i zakratowanymi oknami - wydawałoby się, że wagon nie przestaje nim być z powodu tych żelaznych woalek, przesłaniających jego oczy. W tych czasach chodziły jeszcze na uralskich i odległych syberyjskich liniach kolejowych słynne „stołypińskie wagony” - nazwa, którą przez wiele dziesiątków lat zachowają więzienne wagony, zupełnie już nie będąc „stołypińskimi”. „Stołypiński” wagon ma dwa maleńkie okienka z jednej strony i kilka większych - z drugiej. Te okienka, zaciągnięte kratami, nie pozwalają zobaczyć z zewnątrz, co się dzieje w środku, nawet kiedy się patrzy z bliska. Wewnątrz wagon podzielony jest masywnymi kratami z umieszczonymi w nich hurkoczącymi drzwiami na dwie części. Każda połowa wagonu ma swoje maleńkie okno. W obu końcach - pomieszczenia dla konwojentów. Korytarz także dla nich. Konwój specjalny nie jeździ w „stołypińskich” wagonach. Konwojenci przewożą pojedynczych ludzi w zwykłych pociągach, zajmując jeden ze skrajnych przedziałów - wszystko jeszcze było po

„rodzinnemu”, po prostu, jak przed rewolucją. Jeszcze nie zdobyto doświadczenia. Przybył speckonwój z „Wyspy” – tak zwano wtedy Sołówki, całkiem po prostu „Wyspa”, podobnie jak wyspę Sachalin – i przekazał niewysokiego, starszego człowieka, chodzącego o kulach, w obowiązkowym „sołowieckim” buszłacie z szynelowego sukna i takiej samej czapce-uszance – „sołowczance”. Był to siwy, spokojny człowiek, ale po jego gwałtownych ruchach widać było, że dopiero uczy się chodzić o kulach, że niedawno stał się inwalidą. W ogólnym baraku z podwójnymi narami było ciasno i duszno, pomimo otwartych na oścież drzwi z obu jego końców. Drewniana podłoga posypana była trocinami i siedzący przy drzwiach dyżurny rozpraszał w świetle siedmioliniowej, naftowej lampy skaczące w trocinach pchły. Od czasu do czasu, pośliniwszy palec, dyżurny zabierał się do szukania tych ruchliwych owadów. W tym właśnie baraku przydzielono miejsce nowo przybyłemu. Nocny dyżurny baraku wykonał nieokreślony gest ręką, wskazując na ciemny i śmierdzący kąt, gdzie pokotem spali odziani ludzie i gdzie nie było miejsca nie tylko dla człowieka, ale i dla kota. Ale przyjezdny spokojnie naciągnął czapkę na uszy i położywszy swoje kule na długim, obiadowym stole, wlaźł z wierzchu na leżących ludzi, położył się i zamknął

oczy, nie wykonując żadnego ruchu. Ciężarem swojego ciała wyrobił sobie zagłębienie pomiędzy innymi ciałami, a gdy tylko jego senni sąsiedzi wykonywali jakiś ruch - ciało przyjezdnego wciskało się w tę znikomą wolną przestrzeń. Namacawszy łokciem i biodrem deski nar, przyjezdny rozluźnił mięśnie i zasnął. Na drugi dzień rano wyjaśniło się, że przybyły inwalida - to właśnie ten długo oczekiwany starszy referent, na którego tak czeka zarząd obozu. W porze obiadowej wezwano go do naczalstwa, a wieczorem przeniesiono do drugiego baraku - administracji, gdzie mieszkali wszyscy łagrowi urzędnicy będący więźniami. Był to bardzo dziwny, rzadkiej konstrukcji barak. Budowano go, gdy naczelnikiem łagru był marynarz, który zatapiał w osiemnastym roku flotę czarnomorską, gdy przyjeżdżał tam sławny miczman Raskolnikow. Marynarz robił na ładzie łagrową karierę, a budowa baraku dla obsługi była jego pomysłem, hołdem dla jego morskiej przeszłości. Piętrowe nary w tym baraku były podwieszane na stalowych linach. Leżało na nich tak jak w kubryku po czterech ludzi. Dla wzmocnienia konstrukcja ta była z jednej strony przewiązana długim stalowym drutem. Dlatego wszystkie nary kołysały się jednocześnie przy najmniejszym poruszeniu chociażby jednego mieszkańca baraku. A ponieważ poruszało się jednocześnie kilka osób, to te wiszące

łóżka znajdowały się w ciągłym ruchu i cicho, ale jednak wyraźnie skrzypiały i skrzypiały. Jedynie w czasie wieczornych apeli ruchome nary zatrzymywały się jak zmęczone wahadło i milkły. W tym właśnie baraku zawarłem znajomość ze Stiepanowem, z Michałem Stiepanowiczem Stiepanowem. Tak bowiem nazywano nowego starszego referenta. Bez żadnych „tenże”, tak tutaj rozpowszechnionych. Zresztą dzień wcześniej widziałem jego „pakiet”, który przywiózł konwój, jego „akta sprawy”. Była to cieniutka „sprawa”, w zielonej okładce, rozpoczynająca się rutynową ankietą, zaopatrzoną w dwa numerowane zdjęcia en face i z profilu, oraz z kwadracikiem odcisku daktyloskopijnego, podobnego do miniaturowego drzewka. W ankiecie podany był rok urodzenia - 1888 - dobrze zapamiętałem te ósemki, miejsce ostatniej pracy - Moskwa, NK RKI... Był członkiem WKP(b) od 1917 roku. Odpowiedź na jedno z ostatnich pytań: karany, był członkiem partii eserów od 1905 roku... Zapis prowadzony jak zwykle krótko, urzędowo. Wyrok - 10 lat, a dokładniej kara śmierci, z zamianą na dziesięć lat. Praca w łagrach - był starszym referentem na Sołówkach przez ponad pół roku. Ankieta naszego Michała Stiepanowicza nie była specjalnie ciekawa. W łagrze było wielu kołczakowskich i danienkowskich oficerów, był oficer z przesławnej

Dzikiej Dywizji, była awanturnica podająca się za córkę Mikołaja Romanowa, był słynny złodziej kieszonkowy Karłow, pseudonim „Przedsiębiorca”, istotnie podobny do niego, łysy, z ogromnym brzuchem i obrzmiałymi palcami - jeden z najbardziej zręcznych złodziei kieszonkowych, artysta, którego pokazywano naczalstwu. Był Majerowski, włamywacz i artysta jednocześnie, bez przerwy rysujący na wszystkim - na desce, na kartce papieru - jedno i to samo: kontakty cielesne nagich kobiet i mężczyzn, splecionych ze sobą na wszelkie możliwe, nienaturalne sposoby. Nic innego nie potrafił rysować. Majerowicz był wyklętym synem bogatych rodziców ze środowiska naukowego. Błatniakom był obcy. Było kilku hrabiów i kilku gruzińskich księżąt ze świty Mikołaja II. Akta Stiepanowa włożono do nowej łagrowej okładki i wstawiono na półkę z literą „S”. I niczego bym się nie dowiedział o tej zadziwiającej historii, gdyby nie przypadkowa rozmowa w gabinecie służbowym. Po raz pierwszy zobaczyłem Stiepanowa bez kul: w rękach miał wygodną laskę, zamówioną, jak widać, przez niego w łagrowej stolarni. Laska miała rączkę szpitalnego typu - wygiętą do środka, a nie na zewnątrz jak u zwykłej laski. Powiedziałem „oho!” i przywitałem się z nim.

- Zdrowieję - powiedział Stiepanow - Przecież wszystko mam całe. To skorbut.

Zakasał nogawkę i ujrzałem ciągnący się ku górze liliowoczarny pas skóry. Przez chwilę pozostaliśmy w milczeniu.

- Michale Stiepanowiczu, za co ty siedzisz?

- No, jakże? - i uśmiechnął się - Przecież zwolniłem Antonowa.

Siedemnastoletni, petersburski gimnazjalista Misza Stiepanow, syn nauczyciela gimnazjum, wstąpił przed 1905 rokiem, jak pan Bóg przykazał, do Partii zgodnie z panującą ówczesnie wśród inteligencji modą. W blaskach legendarnego światła „Woli Ludu” dopiero co utworzona partia eserów dzieliła się na wiele odłamów i odłamków. Wśród nich wyjątkową pozycję zajmowali eserzy-maksymaliści - grupa znanego terrorysty Michała Sokołowa. Więzy rodzinne zaprowadziły Miszę Stiepanowa do tej właśnie grupy. Szybko i z zapałem wciągnął się on w podziemne życie Rosji: w konspiracyjne lokale, kontakty, naukę strzelania, dynamit...W laboratoriach stała na stole, zgodnie z obyczajem, butelka z nitrogliceryną - na wypadek rewizji, aresztu. Policja okrażyła konspiracyjny lokal z siedmiu bojownikami. Eserzy odstrzeliwali się, dopóki starczało naboju. Odstrzeliwał się również Misza Stiepanow. Wszystkich aresztowano, sądzono i powieszono, z wyjątkiem nieletniego Miszy. A Michał zamiast sznura otrzymał w wyroku wieczną katorgę i trafił niedaleko od rodzinnego

Pitra - do Szlisselburga. Katorga oznacza określony reżim więzienny - zmienia się on w zależności od sytuacji i charakteru samowładcy. Za carskich czasów za „wieczną” katorgę uważano katorgę 20-letnią, z dwoma latami ręcznych kajdanów i czterema latami nożnych. W Szlisselburgu za czasów Stiepanowa stosowano efektowną „nowość” - skuwano katorżników parami - najlepszy sposób, aby ich skłócić pomiędzy sobą. W jakimś opowiadaniu Barbusse pokazał nam tragedię zakochanych, którzy zostali razem skuci. Poczęli się wzajemnie okrutnie nienawidzić...Z katorżnikami robiono to już od dawna. Dobór łańcuchowych par - był to wspaniały wymysł mistrzów od tych spraw; tutaj więzienne naczalstwo mogło się popisywać dowcipem, jak tylko umiało - skuwać wysokiego z niskim, sekciarza z ateistą, i co najważniejsze - tworzyć asortyment politycznych „bukietów” - skuwać razem anarchistów z eserami, esdeka z czarnosecińcem. Ażeby nie pokłócić się z przykutym do siebie człowiekiem, obaj musieli wykazać się najwyższym opanowaniem, albo też młodszy musiał ślepo uwielbiać starszego, a starszy - namiętnie pragnąć przekazać towarzyszowi wszystko, co jest najlepsze w jego duszy. Niekiedy ludzka wola którą wystawiano na nową, ciężką próbę, krzepła jeszcze bardziej. Hartował się charakter, duch. Tak minął okres

kajdanów Michała Stiepanowicza czas ich noszenia na rękach i nogach. Szły zwykłe katorżnicze lata - numer i as karowy na kaftanie to były sprawy zwyczajne i niezauważalne. Wtedy właśnie Michał Stiepanowicz, młody, dwudziestodwuletni człowiek, spotkał się w Szlisselburgu z Sergo Ordżonikidzem. Sergo był wybitnym propagandzistą i przegadali ze Stiepanem wiele dni w szlisselburskim więzieniu. Spotkanie i przyjaźń z Ordżonikidzem zmieniły Michała Stiepanowa z esera-maksymalisty na bolszewika-esdeka. On wierzył wiarą Sergo w przyszłość Rosji i swoją. Jest jeszcze młody, i nawet jeżeli odbędzie swą „wieczną” co do dnia, to jednak wyjdzie na wolność, nie mając czterdziestu lat i jeszcze potrafi służyć pod nowym sztandarem. Będzie czekać te dwadzieścia lat. Ale czekać trzeba było znacznie mniej. Luty siedemnastego roku otworzył wrota carskich więzień i Stiepanow znalazł się na wolności o wiele wcześniej, niż się tego spodziewał i do czego się przygotowywał. Odnalazł Ordżonikidzkiego, wstąpił do partii bolszewików, brał udział w szturmowaniu Zimowego, a po rewolucji październikowej ukończył kursy wojskowości, poszedł na front jako czerwony oficer i przesunął się po wojskowej drabinie służbowej, od frontu do frontu, wciąż wyżej i wyżej. Na frontach tambowskim i antonowskim brygadier Stiepanow dowodził połączonymi

oddziałami pociągów pancernych, a przy tym dowodził nie bez powodzenia. Antonowszczyzna upadała. Naprzeciw Armii Czerwonej stały na Tambowszczyźnie bardzo osobliwe oddziały - mieszkańcy miejscowych wsi, przemieniający się nagle w regularne wojsko razem z własnymi dowódcami. W odróżnieniu od wielu innych band okresu wojny domowej Antonow pilnował „morale oddziałów” i napawał otuchą swoich żołnierzy przy pomocy komisarzy politycznych, powołanych przez niego na wzór Armii Czerwonej. Samego Antonowa już dawno skazano zaocznie na karę śmierci i był wyjęty spod prawa. Do wszystkich oddziałów Armii Czerwonej rozesłany został rozkaz Naczelnego Dowództwa nakazujący, aby przy pojmaniu i rozpoznaniu Antonowa natychmiast go rozstrzelać jako wroga ludu. Antonowszczyzna upadała. I oto kiedyś dowódcy brygady Stiepanowowi zameldowano, że działania pułku WCZK zakończyły się pełnym powodzeniem i że Antonow, sam Antonow został schwytany. Stiepanow kazał przyprowadzić jeńca. Antonow wszedł i zatrzymał się w progu. Światło „nietoperza” zawieszzonego przy drzwiach padało na kanciaste, surowe i natchnione oblicze. Stiepanow kazał wyjść konwojentowi i czekać za drzwiami. Potem podszedł blisko do Antonowa - był od niego o całą głowę niższy - i powiedział:

- Saszka, to ty?

Byli obaj skuci jednym łańcuchem w Szlisselburgu przez cały rok i ani razu się nie pokłócili. Stiepanow objął związanego jeńca. Ucałowali się. Długo chodził Stiepanow po wagonie - chodził i rozmyślał, a Antonow smutno się uśmiechał, spoglądając na dawnego towarzysza.

- Nie mogę cię rozstrzelać i nie rozstrzelam - powiedział Stiepanow, gdy rozwiązanie jak gdyby się znalazło - Znajdę sposób, aby ci dać wolność. Ale ty ze swej strony daj mi słowo, że znikniesz, zakończysz walkę przeciwko sowieckiej władzy, ten ruch skazany jest na zgubę. Daj mi słowo, twoje słowo honoru...

Antonow, któremu było łatwiej - on doskonale rozumiał moralne męki swojego towarzysza z katorgi - dał słowo honoru. Wyprowadzono go. Sesję trybunału wyznaczono na jutro, a w nocy Antonow uciekł. Trybunał, który powinien ponownie sądzić Antonowa, sędził zamiast niego dowódcę warty, że źle rozstawił posterunki i tym samym umożliwił ucieczkę tak ważnemu przestępcy. W skład trybunału wchodził sam Stiepanow i jego rodzony brat. Dowódca warty został obwiniony i skazany warunkowo na rok więzienia - za niewłaściwe rozstawienie posterunków. Jak to się stało, że Stiepanow nie wiedział, iż Antonow to ten sam były więzień polityczny z

katordgi? Przebywając tak krótko na froncie tambowskim, Michał Stiepanow nie zdążył się jeszcze zapoznać z jedną, najważniejszą ulotką Antonowa. Pisał on w niej: "jestem stary narodowolec, byłem przez wiele lat na carskiej katordze. Nie równają się ze mną wasi wodzowie Lenin i Trocki, którzy poza zesłaniem niczego nie widzieli. Byłem zakuty w kajdany..". I tak dalej. Z tą ulotką wypadło mu się zapoznać o wiele później. I wtedy zdawało się, że już po wszystkim, sumienie jest czyste - w stosunku do Antonowa, który Stiepanowowi uratował życie, i wobec władzy sowieckiej, gdyż Antonow zniknął - koniec z antonowszczyzną. Tak się jednak nie zdarzyło: Antonow ani myślał dotrzymać swojego słowa. Pojawił się, porywając swoje zielone „wojsko”, i boje rozgorzały z nową siłą.

- I wtedy właśnie posiwiąłem - mówił Stiepanow - Nie później. W niedługim czasie dowództwo objął Tuchaczewski i działania związane z likwidacją antonowszczyzny zakończyły się pełnym sukcesem, ogniem z dział zostały zniesione z powierzchni ziemi najbardziej wrogie wioski. Antonowszczyzna zbliżała się do końca. Sam Antonow leżał chory na tyfus i kiedy szpital został okrażony przez czerwoną konnicę, brat Antonowa zastrzelił go leżącego w łóżku i sam się zastrzelił. Tak umarł Aleksander Antonow. Skończyła

się wojna domowa, Stiepanow wyszedł z wojska i rozpoczął pracę pod zwierzchnictwem Ordżonikidzego. Będąc członkiem partii od 1917 roku, został jej pracownikiem na stanowisku kierownika działu administracyjnego NK RKI. Było to w 1924 roku. Przepracował tam jeden, drugi i trzeci rok, ale pod koniec trzeciego roku zauważył, że jest jak gdyby śledzony - ktoś przeglądał jego papiery i korespondencję. Spędził wiele bezsennych nocy. Przypomniawszy sobie każdy krok wykonany w swoim życiu, każdy jego dzień - wszystko w nim było jak najbardziej czyste, oprócz tej historii z Antonowem. Ale przecież Antonow nie żyje. A swojemu bratu nigdy niczego nie mówił. W niedługim czasie wezwano go na Łubiankę i śledczy, wysoki ranga w Czeka, spytał go, nie śpiesząc się: czy nie zdarzyło się przypadkiem tak, że Stiepanow, będąc dowódcą Armii Czerwonej, w czasie działań wojennych wypuścił na wolność wziętego do niewoli Antonowa? I Stiepanow powiedział, jak było naprawdę. Wtedy wyjaśniła się cała tajemnica. Okazuje się, że w ową tambowską, letnią noc Antonow uciekł nie sam. Złapano go razem z jednym z jego oficerów. Po śmierci Antonowa uciekł on na Daleki Wschód, przekroczył granicę do atamana Siemionowa i kilka razy przychodził stamtąd jako dywersant. Ujęty, siedział na Łubiance i „poddany został dochodzeniu”. W pojedynczej celi,

szybko spisując ze wszystkimi szczegółami swą spowiedź, wspomniał, że w takim to roku został wzięty do niewoli przez czerwonych razem z Antonowem i tej samej nocy uciekł. Antonow nic mu nie mówił, ale on, jako carski oficer, uważa, że doszło tu do zdrady ze strony czerwonego dowództwa. Tych kilka linijek z jego niespokojnego, pełnego gorączki życia poddano sprawdzeniu. Odszukano protokół trybunału, w którym dowódca warty Grieszniew otrzymał swój rok z zawieszeniem za nieprawidłowe rozstawienie posterunków. Gdzież teraz jest Grieszniew? Zabrano się do wojskowych archiwów - został dawno zdemobilizowany, mieszka w swoich stronach, pracuje jako wieśniak. Ma żonę i troje maleńkich dzieci w wioszczynie pod Kremienzugiem. Grieszniewa nagle aresztują i wiozą do Moskwy. Jeśliby Grieszniewa aresztowano w czasie wojny domowej, to być może zdecydowałby się na śmierć i nie wydał swojego dowódcy. Ale czas płynie, czym teraz jest dla niego wojna i jego dowódca - Stiepanow? Ma troje dzieci, jedno mniejsze od drugiego, młoda żona, całe życie przed nim. Grieszniew opowiedział, że spełnił prośbę Stiepanowa, a nawet nie prośbę, pewnie rozkaz - że, jak by to powiedzieć, ucieczka potrzebna jest dla dobra sprawy i że dowódca obiecuje, że Grieszniewa nie zasądzą. Pozostawiają Grieszniewa i biorą się do Stiepanowa.

Sądzą go, skazują na rozstrzelanie, zamieniają na dziesięć lat łagru, wiozą na Sołówki. W 1933 roku szedłem przez Strastną Płoszczad. Puszkina jeszcze jej nie przekroczył i stał przy końcu, a raczej na początku bulwaru Twerskiego - tam gdzie postawił go Opiekuszyn, rozumiejąc, jak wielką sztuką jest architektoniczna zgodność kamienia, metalu i nieba. Ktoś szturchnął mnie z tyłu laską. Obejrzałem się - Stiepanow! Już dawno zwolnił się i pracował jako kierownik portu lotniczego. Laska była wciąż ta sama.

- Wciąż jeszcze kulejesz?

- Tak. Następstwo szkorbutu. Po medycznemu nazywa się to kontraktura.

BERDY TENŻE

Anegdota, która przemieniła się w mistyczny symbol... Żyjąca realność, gdyż ludzie obcowali z podporucznikiem Kiże jak z żywym człowiekiem - tego wszystkiego, co tak pięknie nam opowiedział Jurij Tynianow, przez dłuższy czas nie odbierałem jako zapisu czegoś, co rzeczywiście się zdarzyło. Zadziwiająca historia z pawłowskich czasów była dla mnie jedynie genialnym dowcipem, złośliwym żartem jakiegoś próżnego współczesnego dygnitarza, co, pomimo woli autora, przemieniło się w wyraziste świadectwo charakterystycznych cech tego osobliwego panowania.

Wartownik Leskowa - to historia tego samego rodzaju, potwierdzająca dziedziczność charakteru samowładztwa. Ale sam fakt carskiej „omyłki w druku” budził moje wątpliwości - aż do 1942 roku. Ucieczka została wykryta przez lejtnanta Kurszakowa na stacji Nowosybirsk. Aresztantów wyprowadzono z wagonów towarowych i pod drobnym, zimnym deszczem przeliczano, sprawdzano obecność znajdujących się na liście według paragrafu i wyroku - wszystko na darmo. Ustawionych pełnych piątek było trzydzieści osiem, a w trzydziestej dziewiątej stał tylko jeden człowiek, a nie dwóch, jak było przy odjeździe. Kurszakow przeklinał tę chwilę, kiedy zgodził się przyjąć etap bez „akt sprawy”, według listy, gdzie pod numerem sześćdziesiątym figurował zbiegły aresztant. Lista była pobrudzona, a do tego w żaden sposób nie udawało się uchronić papieru przed deszczem. Zdenerwowany Kurszakow zaledwie rozróżniał nazwiska, bo i rzeczywiście litery się pozamazywały. Brakowało numeru 60. Już przejechali pół drogi. Za takie zguby karano ostro i Kurszakow już żegnał się z epoletami i oficerską racją żywnościową. Obawiał się również odesłania na front. Był drugi rok wojny, a on szczęśliwie służył w konwojenckiej straży. Dał się poznać jako obowiązkowy i sumienny oficer. Dziesiątki razy przewoził etapy, duże i małe, prowadził

pociągi, bywał też w konwojach specjalnych i nigdy nie miał przypadku ucieczki. Nagrodzono go nawet medalem „Za bojowe zasługi” - takie medale dawano też na tyłach. Kurszakow siedział w wagonie, gdzie mieściła się straż, i drżącymi, śliskimi i od deszczu palcami przekładał zawartość swojego nieszczęsnego „pakietu” - kartę zaopatrzenia żywnościowego, list z więzienia na adres łagru dokąd wiózł etap, i lista, lista, lista. Spoza wszystkich papierów i pism widział jedynie liczbę „192”. A w zamkniętych na głucho wagonach siedziało 191 aresztantów. Przemoknięci ludzie klęli i zdjawszy z siebie kurtki i płaszcze, starali się je podsuszyć na wietrze przedostającym się przez szczeliny w drzwiach. Kurszakow był zdetonowany i przygnębiony ucieczką. Wolni od służby konwojenci milczeli w kącie wagonu, bojąc się odezwać, a na twarzy pomocnika Kurszakowa, sierżanta Łazariewa, odbijało się wszystko to, co widać było na twarzy jego naczelnika - bezradność, strach...

- Co robić? - powiedział Kurszakow - Co robić?

- Podaj no listę.

Kurszakow wyciągnął do Łazariewa kilka pomiętych, spiętych szpilką kartek papieru.

- Numer sześćdziesiąt - przeczytał Łazariew - Tenże Berdy, paragraf sto sześćdziesiąty drugi, wyrok dziesięć lat.
- Właśnie - powiedział, wzdychając Łazariew - Właśnie.
- Jakiś zwierz.
- Częste obcowanie ze światem złodziei przyuczyło konwojentów do posługiwania się „błatniacką fienią”, słownikiem złodziei, który zwierzami nazywa mieszkańców Azji Średniej, Kaukazu i Zakaukazia.
- Zwierz - powiedział Kurszakow - I pewnie nie umie nawet mówić po rosyjsku. Coś tam pewnie mrucał na apelach. Obedrą nas za to ze skóry, braciszku...
- Kurszakow przysunął kartkę bliżej do oczu i przeczytał z nienawiścią: Berdy...
- A może nie obedrą - powiedział nagle mocnym głosem Łazariew, kierując ku górze błyszczące, rozbiegane oczy - Mam myśl. - szybko począł szeptać na ucho Kurszakowowi. Lejtnant pokręcił głową z niedowierzaniem.
- Nic z tego nie wyjdzie...
- Spróbować można - powiedział Łazariew.
- Przecież jest front...
- Przecież wojna.
- Działaj - rzekł Kurszakow - Postoimy tutaj jeszcze z dwie doby - dowiadywałem się na stacji.
- Daj pieniądze - powiedział Łazariew. Powrócił pod wieczór.
- Turkmen - rzekł do Kurszakowa.

Kurszakow poszedł do wagonów, otworzył pierwszy i spytał więźniów czy jest wśród nich ktoś, kto zna choć kilka słów po turkmeńsku w wagonie odpowiedzieli, że nie, i Kurszakow dalej już nie chodził. Przeniósł „z rzeczami” jednego z więźniów do tego wagonu, skąd uciekł aresztant – a do pierwszego wagonu konwojenci wepchnęli jakiegoś obdartego człowieka, zachrypniętego i wykrzykującego w niezrozumiałym języku coś bardzo ważnego i strasznego.

– Złapali, cholernicy – powiedział wysoki aresztant, zwalniając miejsce dla uciekiniera.

Ten objął jego nogi i rozpłakał się.

– Daj spokój, słyszysz, daj spokój – chrypiał wysoki.

Zbieg zaczął coś szybko mówić.

– Nie rozumiem cię, bracie – powiedział wysoki – Masz, jedz zupę, została w menażce.

Zbieg przełknął zupę i zasnął. Rano znów krzyczał i płakał, wyskoczył z wagonu, rzucając się Kurszakowowi do nóg. Konwojenci zagnali go z powrotem do wagonu i aż do samego końca podróży przeleżał pod narami, wyłażąc jedynie wtedy, gdy rozdawano jedzenie. Milczał i płakał. Przekazanie etapu odbyło się zupełnie szczęśliwie dla Kurszakowa. Rzuciwszy kilka przekleństw pod adresem więzienia, które wysłało etap bez „akt sprawy”, dyżurny komendant wyszedł, aby przyjąć etap i wywoływać według listy.

Pięćdziesięciu dziewięciu więźniów odeszło na bok, a sześćdziesiąty nie wychodził.

- To zbieg - powiedział Kurszakow - Urwał mi się w Nowosybirsku, ale znaleźliśmy go. Na bazarze. Ale biedy sobie napytał. Pokażę go. Zwierz, ani słowa po rosyjsku.

Kurszakow wyprowadził Berdy za ramię. Szczęknięty zamki karabinów i Berdy wszedł do środka łagru.

- Jak nazwisko?

- O tu, proszę - wskazał Kurszakow.

- Tenże Berdy - przeczytał komendant - Paragraf sto sześćdziesiąty drugi, wyrok dziesięć lat. Zwierz, a taki bojowy...

Komendant zdecydowanym ruchem ręki napisał naprzeciw nazwiska Berdy: „skłonny do ucieczki, próbował uciec w trakcie podróży”. Po godzinie Berdy wywołano. Podskoczył z radości, wydało mu się że wszystko się wyjaśni, że zaraz będzie wolny. Wesoło pobiegł przed konwojentem. Odprowadzili go na koniec podwórza, do baraku ogrodzonego potrójnym rzędem drutu kolczastego, wepchnęli przez najbliższe drzwi w mrok, skąd huczały głosy...

- Zwierzak, braciszku...

Spotkałem się z Berdy Tenże w szpitalu. Mówił już trochę po rosyjsku i opowiedział, jak przed trzema laty na bazarze w Nowosybirsku przez dłuższy czas usiłował się z nim rozmówić rosyjski żołnierz, pewnie patrolujący

bazar. Żołnierz poprowadził Turkmena na dworzec, aby go wylegitymować. Porwał jego dokumenty i wepchnął go do aresztanckiego wagonu. Prawdziwe nazwisko Berdy - Toszajew i jest on wieśniakiem z głuchego aułu w pobliżu Czardżou. W poszukiwaniu chleba i pracy dowlókl się wraz z krajanem znajdującym rosyjski do Nowosybirsk. Na bazarze towarzysz gdzieś odszedł. On, Toszajew, napisał już kilka podań, ale jeszcze nie ma odpowiedzi. Jego „akta sprawy” nie nadeszły i został zaliczony do grupy „beżewidencyjnych” - osób przetrzymywanych w więzieniu bez dokumentów. Przyzwyczał się już do odzywania się na dźwięk nazwiska Tenże, chce mu się do domu, tutaj jest chłodno, często choruje, pisał w swoje strony, ale sam listów nie otrzymuje - być może dlatego, że często przenoszą go z miejsca na miejsce. Berdy Tenże nauczył się mówić po rosyjsku, ale nie nauczył się jeść łyżką. Ujmował miskę w dwie ręce - zupa bywała zawsze ledwo ciepła i miska nie mogła mu sparzyć ani warg, ani palców... Berdy wypijał zupę, a to, co pozostawało na dnie, wybierał palcami... Kaszę jadł także palcami, odłożywszy łyżkę na bok. Cała sala miała uciechę. Po przeżuciu kawałka chleba Berdy zamieniał go na ciasto i rozwałkował razem z popiołem wygrzebanym z pieca. Zamiesiwszy gęste ciasto, zwijał je w kulkę i ssał. Był to „haszysz”,

„anasza”, opium. Nie wyśmiewano tego erzacu - każdemu nie raz przytrafiło się kruszyć brzoze liście lub korzenie porzeczek i palić je zamiast machorki. Berdy zdziwił się, że ja od razu zrozumiałem, w czym rzecz: pomyłka maszynistki, która postawiła numer przy dalszym ciągu „pseudonimów” tego człowieka, który figurował pod numerem 59. Skutek nieporządków i bałaganu w spieszonych etapach więziennych okresu wojny, niewolniczego strachu Kurszakowa i Łazariewa przed swoim naczalstwem. Przecież istniał żywy człowiek - pięćdziesiąty dziewiąty numer; czy nie mógł powiedzieć, że pseudonim „Berdy” przysługuje jemu? Oczywiście, mógł. Ale każdy zabawia się jak może. Każdy się cieszy z zamieszania powstałego w szeregach naczalstwa. Naprowadzić naczalstwo na prawdziwą drogę może tylko frajer, a nie złodziej. A pięćdziesiąty dziewiąty numer był złodziejem.

OGIEŃ I WODA

Bywałem w ogniu wielokrotnie. Jeszcze będąc małym chłopcem, przebiegałem przez ulice miasta, przy których płonęły drewniane domy i zapamiętałem na całe życie jaskrawo, jak w dzień oświetlone ulice, jak gdyby miastu nie starczało słońca i samo poprosiło o ogień. Bezwietrzne zagrożenie jasnoblękitnego, płonącego, rozpalonego nieba. Siła

skupiona była w samym ogniu, w samym narastającym płomieniu. Nie było żadnego wiatru, ale domy miasta ryczały, drząc całym ciałem i wyrzucając płonące deski na dachy domów po drugiej stronie. Pomiędzy nimi wszystko było proste - sucho, ciepło, jasno - i ja, mały chłopiec, przeszedłem bez trudu i bez obawy przez te ulice, które przepuściły mnie żywego, a potem spaliły się do cna. Spaliło się całe zarzecze i jedynie rzeka uratowała główną część miasta. Tego odczucia spokoju w szczytowym momencie szalejącego pożaru doświadczyłem jeszcze raz - już jako dorosły. Dzieciństwo już dawno się skończyło i jako więzień kończyłem swój wyrok w zwiadzie geologicznym Uralu. Zapalił się skład ekspedycji i chociaż był blisko rzeki - samochodu straży pożarnej nie było - na gaszenie narastającego ognia przy pomocy łańcucha ludzi z wiadrami było za późno. W składzie przechowywano wiele państwowego mienia i naczelnik ekspedycji rozumiał, że nie uniknie kary przyprawionej dodatkowo jeszcze jakimś polityczno-dywerysyjnym akcentem. Wołał o pomoc, ale nikt z więźniów nie wszedł w ogień. Naczelnik obiecywał wszelkiego rodzaju dobra: wolność, zaliczenia roboczych dni - sto za jeden dzień, za jedną godzinę pożaru. Chociaż nie wierzyłem w te puste obietnice, to jednak poszedłem w ogień, nie bałem się pożaru. Ktoś z naczalstwa,

widząc, że nie giniemy, nie palimy się, również przekroczył próg rozwartych wrót płonącego składu. Była noc. W składzie było ciemno i nie dostalibyśmy się ani do przyrzędów niwelacyjnych, ani do teodolitów, nie odszukalibyśmy worków z prochem - a było ich wiele - gdyby nie ogień. Pożar oświetlił ściany, oświetlił skład, podobnie jak oświetla się scenę. Zrobiło się sucho, ciepło i jasno. Wyciągnęliśmy prawie wszystko na brzeg rzeczki. Spłonęła jedynie znajdująca się w rogu góra odzieży - roboczych i zwykłych ubrań, kożuchów, walonek. Naczelnik zezłościł się raczej, niż uradował - nieprzyjemności związane ze składem groziły w dalszym ciągu: na pewno trzeba będzie zapłacić za spaloną odzież. Nie otrzymałem ani jednego dodatkowego dnia zaliczeń pracy. Nikt nie powiedział mi nawet dziękuję za walkę z tym pożarem, z tym ogniem. Ale brak strachu wobec bliskości ognia, uczucie pozostałe jeszcze z dzieciństwa umocniło się. Pożarów w tajdze widziałem wiele. Stąpałem po gorącym, pulchnym, przepalonym na podobieństwo tkaniny, metrowej grubości mchu. Przedzierałem się przez powalony przez pożar modrzewiowy las. Modrzewie wrywane były z korzeniami i zwalone, ale nie przez wiatr - przez ogień. Ogień był burzą i tworzył burzę, walił drzewa, zostawiając na zawsze czarny ślad w tajdze. I opadał bezsilny na brzegu jakiegokolwiek

strumienia. Po suchej trawie biegł jasny, żółty płomień. Trawa kołysała się, ruszała, jakby tam przebiegła żmija. Ale na Kołymie żmij się nie spotyka. Żółty płomień wlatywał na drzewo, na pień modrzewia, i przybierając już na sile, huczał jako ogień, wstrząsając pniem. Te konwulsyjne ruchy, przedśmiertne konwulsje drzew wszędzie były jednakowe. Nie raz widziałem hipokratesową maskę drzew. Przez całe trzy dni lał z nieba nad szpitalem deszcz i dlatego rozmyślałem o pożarze, wspominałem ogień. Wszystkich ozdowieńców „wyganiano” po jagody, po grzyby za rzeczkę - było tam zatrzęsienie borówek bagiennych, brusznic, całe zarośle pełne różnokolorowych maślaków ze śliskimi i chłodnymi kapeluszami. Grzyby były chłodnymi, zimnokrwistymi istotami, czymś w rodzaju żmij - tylko nie grzybami. Grzyby wyrastają późno, po deszczach i nie każdego roku, ale jeśli rosną - okrażają każdy namiot, zapełniają każdy las, każdy zagajnik. Grzyby należało zebrać do koszy i posortować - szły one na solenie, kiszenie i marynaty do wujka Saszy, szpitalnego kucharza, który odprawiał nad nimi czary, chociaż w ten sposób przypominał sobie swoją dawną przeszłość w restauracji „Praga” i swoje genewskie wykształcenie kulinarne. Wujek Sasza bywał szefem kuchni obiadów rządowych i kiedyś, w owych czasach, powierzono mu

przygotowanie obiadu na cześć Bullitta. Obiad w rosyjskim stylu, z rosyjskim smakiem. Barszcz, kapuśniak ze słodkiej kapusty, prosie z kaszą. Asystenci wujka Saszy przywieźli z Kostromy pięćset glinianych garnczków - a w każdym porcja kaszy. Pomysł był udany. Bullitt pochwalił kaszę. A prosiaka! Prosiaka odsunął na bok, a kaszę zjadł i poprosił o drugą porcję. Wujka Saszę nagrodzono Orderem Lenina. Wkrótce wujek Sasza został aresztowany. W aktach jego sprawy napisano, że dyrektor moskiewskiej restauracji „Praga” Filipow zapraszał wujka Saszę do pracy u siebie na stanowisko szefa kuchni, obiecywał mieszkanie, ogromną pensję, wyjazdy zagraniczne. „Potem, jak odmówiłem przejścia do «Pragi», Filipow zaproponował mi otrucie rządu. I ja się zgodziłem”. Wujek Sasza kierował naszą pracą. Zbieranie tego, co dziko rośnie - jagód, grzybów - to jedna z kołymskich psychoz. Po te „dzikorosty” chodzimy każdego dnia. Dzisiaj było chłodno, dał zimny wiatr, ale deszcz ustał, poprzez poszarpane chmury widniało blade, jesienne niebo i stało się jasne, że w ciągu dnia nie będzie deszczu. Trzeba było iść. Chory czuje się w szpitalu niezupełnie pewnie, jeżeli nie wykonuje czegoś dla lekarza czy dla szpitala; kobiety wyszywają, jakiś stolarz robi stół. Inżynier rozrysowuje na zapas jakieś formularze i tablice.

Niewykwalifikowani robotnicy przynoszą koszyk grzybów, wiaderko jagód. Można i trzeba było iść na grzyby. Po deszczu – urodzaj na nie. W niewielkiej łódce przeprawiliśmy się we trójkę przez rzeczkę – zawsze tak robiliśmy z rana. Wody trochę przybyło, płynęła jakby nieco szybciej niż zawsze. Fale były trochę ciemniejsze niż zwykle. Safonow wskazał palcem na wodę, w górę jej biegu i wszyscy trzej zrozumieliśmy, co chciał powiedzieć.

- Zdamy, jest dużo grzybów – powiedział Wierigin.

- Nie będziemy chyba wracać – powiedziałem z kolei ja.

- To zrobimy tak – powiedział Safonow – około czwartej godziny naprzeciw tej góry pojawi się słońce, trzeba o tej godzinie powrócić na brzeg. Łódkę przywiążemy wyżej...

Rozeszliśmy się w różne strony – wszyscy mieliśmy ulubione grzybowe miejsca. Już po zrobieniu kilku kroków zobaczyłem, że nie trzeba się spieszyć, że królestwo grzybów znajduje się tu, wprost pod nogami. Kapelusze były wielkości czapki, dłoni – aby napełnić dwa kosze, wcale nie trzeba było wiele czasu. Zniosłem kosze na polanę, w pobliżu drogi dla traktorów, ażeby je od razu odnaleźć, a sam poszedłem nieobciążony naprzód, ażeby chociaż rzucić okiem – jakie to grzyby tam wyrosły, na moich najlepszych miejscach od dawna już zapamiętanych.

Wszedłem do lasu i moja grzybowa dusza doznała wstrząsu - wszędzie taty, oddzielnie jeden od drugiego, olbrzymie borowiki, wyższe od trawy, przewyższające krzaki brusznic - twarde, prężne, świeże - niezwykle grzyby. Popędzane przez kołymską deszczową wodę, grzyby wyrosły monstrualnie, z półmetrowymi kapeluszami, stały gdziekolwiek by spojrzeć, takie zdrowe, takie mocne, że żadnej innej decyzji nie można było podjąć. Wrócić, wyrzucić w trawę wszystko wcześniej zebrane i przyjechać do szpitala z tymi grzybowymi cudami w rękach. Tak właśnie zrobiłem. Na wszystko trzeba było czasu, ale obliczyłem, że dojdę po ścieżce za pół godziny. Zszedłem z pagórka, rozsunąłem krzaki - zimna woda zalała wiele metrów ścieżki, która znikła pod wodą przez ten czas, gdy zbierałem grzyby. Las szeleścił, chłodna woda podnosiła się wciąż wyżej i wyżej. Coraz silniej huczało. Poszedłem w górę i skierowałem się wzdłuż zbocza w kierunku naszego spotkania. Grzybów nie rzuciłem - powiązane ręcznikiem, dwa ciężkie kosze zwisały mi z ramienia. Idąc wyżej, podszedłem do zagajnika, gdzie powinna być łódka. Zagajnik zalany był wodą i wciąż jej przybywało. Wydostałem się na brzeg, na pagórek. Rzeka huczała, wrywając drzewa i rzucając je w nurt. Nie pozostało śladu z lasu, przy którym przybiliśmy do brzegu - drzewa zostały

podmyte, wyrwane i uniesione. Straszna siła tej jakby uniesionej wody upodobniła ją do zmagającego się zapaśnika. Z tamtej strony brzeg był skalisty, rzeka odegrała się na prawym, na moim, na liściastym brzegu. Rzeczka, przez którą przeprawialiśmy się rano, już dawno zamieniła się w monstrum. Ściemniało się i zrozumiałem, że powinienem iść po ciemku w góry i tam przeczekać aż do świtu, jak najdalej od wściekłej, lodowatej wody. Przemoknięty do nitki, przeskakując z kępy na kępę, osuwając się co chwila w wodę, zawlokłem kosze do podnóża góry. Była jesienna, czarna, gwiazdna, chłodna noc, głuchy ryk rzeki nie pozwalał nasłuchiwać żadnych głosów - a zresztą, gdzie one mogły dać się słyszeć? W wąwozie nieoczekiwanie zabłysło światło, i nie od razu zrozumiałem, że to nie jest wieczorna gwiazda, lecz ognisko. Zbiedzy? Ognisko rybaków? Kosiarzy siana? Poszedłem w kierunku ognia, pozostawiwszy dwa kosze przy dużym drzewie aż do świtu, a mały koszycek wzięłem ze sobą. Odległości w tajdze są złudne - izba, skała, las, rzeka, może się okazać nieoczekiwanie blisko lub wbrew oczekiwaniom daleko. Decyzja „w jedną czy drugą stronę” była prosta. Ogień - trzeba było iść do niego, wiele nie rozmyślając. Ogień stawał się nową ważną siłą w tę moją dzisiejszą noc. Zacząłem uparcie iść, chociażby po

omacku - przecież ten ogień tam był, a więc byli tam również ludzie, było życie i ratunek. Szedłem wzdłuż wąwozu, nie tracąc ognia z oczu, i po półgodzinie, ominąwszy ogromny kamień, ujrzałem nagle wprost przed sobą, trochę wyżej, ognisko na kamiennym placyku. Ognisko zostało rozłożone przed niziutkim, wysokości kamienia namiotem. Przy ognisku siedzieli ludzie. Nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi. Nie spytałem ich, co tu robią, tylko podszedłem do ogniska i zacząłem się grzać. Chciało mi się jeść, ale w kołymskiej tajdze nie prosi się spotkanego człowieka o chleb. Byli to kosiarze siana ze szpitala - tego samego, dla którego zbierałem grzyby. Prosić o chleb nie można, ale można było prosić o pustą puszkę po konserwach; ja poprosiłem o kociołek, zakopcony i pogięty, zacerpnałem wody i ugotowałem w niej jeden z grzybów-gigantów. Rozwinąwszy brudną szmatkę, starszy kosiarz podał mi, milcząc, kawałeczek soli, woda niedługo zaszumiała i zaczęła wylatywać gorąca, bielejąca piana. Zjadłem swój cudaczny grzyb pozbawiony smaku, zapilem go wrzątkiem i trochę się rozgrzałem. Zdrzemnałem się przy ognisku i powoli, niezauważalnie zaczęło świtać, zaczynał się dzień. Poszedłem w kierunku brzegu, nie podziękowawszy kosiarzom za przygarnięcie mnie. Moje dwa kosze przy drzewie widoczne były z odległości wiorsty. Woda już opadała. Przeszedłem

przez las, chwytając się za ocalałe drzewa - z obłamanymi gałęziami i poobdzieraną korą. Szedłem po kamieniach, następując czasami na naniesiony górski piasek. Doszedłem do brzegu. Tak, to był brzeg - nowy brzeg - niewyraźna linia przyboru rzeki. Rzeka płynęła, ciężka jeszcze od deszczu, ale widać było, że osiada. Daleko, daleko, na drugim brzegu, jakby na drugim brzegu życia - zobaczyłem figurki ludzi machających rękami. Zobaczyłem łódkę. Zacząłem też machać, zrozumieli mnie, rozpoznali. Łódkę podprowadzili za pomocą żerdzi wzdłuż brzegu, o dwa kilometry powyżej tego miejsca, gdzie stałem. Safonow i Wierigin dobili do mnie znacznie niżej. Safonow wyciągnął do mnie dzisiejszą porcję 600 gramów chleba, ale nie chciało mi się jeść. Przywlokłem swoje kosze z grzybami-monstrami. Deszcz zrobił swoje i ja też dodałem, taszcząc grzyby przez las, zaczepiając w nocy o korzenie - w koszach walały się już tylko resztki połamanych grzybów.

- Wyrzucić je, czy co?

- Nie, dlaczego...

- Myśmy swoje wczoraj wyrzucili. Ledwie zdążyliśmy przeprowadzić łódkę. A o tobie to tak pomyśleliśmy - że bardziej będziemy się tłumaczyć z powodu łódki niż z twojego powodu - twardo powiedział Safonow.

- Z mojego powodu niewiele - powiedziałem.

- No właśnie. Ani my, ani naczelnik niewiele będzie odpowiadać przez ciebie, ale z powodu łódki... Czy słusznie postąpiłem?

- Słusznie - powiedziałem.

- Siadaj - rzekł Safonow - i zabieraj te przeklęte kosze.

Odepchnęliśmy się od brzegu i poczęliśmy płynąć - wątle czółenko po wzburzonej, jeszcze dyszącej burzą rzece. W szpitalu przywitano mnie, nie wymyślając, ale też nie ciesząc się. Safonow miał rację, gdy zatroszczył się przede wszystkim o łódkę. Zjadłem obiad, kolację, śniadanie i znowu obiad i kolację - swój cały dwudniowy przydział - i zaczęła mnie ogarniać senność. Zagrzałem się. Ale zachciało mi się, gwoli większego błogostanu, herbaty - oczywiście zwykłego wrzątku. Prawdziwą herbatę pije tylko naczałstwo. Siadłem przy piecu w baraku, postawiłem na ogień blaszankę z wodą. Na ujarzmiony ogień ujarzmioną wodę. I niedługo zabulgotała, zakipiała. Ale ja już spałem...

OBLAWA

Willys z czterema żołnierzami ostro skręcił z drogi i dodając gazu, począł podskakiwać po szpitalnych wertepach grząskiej, zdradliwej, posypanej białym wapnem drogi. Willys przedostawał się do szpitala i serce Krista zabiło w trwodze, jak zwykle przy spotkaniach z

naczalstwem, z konwojem, z losem. Willys szarpnął i uwiązał w błocie. Od głównej drogi do szpitala było pięćset metrów. Naczelný lekarz szpitala budował ten kawałek drogi sposobem gospodarczym, stosowanym przez państwo - metodą sobotników, które na Kołymie zwa „udarnikami” - szturmowymi dniami, jest to ten sam sposób, za pomocą którego prowadzone były wszystkie wielkie budowy pięciolatki. Na tę drogę wyganiano ozdrowieńców, ażeby przenieśli kamień lub dwa, trochę kruszywa na noszach. Chorzy pracujący na stanowiskach sanitariuszy - etatowych nie wolno było posyłać, bo szpitalik był dla więźniów - wychodzili bez sprzeciwu na te szturmowe sobotniki, gdyż inaczej czekała ich kopalnia, złote wyrobisko. Nigdy nie posyłano na sobotniki tych, którzy pracowali na oddziale chirurgicznym - poobdrapywane, poranione palce na długo usuwały ich z czynnego życia. Ale żeby przekonać o tym łagrowe naczalstwo, konieczna była dyrektywa Rosji. Ten przywilej nie wychodzenia do pracy w szturmowe sobotniki był przedmiotem chorobliwej, obłąkańczej zazdrości innych więźniów. Wydawałoby się, czegoż tu zazdrościć? Cóż, odpracowałeś dwie, trzy godziny jak inni ludzie. Okazuje się jednak, że kolegów zwalniają z tego obowiązku, a ciebie nie. I to jest właśnie przykrość bez miary, która zapamiętuje się na całe życie. Chorzy,

lekarze, sanitariusze - każdy brał kamień albo i dwa, podchodził do skraju grzęzawiska i rzucał w błoto. W ten sposób budował drogi, zasypywał morza Dżyngis-chan, miał on jedynie więcej ludzi niż naczelny lekarz Rejonowego Szpitala dla Więźniów, tak bowiem górnolotnie ów szpital się nazywał. Dżyngis-chan miał więcej ludzi, ale też zasypywał on morza, a nie bezdenną, wieczną zmarzlinę, która tajała w okresie krótkiego, kołymskiego lata. Letnia droga znacznie ustępowała „sannej”, nie potrafiła zastąpić śniegu i lodu. Im bardziej błoto się roztopiało, tym dalej było do dna, tym więcej trzeba było kamienia, i sznur więźniów nie mógł w ciągu trzech letnich pór zapełnić ich w odpowiedni sposób. Jedynie blisko jesieni, gdy ziemię już chwytał mróz i kończyło się tajanie wiecznej zmarzliny, można było uzyskać jakiś efekt w tym budowaniu na modłę Dżyngis-chana. Beznadziejność tego przedsięwzięcia już od dawna była jasna i dla naczelnego lekarza, i dla pracowników szpitala, ale wszyscy już od dłuższego czasu przywykli do bezmyślnej pracy. Każdego lata na tę przeklętą drogę nosili kamienie ozdrowieńcy, lekarze, felczerzy, sanitariusze. Błoto tylko mlaskało, rozstępowało się i wsysało bez końca kamień za kamieniem. Droga posypana białym, iskrzącym się wapnem wybrukowana była niepewnie. To

było grzędawisko, topiel, błoto nie do przejścia, a dróżka posypana białym, kruchym wapnem wskazywała tylko, jak jechać, w jakim kierunku. Te pięćset metrów każdy - więzień czy konwojent - mógł pokonać, przemieszczając się z płyty na płytę, przeskakując z kamienia na kamień. Szpital stał na pagórku - dziesięć parterowych baraków, odkrytych na wiatr ze wszystkich czterech stron. Wokoło szpitala nie było zony z kolczastego drutu. Po wypisanych ze szpitala przysyłano konwój z zarządu odległego o sześć kilometrów od szpitala. Willys dwa razy podskoczył i ostatecznie uwiązał. Żołnierze zeskoczyli z samochodu i w tym momencie Krist zobaczył coś niezwykłego. Na starych szynelach żołnierzy widniały nowiutkie naramienniki. A człowiek, który wylazł z samochodu, miał na ramionach srebrne. Krist zobaczył naramienniki po raz pierwszy. Widział je jedynie na zdjęciach filmowych i jeszcze w kinie, na ekranie, w kronikach w rodzaju Słońca Rosji. Przecież jeszcze po rewolucji, w prowincjonalnym mieście, w którym urodził się Krist, o zmierzchu zrywano naramienniki z barków jakiegoś schwytanego na ulicy oficera, stojącego na baczność przed... Przed kim stał ten oficer? Tego Krist nie pamiętał. Po wczesnym dzieciństwie nastąpiło późne dzieciństwo i młodość, taka, że każdy rok, jeśli chodzi o ilość wrażeń, ich

wyrazistość i życiowe znaczenie, pomieściłby w sobie dziesiątki żywotów. Krist myślał, że w jego wędrowce nie było oficerów i żołnierzy. A teraz oficer i żołnierze wyciągali z błota willysa. Nie było nigdzie widać operatora, nie widać było reżysera, który przyjechał na Kołymę ekranizować jakąś współczesną sztukę. Tutejsze sztuki rozgrywane były niezmiennie z udziałem samego Krista - inne go nie interesowały. To było jasne że willys, żołnierze, oficer grają w jakimś akcie scenę z udziałem Krista. Ten z naramiennikami - to chorąży. Nie, teraz nazywa się inaczej: lejtnant...Willys przeskoczył najbardziej niepewne miejsce - samochód podjechał do szpitala, do piekarni, gdzie jedenonogi dozorca piekarni, błogosławiący swój los za inwalidztwo, za jedenonogość, wyskoczył, salutując po wojskowemu wyłazł z kabiny willysa oficerowi. Na ramionach oficera błyszcząły piękne srebrne gwiazdki - dwie, nowiutkie. Oficer wylazł z willysa, jedenonogi zrobił szybki ruch, zakuszył, podskoczył jakby w górę i w bok. Ale oficer śmiało i bez obrzydzenia zatrzymał jedenonogiego za buszlat.

- Nie trzeba.

- Obywatelu naczelniku, pozwólcie...

- Powiedziałem, nie trzeba. Idź do piekarni. Sami sobie damy radę.

Lejtnant machnął rękami, wskazując w

prawo i w lewo, i trzech żołnierzy pobiegło, okrążając wyludnioną nagle szpitalną osadę. Szofer wylazł z samochodu. A lejtnant, z czwartym żołnierzem, rzucił się na ganek oddziału chirurgicznego. Postukując obcasami żołnierskich butów, schodziła z góry kobieta - naczelny lekarz - której nie zdążył uprzedzić jednonogi stróż. Dwudziestoletni naczelnik łagru był frontowcem, ale uratowany został przed powrotem na front dzięki uwięźniętej przepuklinie - a być może tak tylko mówiono. Najpewniej jednak nie była to przepuklina, a blat, czyjaś ręka z wysoka, przemieściła lejtnanta - awansując go, dalej od tanków Guderiana - na Kołymę. Kopalnie żądały ludzi, ludzi. Zabroniony uprzednio, rabunkowy sposób wydobywania złota stosowany przez jego poszukiwaczy, obecnie był popierany przez rząd. Lejtnant Sołowjow został wysłany, aby udowodnił co umie, wykazał się wiedzą, rozeznaniami - i swym prawem. Naczelnicy łagrowych instytucji nie zajmują się osobiście wysyłaniem etapów, nie wtykają nosów do historii chorób, nie zaglądają w zęby ludziom i koniom, nie obmacują mięśni niewolników. W łagrze wszystko to robią lekarze. Dwudziestoletni Sołowjow nie dowierzał nikomu. Liczba znajdujących się na liście więźniów - roboczej siły kopalni - topniała z każdym dniem lata, każdej kołymskiej nocy liczba wychodzących do

pracy stawała się coraz mniejsza i mniejsza. Ludzie ze złotych wyrobisk szli pod sopkę, do szpitala. Zarząd rejonu już dawno wycisnął, co mógł, zredukował wszystko, co się dało, oprócz, co rozumiało, osobistych ordynansów i sprzątających, jak ich nazywają po kołymsku, oprócz tych sprzątających wyższego naczalstwa, oprócz osobistych kucharzy, osobistych służących dobieranych spośród więźniów. Wyczyszczone zostało wszystko. Tylko jeden oddział podległy młodemu naczelnikowi nie dawał tego, co należy - był to szpital! Tutaj właśnie skrywają się rezerwy. Przestępcy - lekarze ukrywają symulantów. My, rezerwa, wiedzieliśmy, po co przyjechał do szpitala naczelnik, w jakim celu zbliżył się jego willys do wrót szpitala. Tak naprawdę wrót i ogrodzenia w szpitalu nie było. Rejonowy szpital stał na wzgórk, pośród błota w tajdze, a dwa kroki od niego w bok - brusznice, burunduki, wiewiórki. Szpital nazywał się Wiewiórczy, chociaż już od dawna nie było wiewiórek na jego terenie. W górskim parowie, pod pulchnym purpurowym mchem płynął chłodny, lodowaty strumień. Tam właśnie, gdzie strumień wpada do rzeczki, stoi szpital. Strumień i rzeczka nie mają imienia. Lejtnant Sołowjow znał topografię terenu, gdy planował swoją operację. Aby okrążyć szpital w tym tajgowym błocie, nie

starczyłoby i kompanii żołnierzy. Plan bitwy był inny. Wojskowe wiadomości lejtnanta nie dawały mu spokoju, szukały ujścia w śmiertelnej grze bez przegranej, w starciu z pozbawionym prawa aresztanckim światem. Krew Sołowjowa burzyła ta myśliwska zabawa, polowanie na ludzi, polowanie na niewolników. Lejtnant nie szukał literackich porównań - była to gra wojenna, dawno już przez niego przemyślana operacja, „dzień D”. Ze szpitala konwojenci wyprowadzili ludzi, zdobycz Sołowjowa. Wszystkich ubranych, wszystkich, których naczelnik zastał na nogach, a nie w łóżku, a i tych też, co leżeli, ale opalenizna budziła podejrzenia Sołowjowa, prowadzono w kierunku składu, gdzie zatrzymał się willys. Szofer wyciągnął pistolet.

- Tyś kto?

- Lekarz.

- Pod skład! Tam wyjaśnimy.

- A ty?

- Felczer.

- Pod skład!

- Kim ty jesteś?

- Nocnym sanitariuszem.

- Pod skład!

Lejtnant Sołowjow osobiście przeprowadzał operację uzupełnienia siły roboczej w kopalniach złota. Naczelnik sam, osobiście przeglądał wszystkie szafy, wszystkie strychy, wszystkie piwnice, gdzie według niego mogli

ukrywać się ci, co chowali się przed metalem, przed „najważniejszym metalem”. Jednonogiego stróża też postawiono przed składem - tam wyjaśnimy. Przed składem postawiono też cztery kobiety, siostry medyczne. Tam wyjaśnimy. Osiemdziesiąt trzy osoby cisnęły się koło składu. Lejtnant wygłosił krótkie przemówienie.

- Ja pokażę, jak kompletuje się etapy. Rozgromimy wasze gniazdo. Papiery! Szofer wydostał z naczelnikowego mapnika kilka kartek papieru.

- Lekarze - wychodzić!

Wyszło troje - więcej ich w szpitalu nie było. Felczerów wyszło dwóch - pozostali czterej nie wyszli z szeregu. Sołowjow trzymał w ręku wykaz etatów szpitala.

- Kobiety - wychodzić; pozostali - czekać!

Ze szpitalnego biura Sołowjow zadzwonił. Zamówione przez niego jeszcze wczoraj dwie ciężarówki wjechały do szpitala. Sołowjow wziął ołówek chemiczny i papier.

- Podchodzić, zapisywać się. Bez paragrafu i wyroku. Jedynie nazwiska - tam się zorientują. Ano, już!

I naczelnik osobiście ułożył listę etapu - etapu na złoto, na śmierć.

- Nazwisko?

- Jestem chory.

- Na co on chory?

- Zapalenie stawów - powiedziała naczelny lekarz.

- No, takich słów to ja nie znam. Zdrowy łeb. Do kopalni.

Naczelną lekarz nie spierała się. Krist stał w tłumie - znajoma złość pulsowała mu w skroniach. Krist wiedział już, co ma zrobić. Stał spokojnie i myślał: jakże niewiele ci zawierzają naczelniku, że ty osobiście przeschukujesz szpitalne strychy, sam zaglądasz swymi dostojnymi oczami pod każde szpitalne łóżko. Przecież mogłeś jedynie wydać rozporządzenie i przysłałoby ci wszystkich bez tego widowiska. Jeżeli ty, naczelnik łagrowej służby na kopalniach własnoręcznie układasz listy, własnoręcznie łowisz... To ja ci pokażę, jak trzeba biegać. Niech dadzą jedynie pięć minut na przygotowanie się do drogi...

- Pięć minut na przygotowanie się do drogi! Szybko!

Tych właśnie słów Krist oczekiwał. I wszedłszy do baraku, w którym mieszkał, nie wziął rzeczy - jedynie waciak, czapkę-uszankę, kawałek chleba, zapalki, machorkę, gazetę - wepchnął do kieszeni swoje wszystkie „przechówki”, a do waciaka pustą puszkę po konserwach i wyszedł - ale nie pod skład, a za barak, do tajgi, z łatwością obchodząc wartownika, tego, dla którego operacja, polowanie było już zakończone. Krist cały czas szedł w górę strumienia, dopóki nie znalazł pewnego miejsca, legł na mchu i pograżył się w oczekiwaniu. Na co liczył? A na to: jeżeli jest to zwyczajna obława - kogo chwytają na

zewnątrz, tego wpychają do samochodu i wiozą do kopalni - to z powodu jednego człowieka nie będą samochodu trzymać aż do nocy. Ale jeżeli jest to polowanie według wszystkich prawideł, to przyślą po Krista wieczorem, nie wpuszczą nawet do szpitala i postarają się go dosłać, wyrwać spod ziemi i dosłać. Za takie samowolne oddalenie się wyrok nie grozi. Jeżeli kula nie trafiła Krista, gdy uciekał - a przecież w niego nie strzelali - to będzie on ponownie sanitariuszem w szpitalu. A jeżeli trzeba odesłać właśnie Krista - zrobi to lekarz naczelny bez pomocy lejtnanta Sołowjowa. Krist zaczerpnął wody, napił się, zapalił, puszczając dym do rękawa, poleżał, i gdy słońce zaczęło siadać, poszedł w dół jaru do szpitala. Na mostku Krist spotkał naczelnego lekarza. Uśmiechnęła się i Krist zrozumiał, że będzie żyć. Martwy, opróżniony szpital ożywał. Nowi chorzy ubierali się w stare szlafroki i rozprowadzani byli przez sanitariuszy, rozpoczynając, być może, drogę ku ocaleniu. Lekarze i felczerzy rozdawali lekarstwa, mierzyli temperaturę, liczyli puls ciężko chorych.

PROTEZY

Łagrowy izolator był stary, bardzo stary. Wydawało się, że wystarczy pchnąć drewnianą ściankę karceru, aby upadła - bierwiona potoczą się i izolator się

rozpadnie. Izolator nie padał jednak i siedem pojedynczych karcerów pełniło wierną służbę. Oczywiście każde głośno wypowiedziane słowo byłoby słyszane przez sąsiada. Ale ci, co siedzieli w karcerze, obawiali się kary. Dyżurny nadzorca stawiał na drzwiach kredą krzyż — i cela pozostawała bez gorącego pożywienia. Gdy postawił dwa krzyże — pozbawiona była również chleba. Był to karcer dla przestępstw związanych z samym łaగrem; wszystkich podejrzanych o coś bardziej niebezpiecznego odwożono do kierownictwa łaగrów. Teraz po raz pierwszy zostali niespodziewanie aresztowani wszyscy naczelnicy łaగrowych instytucji wywodzący się z więźniów — wszyscy kierownicy. Szykowała się jakaś duża sprawa, przygotowywano jakiś łaగrowy proces. Według czyjegoś rozkazu. I oto wszyscy, w sześciu, staliśmy w ciasnym korytarzu izolatora, okrążeni przez konwojentów, czując i rozumiejąc tylko to jedno: że ponownie chwyciła nas w swoje tryby ta sama maszyna sprzed kilku lat, że przyczynę poznamy dopiero jutro, nie wcześniej. Rozebrano wszystkich do bielizny i zaprowadzono każdego do oddzielnego karceru. Magazynier zapisywał przyjęte na przechowanie rzeczy, upychał je do worków, przywiązywał metki, pisał. Operacją kierował śledczy — znałem jego nazwisko — Piesniakiewicz. Pierwszy był ten o kulach. Siadł na ławce koło lampy,

położył kule na podłogę i zaczął się rozbierać. Obnażył się stalowy gorset.

- Zdejmować?

- Oczywiście.

Człowiek począł rozwiązywać sznurki gorsetu i śledczy Piesniakiewicz nachylił się, aby mu pomóc.

- Rozpoznałeś, stary przyjacielu? - powiedział po błatniacku człowiek, wkładając w słowo „rozpoznałeś” błatniacki sens bez obraźliwej treści.

Człowiekiem w gorsecie był Plewe, kierujący krawieckim warsztatem w łagrze. Była to ważna placówka, z dwudziestoma majstrami pracującymi na zamówienie, za zgodą naczalstwa - również dla wolnych. Nagi człowiek zgiął się na ławce. Stalowy gorset leżał na podłogę - wprowadzono do protokołu zapis odebranych rzeczy.

- Jak wpisać coś takiego? - spytał Plewego magazynier izolatora, szturchając gorset szpicem buta.

- Stalowa proteza, gorset - odpowiedział goły człowiek.

Śledczy Piesniakiewicz odszedł na bok i ja spytałem wtedy Plewego:

- Naprawdę znałeś tego szpicla na wolności?

- A jakże - powiedział Plewe - Jego matka miała burdel w Mińsku, chodziłem tam. Jeszcze przy Mikołaju Krwawym.

Z głębi korytarza wyszli Piesniakiewicz i czterech konwojentów. Wziąwszy Plewego za ręce i nogi, wnieśli go do karceru.

Szczęknał zamek. Następny był zarządzający konnym transportem - konbaza - Karawajew. Były budionnowiec i uczestnik wojny domowej, stracił rękę. Karawajew stuknął żelazem protezy w stół dyżurnego.

- Wy psy.

- Zdejmij swoje żelazo. Oddawaj rękę.

Karawajew zamachnął się odwiązaną protezą, ale konwojenci rzucili się na niego i wepchnęli do karceru. Rozlegały się wymyślne przekleństwa.

- Słuchaj, ty, Rączka - rzekł kierownik izolatora - za hałas pozbawiamy gorącego pożywienia.

- Idź w cholereę ze swoim gorącym pożywieniem.

Kierownik izolatora wyciągnął z kieszeni kawałek kredy i postawił na drzwiach karceru Karawajewa krzyż.

- Ale kto podpisze, że oddał rękę?

- Nikt nie podpisze. Postaw jakiegoś ptaszka - zarządził Piesniakiewicz.

Przyszła kolej na lekarza, naszego doktora Żitkowa. Głuchy staruszek oddał swoją trąbkę słuchową. Następny był pułkownik Panin, kierujący warsztatem stolarskim. Pułkownikowi wybuch pocisku oderwał nogę gdzieś w Prusach Wschodnich na niemieckim froncie pierwszej wojny. Był znakomitym stolarzem i opowiadał mi, że szlacheckie dzieci często były przyuczane do wykonywania jakiejś ręcznej, rzemieślniczej pracy. Staruszek Panin odwiązał protezę i poskakał na

jednej nodze do karceru. Pozostało nas dwóch - Szor, Grisza Szor, starszy brygadzysta i ja.

- Spójrz, jak gładko idzie - powiedział Grisza, owładnęła nim nerwowa wesołość aresztowanego - ten nogę, tamten rękę, a ja - sam widzisz - oddam oko. - i Grisza zręcznie wyjął swoje prawe, porcelanowe oko i pokazał mi je na dłoni.

- Co, ty masz sztuczne oko? - powiedziałem ze zdziwieniem - Nigdy nie zauważyłem.

- To marnie uważasz. A poza tym dobrze dobrali oko, udało im się.

Kiedy zapisywali Griszy oko, kierownik izolatora rozweselił się i począł niepowstrzymanie chichotać.

- Ten więc rękę, ten nogę, ten ucho, ten plecy, a ten - oko. Zbierzemy wszystkie części ciała. A ty co? - z uwagą obejrzał mnie nagiego - Co ty oddasz? Duszę oddasz?

- Nie - powiedziałem - Duszy nie oddam.

KURS

Przede wszystkim człowiek nie lubi przypominać sobie złego. Ta właściwość ludzkiej natury czyni życie lżejszym. Proszę to sprawdzić na sobie. Wasza pamięć stara się zachować to, co dobre i jasne, a pożyć się tego, co ciężkie i ciemne. W trudnych warunkach życia nie zawiąże się żadna przyjaźń. Pamięć wcale nie „oddaje” przeszłości beznamiętnie,

wszystkiego kolejno. Nie, ona wybiera tylko to, co weselsze, z czym łatwiej żyć. To jakby obronna reakcja organizmu. W rzeczywistości ta właściwość ludzkiej natury stanowi zniekształcenie prawdy. Ale co to jest prawda? Z mojego kołymskiego życia najlepszy jego okres - to miesiące nauki na kursach felczerów przy łagrowym szpitalu w pobliżu Magadanu. Tak samo uważają wszyscy więźniowie, którzy byli chociaż miesiąc lub dwa na 23 kilometrze magadańskiej „trasy”. Kursanci zjeżdżali się ze wszystkich krańców Kołymy - z Północy i z Południa, z Zachodu i Południowego Zachodu. Najbardziej południowe Południe było o wiele bardziej północne od tej osady, na której pobrażę przyjechali. Kursanci pochodzący z odległych zarządów łagrowych starali się zająć dolne nary - nie dlatego, że rozpoczynała się wiosna, ale z powodu nietrzymania moczu, które występowało prawie u każdego „czarnego” więźnia. Ciemne plamy dawnych odmrożeń na policzkach podobne były do urzędowego piętna, do państwowej pieczęci przyłożonej przez Kołymę. Na twarzach prowincjuszy widniał wciąż ten sam ponury uśmiech, pełny niedowierzania i tajonego gniewu. Wszyscy „górnicy” trochę kuleli - zdarzyło się im być w pobliżu bieguna zimna i osiągnęli biegun głodu. Delegowanie na kursy felczerów było niedobłą przygodą. Każdemu wydawało się, że jest jakby myszą - na wpół

martwą, którą wypuścił ze swych pazurów, podobnie do kota, los i przygotowuje się, aby się nieco zabawić. Ale cóż - myszy też nic nie mają przeciwko takiej zabawie - niech kot o tym wie. Prowincjusze chciwie dopalali machorkowe skręty różnych „frantów” - nie decydowali się jednak na podnoszenie niedopałków na oczach wszystkich, jakkolwiek w kopalniach złota i ołowiu otwarte polowanie na „byczki” było zachowaniem w pełni licującym z godnością prawdziwego łagiernika. I tylko widząc, że wokół nie ma nikogo, prowincjusz szybko chwycił niedopałek i wsuwał go do kieszeni, rozgniótłszy przedtem w dłoni, aby potem w wolnej chwili swobodnie skręcić „samodzielnego” papierosa. Liczni „franci”, niedawno przybyli z za morza - ze statku, z etapu - zachowali jeszcze „wolną” koszulę, krawat czy czapkę. Zenka Kac co minutę wydostawał z kieszeni maleńkie żołnierskie lustерko i połamanym grzebykiem ostrożnie przyczesywał swoje gęste kędziory. Ostrzyżonym na pałę prowincjuszom zachowanie Kaca wydawało się fircykowate, ale nic mu nie mówili, „nie uczyli, jak żyć” - niepisane prawo łagru zabrania tego. Kursantów umieszczono w czystym baraku „wagonowego typu”, tj. z piętrowymi narami i oddzielnym miejscem dla każdego. Jak mówią, takie nary są bardziej higieniczne, a przy tym są miłe

dla oczu naczelstwa - jakżeby, każdy ma swoje miejsce. Ale zawszeni weterani, którzy przybyli tu z odległych miejsc, wiedzieli, że nie wystarczy ciała na ich kościach, aby zagrzać się w pojedynkę, a walka ze wszami jest jednakowo trudna zarówno w „wagonowych”, jak i w „ciągłych” narach. Prowincjusze z tęsknotą wspominali jednolite nary dalekich baraków w tajdze, woń i przytulny zapach tranzytek. Kursantów karmiono w stołówce, gdzie żywiła się obsługa szpitala. Obiady były o wiele „gęstsze” od kopalnianych. „Górnicy” podchodzili po repete - dawano im. Podchodzili po raz drugi - i znów kucharz spokojnie napełniał wsuniętą przez okno miskę. W kopalni tak się nigdy nie zdarzało. Myśli z wolna wędrowały przez opustoszały mózg i decyzja dojrzewała coraz jaśniej, coraz bardziej kategoryczna - należało za wszelką cenę pozostać na tych kursach, zostać „studentem”, sprawić, aby jutrzejszy dzień był również podobny do dzisiejszego. Jutrzejszy dzień - to dosłownie jutrzejszy. Nikt nie myślał o pracy felczera, o kwalifikacjach medycznych. O tak odległej przyszłości bano się myśleć. Nie, liczył się jedynie jutrzejszy dzień - z taką samą kapuścianą zupą na obiad, z gotowaną flądą, z kaszą z pszona, z zanikającym bólem zapaleń kości ukrytych w porwanych onucach, wetkniętych w watowane, własnej

roboty burki. Kursanci byli już u kresu sił z powodu różnych pogłosek - „łagrowych paraszy”. To mówią, że do egzaminów nie będą dopuszczani więźniowie powyżej 30 lat. A może 40? W baraku przyszłych uczestników kursu znajdowali się ludzie i dziewiętnasto-, i pięćdziesięcioletni. To mówią, że kursów w ogóle nie będą rozpoczynać - rozmyślili się, brak środków i jutro wyślą na roboty ogólne i, co najstraszniejsze, wrócą ich na poprzednie miejsce, do kopalń złota, do kopalń ołowiu. I rzeczywiście, następnego dnia zrobiono kursantom pobudkę o szóstej rano, ustawiono przy wartowni i wyprowadzono do pracy odległej o dziesięć kilometrów - wyrównywać drogę. Praca leśnego drogowca, o której marzył każdy więzień z kopalni, wydała się tutaj wszystkim niezwykle ciężka, obrażająca, niesprawiedliwa. Kursanci „napracowali” się tak, że następnego dnia już ich tam nie posłano. Chodziły słuchy, że naczelnik zabronił wspólnej nauki mężczyznom i kobietom. Że paragraf pięćdziesiąty ósmy, punkt 10 (antysowiecka agitacja), dotąd w pełni „bytowy paragraf”, nie będzie dopuszczany do egzaminów. Do egzaminów! Oto ważne słowo. Przecież powinny być egzaminy wstępne. Ostatnim wstępnym egzaminem mego życia był egzamin na uniwersytet. Było to bardzo, bardzo

dawno temu. Nie mogłem sobie niczego przypomnieć. Komórki mózgowe nie były ćwiczone przez wiele lat, morzone głodem na zawsze straciły zdolność wchłaniania i reprodukcji wiedzy. Egzamin! Spałem niespokojnie. Nie potrafiłem znaleźć żadnego rozwiązania. Egzamin „w zakresie siedmiu klas”. To było nieprawdopodobne. Zupełnie nie było związane z pracą na wolności i z życiem w uwięzieniu. Egzamin! Na szczęście pierwszy był egzamin z języka rosyjskiego. Dyktando - stronice z Turgieniewa - odczytał nam miejscowy znawca literatury rosyjskiej, felczer ze środowiska więźniów, Borski. Dyktando uzyskało najwyższą ocenę Borskiego i zostałem zwolniony z egzaminu ustnego. Dokładnie dwadzieścia lat wcześniej w auli Uniwersytetu Moskiewskiego pisałem pracę - egzamin wstępny - i zostałem zwolniony od składania ustnego. Historia się powtarza - raz jako tragedia, raz jako farsa. Mojego przypadku nie można było nazwać farsą. Powoli, odczuwając fizyczny ból, przebiegałem komórki pamięci - coś ważnego i ciekawego powinno było się ujawnić. Razem z radością pierwszego sukcesu przyszła radość przywracania sobie przeszłości - już dawno zapomniałem swoje życie, swój uniwersytet. Następnym egzaminem była matematyka - praca pisemna. Nieoczekiwanie dla siebie samego rozwiązałem szybko zadanie

egzaminacyjne. Już dawna o sobie znać nerwowa koncentracja, mobilizowały się resztki sił i jakimś cudem, w niewyjaśniony sposób dały potrzebne rozwiązanie. Ani na godzinę przed egzaminem, ani w godzinę po nim nie rozwiązałbym takiego zadania. We wszystkich instytucjach zajmujących się nauczaniem istnieje obowiązkowy przedmiot egzaminacyjny - „Konstytucja ZSRR”. Jednakże, biorąc pod uwagę „kontyngent”, naczelnik KWO - kulturalno-wychowawczego oddziału zarządu - usunął, ku ogólnemu zadowoleniu, ten przedmiot z egzaminów. Trzecim przedmiotem była chemia. Egzaminował były kandydat nauk chemicznych, były pracownik naukowy Ukraińskiej Akademii Nauk A.I.Bojczenko - obecnie kierownik szpitalnego laboratorium, ambitny kpiarz i pedant. Ale nie chodziło tu o to, jakim człowiekiem był Bojczenko. Dla mnie chemia była ponad siły ze specjalnego powodu. Chemię przechodzi się w średniej szkole. Moja średnia szkoła przypadła na lata wojny domowej. Tak się akurat przydarzyło, że nauczyciel chemii, były oficer, został rozstrzelany w czasie likwidacji spisku Nułansa w Wołogdzie i ja pozostałem na zawsze bez chemii. Nie wiedziałem, jaki jest skład powietrza, a formułę chemiczną wody zapamiętałem jedynie ze starej studenckiej piosenki: "takie moje buty są: przepuszczają H₂O".

Ostatnie lata wykazały, że bez chemii też można żyć, zacząłem zapominać o tej całej historii, gdy nagle, w czterdziestym roku mego życia, okazało się, że konieczna jest znajomość chemii – i to właśnie według programu szkoły średniej. W jaki sposób po napisaniu w ankiecie – ukończone wykształcenie średnie, niezakończone wyższe – wyjaśnię Bojczence, że właśnie chemii się nie uczyłem? Nie zwróciłem się do nikogo z prośbą o pomoc – ani do kolegów, ani do naczalstwa. Moje życie w więzieniu i w łagrze nauczyło mnie polegać jedynie na sobie samym. Rozpoczęła się „chemia”. Aż do dnia dzisiejszego pamiętam ten egzamin.

- Co to są tlenki i kwasy?

Zacząłem coś tam mętnie tłumaczyć i do tego błędnie. Potrafię mu opowiedzieć o ucieczce Łomonosowa do Moskwy, o rozstrzelaniu dzierżawcy Lavoisiera, ale tlenki...

- Proszę podać wzór chemiczny wapna.

- Nie wiem.

- A formuła sody?

- Nie znam.

- To po co przyszliście na egzamin? Przecież zapisuję pytania i odpowiedzi do protokołu.

Milczałem. Ale Bojczenko nie był już młody i coś niecoś rozumiał. Z niezadowoleniem zajrzał do moich poprzednich stopni: dwie piątki. Wzruszył ramionami.

- Proszę napisać symbol tlenu.

Napisałem dużą literę „H”.

- Co pan wie o okresowym układzie pierwiastków Mendelejewa?

Odpowiedziałem. W moim opowiadaniu mało było „chemii” i wiele Mendelejewa. O Mendelejewie coś tam wiedziałem. Bo jakże, przecież był on ojcem żony Błoka!

- Może pan odejść - powiedział Bojczenko. Nazajutrz dowiedziałem się, że dostałem trójkę z chemii i zostałem przyjęty, przyjęty na kurs felczerów przy Centralnym Szpitalu Zarządu Północno-Wschodnich Łagrów NKWD. Przez następne dwa dni nic nie robiłem: leżałem w łóżku, wdychałem smród baraku i gapiłem się na zakopcony sufit. Rozpoczął się bardzo ważny, niezwykle ważny okres mojego życia. Odczuwałem to całym swoim jestestwem. Wkraczałem na drogę, która mogła być ocaleniem. Należało przygotować się nie do śmierci, lecz do życia. I nie zdawałem sobie sprawy, że jest to trudniejsze. Wydano nam papier - ogromne arkusze opalone na brzegach - ślad zeszłorocznego pożaru wywołanego wybuchem, który zniszczył całe miasteczko Nachodkę. Z tego papieru pozszywaliśmy zeszyty. Wydano nam również ołówki i pióra. Szesnastu mężczyzn i osiem kobiet! Kobiety siedziały po lewej stronie klasy, bliżej światła, mężczyźni - z prawej, tam gdzie ciemniej. Klasę rozdzielało metrowej szerokości przejście. Mieliśmy nowiutkie

wąskie stoły z dolną półką. Dokładnie przy takich stołach uczyłem się w średniej szkole. Nie mieliśmy żadnych podręczników, a z pomocy szkolnych - kilka anatomicznych plakatów. Uczenie się było bohaterstwem, a nauczanie - wyczynem. Najpierw o bohaterach. Nikt z nas - ani z kobiet, ani z mężczyzn nie miał zamiaru zostać felczerem po to, aby pożyć w łagrze bez kłopotów ażeby jak najszybciej zamienić się w „konowala”. Dla niektórych - i dla mnie w tej liczbie - kurs stanowił ocalenie życia i chociaż dobiegałem już do czterdziestki, dawałem z siebie wszystko, uczyłem się na granicy swych sił, fizycznych i duchowych. Oprócz tego liczyłem na to, że komuś tam pomogę, a z kimś innym wyrównam rachunki, niewyrównane przez dziesięć lat. Miałem nadzieję ponownego stania się człowiekiem. Innym kurs dawał profesję na całe życie, rozszerzał horyzonty, dużo znaczył dla ogólnego wykształcenia, stwarzał podstawy mocnej pozycji w łagrze. Przy pierwszym stole, na pierwszym miejscu od przejścia siedział Min Garipowicz Szabajew - tatarski pisarz, zasądzony według paragrafu „asa” (antysowiecka agitacja), ofiara trzydziestego siódmego roku. Szabajew dobrze władał językiem rosyjskim, notował lekcje po rosyjsku, chociaż, jak sprawdziłem to po wielu latach, pisał prozą po tatarsku. W łagrze wielu ukrywa swoją przeszłość. To

usprawiedliwione i logiczne, nie tylko jeżeli chodzi o prokuratorów i śledczych. Pisarz, jako inteligent, jako człowiek pracy umysłowej, „okularnik”, wywołuje zawsze w miejscach uwięzienia nienawiść wśród swoich towarzyszy i naczalstwa. Szabajew dawno już to zrozumiał, podając się za pracownika handlu i nie mieszając się do dyskusji o literaturze – tak było według niego najlepiej, najspokojniej. Do wszystkich się uśmiechał i wiecznie coś tam przeżuwał. Był jednym z pierwszych, u którego pojawiły się obrzęki – zaczął puchnąć: lata spędzone w kopalni nie przeszły bez śladu dla Mina Garipowicza. Kurs przepełniał go zachwytem.

- Czy rozumiesz, że mając czterdzieści lat, po raz pierwszy dowiedziałem się, że człowiek ma jedną wątrobę? Myślałem, że dwie, że wszystkiego jest po dwa. Istnienie śledziony u człowieka wprawilo Mina Garipowicza w uniesienie. Po zwolnieniu Min Garipowicz nie podjął pracy felczera, a powrócił do miłej jego sercu pracy zaopatrzeniowca. Zostać agentem zaopatrzeniowym – to jeszcze bardziej oszałamiająca perspektywa niż kariera medyczna. Obok Szabajewa siedział Bokis – ogromnego wzrostu Łotysz, przyszły czempion Kołymy w ping-ponga. W szpitalu „kotwicył się” już nie pierwszy rok, początkowo był chorym, później sanitariuszem spośród chorych. Lekarze obiecali i stworzyli Bokisowi

możliwość uzyskania „dyplomu”. Już jako felczer wyjechał do tajgi, zobaczył kopalnię złota. Dla niego tajga była czymś upiornym, ale obawiał się nie tego, czego należy się obawiać - zwyrodnienia własnej duszy. Obojętność nie jest jeszcze podłością. Jako trzeci siedział Buka - jednooki żołnierz drugiej wojny światowej, zasądzony za to, że był maruderem. Kopalnia już po trzech miesiącach zwróciła Bukę z powrotem - na szpitalne łóżko. Siedmioletnie wykształcenie Buki, układny charakter, ukraińska chytrość - wszystko to razem złożyło się na to, że Buka został przyjęty na kurs. Jednym okiem zobaczył Buka w kopalni nie mniej, niż inni widzą dwoma; najważniejsze, co zobaczył, to że powinien kierować swym losem, unikając pięćdziesiątego ósmego paragrafu i wszelkich jego odmian. Na kursie nie było bardziej skrytego człowieka od Buki. Po dwóch miesiącach Buka zamienił czarną przepaskę na sztuczne oko. Tylko że w szpitalnym zestawie nie było piwnych oczu i trzeba było wziąć niebieskie. Wrażenie było silne, ale wszyscy szybko przywykli - prędzej niż on sam - do różnego koloru oczu Buki. Próbowałem go pocieszyć opowieścią o oczach Aleksandra Macedońskiego. Buka uprzejmie mnie wysłuchał - oczy Aleksandra Macedońskiego były czymś w rodzaju „polityki” - coś tam wymamrotał i

odszedł. Czwartym siedzącym w kącie przy ścianie był Łabutow, podobnie jak Buka – żołnierz drugiej wojny światowej. Bystry i ambitny, będąc radiooperatorem, zbudował miniaturowy odbiornik, za pomocą którego słuchał faszystowskiego radia. Opowiedział o tym koledze i został „zdemaskowany”. Trybunał dał mu dziesięć lat według „asa”. Łabutow miał za sobą dziesięć lat szkoły i lubił kreślić wszelkiego rodzaju schematy, podobne do ogromnego rozmiaru map sztabowych, ze strzałkami, oznaczeniami zajęć, na przykład w przypadku anatomii – „operacja”, „serce”. Nie znał Kołymy. Tego wiosennego dnia, kiedy nas „wygoniono do pracy”, przyszło mu do głowy wykapać się w najbliższym rowie. Z trudem powstrzymaliśmy go od tego. Wyszedł z niego dobry felczer; okazało się to później, kiedy opanował tajniki fizjoterapii, co dla niego, jako elektryka i radiooperatora, nie było trudne. Zatrzymał się na stałe, pracując w gabinecie elektroterapii. W drugim rzędzie siedzieli Czernikow, Kac i Maliński. Czernikow to zadowolony z siebie, wiecznie uśmiechnięty chłopak – również frontowiec, zasądzony na podstawie jakiegoś kryminalnego paragrafu. Kołymy nawet nie powąchał – dostał się na kurs z Magłagu, z łagru Miejskiego. Dostatecznie wykształcony, aby móc się uczyć, słusznie zakładał że z kursu go nie przegonia, nawet jeżeli

przytrafiają mu się „naruszenia” i szybko związał się z jedną z kursantek. Żeńka Kac, przyjaciel Czernikowa, był spryciarzem zasądzonym za jakieś gospodarcze przestępstwo i nadzwyczaj dbał o swoje puszyste kędziory. Jako starosta kursu był łagodny i nie miał żadnego autorytetu. Już po ukończeniu kursu, pracując w ambulatorium w czasie przyjęcia chorych i usłyszawszy od lekarza, który badał chorego: „nadmanganian!”, Żeńka przyłożył do rany nie gazę umoczoną w słabym roztworze nadmanganianu potasu, lecz zasypał ją ciemnofioletowymi kryształkami. Chory, który doskonale wiedział, jak leczy się oparzenia, nie odsunął ręki, nie zaprotestował, nie mrugnął nawet okiem. To był stary kołymianin. Niedbalstwo Żeńki Kaca zapewniło mu zwolnienie od pracy prawie na cały miesiąc. Na Kołymie rzadko się coś udaje. Trzeba to chwycić i mocno trzymać, dopóki starcza sił. Maliński był najmłodszy w klasie. Miał dziewiętnaście lat; powołany do wojska w ostatnim roku wojny, wychowany w wojennym okresie, moralnie chwiejny, zasądzony został jako maruder. Przypadkowo trafił do szpitala, w którym pracował jako jeden z lekarzy jego wuj - moskiewski terapeuta. On właśnie pomógł mu zostać słuchaczem kursu, który zresztą Kostię mało interesował. Ułomna natura, a być może młodość, wciągały go w różne łagrowe przygody: pobranie oleju

na podstawie podrobionej kartki, sprzedaż obuwia, przejażdżka do Magadanu. Uwikłany był w wieczne z tym związane wyjaśnienia (ale czy tylko z tym?) w gabinecie „pełnomocnika”. Ktoś przecież musiał być donosicielem. Kurs dał mu zawód. Po kilku latach natknąłem się na niego w osadzie Oła. Kostia podawał się tam za felczera, który ukończył dwuletni wojenny kurs, i ja mogłem mimo woli stać się przyczyną wydania się jego łgarstwa. W 1957 roku w Moskwie jechałem z Kostią jednym autobusem - miał na sobie welurowy kapelusz i miękki płaszcz.

- Czym się zajmujesz?

- W medycynie robię, w medycynie! - krzyknął mi na pożegnanie.

Pozostali kursanci byli ludźmi z górniczych łagrów, ludźmi innego losu. Orłow był „literka”, zasądzony według „literowego paragrafu”, tj. przez „trójkę” lub inaczej - Komisję Specjalną. Moskiewski mechanik Orłow „dopływał” w kopalniach trzykrotnie. Kołymska maszyna wyrzuciła go jako odpad do miejscowego szpitala, a stamtąd trafił na kurs. Stawką było życie. Orłow niczego nie miał w głowie oprócz kursu - z tak ogromną trudnością poddawała mu się nauka medycyny. Stopniowo wciągnął się w zajęcia i uwierzył w swoją przyszłość. Nauczyciel średniej szkoły, geograf Suchowienchenko był starszy od Orłowa - miał ponad czterdzieści lat. Z

dziesięciu - odsiedział około ośmiu lat - pozostawało mu niewiele. A przy tym był jednym z tych, co ocaleli i ustabilizowali się - miał spokojną pracę i mógł wyżyć. Odczytał swój staż jako „dochodiaga” i pozostał przy życiu. Pracował jako geolog, pobierał próbki i pomagał naczelnikowi grupy. Ale to całe szczęście mogło zniknąć jak dym - wystarczyłoby zmienić naczelnika, a Suchowieneczenko nie miał dyplomu. Pamięć o latach spędzonych w kopalni była zbyt świeża, a możliwość skierowania na kurs realna. Kurs przewidywany był na osiem miesięcy - a więc do skończenia „terminu” pozostałoby zupełnie niewiele i uzyskałby niezły zawód w łagrze. Suchowieneczenko porzucił geologiczną grupę i uzyskał felczerskie wykształcenie. Ale nie wyszedł z niego medyk - może z powodu wieku, a może duszę miał inną. Po ukończeniu kursów Suchowieneczenko poczuł, że nie potrafi leczyć, że brak mu siły woli do podjęcia decyzji. Przed nim znajdowali się ludzie, a nie kamienie przeznaczone do kolekcji. Po krótkotrwałej pracy felczera Suchowieneczenko powrócił do zawodu geologa. Oznaczało to, że należał do tych, których uczono na darmo. Jego rzetelność i dobroć były niewątpliwe. „Polityki” obawiał się jak ognia, ale nie zgodziłby się donosić. Siłajkin nie ukończył siedmiu klas, w podeszłym wieku uczyć się było mu bardzo trudno. Jeśli

Kundusz, Orłow i ja czuliśmy się coraz pewniej, to Siłajkinowi było coraz trudniej. Ale on wciąż się uczył, licząc na swoją pamięć, a miał ją doskonałą, liczył również na swoją zręczność i nie tylko, liczył też na to, że rozumie ludzi. Według jego obserwacji, poza błatniakami przestępców nie ma. Wszyscy inni więźniowie prowadzili takie samo życie na wolności jak i inni - tak samo okradali państwo, tak samo mylili się, podobnie naruszyli prawo, jak i ci, co nie zostali zasądzeni na podstawie kodeksu karnego i w dalszym ciągu zajęci byli swą pracą. Trzydziesty siódmy rok zaznaczył to niezwykle silnie - zniszczywszy Rosjanom wszelkie proste gwarancje. Stało się niemożliwe uniknięcie więzienia, dla wszystkich. Jedynymi przestępcami na wolności i w łagrze byli błatniacy. Siłajkin był mądrałą, wielkim znawcą serc ludzkich i, zasądzony za oszustwo, był po swojemu porządnym człowiekiem. Cecha ta pochodzi ze sfery uczuciowej, z serca. Ale też może być wynikiem rozsądku. Siłajkinowi nie brakowało uczciwych przekonań, lecz „uczciwych przyzwyczajień”. Zachowywał się zgodnie ze swoją naturą, gdyż rozumiał, że jest to korzystne. Nie zrobił niczego, co byłoby niezgodne z przepisami, pojmując, że tego nie można robić. Nie wierzył w ludzi i za główny czynnik postępu społecznego uważał osobistą korzyść. Był dowcipny. Na

zajęciach z chirurgii ogólnej kiedy Mejerzon, bardzo doświadczony nauczyciel, nie mógł w żaden sposób wytłumaczyć kursantom, co to jest „supinacja” i „propacja”, Siłajkin wstał, poprosił o słowo i wyciągnął rękę: dłonią do góry - „daj zupę” grzbietem do góry - „przenieśli obok”. Wszyscy, w tym gronie na pewno też Mejerzon, zapamiętali na całe życie mroczną mnemonikę Siłajkina i docenili jego kołymskie poczucie humoru. Końcowe egzaminy Siłajkin zdał pomyślnie i pracował jako felczer w kopalni. Prawdopodobnie pracował dobrze, gdyż był mądry i „rozumiał życie”. „Rozumieć życie” - to według niego było najważniejsze. Podobne wykształcenie posiadał jego sąsiad przy stole, Łogwinow, Iljusza Łogwinow. Zasądzony za rozbój, nie będąc przy tym błatniakiem, coraz bardziej poddawał się wpływowi kryminalnej recydywy. Widział jasno siłę błatniaków w łagrze, siłę moralną i materialną. Naczalstwo przymilało się do błatniaków i bało się ich. Dla błatniaków łagier był „domem rodzinnym”. Prawie nie pracowali, korzystali ze wszystkich przywilejów i chociaż skrycie przed nimi układano listy na etap i od czasu do czasu przyjeżdżał „czarny kruk” wraz z konwojem, by zabrać tych, którzy szczególnie popuścili sobie wodze, to jednak takie było życie - na nowym miejscu błatniakom nie było wcale

gorzej. W karnych zonach byli oni również gospodarzami. Łogwinow, pochodząc z trudnej rodziny, popełniwszy przestępstwo w czasie wojny, widział, że czeka go potem tylko jedna droga. Naczelnik łagru, znający „sprawę” Łogwinowa, namówił go na kurs. Egzamin został jakoś tam zdany i zaczęła się nauka namiętna i beznadziejna. Dla Iljuszy przedmioty medyczne stanowiły zbyt skomplikowany materiał. Ale znalazł on w sobie tyle sił duchowych, aby nie poddać się, ukończył kurs i przez szereg lat pracował jako starszy felczer wielkiego oddziału terapeutycznego. Zwolnił się, ożenił, założył rodzinę. Kurs otworzył przed nim drogę w życie. Odbywała się lekcja z chirurgii ogólnej. Wykładowca wyliczał ludzi znajdujących się na szczytach światowej medycyny. „...i za naszych czasów jeden uczony zrobił odkrycie stanowiące przewrót w chirurgii i w ogóle w medycynie...”. Mój sąsiad nachylił się do przodu i powiedział:

- Fleming.

- Kto to powiedział? Proszę wstać!

- Ja.

- Nazwisko?

- Kundusz.

- Proszę siadać.

Odczułem wielką krzywdę. Przecież ja wcale nie wiedziałem, kto to taki Fleming. Przesiedziałem w więzieniu i w łagrze prawie dziesięć lat, od

trzydziestego ósmego roku bez gazet i książek, i o niczym nie wiedziałem oprócz tego, że skończyła się wojna, że jest jakaś tam penicylina, że jest jakiś tam streptocyd. Ale Fleming!

- Ktoś ty taki? - po raz pierwszy spytałem o to Kundusza.

Przecież razem przyjechaliśmy z Zarządu Zachodniego zgodnie z rozdzielnikiem, obu nas skierował na kursy nasz zbawca, lekarz Andriej Maksimowicz Pantiuchow. Razem głodowaliśmy, on - mniej, ja - więcej, ale obaj jednakowo wiedzieliśmy, co to kopalnia. O sobie zaś nie wiedzieliśmy nic. I Kundusz opowiedział mi zadziwiającą historię. W 1941 roku został mianowany naczelnikiem umocnionego rejonu na wyspie Dickson. Budowniczo wie wznosili, nie spiesząc się, drewniane i betonowe schrony ogniowe aż do momentu, gdy w czerwcowy ranek przerzedziła się mgła w zatoce i garnizon wyspy Dickson ujrzał przed sobą niemiecki okręt liniowy "Admiral Scheer". Rajder podszedł bliżej i bezpośrednim ogniem porozwalał wszystkie niedokończone jeszcze umocnienia, przemienił je w popiół i kupę kamieni. Kundusz dostał dziesięć lat. Historia była ciekawa i pouczająca, była tam tylko jedna niejasność - paragraf Kundusza: „asa”. Takiego paragrafu nie mogą dać za „niedbalstwo” ujawnione przez "Admirala Scheera". Kiedy zbliżyliśmy się bardziej, dowiedziałem

się, że Kundusz zasadzony został w słynnej „sprawie NKWD” - w jednym z masowych jawnych i niejawnych „procesów” za czasów Ławrientija Berii: „sprawa leningradzka”, „sprawa NKWD”, „proces Rykowa”, „proces Bucharina”, „sprawa Kirowa” - wszystko to były „etapy wielkiej drogi”. Kundusz był gorącym, porywczym człowiekiem, nie zawsze umiejącym powstrzymać w łagrze swą wybuchowość. Był bezwzględnie porządnym człowiekiem, zwłaszcza po tym, jak naocznie ujrzał „praktykę” miejsc uwięzienia. Jego własna praca w nie tak dalekiej przeszłości - kierownika oddziału u Żakowskiego w Leningradzie - stanęła przed nim w prawdziwym, rzeczywistym świetle. Nie utraciłszy zainteresowania książkami, wiedzą i tym, co nowe, umiejący cenić żart, Kundusz był jednym z najbardziej interesujących uczestników kursu. Popracował jako felczer przez kilka lat, ale po zwolnieniu podjął pracę zaopatrzeniowca, był szefem ładunków w magadańskim porcie, do momentu rehabilitacji i powrotu do Leningradu. Będąc miłośnikiem książek, zwłaszcza przypisów i komentarzy, nigdy nie przepuszczającym tego, co napisane drobnym drukiem, Kundusz posiadał szeroką, ale nieuporządkowaną wiedzę i z zadowoleniem dyskutował na wszelkie abstrakcyjne tematy, mając w stosunku do każdego zagadnienia jakiś swój pogląd. Cała jego

natura protestowała przeciwko łagrowemu
reżimowi, przeciwko przemocy. Wykazał
swoją odwagę osobistą później, jadąc do
uwięzionej dziewczyny, Hiszpanki, córki
któregoś z członków madryckiego rządu.
Kundusz miał rozlaną budowę ciała.
Oczywiście, myśmy wszyscy jedli - jeżeli
udało się dostać - koty, psy, wiewiórki,
kruki i końską padlinę. Ale stawszy się
felczerami, nie robiliśmy już tego.
Kundusz, pracując na oddziale nerwic,
ugotował w sterylizatorze kota i zjadł
go sam jeden. Ledwie udało się
zatuszować skandal. Z Panem Głodem
Kundusz zapoznał się w kopalni i dobrze
zapamiętał jego oblicze. Czy Kundusz
wszystko o sobie opowiedział? Któż to
wie? A właściwie po co o tym wiedzieć?
„Nie wierzysz - uznaj to za bajkę”. W
łagrze nie pyta się ani o przeszłość,
ani o przyszłość. Z lewej strony obok
mnie siedział Barateli, Gruzin,
zasądzony za jakieś administracyjne
przestępstwo. Źle władał językiem
rosyjskim. Na kursie spotkał „krajana” -
wykładowcę farmakologii, znalazł w nim
materialną i moralną pomoc. Móc przyjść
późnym wieczorem do „kabinki” przy
oddziale szpitala, gdzie sucho i ciepło
tak samo jak latem w iglastym lesie,
napić się herbaty z cukrem czy pojeść,
nie spiesząc się, perłowej kaszy
skropionej obficie olejem
słonecznikowym, poczuć ćmiącą,
rozluźniającą radość wszystkich

ożywających mięśni - czyż nie jest to najwyższy cud dla człowieka z kopalni? A Barateli był w kopalni. Kundusz, ja i Barateli siedzieliśmy razem za czwartym stołem. Trzeci był krótszy od innych - powodował to występ kaflowego pieca. Przy nim siedzieli we dwóch - Siergiejew i Pietraszkiewicz. Siergiejew, "nie - polityczny", był jako więzień zaopatrzeniowcem - szkoła felczerów nie bardzo była mu potrzebna. Odnosił się do zajęć niedbale. Podczas pierwszych praktycznych ćwiczeń z anatomii w kostnicy - czego jak czego, ale w rozporządzeniu kursantów trupów było, ile chcieć - Siergiejew zemdłał i został usunięty z kursu. Pietraszkiewicz nie zemdłałby. Przyszedł z kopalni a do tego był „liternikiem” według „ka-er-owskiego” paragrafu. W trzydziestym siódmym roku litery te były częste: „zasądzony jako członek rodziny” i nic więcej. W taki sposób otrzymywały „terminy” dzieci, matki, ojcowie, siostry i inni krewni zasądzonych. Dziadek Pietraszkiewicza (nie ojciec, lecz dziadek!) był wybitnym ukraińskim nacjonalistą. Na tej podstawie został w 1937 roku rozstrzelany ojciec Pietraszkiewicza - ukraiński nauczyciel. Sam Pietraszkiewicz, szesnastoletni uczeń, otrzymał desjat rokiw - dziesięć lat, jako „członek rodziny”. Wielokrotnie już zauważałem, że uwięzienie, zwłaszcza na Północy, działa

na ludzi tak jak konserwant - ich rozwój duchowy, zdolności, zamierają na poziomie z okresu ich aresztowania. Ta nekrobioza trwa aż do wyjścia na wolność. Człowiek, który przesiedział w więzieniu czy łagrze dwadzieścia lat, nie nabywa doświadczeń normalnego życia - uczeń pozostaje uczniem, człowiek mądry - pozostaje nim nadal, nie stając się mądrzejszym. Pietraszkiewicz miał dwadzieścia cztery lata. Biegał po klasie, krzyczał, przywieszał do pleców Szabajewa czy Siłajkina jakieś papierki, puszczał jaskółki, śmiał się. Wykładowcom odpowiadał tak, jak to robia w szkole. Był to niezły chłopak i został dobrym felczerem. Unikał „polityki” jak ognia i bał się czytać gazety. Organizm chłopca nie był wystarczająco silny jak na Kołymę. Po kilku latach Pietraszkiewicz zmarł na gruźlicę, nie zdążywszy wydostać się na „Wielką Ziemię”. Kobiet było osiem. Starościna była Muza Dmitriewa, w przeszłości jakaś partyjna lub raczej związkowa urzędniczka - ten rodzaj pracy pozostawia po sobie niezatarte piętno na zwyczajach, sposobie bycia i zainteresowaniach. Miała czterdzieści pięć lat i starała się nie zawieść „zaufania naczalstwa”. Chodziła w aksamitnej kurteczce i dobrej, wełnianej sukni. W czasie wojny ofiarowano kołymianom mnóstwo amerykańskich wełnianych rzeczy. Oczywiście podarunki

te nie dochodziły w głąb tajgi, do kopalni. Na wybrzeżu także starało się je rozchwytywać miejscowe naczalstwo - wyprasząc lub całkiem po prostu odbierając więźniom te swetry i kubraki. Ale u niektórych z Magadanu uratowały się te „szmatki”. I Muza właśnie je miała. Do spraw kursu nie mieszała się, ograniczając swą „władzę” jedynie do kobiecej grupy. Muza przyjaźniła się z najmłodszą uczestniczką kursu - Nadią Jegorową, chroniąc ją przed pokusami świata łagru. Opieka ta nie ciążyła Nadii zbytnio i Muza nie potrafiła przeszkodzić burzliwemu rozwojowi jej romansu z łagrowym kucharzem. „Droga do serca kobiety prowadzi przez żołądek” - Siłajkin z zadowoleniem powtarzał te słowa. Przed Nadią i jej sąsiadką Muza pojawiły się dietetyczne dania - różne pulpety, rurnsztyki, naleśniki. Porcje były podwójne, a nawet potrójne. Szturm trwał niedługo i Nadia poddała się. Szlachetna Muza nie przestała chronić Nadii - ale już nie przed kucharzem, lecz przed łagrowym naczalstwem. Nadia uczyła się źle. Ale odbijała to sobie w „kultbrygadzie”. Kultbrygada, klub, „twórczość amatorska” - to jedyne miejsce w łagrze, gdzie wolno się spotykać kobietom i mężczyznom. I chociaż stale otwarte oczy łagrowego nadzoru śledzą, ażeby stosunki kobiet i mężczyzn nie przekroczyły dozwolonych granic - a według miejscowego obyczaju

cudzołóstwo należy wykazać tak samo dowodnie, jak to uczynił komisarz policji w Bel Ami Maupassanta - chociaż nadzorcy śledzą i łowią, to nie zawsze wystarcza cierpliwości, gdyż - jak mówił Stendhal - więzień więcej myśli o swych kratkach niż dozorca więzienny o swych kluczach. Nadzór słabnie. Jeżeli nawet w kultbrygadzie nie można było liczyć na miłość w jej najbardziej zamierzczłym i wiecznym wariacie, to mimo wszystko próby wydają się więźniom innym światem, bardziej zbliżonym do tego, w którym żyli dawniej. To ważka racja, chociaż łagrowy cynizm nie zezwala na przyznanie się do takich uczuć. Zupełnie realny zysk leży w drobnych przywilejach kultbrygady - nieoczekiwanej możliwości kupienia machorki czy cukru. A zezwolenie na noszenie włosów to w łagrze też się liczy. Z powodu strzyżenia włosów wydarzały się całe bitwy, skandale, w których bynajmniej nie uczestniczyli aktorzy ani złodzieje...Pięćdziesięcioletni Jakub Zawodnik, były komisarz kołczakowskiego frontu (kolega szkolny Zieleńskiego, sekretarza MK, rozstrzelanego w związku z procesem Rykova), bronił się pogrzebaczem przed łagrowymi fryzjerami i z powodu włosów trafił do karnej kopalni. Cóż to takiego? Czyżby siła Samsona nie była legendą? Gdzie leży przyczyna takiego afektu? To jasne, psychika nadszarpnięta pragnieniem

samoutwierdzenia choćby w czymś najmniejszym jeszcze raz daje świadectwo zmiany skali. Nienaturalność więziennego życia rozdzielającego kobiety i mężczyzn zostaje w jakiś sposób złagodzona w kultbrygadzie. Ostatecznie - to także złudzenie, mimo wszystko cenniejsze niż „poniżająca realność”. Wszyscy, którzy potrafią popiskiwać, śpiewać, wszyscy, którzy deklamowali w domu wiersze i brali udział w domowych spektaklach, każdy, kto pobrzękiwał na mandolinie i trochę tam stepował - wszyscy „mają szansę” trafienia do kultbrygady. Nadia Jegorowa śpiewała w chórze. Nie umiała tańczyć i niezgrabnie poruszała się na scenie, ale chodziła „na próby”. Wiele czasu zabierało jej prywatne burzliwe życie. Helena Siergiejewna Mielodze, Gruzinka, również była „członkiem rodziny” swojego rozstrzelanego męża. Poruszona do głębi duszy jego aresztem, naiwnie myślała, że jej mąż coś tam jest winien. Uspokoiała się dopiero wtedy, gdy sama trafiła do więzienia. Wszystko stało się jasne, logiczne i proste - takich jak ona było dziesiątki tysięcy. Oto, na czym polega różnica pomiędzy człowiekiem podłym i uczciwym: kiedy podlec trafia niewinnie do więzienia, to uważa, że tylko on jest niewinny, a wszyscy inni - to wrogowie państwa i narodu, przestępcy i niegodziwcy. Człowiek uczciwy, po znalezieniu się niewinnie za więzienną kratą uważa, że z

jego sąsiadami z nar stało się podobnie. To - „Hegel i książkowa mądrość, to - i całej filozofii sens” wydarzeń 1937 roku. Mielodze odzyskała spokój duszy i równy, wesoły nastrój. Na Elgenie, kobiecej delegaturze w tajdze, nie trafiła do ciężkiej pracy. I oto jest tutaj - na kursach felczerów. Nie wyszła z niej medyczna pracownica. Po zwolnieniu (jej wyrok zakończył się na początku lat pięćdziesiątych) została „przypisana”, podobnie jak wszyscy wtedy zwalniani, do kołymskiej ziemi do końca życia. Wyszła za męż. Obok Mielodze siedziała pełna życia śmieszka Gałoczka Bazarowa, młoda dziewczuszka, zasądzona za jakieś wykroczenia w czasie wojny. Gałoczka zawsze śmiała się, nawet zaśmiewała, z czym jej nie było do twarzy - miała ogromne, rzadkie zęby. Ale jej to nie martwiło. Uzyskała na kursie zawód siostry operacyjnej i wiele lat po zwolnieniu przepracowała w magadańskim szpitalu, gdzie za pierwsze zarobione pieniądze zrobiła na zęby koronki ze stali nierdzewnej - od razu wyładniała. Za Bazarową siedziała Ajno - białozęba Finka. Zaczęła odsiadywanie wyroku w czasie wojennej zimy 1939-1940 roku. Rosyjskiego nauczyła się już w więzieniu i będąc pracownicą dziewczyną, po fińsku dokładną, zwróciła na siebie uwagę któregoś z lekarzy i trafiła na kurs. Trudno jej było się uczyć, uczyła się i wyuczyła na siostrę... Życie na kursie

przypadło jej do gustu. Obok Ajno siedziała maleńka kobieta. Nie potrafię sobie przypomnieć ani nazwiska, ani jej twarzy. Może to była jakaś zwiadowczyni, a może rzeczywiście cień człowieka. W następnej ławce siedziała Marusia Dmitriewa, przyjaciółka Czerniakowa, ze swoją przyjaciółką Tamara Nikiforową. Obydwie sądzone według „bytowego” paragrafu, obydwie nie zdążyły być w tajdze, obydwie uczyły się z ochotą. Obok nich siedziała czarnooka Wala Cukanowa, kubańska Kozaczka, chora ze szpitala. Na pierwsze zajęcia przychodziła jeszcze w szpitalnym szlafroku. Zdążyła być w tajdze, uczyła się, robiąc dobre postępy. Ślady głodu i choroby nieprędko znikły z jej twarzy, ale kiedy to się w końcu stało, okazało się, że Wala to piękność. Kiedy wzmocniła się, zaczęła z kimś kręcić jeszcze przed ukończeniem kursu. Wielu się do niej zalecało ale bez powodzenia. Zeszła się z kowalem i biegała na randki do kuźni. Po zwolnieniu przez wiele lat pracowała jako felczer w oddzielnym rejonie. My chcieliśmy się uczyć, a nasi wykładowcy chcieli nas nauczyć. Stęsknili się za żywym słowem, za przekazywaniem wiedzy stanowiącej do momentu aresztu sens ich życia. Profesorowie i docenci, kandydaci nauk medycznych, lektorzy kursów doskonalenia lekarzy po raz pierwszy w życiu uzyskali ujście swojej energii. Wszyscy

wykładający na kursach, oprócz jednego - to był pięćdziesiąty ósmy paragraf. Naczalstwo uświadomiło sobie, że poznanie tajemnic krwiobiegowego wrotnego nie wiąże się z antysowiecką propagandą, i zapewniło kursom wysoko wykwalifikowanych wykładowców. Co prawda słuchaczami kursów powinni być zostali „nie-polityczni”, ale gdzie ich znaleźć z ukończonymi siedmioma klasami? Oni i tak odsiadywali wyrok, pracując na uprzywilejowanych stanowiskach, i takie kursy wcale im nie były potrzebne. O tym, ażeby do kursów dopuścić „pięćdziesiąty ósmy”, naczalstwo nawet nie chciało słyszeć. W końcu znaleziono kompromis: „asa i dziesiąty punkt pięćdziesiątego ósmego paragrafu” - coś jakby zbliżonego do „bytu” - dopuszczono do egzaminów. Ułożono i wywieszono na ścianie rozkład zajęć. Rozkład zajęć! Wszystko jak w prawdziwym życiu. Podobna do ciężko naładowanej, byle jak skleconej, stareńkiej ciężarówce maszyna ruszyła niepewnie po wybojach i błotach Kołomy. Pierwsza lekcja była z anatomii. Wykładał ją szpitalny anatomopatolog Dawid Umański, siedemdziesięcioletni staruszek. Carski emigrant, Umański uzyskał dyplom doktora medycyny w Brukseli. Mieszkał i pracował w Odessie, gdzie praktyka lekarska była bardzo korzystna i w ciągu kilku lat Umański stał się posiadaczem domów. Rewolucja wykazała, że posiadanie domów to nie

najpewniejsza lokata kapitału. Umański powrócił do działalności lekarza. W połowie lat trzydziestych, czując, jakie wiatry wieją, zdecydował ulokować się jak najdalej i zaangażował się do pracy w Dalstroju. To go jednak nie uratowało. W 1938 roku, włączony do „rozdzielnika” dla Dalstroju, został aresztowany i zasądzony na piętnaście lat. Od tego czasu pracował jako kierownik kostnicy. W dobrej pracy przeszkadzała mu pogarda w stosunku do ludzi i poczucie zwichniętego życia. Starczało mu jednak rozsądku, aby nie kłócić się z prowadzącymi leczenie medykami - przy sekcjach mógłby ich narazić na wiele nieprzyjemności. Być może też, że nie był to rozsądek, lecz pogarda, i decydował się na ustępstwa w czasie sporów przy sekcji z prostego jej odczuwania. Doktor Umański miał jasny umysł. Był niezłym lingwistą - było to jego hobby, jego ulubione zajęcie. Znał wiele języków, w łagrze wyuczył się wschodnich, i próbował sformułować prawa tworzenia się języków, przeznaczając na to cały swój wolny czas w kostnicy, gdzie mieszkał razem z asystentem - felczerem Dunajewem. Przy okazji, z łatwością i jakby żartując, Umański wyłożył kurs łaciny potrzebnej przyszłym felczerom. Co to była za łacina, tego już nie wiem, ale używanie dopełniacza w receptach przychodziło mi z łatwością. Doktor Umański był człowiekiem żywym,

ustosunkowującym się do każdego wydarzenia politycznego i posiadającym własny, przemyślany pogląd na dowolne zagadnienie związane ze sprawami życia międzynarodowego i krajowego. „Najważniejsze, drodzy przyjaciele - mawiał w czasie swoich prywatnych pogadank - to wyżyć i przeżyć Stalina. Śmierć Stalina jest tym, co przyniesie nam wolność". Niestety, Umański umarł w Magadanie w 1952 roku, nie dożywszy tego, czego przez tyle lat oczekiwał. Wykładał nieźle, ale jakoś tak bez chęci. Był on najbardziej obojętnym ze wszystkich wykładowców. Od czasu do czasu przepytywał, urządził powtórki, przechodził od anatomii ogólnej do szczegółowej. Kategorycznie jednak odmówił przedstawienia jednego z działów swej nauki: anatomii narządów płciowych. Nic go nie mogło przekonać, i tak kursanci zakończyli naukę, nie otrzymawszy wiadomości z tego zakresu, z powodu nadmiernej wstydlivości brukselskiego profesora. Czym kierował się Umański? Wydawało mu się, że zarówno poziom moralny i kulturalny, i poziom wykształcenia uczestników kursu nie wystarczą, aby ten temat nie wyzwał niezdrowego zainteresowania. Tego typu zaciekawienie wywoływał w gimnazjach atlas anatomiczny i Umański pamiętał o tym. Nie miał racji - „prowincjusze", na przykład, na pewno ustosunkowaliby się do tego z całą powagą. Umański był

człowiekiem porządnym i wcześniej od wielu wykładowców zobaczył w kursantach - ludzi. Był on przekonany weismanistą. Opowiadając nam o podziale chromosomów, mimochodem poinformował, że zdaje się istnieje inna teoria ich podziału, ale całkiem po prostu on jej nie zna i decyduje się nam wyłożyć tylko to, co jest mu dobrze znane. W ten sposób zostaliśmy wychowani na weismanistów. Pełen triumf weismanistów, dzięki wynalezieniu mikroskopu elektronowego, nie zastał Umańskiego przy życiu. Ten triumf sprawiłby staremu doktorowi wielką radość. Nazwy kości, mięśni wkuwaliśmy na pamięć - oczywiście nazwy rosyjskie, a nie po łacinie. Wkuwaliśmy je przejęci, pełni natchnienia. W takim wkuwaniu istnieje jakiś demokratyczny pierwiastek: wszyscy byliśmy równi wobec nauki - anatomii. Nikt nie starał się niczego zrozumieć. Starano się tylko zapamiętać. Najlepiej szło Bazarowej i Pietraszkiewiczowi - niedawnym uczniom (jeżeli odrzucić okres pozbawienia wolności, który w przypadku Pietraszkiewicza zbliżał się do ośmiu lat). Skrupulatnie wkuwając lekcje, przypominałem sobie dom studencki Uniwersytetu Moskiewskiego w 1926 roku - Czerkaskę, gdzie nocą chodzili po ciemnych korytarzach pijani od zajęć medycy i zatkawszy uszy palcami, wkuwali i wkuwali. Cały dom był pełen hałasu, śmiechu, życia. Tryskający życiem

lingwiści, literaturoznawcy, historycy śmiali się z nieszczęsnych kujonów z medycyny. Pogardzaliśmy nauką, która nie wymaga rozumienia, lecz tylko kucia. Po dwudziestu latach wkuwałem anatomię. W ciągu tych lat dobrze zrozumiałem, co to takiego profesja, czym są nauki ścisłe, czym jest medycyna, czym jest inżynieria. I oto Bóg sprawił, że sam tym się zajmuję. Mózg był jeszcze zdolny i do pobierania, i do przekazywania wiedzy. Doktor Błagorazumow wykładał podstawy ochrony zdrowia i higieny. Przedmiot był nudny, Błagorazumow nie potrafił się zdobyć na ożywienie go żartem, a być może też nie potrafił ze względów politycznej rozwagi - pamiętał trzydziesty ósmy rok, kiedy wszystkich specjalistów, wszystkich lekarzy, inżynierów, buchalterów zmuszano do pracy przy taczce i kilofie, zgodnie z „instrukcją specjalną” przysłaną z Moskwy. Błagorazumow przez dwa lata pchał taczkę, trzykrotnie „dochodził” z głodu, chłodu, skorbutu i bicia. Na trzeci rok zezwolono mu na pracę w charakterze felczera w ambulatorium, przy lekarzu „nie-politycznym”. Wielu lekarzy wtedy umarło. Błagorazumow pozostał przy życiu i gruntownie przyswoił sobie jedną zasadę: żadnych rozmów, z nikim. Przyjaźń tylko dla „wypicia i zakąski”. W szpitalu lubiano go. Felczerzy ukrywali lekarskie picie, a gdy się już nie udawało, Błagorazumowa

wlekli do karceru, do kicia. Po wyjściu stamtąd kontynuował wykłady. Nikogo to nie dziwiło. Wykład prowadził starannie, zmuszając do zapisywania tego, co ważne, pod jego dyktando, sprawdzał systematycznie notatki i wiedzę, jednym słowem, Błagorazumow był wykładowcą rzetelnym i rozsądnym. Wykłady z farmakologii prowadził szpitalny felczer Gogoberidze, były dyrektor Zakaukaskiego Instytutu Farmakologicznego. Dobrze władał językiem rosyjskim, z gruzińskim akcentem nie silniejszym niż u Stalina. W przeszłości był on ważnym partyjniakiem - jego podpis figurował na sapronowskiej „Platformie 15”. Okres od 1928 roku do 1937 spędził na zesłaniu, a w 1937 roku ogłoszono mu nowy wyrok - piętnaście lat kołymskich łagrów. Gogoberidze dobiegał sześćdziesiątki. Męczyło go nadciśnienie. Wiedział, że prędko umrze, ale nie bał się śmierci. Nienawidził różnych szubrawców i zdemaskowawszy na oddziale, w którym pracował, swego lekarza o nazwisku Król, że bierze od więźniów łapówki i ściąga podatki, pobił go i zmusił do oddania chromowych butów i pasiastych „szkotów”. Gogoberidze nie wyjechał z Kołomy. Został zwolniony na zesłanie do końca życia w Narymie, ale poprosił o zezwolenie zamiany Narymy na Kołymę. Mieszkał w osadzie Jagodnyj i umarł na początku lat pięćdziesiątych. Jedynym „nie-politycznym” pośród naszych

wykładowców był doktor Król i charkowski specjalista chorób skórnych i wenerycznych. Wszyscy nasi nauczyciele starali się w nas wykształcić moralną prawość i w lirycznych dygresjach przedstawiali nam ten ideał moralnej czystości, starali się wpoić poczucie odpowiedzialności za wielką sprawę niesienia pomocy choremu, do tego jeszcze więźniowi, uwięzionemu jeszcze przy tym wszystkim na Kołymie - powtarzali, każdy jak umiał, to, czego w ich młodości, w instytutach, na wydziałach medycyny uczyła przysięga lekarska. Wszyscy oprócz Króla. Król rysował przed nami inne perspektywy, podchodził do naszej przyszłej pracy z innej, lepiej mu znanej strony. Nie zaprzestawał nam obrazować materialnego dobrobytu felczerów. „Zarobicie na masło” - chichotał Król z pożądanym uśmiechem. Miał wiecznie jakieś sprawy ze złodziejami - przychodzili do niego nawet w przerwie pomiędzy lekcjami. Coś tam kupował, sprzedawał, wymieniał, niewiele krępując się obecnością uczniów. Duży dochód przynosiło Królowi leczenie impotencji u osób z naczałstwa i chroniło go w czasie uwięzienia. Król podejmował się jakichś tajemniczych znachorskich operacji, nie miał go kto pociągnąć do odpowiedzialności, miał za duże stosunki. Dwa policzki otrzymane od felczera Gogoberidze nie wybiły go z kontenansu.

- Uniosłeś się bratku, uniosłeś - mówił do zielonego ze złości Ggoberidze. Gardzili nim zarówno koledzy-wykładowcy, jak i kursanci. Do tego nie posiadając zdolności nauczania, wykłady prowadził w pogmatwany sposób. Choroby skóry - to był ten dział, który musiałem ponownie uważnie przeczytać z papierem i ołówkiem w rękę. Olga Stiepanowna Siemieniak, były docent katedry terapii diagnostycznej Charkowskiego Instytutu Medycznego, nie wykładała na naszych kursach. Ale przechodziliśmy u niej praktykę. Ona to nauczyła mnie opukiwać i osłuchiwać chorego. Pod koniec praktyki podarowała mi stareńki stetoskop - to jedna z niewielu moich kołomyjskich relikwii. Zasadzona została za kontrrewolucyjną agitację. Jej mąż i dwoje dzieci pozostali na Ukrainie - wszyscy zginęli w czasie wojny. Ale wojna skończyła się i skończył się okres uwięzienia Olgi Stiepanownej. Nie miała jednak dokąd jechać i po zwolnieniu została w Magadanie. W kobiecym rejonie Elgen spędziła kilka lat. Znalazła w sobie tyle sił, aby dać sobie radę ze swym nieszczęściem. Olga Stiepanowna była człowiekiem spostrzegawczym i widziała, że jedyną grupą zachowującą ludzkie oblicze w łagrze byli oddani religii - sektanci i ludzie Cerkwi. Własne nieszczęście wpłynęło na zbliżenie się jej z sektantami. W swojej „kabinie” dwa razy w ciągu dnia modliła

się, czytała Ewangelię, starała się robić dobre uczynki. To nie było trudne. Nikt nie może działać więcej dobrego niż łagrowy lekarz, ale przeszkadzał jej w tym własny charakter - uparty, wybuchowy, dumny. Nie zwracała uwagi na to, aby zmienić go we właściwym kierunku. Była surową i pedantyczną kierowniczką, trzymała personel żelazną ręką. Do chorych odnosiła się z uwagą. Po zakończeniu roboczego dnia „studentom” dawano obiad w szpitalnej „wydawalni”. Siemieniak zazwyczaj siedziała w pobliżu i piła herbatę.

- A co pan czyta?

- Nic innego oprócz wykładów.

- To proszę to przeczytać. - podała mi małą książeczkę, podobną do książeczki do nabożeństwa. Był to tomik Błoka, z małej serii "Biblioteki poety". Po trzech dniach zwróciłem jej wiersze.

- Spodobały się?

- Tak. - nie miałem sumienia powiedzieć jej że dobrze je znam, że znałem te wiersze.

- Proszę przeczytać "Dziewczyna śpiewała w cerkiewnym chórze".

- Preczytałem.

- A teraz "O dalekiej, jasnej Mary".

- Dobrze. Teraz to tutaj...

- Preczytałem "W dalekiej, błękitnej sypialence".

- Pan rozumie, że chłopak umarł...

- Tak, oczywiście.

- Umarł chłopak - powtórzyła suchymi wargami Olga Stiepanowna i zmarszczyła swoje wysokie, białe czoło. Milczała przez chwilę. - Czy dać panu coś jeszcze? - Tak, proszę.

Olga Stiepanowna wysunęła szufladę biurka i wyjęła książkę podobną do tomiku Błoka. Była to Ewangelia.

- Proszę poczytać. Zwłaszcza to. Do Koryntian Pawła Apostoła.

Po kilku dniach zwróciłem jej książkę. Ta bezreligijność, w której przeżyłem całe swoje świadome życie, nie uczyniła ze mnie chrześcijanina. Ale nie spotkałem w łagrach bardziej godnych ludzi niż tych oddanych religii. Demoralizacja ogarnęła wszystkich, jedynie oni się trzymali. Było tak i przed piętnastoma, i przed pięciu laty. W kabinie Olgi Sitepanownej poznałem dziesiętnika budowlanych, więźnia Wasię Szewcowa. Dwudziestopięcioletni, piękny mężczyzna, cieszył się olbrzymim powodzeniem u wszystkich łagrowych dam. Na oddziale Siemieniakowej odwiedzał rozdawczynię Ninę. Rozsądny, spokojny chłopak, jasno widział wiele rzeczy i rozumiałe objaśniał, ale zapamiętałem go ze specjalnego powodu. Nawymyślałem mu za Ninę - była w ciąży.

- Przecież sama lizie - powiedział Szewcow - Co tutaj wymyślisz? Ja wyrosłem w łagrze. Już jako chłopak byłem w więzieniu. Ile ja ich, tych bab, miałem i nie uwierzysz - nie da się

zliczyć. I wiesz co? Przecież z żadną nie przespałem nawet jednej godziny w łóżku. A zawsze jakoś tak w sieniach, w szopie, o mało co nie w marszu. Wierzysz?

- tak mi opowiadał Wasia Szewcow, największy szpitalny piękniś.

Mikołaj Siergiejewicz Minin, chirurg-ginekolog, kierował oddział kobiecym. Nie prowadził u nas wykładów, odbywaliśmy u niego jednak praktykę, praktykę bez żadnej teorii. W czasie wielkich burz śnieżnych osadę zanosilo aż po dachy i można było tylko orientować się według dymu z komina. Przy każdym oddziale wyrabane były schodki prowadzące w dół - do wejściowych drzwi. Wleźliśmy z naszego pomieszczenia w górę, pobiegli do oddziału kobiecego, weszliśmy o wpół do dziewiątej do gabinetu Minina, ubrali fartuch i uchyliwszy drzwi, wśliznęliśmy się do pokoju. Odbywała się zwykła pięciominutowka, przekazywanie dyżuru przez nocną siostrę. Minin ogromny, siwobrody starzec, siedział, marszcząc się, przy stoliku. Sprawozdanie z nocnego dyżuru zakończyło się i Minin skinął ręką. Wszyscy podnieśli gwar... Minin obrócił głowę w prawo. Na niewielkiej, szklanej tacce starsza siostra przyniosła szklaneczkę napełnioną niebieskawym płynem. To był znajomy zapach. Minin wziął szklaneczkę, wypił i przyglądał siwe wąsy.

- Likier „Błękitna noc” - powiedział, robiąc oko do kursantów.

Byłem kilka razy na jego operacjach. Operował zawsze „pod mucha”, ale zapewniał, że ręce mu drżeć nie będą. Siostry operacyjne potwierdzały to. Ale po operacji, kiedy „odmywał się”, płuczac ręce w dużej miednicy, jego grube, mocne palce delikatnie drżały, a on ze smutkiem przyglądał się tym swoim nieposłusznym rękóm.

- Skończyłeś się, Mikołaju Siergiejewiczu, skończyłeś się - cichutko mówił do siebie.

Jednakże operował jeszcze przez kilka lat. Przed Kołymą pracował w Leningradzie. Aresztowany w trzydziestym siódmym, przez dwa lata popychał taczkę na Kołymie. Był współautorem dużego podręcznika ginekologii. Drugi autor nazywał się Sieriebriakow. Po aresztowaniu Minina podręcznik zaczął być wydawany tylko z nazwiskiem Sieriebriakowa. Na prawowanie się po zwolnieniu Mininowi nie starczyło sił. Zwolniono go, podobnie jak wszystkich, bez prawa wyjazdu z Kołymy. Zaczął jeszcze więcej pić i w 1952 roku powiesił się w swoim pokoju w osadzie Diebin. Po rewolucji stary bolszewik Mikołaj Siergiejewicz Minin prowadził w imieniu sowieckiego rządu rozmowy z ARA i spotykał się z Nansenem. Później prowadził w radio wykłady na tematy antyreligijne. Wszyscy bardzo go lubili

- tak jakoś to wychodziło, że Minin dla wszystkich chciał dobrze, chociaż nikomu nie zrobił niczego dobrego ani niczego złego. Doktor Siergiej Iwanowicz Kulikow wykładał „gruźlicę”. W latach trzydziestych usilnie wmawiano mieszkańcom „Wielkiej Ziemi”, że klimat Kołomy i klimat Dalekiego Wschodu - to jedno i to samo. Kołymskie góry jakoby sprzyjają leczeniu gruźlicy, a w każdym razie stabilizują stan chorych. Zwolennicy tego twierdzenia zapominali o tym, że kołymskie sopki pokryte są błotami, że rzeki złotych regionów Kołomy przebiły sobie drogę przez błota, że lasotundra Kołomy - to najbardziej szkodliwe miejsce dla chorych na płuca. Zapominali o prawie powszechnej zachorowalności na gruźlicę Ewenków, Jakutów i Jukagirów Kołomy. W szpitalach dla więźniów nie planowano oddziałów gruźliczych. Ale bakteria Kocha pozostaje bakterią Kocha i trzeba było tworzyć takie oddziały - i to wcale pokaźne. Siergiej Iwanowicz, sądząc po wyglądzie, był siwy i niedołączny, wyraźnie przygłuchy, ale rześki i duszą, i ciałem. Uważał swój przedmiot za najważniejszy i złościł się, gdy się z nim nie zgadzano. Był milczkiem, ale gdy słyszał jakieś ważne wiadomości z gazet, uśmiechał się z błyskiem w oku. Doktor Kulikow odsiedział dziesięć lat na podstawie jakiegoś tam punktu pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Kiedy

się zwolnił, otrzymał „dożywotnie osiedlenie”. Przyjechała do niego na Kołymę rodzina: staruszka-żona i córka – także lekarz zajmujący się gruźlicą. Chemik Bojczenko prowadził laboratoryjne zajęcia kursantów. Zapamiętał mnie dobrze i odnosił się z pełną pogardą do człowieka nie znającego chemii. Choroby nerwów wykladała Anna Izrailewna Ponizowska. W tym czasie była już na wolności i zdążyła nawet obronić dysertację kandydacką. Mimo że przez szereg lat była uwięziona, zdarzyło jej się popracować razem z profesorem Skobło, który wiele jej pomógł w opracowaniu tematu – tak przynajmniej mówiono w szpitalu. Z profesorem Skobło spotykała się już po tym, jak zawarłem z nim znajomość – w 1939 roku myłem z nim podłogi w magadańskim punkcie tranzytowym. Świat jest mały. Anna Izrailewna była damą nadzwyczaj ważną. Łaskawie zgodziła się poprowadzić kilka wykładów na kursach dla felczerów. Sam wykład organizowany był tak uroczyście, że z nich wszystkich zapamiętałem tylko czarną, jedwabną, szeleszczącą suknię Anny Izrailewnej i ostry zapach jej perfum – żadna z kursantek nie miała perfum. Co prawda kucharz podarował Nadii Jegorowej maluteńki flakonik taniutkiej wody kolońskiej "Bez", ale Nadia tak ostrożnie i pożądliwie wachała ją w czasie zajęć, że do mnie nie dochodził żaden zapach. Być może, że

przeszkadzał też wieczny katar, złapany na Kołymie. Pamiętam, że przynoszono do klasy jakieś tam plakaty przedstawiające chyba schemat powstawania odruchu warunkowego, ale czy był z tego jakikolwiek pożytek - nie wiem. Zdecydowano, że chorób psychicznych nie będzie się nam wykladać, co skróciło i bez tego już kusy program. A wykładowcy byli. Przewodniczący komisji przyjmującej na kursy, doktor Sidkin, był szpitalnym psychiatrą. Choroby ucha, nosa i gardła wykładał nam doktor Zader, Węgier. Piękny jak malowanie, z wylupiastymi oczami, doktor Zader bardzo słabo znał język rosyjski i prawie niczego nie mógł przekazać kursantom. Prowadzenia wykładów podjął się z chęcią poduczenia się rosyjskiego. Zajęcia z nim to była czysta strata czasu. Dokuczaliśmy doktorowi Mejerzonowi, który w owym czasie został mianowany naczelnym lekarzem szpitala, pytając go, w jaki sposób mamy nauczyć się tego, co wykłada doktor Zader.

- No, jeżeli tylko tego nie będziecie wiedzieć, to nic się nie stanie - odpowiadał na swój zwykły sposób Mejerzon.

Na Kołymę doktor Zader trafił dopiero co - od razu po wojnie. W 1956 roku został zrehabilitowany, a ponieważ stało się to w końcu roku, zdecydował, że nie powróci do kraju, a otrzymawszy kupę pieniędzy po rozliczeniu z Dalstrojem, osiedlił

się gdzieś na południu. Wkrótce potem, jak doktor Zader załatwił zaliczenia kursantów, przydarzyła mu się pewna historia. Doktor Janos Zader, otolaryngolog, był węgierskim jeńcem wojennym, a więc „sałaszystą”. Jego „termin” wynosił 15 lat. Nauczył się po rosyjsku, był medykiem, a do tego o najbardziej poszukiwanej specjalności - ucha, gardła i nosa. Okres, kiedy medyków pozostawiano na robotach ogólnych, już minął (instrukcja ta dotyczyła tylko litery „T” - trockistów) - Zader leczył i operował z powodzeniem. Pracował jako ordynator na oddziale chirurgicznym - stanowiło to dodatkowe obciążenie przy jego zasadniczej specjalności. Przy operacjach organów wewnętrznych asystował zazwyczaj kierującemu oddziałem chirurgowi Mejerzonowi. Jednym słowem, doktorowi Zaderowi powodziło się dobrze, nawet między wolnymi miał pewną liczbę klientów, ubierał się w „wolną” odzież, nosił długie włosy, był syty i mógł być również pijany, ale nie brał do ust ani kropli spirytusu. Stawał się coraz bardziej znany, aż do czasu, kiedy przydarzyła się historia, która pozbawiła nasz szpital otolaryngologa na długo. Cała sprawa polega na tym, że erytrocyt, tj. czerwone ciało krwi żyje 21 dni. Żywa ludzka krew znajduje się w stałej odnowie. Ale wyprowadzona z ludzkiego organizmu nie potrafi żyć

dłużej niż 21 dni. Przy oddziale chirurgicznym znajdowała się, tak jak to powinno być, własna stacja krwiodawstwa, w której oddawali krew dawcy - zarówno wolni, jak i więźniowie; wolni otrzymywali za 1 centymetr sześcienny krwi 1 rubel, a więźniowie 10-krotnie mniej. Dla każdego nadciśnieniowca był to poważny dochód. Brano od nich 300-400 gramów krwi miesięcznie - oddasz, bo tak wymaga leczenie, a oprócz tego otrzymasz dodatkowe wyżywienie i pieniądze. Dawcami spośród więźniów byli pracownicy obsługi (sanitariusze i inni), którzy dzięki temu trzymali się w szpitalu. Potrzeba transfuzji krwi występowała tu silniej niż gdziekolwiek na ziemi, ale oczywiście stosowanie jej nie następowało w wyniku ogólnych wskazań medycznych, na przykład w przypadkach wycięczenia, ale jedynie w tych przypadkach, kiedy powstawała taka potrzeba przed czy po operacji lub w wyjątkowo trudnych przypadkach na oddziałach terapeutycznych. W stacji krwiodawstwa zawsze znajdował się zapas wcześniej pobranej krwi. I było to dumą naszego szpitala. We wszystkich innych szpitalach, jeżeli nawet robiono transfuzje, to odbywało się to w sposób bezpośredni - od jednego człowieka do drugiego. W czasie tego zabiegu dawca i biorca leżeli obok siebie na stołach. Krew, która utraciła dozwolony okres przechowywania, była wylewana. Niedaleko

od szpitala znajdowała się ferma świń, gdzie od czasu do czasu, w czasie uboju, gromadzono krew i przywożono do szpitala. Tutaj, dla przeciwdziałania krzepnięciu, dolewano do niej roztwór kwasu cytrynowego i dawano chorym do picia - coś w rodzaju własnego hematogenu, bardzo pożywnego i lubianego przez chorych, karmionych zupkami i kaszą perłową. Podawanie chorym hematogenu nie było żadną nowością. Tak się zdarzyło, że kierujący oddziałem chirurgicznym lekarz Mejerzon wyjechał na delegację i kierowanie oddziałem przypadło doktorowi Zaderowi. W czasie obchodu oddziału uznał on za konieczne odwiedzenie również stacji krwiodawstwa, gdzie stwierdził, że znaczny zapas krwi zbliża się do końca dozwolonego okresu przechowywania i usłyszał informację siostry, że zamierza wylać tę krew. Zdziwiło to doktora Zadera. „Czyż trzeba ją wylewać?” - spytał. Siostra powiedziała, że zawsze tak się robi.

- Proszę przelać tę krew do czajników i wydać ciężko chorym - zasądził doktor Zader.

Siostra rozdała krew, z czego chorzy byli bardzo zadowoleni. „W przyszłości - powiedział Węgier - całą przedawnioną krew proszę podawać w ten sposób chorym”. Tak to zaczęła się praktyka rozdawania na salach krwi pobranej od dawców. Kiedy powrócił kierownik oddziału, zrobił ogromną awanturę, na

wysokich rejestrach: ni mniej, ni więcej, że faszysta Zader poi chorych ludzką krwią. Tego samego dnia dowiedzieli się o tym chorzy, w szpitalu bowiem wszelkie pogłoski rozchodzą się jeszcze szybciej niż w więzieniu, i ci, co otrzymali kiedyś krew, zaczęli wymiotować. Zadera odsunięto od pracy, bez żadnych zbędnych wyjaśnień, i do Zarządu Sanitarnego poszła notatka ujawniająca wszystkie, jakie tylko były możliwe, przestępstwa Zadera. Zdetonowany Zader usiłował wyjaśnić, że przecież nie ma żadnej zasadniczej różnicy pomiędzy podawaniem krwi przez usta czy przez żyłę, że krew - to znakomita dodatkowa odżywka, ale nikt go nie słuchał. Ostrzyżono mu włosy, zdjęto wolną marynareczkę i w aresztanckim stroju przeniesiono do brygady Lurie na wyrąb lasu. I doktor Zader zdążył już trafić na stachanowską tablicę leśnego rejonu, gdy zjawiała się komisja Zarządu Sanitarnego, zaniepokojona zresztą nie przez sam fakt takiego podawania krwi, ale tym, że klientela od nosów i gardeł pozostała bez lekarza. Szczęśliwym trafem na czele tej komisji stał major służby medycznej, dopiero co zdemobilizowany, który przez całą wojnę był w oddziałach chirurgicznych medyczno-sanitarnego batalionu. Zaznajomiwszy się z materiałami „oskarżenia”, w żaden sposób nie mógł pojąć - o co tu chodzi? Za co karany

jest Zader? A kiedy wyjaśniło się, że Zader rozdawał chorym ludzką krew, major, wzruszając ramionami, powiedział: - Na froncie robiłem to przez cztery lata. A co, tego tu nie wolno robić? Ja przecież nie wiem, jestem tu niedługo. Zadera zabrano z lasu i przywrócono do pracy na oddziale chirurgicznym, nie uwzględnivszy pisemnego protestu brygadzysty, który uważał, że na podstawie czyjejs tam zachcianki zabiera mu się najlepszego drwala. Ale Zader przestał się interesować pracą i nie formułował więcej żadnych wniosków racjonalizatorskich. Doktor był skończonym łajdakiem. Mówiono, że jest łapownikiem i samozaopatrzeniowcem, ale czy na Kołymie istnieli naczelnicy o innych nawykach? Mściwi nadgorliwcy - a to wybaczalne. Doktor nienawidził więźniów. Nie polegało to na tym, że się źle do nich odnosił czy nie dowierzał. Nie, on ich tyranizował, poniżając co dzień i co godzinę, czepiał się wszystkiego, obrażał i szeroko wykorzystywał swoją bezgraniczną władzę (w granicach szpitala) dla spełnienia karcerów i karnych oddziałów. Byłych więźniów nie uważał za ludzi i niejednokrotnie groził chirurgowi Trautowi tym na przykład, że nie zawaha się spowodować, aby ten otrzymał nowy wyrok. Każdego dnia zwożono mu do mieszkania czy to świeże ryby - brygada „chorych” łowiła je w morzu sieciami -

czy to warzywa ze szklarni, czy znów mięso z sowchozu - i wszystko to w ilościach wystarczających dla wykarmienia Guliwera. Doktor miał służącego - więźnia, sprzątającego, i on właśnie pomagał mu w realizacji wszystkich darów. Pod adresem doktora przychodziły z „kontynentu” paczki z machorką, walutą Kołymy. Naczelnikiem szpitala był przez wiele lat, aż do czasu, kiedy inny gangster obalił doktora. Naczelnikowi Doktora wydawało się, że „odpisy” są nieco za małe. Ale wszystko to przyszło później, bo w okresie trwania kursu Doktor był panem i władcą. Co dzień urządzone były zebrania i Doktor występował na nich z przemówieniami, silnie zbaczając w kierunku kultu jednostki. Doktor był mistrzem w preparowaniu oszczerczych „memorandów” i potrafił „załatwić”, kogo chciał. Jako naczelnik był mściwy, drobiazgowo mściwy. „Nie ukłoniłeś mi się przy spotkaniu, to ja napiszę na ciebie donos, nie ordynarny donos, a oficjalne «memorandum». Napiszę «kadrowy trockista i wróg ludu» i wtedy, bądź pewien - karna kopalnia cię nie ominie”. Właśnie dziecię doktora Doktora - kurs, przysparzał mu zmartwień. Znalazło się na nim zbyt wielu uczestników z pięćdziesiątym ósmym paragrafem - Doktor obawiał się o swoją karierę. Typowy administrator z okresu trzydziestego siódmego roku, zwolnił się z Dalstroju

pod koniec lat czterdziestych, ale zobaczywszy, że wszystko zostało po staremu i że na „kontynencie” trzeba pracować, powrócił na kołymską służbę. I chociaż trzeba było od nowa wysługiwać „procentowe dodatki”, Doktor znalazł się ponownie w dobrze mu znanym otoczeniu. „Wizytując” kurs przed egzaminami końcowymi, Doktor życzliwie wysłuchiwał sprawozdania o postępach uczących się kursantów, ogarnął wszystkich swoim jasnoniebieskim, szklanym wzrokiem i spytał:

- A czy wszyscy potrafią stawiać bańki? Odpowiedzią był pełen szacunku śmiech wykładowców i „studentów”. Niestety, właśnie baniek nie nauczyliśmy się stawiać - nikt z nas nie pomyślał, że ta prosta procedura ma jakieś swoje tajemnice. Choroby oczu wykładał doktor Łoskutow. Miałem szczęście znać Fiodora Jefimowicza Łoskutowa - jedną z najbardziej godnych uwagi postaci na Kołymie - i przez wiele lat z nim pracować. Komisarz batalionu z okresu wojny domowej - kołczakowska kula na zawsze utkwiała w lewym płucu. Łoskutow otrzymał wykształcenie medyczne na początku lat dwudziestych i pracował jako lekarz wojskowy. Przypadkowy żarcik pod adresem Stalina zaprowadził go przed trybunał wojenny. Mając trzyletni wyrok, przyjechał na Kołymę i przez pierwszy rok pracował jako ślusarz w kopalni „Partyzant”. Później został dopuszczony

do pracy lekarza. Zbliżał się koniec trzyletniego wyroku. Był to okres znany na Kołymie pod mianem „garaninszczyzny”, chociaż słuszniej byłoby go nazwać „pawłowszczyzna”, zgodnie z nazwiskiem ówczesnego naczelnika Dalstroju. Pułkownik Garanin był jedynie zastępcą Pawłowa, naczelnikiem łagrów, ale właśnie on był przewodniczącym „rozstrzeliwującej” trójki i przez cały 1938 rok podpisywał niekończące się listy skazanych na rozstrzelanie. Zwalnianie się w 1938 roku było czymś strasznym dla tych, co byli skazani na podstawie pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Wszystkim kończącym wyrok groziła nowa „sprawa”, sfingowana, doczepiona, zorganizowana. O wiele spokojniej było mieć dziesięcioletni czy piętnastoletni wyrok niż trzy, cztery lata. Można było łatwiej oddychać. Łoskutow został ponownie zasądzony przez kołymską „trójkę” z Garaninem na czele na dziesięć lat. Będąc zdolnym lekarzem, specjalizował się w chorobach oczu, operował i był nadzwyczaj cenionym specjalistą. Zarząd Sanitarny trzymał go w pobliżu Magadanu, na 23 kilometrze - w koniecznych przypadkach odwożono go do miasta pod konwojem, na konsultacje i operacje. Jako jeden z ostatnich rejonowych lekarzy Łoskutow był omnibusem: potrafił przeprowadzać nieskomplikowane operacje organów wewnętrznych, znał ginekologię i był

specjalistą chorób oczu. W 1947 roku, kiedy jego ponowny wyrok zbliżał się do końca, została sfabrykowana kolejna sprawa przez uprawnionego oficera politycznego, Simanowskiego. W szpitalu aresztowano kilku felczerów i kilka sióstr, skazując na różne okresy pozbawienia wolności. Sam Łoskutow znowu dostał dziesięć lat. Tym razem nalegano, aby usunąć go z Magadanu i przekazać do Bierłagu - nowego, „wewnętrzznego” łagru na Kołymie z ostrym reżimem, przeznaczonego dla politycznych recydywistów. Przez kilka lat udawało się szpitalnemu naczalstwu wybronić Łoskutowa przed Bierłagiem, ale w końcu tam trafił, i po trzecim wyroku, przy zastosowaniu zaliczeń, zwolnił się w 1954 roku. W 1955 roku został w pełni zrehabilitowany, w zastosowaniu do wszystkich trzech wyroków. Kiedy się zwolnił, posiadał jedną zmianę bielizny, bluzę i spodnie. Doktor Łoskutow, człowiek o wysokich wartościach moralnych, całą swoją działalność łagrowego lekarza podporządkował jednemu zadaniu: stałej, aktywnej pomocy ludziom, przede wszystkim aresztantom. Nie była to jedynie pomoc medyczna. On zawsze po wypisaniu ze szpitala kogoś urządzał, kogoś polecał do pracy. Zawsze kogoś tam podkarmił, komuś nosił paczki - jednemu szczyptę machorki, innemu kawałek chleba. Chorzy uważali za wielkie szczęście znalezienie się u niego na oddziale

(pracował jako terapeuta). Łoskutow stale o coś się starał, chodził, pisał. I tak - nie jeden miesiąc, nie jeden rok, a całych dwadzieścia - dzień po dniu, otrzymując od naczalstwa jedynie dodatkowe wyroki. Znamy taką postać z historii. To więzienny lekarz Fiodor Piotrowicz Gaaz, o którym napisał książkę A.F. Koni. Ale czasy Gaaza były innymi czasami. To były sześćdziesiąte lata zeszłego stulecia - okres moralnego ożywienia rosyjskiego społeczeństwa. Lata trzydzieste dwudziestego wieku nie odznaczały się takim „ożywieniem”. W atmosferze donosów, oszczerstw, kar, bezprawia, otrzymywania jednego za drugim wyroków na podstawie sfingowanych spraw spełnianie dobrych uczynków było znacznie trudniejsze niż za czasów Gaaza. Łoskutow organizował jednym, jako inwalidom, wyjazd na „kontynent”, drugim wyszukiwał lekką pracę - nie pytając o nic chorych. Rozporządzał ich losem rozsądnie i z korzyścią. Fiodorowi Jefimowiczowi Łoskutowowi brakowało trochę wykształcenia - w szkolnym znaczeniu tego słowa: rozpoczął naukę w instytucie medycznym, mając niskie wykształcenie. Ale wiele czytał, wiele myślał, dobrze obserwował życie, swobodnie oceniał wiele różnych spraw - jednym słowem był człowiekiem o rozległym wykształceniu. W najwyższym stopniu skromny, nie śpieszący się w ocenach - był postacią godną uwagi. Miał

pewną wadę - według mnie jego pomoc nie była zbyt selektywna i dlatego próbowali go „osiadłać” błatniacy, wyczuwając sławetną „słabiznę”. Ale później dobrze się w tym zorientował. Trzy łagrowe wyroki, niespokojne kołymskie życie, pełne zagrożeń ze strony naczałstwa, pełne poniżeń i niepewności co do jutrzejszego dnia, nie uczyniły z Łoskutowa ani sceptyka, ani cynika. I po wyjściu na prawdziwą wolność, otrzymawszy rehabilitację razem z kupą pieniędzy, podobnie jak przedtem rozdawał je potrzebującym, podobnie pomagał i otrzymując kilka tysięcy rubli miesięcznie, nie posiadał dodatkowej pary bielizny. Taki był wykładowca chorób oczu. Po ukończeniu kursu wypadło mi przepracować kilka tygodni moich pierwszych felczerskich tygodni- właśnie u Łoskutowa. Pierwszy wieczór zakończył się w pokoju zabiegowym. Przyprawiono chorego z ropniem pozakrtaniowym.

- Co to takiego? - spytał mnie Łoskutow.
 - Ropień pozakrtaniowy.
 - A leczenie?
 - Spuścić ropę, uważając, aby chory się nią nie zakrztusił.
 - Proszę wygotować narzędzia.
- Włożyłem narzędzia do sterylizatora, zagotowałem i zawołałem Łoskutowa.
- Gotowe.
 - Proszę przyprowadzić chorego.
- Chory usiadł na taborecie i otworzył usta. Lampka oświetlała mu krtań.

- Proszę myć ręce, Fiodorze Jefimowiczu.

- Nie, to pan niech myje. Pan przeprowadzi tę operację.

Poczułem chłodny pot na plecach. Wiedziałem jednak, dobrze wiedziałem, że jeżeli własnymi rękami czegokolwiek się nie zrobi, to nie można powiedzieć, że umie się to robić. To, co łatwe, okazuje się ponad siły, a to skomplikowane - nieprawdopodobnie proste. Wymyłem ręce i ze zdecydowaniem podszedłem do chorego. Szeroko otwarte oczy chorego spoglądały na mnie z wyrzutem i obawą. Przymierzyłem się i tępym końcem noża przebiłem dojrzały ropień.

- Głowę! Głowę! - krzyknął Fiodor Jefimowicz.

Zdażyłem pochylić głowę chorego do przodu i ten wypluł ropę wprost na poły mojego fartucha.

- No, ot i wszystko. A fartuch proszę zmienić.

Następnego dnia Łoskutow skierował mnie do „półszpitalnego” oddziału szpitala, poruczywszy mi zmierzenie wszystkim ciśnienia krwi. Wziawszy ze sobą aparat Rosa-Roggi, zmierzyłem całej sześćdziesiątce ciśnienie i wpisałem do papierów. Byli to nadciśnieniowcy. Mierzyłem tam ciśnienie przez cały tydzień, każdemu po dziesięć razy, i dopiero potem Łoskutow pokazał mi karty tych chorych. Cieszyło mnie to, że prowadzę te pomiary w pojedynkę. Wiele lat później pojąłem, że był to

zamierzony sposób - stworzenie możliwości spokojnej adaptacji; zupełnie innego postępowania wymagał pierwszy przypadek, gdzie konieczna była szybka decyzja i pewna ręka. Każdego dnia odkrywało się przede mną coś nowego i jednocześnie znanego - z materiałów wykładów. Symulantów i agrawantów Fiodor Jefimowicz nie demaskował.

- Im się tylko wydaje - mówił ze smutkiem Łoskutow - że są symulantami i agrawantami. Oni są bardziej chorzy, niż im się wydaje. Symulacje i agrawacja na tle dystrofii alimentarnej i duchowego marazmu życia w łagrze - to zjawiska jeszcze nieopisane...

Aleksander Aleksandrowicz Maliński, który wykładał nam choroby wewnętrzne, był odkarmionym, zaczynającym tyć sangwinikiem. Domyty, wygolony, siwy, lubił sobie pożartować. Miał ciemnoróżowe wargi w kształcie serduszka, a na plecach arystokratyczne pieprzyki-brodawki drżące na długich nóżkach, gdy czasem ukazywał się kursantom, parząc się w szpitalnej łaźni. Sypiał - jako jedyny z kołymskich lekarzy, a przypuszczam, że i jedyny spośród wszystkich kołymian - w uszytej na zamówienie, męskiej, długiej do pięt koszuli. Zostało to odkryte w czasie pożaru na jego oddziale. Udało się go od razu zagasić i szybko o nim zapomniano, ale o nocnej koszuli Malińskiego szpital rozprawiał jeszcze przez wiele miesięcy.

Będąc uprzednio lektorem na kursach doskonalenia lekarzy w Moskwie, z trudem przystosowywał się do poziomu wiedzy kursantów. Pomiędzy lektorami a słuchaczami zawsze istniał pewien chłodek obcości. Aleksander Aleksandrowicz chciałby zerwać tę zasłonę, ale nie wiedział, jak to zrobić. Kilka niewybrednych anegdot, które skomponował, nie uczyniło jego przedmiotu bardziej dostępnym. Poglądowość? Nawet na lekcjach anatomii obchodziliśmy się bez szkieletu. Umański rysował nam kredą na tablicy wszystkie potrzebne kości. Maliński wykładał, starając się z całego serca przekazać nam jak najwięcej wiadomości. Znał dobrze łagier - był aresztowany w trzydziestym siódmym roku - i w swoich wykładach dał nam wiele ważnych rad dotyczących etyki lekarskiej, zwłaszcza traktowanej przez pryzmat łagru. "Nauczcie się wierzyć choremu" - nawoływał gorąco od tablicy, podrygując i postukując w nią kredą. Mowa była o „postrzałach”, „lumbago”, ale rozumiemy, że to wezwanie dotyczy materii o wiele ważniejszej - mowa tu o funkcjonowaniu prawdziwej medycyny w łagrze, o tym, że zwyrodnienie życia w łagrze nie powinno sprowadzać medyka z jego prawdziwej drogi. Wiele zawdzięczamy doktorowi Malińskiemu - wiadomości, wiedzę, i chociaż jego stałe usiłowanie trzymania się na znaczny

dystans od nas jak nam się wydawało - jakby powyżej nas - nie wywoływało sympatii, to jednak uznawaliśmy jego zalety. Aleksander Aleksandrowicz dobrze znosił klimat Kołymy. Już po rehabilitacji z własnej chęci pozostał, aby dożywać swoich dni w Sejmczanie, jednym z warzywnych gospodarstw Kołymy. Regularnie czytał gazety, ale z nikim nie dzielił się swoimi uwagami - doświadczenie, doświadczenie... Książki czytał tylko lekarskie. Kierownikiem kursu była lekarka z wolnego najmu, Tatiana Michajłowna Iljina, siostra Siergieja Iljina, znanego futbolisty, jak sama się przedstawiała. Tatiana Michajłowna była damą, starającą się w najdrobniejszych szczegółach utrafić w „gusty” wyższego naczalstwa. Zrobiła na Kołymie wielką karierę. Jej duchowe wazelinarstwo nie miało prawie granic. Kiedyś poprosiła, aby przynieść jej coś „lepszego” do poczytania. Przyniosłem drogocenny tomik Hemingwaya zawierający "Piątą kolumnę" i 49 opowiadań. Iljina pokręciła książką w rękach, przekartkowała i rzekła:

- Nie, proszę to zabrać: to luksus, a nam potrzebny jest czarny chleb.

Były to jawnie cudze słowa, pełne obłudy, wypowiedziane z zadowoleniem, chociaż niezupełnie na miejscu. Po takim afroncie przestałem myśleć o roli książkowego doradcy Iljinej. Tatiana Michajłowna była zamężna. Na Kołymę

przyjechała z dwojgiem dzieci - jako żona przy mężu. Jej mąż, oficer liniowy, podpisał po wojnie umowę z Dalstrojem i przyjechał z rodziną na Północny Wschód: tam bowiem pozostawały w mocy oficerskie przydziały, stopnie i ulgi, a rodzina była stosunkowo duża - dwoje dzieci. Został mianowany naczelnikiem wydziału politycznego jednego z Górniczych Zarządów Kołymy - było to niemałe stanowisko, prawie generalskie, i do tego z perspektywami. Ale Nikołajew - tak nazywał się mąż Tatiany Michajłownej - był człowiekiem spostrzegawczym, o wrażliwym sumieniu i wcale nie karierowiczem. Przypatrzywszy się temu bezprawiu, spekulacji, donosom, złodziejstwu, wygryzaniu, samozaopatrzeniu, łapówkom, okradaniu państwowej kasy i okrucieństwu naczalstwa w stosunku do więźniów, Nikołajew zaczął pić. Pojął, jak demoralizujące jest ludzkie okrucieństwo, i potępił je w całości i ostatecznie. Życie odkryto przed nim najstraszniejsze strony, przewyższające to, co przeżył na froncie. Nie był ani łapownikiem, ani łajdakiem. Zaczął pić. Został szybko usunięty ze stanowiska naczelnika wydziału politycznego i w ciągu krótkiego czasu - zaledwie w dwu, trzech lat - przeszedł po stopniach kariery z góry na dół i doszedł do nisko opłacanego i nic nieznaczącego stanowiska inspektora KO szpitala dla

więźniów. Jego wymuszoną namiętnością stało się łowienie ryb. Głęboko w tajdze, na brzegu rzeki, Nikołajew czuł się lepiej, spokojniej. Po wygaśnięciu umowy pojechał na „kontynent”. Tatiana Michajłowna nie pojechała za nim. Przeciwnie, wstąpiła do partii, stworzyła podstawę kariery. Dzieci rozdzielili pomiędzy siebie: dziewczynka została przy ojcu, a chłopak przy matce. Ale wszystko to wydarzyło się później, a teraz Iljina była starającą się i taktowną kierowniczką kursu. Bojąc się trochę więźniów, starała się mieć z nimi jak najmniej do czynienia i, zdaje się, nawet nie zorganizowała sobie służącej, więźniarki. Chirurgię „ogólną” i „szczegółową” - wykładał Mejerzon. Był uczniem Spasokukockiego, chirurgiem o wielkiej przyszłości, predestynowanym do wielkiej kariery naukowej. Ale - ożenił się z krewną Zinowjewa i w 1937 roku został aresztowany i zasądzony na 10 lat - jako przywódca jakiejś terrorystycznej, szkodniczej, antysowieckiej organizacji... W 1946 roku, kiedy rozpoczynał się kurs felczerski, on właśnie się zwolnił. Na robotach „ogólnych” popracował mniej niż rok - przez cały okres pozbawienia wolności był chirurgiem. Wtedy zaczynało być modne „przypisanie do końca życia” - i Mejerzon został tak przypisany. Świeżo po zwolnieniu był wyjątkowo ostrożny, wyjątkowo oficjalny, wyjątkowo

nieprzystępny. Świadomość rozbitej wielkiej kariery powodowała rozdrażnienie, które szukało ujścia i znajdowało je w żartach i drwinach...Wykładał znakomicie. Będąc przez dziesięć lat pozbawiony tak lubianej pracy dydaktycznej - bo przecież dyskusje w „ruchu” z siostrami operacyjnymi się nie liczyły - po raz pierwszy ujrzał przed sobą audytorium, studentów”, „kursantów” pragnących uzyskać wiedzę medyczną. I chociaż skład kursantów był bardzo pstry - nie zbijało go to z tropu. Pierwsze jego wykłady były pasjonujące, pełne ognia. Kubłem zimnej wody wylanej na rozgrzowanego Mejerzona stało się pierwsze przepytywanie. Audytorium było zbyt prymitywne: słowa „czynnik”, „forma” wymagały wyjaśnienia i to wyjaśnienia szczegółowego. Mejerzon to zrozumiał i bardzo się tym zmartwił, ale nie dał poznać po sobie i postarał się przystosować do poziomu. Trzeba było równać do najsłabszego - Finki Ajno, kierownika Siłantjewa itd.

- Tak tworzy się przetoka - mówił profesor - Kto wie, co to takiego przetoka?

Milczenie.

- To dziura, taka dziura.

Wykłady stały się bardziej blade, chociaż nie straciły swej merytorycznej wartości. Tak jak przystoi chirurgowi, Mejerzon odnosił się z jawną pogardą do

wszystkich innych lekarskich specjalności. Starania personelu swojego oddziału o sterylność doprowadził do poziomu stolicy, wymagając skrupulatnego spełniania wymogów stawianych przez kliniki chirurgiczne. Na innych oddziałach zachowywał się z umyślnym lekceważeniem. Przychodząc na konsultacje, nigdy nie zdejmował ani kożuszka, ani czapki i siadał tak wprost na łóżku chorego - robił to na każdym oddziale terapeutycznym. Robione to było specjalnie i wyglądało jak zniewaga. Sale były mimo wszystko czyste i kiedy konsultant wychodził, sanitariusze, gderając, długo wycierali ślady mokrych walonek Mejerzona. To była jedna z rozrywek Mejerzona. Będąc obrotnym w języku, zawsze był gotów „wylać” całą swą żółć na terapeutę, całą swą złość i niezadowolenie z tego świata. Na wykładach nie zabawiał się. Wykład był jasny, dokładny i wyczerpujący, Mejerzon potrafił znaleźć zrozumiałe dla wszystkich przykłady, żywe ilustracje, i cieszył się, jeśli widział, że jest to dobrze przyswajane. Był przodującym chirurgiem szpitala, a później naczelnym lekarzem, i na naszym kursie jego opinia miała decydujące znaczenie we wszystkich problemach związanych z kursem. Wszystkie jego czynności wobec kursantów i wszystko, co mówił, było przemyślane i celowe. Pierwszego dnia naszego kontaktu z „prawdziwą” operacją, kiedy

tłoczyliśmy się w sterylnych fartuchach i wymyślnych maseczkach z merli w kącie sali, operował właśnie Mejerzon. Asystowała mu jego stała siostra operacyjna - Nina Dmitriewna Charczenko, pracująca na umowie, sekretarz komsomolskiej organizacji szpitala. Mejerzon podawał krótkie komendy.

- Kocher!

- Igłę!

I Charczenko, biorąc ze stolika narzędzia, wkładała je do wyciągniętej ręki chirurga, w żółtej gumowej rękawiczce. Nagle podała nie to, co trzeba, i Mejerzon zakławszy ordynarnie, zamachnął się i rzucił pęsetę na podłogę. Pęseta zadźwięczała, Nina Dmitriewna poczerwieniała i nieśmiało podała potrzebne narzędzie. Byliśmy urażeni za Ninę Charczenko i źli na Mejerzona. Uważaliśmy, że nie powinien tak postępować. Chociażby z naszego powodu, jeżeli nawet już jest takim grubianinem. Po operacji zwróciliśmy się do Niny Dmitriewnej z wyrazami współczucia.

- Chłopcy, chirurg odpowiada za operację - powiedziała poważnie, jakby zwierając się. W jej głosie nie wyczuwało się ani zakłopotania, ani urazy. Jak gdyby rozumiejąc, co się dzieje w duszach neofitów, następne zajęcia Mejerzon poświęcił oddzielnemu tematowi. Był to wspaniały wykład o odpowiedzialności chirurga, o jego woli, o konieczności

przełamywania woli chorego, o psychologii lekarza i psychologii chorego. Wykład ten zachwycił wszystkich bez wyjątku i od tej pory my wszyscy, w naszym środowisku uczestników kursu, stawialiśmy Mejerzona najwyżej pośród wykładowców. Podobnie wspaniały, prawie poetycki był jego wykład „ręce chirurga”, w którym rzecz o zawodzie lekarza, o pojęciu sterylności przedstawiona została w niezwykle uniesieniu. Mejerzon prowadził ten wykład jakby dla siebie, prawie nie patrząc na słuchaczy. Było w nim wiele opowiadań. Również o panice, która ogarnęła klinikę Spasokukockiego na skutek tajemniczej infekcji chorych w trakcie czystych operacji - powodem była brodawka na palcu asystenta. Był to wykład o strukturze skóry i o nienaganności pracy chirurga. A także o tym, dlaczego żaden chirurg, żadna siostra operacyjna, żaden felczer z oddziału chirurgii nie ma prawa brać udziału w łagrowych „udarnikach”, nie ma prawa fizycznie pracować. Widzieliśmy za tym wieloletnią, uporczywą walkę chirurga Mejerzona z ciemnym łagrowym naczelstwem. Czasami, w ciągu dnia poświęconego na sprawdzenie stopnia przyswojenia materiału, Mejerzon kończył przepytывanie szybciej, niż zamierzał. Reszta czasu była poświęcona niezwykle ciekawym opowiadaniom a propos: o wybitnych rosyjskich chirurgach, o

Opplu, Fiodorowie, a zwłaszcza o Spasokukockim, którego Mejerzon ubóstwiał. Wszystko to było powiedziane celnie, rozumnie i z korzyścią dla nas, wszystko było jak najbardziej "prawdziwe". Zmieniało się nasze spojrzenie na świat, dzięki Mejerzonowi stawaliśmy się medykami. Uczyliśmy się lekarskiego myślenia i robiliśmy to z powodzeniem. Po ośmiomiesięcznym kursie, prowadzonym według programu dwuletniego, każdy z nas stał się inny. Mejerzon przejechał później z Magadanu do Nieksikanu - na teren Zarządu Zachodniego. W 1952 roku został nagle aresztowany i odwieziony do Moskwy - próbowano go „podszyć” do „sprawy lekarzy”. Wraz z nimi został zwolniony w 1953 roku. Po powrocie na Kołymę Mejerzon przepracował tam już niewiele i bojąc się pozostawać dłużej w tak „niepewnym” i niebezpiecznym terenie, odjechał na „kontynent”. Przy szpitalu był klub, ale kursanci do niego nie chodzili - oprócz dziewczyn, Żeńki Kaca i Borysowa. Wydawało nam się świętokradztwem tracenie czasu na cokolwiek innego poza zajęciami. Uczyliśmy się w dzień i w nocy. Początkowo próbowałem przepisywać notatki na czysto do specjalnego zeszytu, ale nie starczało na to ani czasu, ani papieru. Łagrowy szpital był już przepełniony ludźmi czasu wojny - rosyjskimi emigrantami z Mandżurii,

Japończykami wziętymi do niewoli, którym zamiast chleba wydawano ryż, wieloma setkami ludzi zasądzonych przez wojenne trybunały jako szpiedzy - ale wszystko to nie nabrało jeszcze tego rozmachu nieco późniejszych represji z końca nawigacji 1946 roku, kiedy pięć tysięcy więźniów przywiezionych parowcem "Kim" zostało w grudniu zalanych wodą z pomp w czasie przedłużającego się rejsu. Prace związane z transportem i amputacjami odmrożeń tych ludzi prowadziliśmy już jako pełnoprawni felczerzy i nie w Magadanie. Każdego z nas dręczyła niepewność - czy kursy nie zostaną zamknięte? Pogłoski, jedne straszniejsze od drugich, nie dawały nam spać. Ale zajęcia pomалу posuwały się naprzód i w końcu nastał dzień, kiedy skrajni malkontenci i niedowiarki mogli odetchnąć z ulgą. Minęło ponad trzy miesiące, a kurs wciąż trwał. Powstały nowe wątpliwości - czy podołamy końcowemu egzaminowi? Przecież kurs był oficjalną instytucją, uprawniał do leczenia. Co prawda w 1953 roku sanitarny wydział Dalstroju wyjaśnił wydziałowi zdrowia w Kalininie, że ci, co ukończyli te kursy, mogą leczyć tylko na Kołymie, ale tak dziwne rozgraniczenie wiedzy medycznej nie zostało wzięte na miejscu pod uwagę. Wielce martwiło nas to, że program był skrócony i dawał jedynie uprawnienia siostry medycznej (czy brata). Ale i to

było sprawą drugorzędną. Gorzej było, że nie wydawano nam żadnych dokumentów. „Zaświadczenia znajdują się w waszych aktach” - wyjaśniła Iljina. Okazało się jednak, że w aktach personalnych nie było żadnych śladów naszego medycznego wykształcenia. Niektórzy z nas po zwolnieniu musieli zbierać zaświadczenia potwierdzone przez wykładowców tych kursów. Po upływie trzech miesięcy czas zaczął biec coraz szybciej. Zbliżający się dzień egzaminów nie cieszył nas - stanowił koniec tego wspaniałego życia na 23 kilometrze. My, co widzieliśmy już Kołymę, weterani trzydziestego siódmego roku, wiedzieliśmy, że lepszego życia już nie będzie. I dlatego niepokoiłiśmy się i smucili, ale nie za bardzo, gdyż Kołyma nauczyła nas nie planować dalej niż na dzień naprzód. Dzień egzaminów przybliżał się. Już otwarcie mówiono o tym, że szpital zostanie przeniesiony o 500 kilometrów w głąb tajgi - na „lewy brzeg” rzeki Kołymy, do osady Diebin. Na miesiąc przed zakończeniem kursu urządzono próbny egzamin ze wszystkich przedmiotów. Nie przywiązywałem do niego żadnej wagi i dopiero po egzaminie uświadomiłem sobie, że wszystkie kartki z pytaniami, które kursanci otrzymali na prawdziwym egzaminie, były powtórzeniami pytań „wstępnego” egzaminu. Oczywiście członkowie komisji - wysokie naczalstwo z sanitarnego wydziału Dalstroju - mogli zadawać i zadawali dodatkowe pytania.

Ale podstawa pewności egzaminowanego, podstawa wrażenia egzaminatora wynikała z wcześniejszych dobrych odpowiedzi na pytania ze znajomego zestawu. Pamiętam swoją kartkę z zakresu chirurgii - „żyłakowe rozszerzenie żył”. Jeszcze przed egzaminami przyszła uspokajająca pogłoska, że wszyscy ukończą kurs, koniecznie wszyscy, że nikt nie zostanie pozbawiony skromnych uprawnień medycznych. Ucieszyło to wszystkich. Pogłoska okazała się prawdziwa. Pomału umacniały się i poszerzały nasze wiadomości. Nie byliśmy już obcymi, dostąpiwszy wtajemniczenia, byliśmy członkami lekarskiego zakonu. Tak na nas patrzyli lekarze i chorzy. Przestaliśmy być zwykłymi ludźmi. Staliśmy się specjalistami. Poczuję się - po raz pierwszy na Kołymie - potrzebnym człowiekiem: szpitalowi, łagrowi, życiu i samemu sobie. Poczuję się pełnoprawnym człowiekiem, na którego nikt nie mógł krzycheć ani się nad nim znęcać. I chociaż wielu naczelników wsadzało mnie do karceru za różne występki przeciw łagrowemu reżimowi - prawdziwe czy wymyślane - pozostawałem w karcerze tym samym człowiekiem, potrzebnym szpitalowi, wychodziłem z karceru znów do pracy felczera. Zniweczona, pokruszona na drobne cząstki miłość własna otrzymywała niezbędne spoiwo, cement, za pomocą którego można było odtworzyć to, co zostało zupełnie

rozbite. Kurs zbliżał się do końca i młodzi chłopcy, tak jak to powinno być, nawiązali kontakty z dziewczętami. Ale ci starsi nie pozwolili uczuciu wpływać na ich los. Miłość była zbyt niską stawką w łagrowej rozgrywce. Latami uczono nas wstrzemięźliwości i uczono nie na darmo. Rosła we mnie silna ambicja. Doskonałą czyjaś odpowiedź na jakichkolwiek zajęciach odbierałem jako osobistą obrazę, stawała się dla mnie zniewagą. Powiniennem był potrafić odpowiedzieć na wszystkie pytania wykładowcy. Nasza wiedza po trosze wzrastała, a co najważniejsze - rosło zainteresowanie i wciąż rozpytywaliśmy lekarzy - nieważne, że naiwnie, że głupio. Za każdym razem dawano nam zdecydowaną odpowiedź. Odpowiedzi wywoływały nowe pytania. Nie ważyliśmy się jeszcze na medyczne spory pomiędzy nami samymi. Byłoby to zbytkiem pewności siebie. Ale... kiedyś wezwano mnie, abym nastawił wywichnięte ramię. Lekarz dawał narkozę typu „rausz”, a ja nastawiałem - nogą - według sposobu Hipokratesa. Coś tam zachręściło pod piętą i kość weszła na swoje miejsce. Byłem szczęśliwy. Tatiana Michajłowna Iljina, obecna przy nastawianiu wywichnięcia, powiedziała: - O, jak dobrze was wyuczono - a ja nie mogłem się z nią nie zgodzić.

Oczywiście ani razu nie byłem w kinie, ani też na przedstawieniach kultbrygady, która zarówno w Magadanie, jak i w

szpitalu była na dobrym poziomie i wyróżniała się pomysłowością i smakiem, zdolnymi się przebić przez kurtynę cenzury KWO. Magadańską kultbrygadą kierował w owym czasie L.W. Warpachowski, potem główny reżyser Moskiewskiego Teatru im. Jermołowej. Nie miałem na to czasu, a przy tym powoli otwierające się przede mną tajniki medycyny interesowały mnie znacznie bardziej. Medyczna terminologia przestała być dla mnie abrakadabrą. Zabierałem się do czytania medycznych artykułów i książek bez uprzedniego strachu i poczucia bezsilności. Nie byłem już zwykłym człowiekiem. Byłem zobowiązany nieść pierwszą pomoc, orientować się chociażby w ogólnym zarysie w stanie ciężko chorego. Zobowiązany byłem postrzegać niebezpieczeństwo zagrażające ludzkiemu życiu. Było to jednocześnie radosne i niepokojące. Obawiałem się czy wypełnię ten wielki obowiązek. Wiedziałem, jak posłużyć się syfonową lewatywą, aparatem Bobrowa, skalpelem, strzykawką... Potrafiłem prześcielić łóżko ciężko choremu i mogłem tego nauczyć sanitariuszy. Umiąłem im wyjaśnić, czemu służy dezynfekcja i sprzątanie. Poznałem tysiące nowych rzeczy, o których wcześniej nie miałem pojęcia - rzeczy przydatnych, potrzebnych, koniecznych. Kurs się zakończył i pomału zaczęto wysyłać nowych felczerów na ich miejsca pracy. I oto lista, lista w rękę

konwojenta, na której figuruje również moje nazwisko. Siadam jednak ostatni do ciężarówki. Wiozę chorych na lewy brzeg. Samochód ciasno nabit, więc siadam z samego brzegu, przysunięty plecami do kłapy ciężarówki. W czasie sadwienia wysunęła mi się koszula i wiatr dmucha poprzez szczeliny oparcia. W rękach mam węzełek z flaszeczkami waleriany, kroplami konwaliowymi, z jodyną i amoniakiem. A w nogach – ciasno wypchany worek z moimi notatkami z kursu. Przez wiele lat stanowiły one dla mnie najlepszą podporę, aż do czasu, kiedy już odjeżdżałem – porwał je na strzępy niedźwiedź, który wtargnął do ambulatorium w tajdze, tłukąc również wszystkie słoiki i flaszeczki.

ZMYTA FOTOGRAFIA

Jedno z najważniejszych odczuć w łagrze – to bezmiar poniżenia, ale też pociecha, że zawsze, w każdych warunkach istnieje ktoś, komu jest jeszcze gorzej. To stopniowanie ma wiele realizacji. A pociecha jest ratunkiem i być może w niej kryje się główny sekret człowieka. To odczucie stanowi deskę ratunku i jest jednocześnie pogodzeniem się z tym, z czym się zgodzić nie można. Krist dopiero co uratował się od śmierci, uratował do jutrzejszego dnia, nie więcej, gdyż ten dzień – to dla aresztanta tajemnica, której nie należy

odgadywać. Krist stał się niewolnikiem, robakiem - na pewno robakiem, gdyż zdaje się, że spośród całego świata ożywionego on jeden nie posiada serca. Krist został umieszczony w szpitalu. Sucha, pelagryczna skóra łuszczyła się, a zmarszczki wypisały na jego twarzy ostateczny wyrok. Starając się odnaleźć na dnie duszy, w ostatnich ocalonych komórkach swego kościstego ciała jakąś siłę fizyczną i duchową, aby przeżyć do następnego dnia, Krist wkłada brudny fartuch sanitariusza, zamiata sale, ściele łóżka, myje i mierzy temperaturę chorem. Krist jest już bogiem - i nowi, głodni i chorzy, patrzą na Krista jak na swoje przeznaczenie, jak na bożyszcze, które może im pomóc, może wybawić. Od czego, chory tego nie wie. On wie tylko jedno, że przed nim jest sanitariusz spośród chorych, który może szepnąć słówko lekarzowi, i choremu dadzą poleżeć dodatkowy dzień w szpitalu. A może nawet, gdy się wypisze, to przekaże swoje stanowisko, swą miskę zupy, swój sanitarny fartuch - właśnie jemu, choremu. Krist wdział fartuch i stał się bóstwem.

- Wypiorę ci koszulę. W łaźni. Nocą. I wysuszę na piecu.

- Tu nie ma wody. Dowożą.

- No to zostaw pół wiadra.

Krist już od dawna chciał wyprać swą bluzę. Sam by ją wyprał, ale walił się z nóg ze zmęczenia. Bluza była jeszcze z

kopalni przesycona słonym potem, same kawałki, a nie bluza. I być może pierwsze pranie zamieni ją w proch, w pył - bluza rozpadnie się. Jedna kieszeń była w niej oderwana, a druga cała i w niej mieściło się wszystko, co było dla Krista dla czegoś tam ważne i potrzebne. Mimo wszystko trzeba ją było wyprać. Całkiem po prostu - to szpital, Krist jest sanitariuszem, a bluza jest brudna. Przypomniał sobie, jak przed kilku laty wzięto go do przepisywania w dziale gospodarczym dziesięciodniowych kart żywieniowych - według wypracowanych procentów. I jak wszyscy mieszkający razem z nim w baraku znienawidzili go za te bezsenne noce, dające mu dodatkowy talon na obiad. I jak Krista od razu „sprzedali”, „spławili”, wskazując komuś z etatowych buchalterów-więźniów, „niepolitycznych”, kołnierzyk Krista, po którym pełzła wesz, głodna i blada jak on sam. I jak Krist w jednym momencie został czyjąś żelazną ręką wyciągnięty z biura i wyrzucony na dwór. Tak, lepiej było wyprać bluzę.

- Przepiorę, jak będziesz spać. Za kawałeczek chlebka, a jeśli nie masz, to i tak.

Krist nie miał chleba. Ale na dnie duszy coś tam krzyczało, że należy zostać głodnym, a bluzę jednak wyprać. I Krist przestał stawiać opór rozpaczliwej chęci drugiego, głodnego człowieka. Krist spał jak zawsze - nie był to sen, ale

odrętwienie. Przed miesiącem, kiedy Krist nie leżał jeszcze w szpitalu, a tylko snuł się w ogromnym tłumie „dochodiagów” - od stołówki do ambulatorium, od ambulatorium do baraku, w białej mgle łagrowej zony - wtedy przydarzyło się nieszczęście. Ukradziono mu kapciuch. Oczywiście pusty. Nie pierwszy rok nie było w nim żadnej machorki. Ale Krist przechowywał w nim - po co? - fotografie i listy żony: wiele listów i wiele fotografii. I chociaż Krist nigdy tych listów nie odczytywał ponownie ani nie przeglądał fotografii - było to zbyt ciężkie - przechowywał tę paczuszkę na lepsze czasy. Trudno było wyjaśnić, dlaczego woził te listy, napisane dużym, dzieciennym charakterem pisma, po wszystkich aresztanckich drogach. W czasie rewizji listów nie odbierano. Kupa listów nagromadziła się w kapciuchu. I ukradli go. Na pewno myśleli, że są tam pieniądze, że pomiędzy fotografiami przechowuje się jakiś cieniutki rubel. Rubla nie było - Krist nigdy nie odnalazł tych listów. Zgodnie ze znanymi prawami kradzieży, przestrzeganymi na wolności, należy dokumenty podrzucać do koszy na śmieci, a fotografie przesyłać pocztą lub wyrzucać na śmietnisko. Krist wiedział jednak, że w kołymskim świecie te pozostałości ludzkich odruchów zostały wytępione bez reszty. Listy zostały oczywiście spalone w jakimś ognisku lub

łagrowym piecu, aby barak rozświetlić w noc nagłym ogniem. Ale fotografie - dlaczego fotografie?

- Nie odnajdziesz - powiedział mu sąsiad

- Zabrali błatniacy.

- A im to po co?

- Ech, ty! Żeńska fotografia?

- No tak.

- A na seans.

I Krist przestał pytać. W kapciuchu trzymał stare fotografie. Nowy list i nowa fotografia - maleńka, z dowodu osobistego - znajdowały się w lewej kieszeni bluzy. Krist spał jak zawsze - jak odrętwiały. I obudził się z uczuciem, że powinno się zdarzyć coś dobrego. Przypominał sobie niedługo. Czysta bluza! Krist spuścił ociężałe nogi z pryczy i wyszedł do kuchni. Spotkał Krista wczorajszy chory.

- Suszę, suszę. Na piecu suszę.

Nagle Krist poczuł zimny pot.

- A list?

- Jaki list?

- W kieszeni.

- Nie rozpinalem kieszeni. Czyż mógłbym je rozpiąć?

Krist sięgnął ręką po koszulę. List był cały wilgotny, mokry. Bluza była sucha, a list był wilgotny z zaciekami wody lub łez. Fotografia była zmyta, zatarta, zniekształcona i jedynie ogólny zarys przypominał mu znajomą twarz. Litery listu były zatarte, ale Krist znał go na pamięć i odczytał każde zdanie. Był to

ostatni list od żony, który otrzymał. Niedługo nosił go przy sobie. Słowa tego listu wyblakły, rozpląnęły się i jego tekst Krist przestał pamiętać tak dobrze. Fotografia natomiast ostatecznie uległa zniszczeniu i znikła podczas jakiejś specjalnie dokładnej dezynfekcji w Magadanie, na kursach felczerów, które przemieniły Krista w rzeczywistego już, a nie wymyślonego kołymskiego boga.

POGOŃ ZA DYMEM Z PAROWOZU

Tak, to było moim marzeniem: posłyszeć gwizd parowozu, ujrzeć jego biały dym, ścielący się po zboczach kolejowego nasypu. Czekałem na ten dym, oczekiwałem prawdziwego parowozu. Pełzliśmy u kresu sił, nie decydując się na porzucenie buszłatów i półkożuszków. Pozostało tylko piętnaście kilometrów do domu, do baraków. Ale baliśmy się porzucić te buszłaty i półkożuszki wprost na drodze, rzucić do rowu i biec, iść, pełznąć, wybawieni od strasznego ciężaru, od odzieży. Baliśmy się ją porzucić – w zimową noc odzież przemieni się w ciągu kilku minut w zamarznęty krzew cedrowca czy w oblodzony kamień. Nocą nigdy nie odnajdziemy odzieży, zagubi się w zimowej tajdze, tak jak latem potrafi zginać waciak pomiędzy krzakami cedrowca, jeżeli nie przywiąże się go do wierzchołka jak wiechy, wiechy życia. Wiedzieliśmy, że bez buszłatów i

półkożuszków nie uratujemy się. I tracąc siły, wlekliśmy się, grzejąc się własnym potem i czując przy zatrzymaniu ruchu, jak ścinający chłód pełźnie po bezsilnym ciele, które utraciło swą zasadniczą właściwość - bycia źródłem ciepła, zwykłego ciepła, rodzącego nadzieję lub chociaż złość. Wlekliśmy się wszyscy razem, wolni i więźniowie. Szofer, któremu skończyła się benzyna, pozostał, czekając na pomoc, którą my wezwiemy. Pozostał przy ognisku, roznieconym z jedyne go suchego drzewa, które znalazło się pod ręką - z wiech wyznaczających drogę. Być może ocalenie szofera groziło śmiercią innym maszynom - przecież wszystkie wiechy drogowe zostały zebrane, połamane i włożone do ogniska o niewielkim płomieniu, który jednak ratował, i szofer, zgiąwszy się nad ogniskiem, nad płomieniem, dorzucał od czasu do czasu kolejne drewnisko, szczipkę - szofer nie myślał nawet o rozgrzaniu się, o wygrzaniu. On jedynie chronił życie... Jeśliby porzucił samochód i powłókł się razem z nami po zimnych, ostrych kamieniach górskiej szosy - to otrzymałby wyrok, a my - wlekliśmy się po pomoc. Wlokłem się, starając się wyżyć wszelkich myśli, bo myśli podobnie do ruchu wymagały energii - a jej nie można było tracić na nic innego, niż wdrapywanie się, przewalanie, taszczenie własnego ciała naprzód po zimowej górskiej drodze. I mimo wszystko

na tym pięćdziesięciostopniowym mrozie nasze oddechy były jak dym z parowozu. I srebrzące się w tajdze modrzewie strzelały w niebo jak dym z parowozu, a biała, przesłaniająca niebo mgła, która wypełniona była nasza noc, też była dymem z parowozu, dymem moich wieloletnich marzeń. W tej białej ciszy usłyszałem coś, co nie było szumem wiatru, lecz frazą muzyczną wprost z nieba i jasnym, melodyjnym, dźwięcznym ludzkim głosem, dającym się słyszeć w mroźnym powietrzu wprost nad nami. Muzyczna fraza była halucynacją, złudzeniem dźwiękowym, mającym coś z parowozowego dymu wypełniającego nasz wawóz. Ludzki głos stanowił tylko logiczną kontynuację dźwiękowego mirażu. Spostrzegłem, że nie tylko ja jeden słyszę ten głos. Cała pełznąca grupa to słyszała. Zmartwiała, nie mając sił się ruszyć. W głosie z nieba było coś większego od nadziei, ważniejszego od naszego żółwiego poruszania się w kierunku życia. Głos z nieba powtarzał: „przekazuję komunikat TASS. Piętnastu lekarzy... Zostali bezprawnie oskarżeni, w niczym nie zawinili, a ich zeznania uzyskano przez stosowanie niedopuszczalnych metod śledztwa, bezwzględnie zabronionych przez sowieckie prawo". Zwolnili lekarzy. A to ci numer! Jak się mają do tego listy Lidii Timaszuk i order? A jak dziennikarka Olga Czeczotkina,

wysławiająca samą czujność, a także bohaterkę, tę czujność przejawiającą, jako uosobienie czujności, jej personifikację, czujność przedstawioną całemu światu do akceptacji... Bo przecież śmierć Stalina nie wywarła na nas, tak doświadczonych, należytego wrażenia. Niebiańska muzyka już długo dźwięczała, gdy ponownie popełzliśmy do przodu. Nikt nie wyrzekł ani słowa - każdy sam przetrwał nowinę. Zamrugały ognie osady. Naprzeciw wlokącym się powychodziły ich żony, podwładni, naczelnicy. Na moje spotkanie nikt nie wyszedł - musiałem sam dowlec się do baraku, do pokoju, do łóżka, i rozpalić żelazny piecyk. I kiedy odegrzałem się, napiłem gorącej wody, nagrzanej w kubku wprost na gorejących w piecyku drwach, czując, jak ciepłe światło biegnie po mojej twarzy - bo przecież nie była cała przedtem odmrożona, były w niej jakieś ocalałe części, wysepki, resztki - podjąłem decyzję. Następnego dnia złożyłem podanie o zwolnienie.

- Zwolnienie - w ręku Boga - z ironią powiedział naczelnik rejonu, ale podanie przyjął, i zostało ono zawieszono razem z kolejną pocztą.

Jestem na Kołymie od siedemnastu lat i proszę o zwolnienie. Jako były więzień nie posiadam praw do wysługi lat, do dodatków. Moje zwolnienie nie obciąży państwa prawie żadnymi wydatkami. Proszę o zwolnienie. Po dwu tygodniach

otrzymałem odpowiedź: odmowę bez żadnego uzasadnienia. Z miejsca napisałem odwołanie do prokuratora, żądając interwencji i tak dalej. Rzecz była w tym, że jeśli błysnie jakiś promyk nadziei - to powinny być usunięte wszystkie prawne bariery, ażeby nie stanęły na przeszkodzie żadne formalności i papierki. Najprawdopodobniej ta korespondencja nie da rezultatu. A może... W klubie zerwano portret Berii, a ja wciąż pisałem i pisałem... Areszt Berii nie umocnił moich nadziei. Wydarzenia te działy się jakby same dla siebie i ich łączność z moim losem nie dawała się jawnie odczuć. Nie o Berii powinienem był myśleć. Prokurator odpowiedział po dwu tygodniach. Był to prokurator zajmujący niegdyś wysokie stanowisko w sąsiednim zarządzie. Został z niego usunięty, przeniesiony do naszej dziury. Bo żona prokuratora handlowała maszynami do szycia po cenach dziesięciokrotnie wyższych, o czym nawet napisano felieton. Prokurator próbował się bronić najbardziej znanym orężem - doniósł, że sprzątający naczelnika zarządu Azbukina handluje z więźniami machorką po dziesięć rubli za skręta. A machorkę otrzymuje w paczkach samolotami z „kontynentu”, omalże pocztą dyplomatyczną - według specjalnych bagażowych norm przysługujących wyższemu naczalstwu, a nawet i bez żadnych norm.

Za stołem naczelnika zarządu zasiadało codziennie po dwadzieścia osób i żadne polarne stawki, żadne wysługi lat nie mogły pokryć wydatków na wino i owoce. Naczelnik zarządu był czułym ojcem rodziny, miał dwoje dzieci. Wszystkie wydatki pokrywała sprzedaż machorki: własnej roboty papieros kosztował dziesięć rubli, a z paczki - ósmej części funta, zawierającej osiem zapalczanych pudełek machorki, wychodziło sześćdziesiąt papierosów. Sześćset rubli taka paczka, 50 gramów - gra warta była świeczki. Prokurator, który znalazł swój sposób na bogacenie się, został natychmiast usunięty i przeniesiony do naszej dziury. Rozgorączkowany walką z nacjonalizmem, wiedziony nienawiścią, pilnował trzymania się przepisów prawa i szybko odpowiadał na listy. Napisałem powtórne podanie: odmówiono mi zwolnienia. Obecnie przesyłam zaświadczanie prokuratora... Po dwu tygodniach otrzymałem odmowę. Bez żadnego uzasadnienia - tak jakby mi był potrzebny zagraniczny paszport, gdzie nie podaje się przyczyny odmowy. Napisałem do prokuratora obwodowego, do Magadanu, i otrzymałem odpowiedź, że mam prawo do zwolnienia i wyjazdu. Walka „sił wyższych” przeszła w jakieś nowe stadium. Każda „zmiana kursu” pozostawia ślady w postaci wielorakich nakazów, wyjaśnień, zezwoleń. Wyczuwało się jakąś

odpowiedniość, moje podania trafiały, jak mówią błatniacy, „w kolor”. W barwę czasu? Po dwu tygodniach otrzymałem odmowę. Bez żadnego uzasadnienia. I chociaż wielokrotnie pisałem łzawe listy do mojego naczelnika - naczelnika oddziału sanitarnego, felczera Capko - nie otrzymałem od niego żadnej odpowiedzi. Od mojej siedziby do najbliższego lekarskiego rejonu w zarządzie było trzysta kilometrów. Zrozumiałem, że konieczne jest osobiste spotkanie. I Capko przyjechał razem z nowym naczelnikiem łagrów, obiecując wiele, wszystko, nawet zwolnienie.

- Znajdę kogoś, gdy wrócimy. A ty zostań jeszcze przez zimę. Na wiosnę pojedziesz.

- Nie. Jeśli mnie nawet zupełnie nie zwolnią, to z waszego zarządu odejdę na pewno.

Rozstaliśmy się. Sierpień zamienił się we wrzesień. Skończyła się powrotna wędrówka ryb ze strumieni. Ale mnie nie interesowały ani węcierze, ani wybuchy, po których wypływała ryba i na górskich falach kołysały się białe brzuchy gorbuszy i kiety, kołysały się, unoszone do zatoczek, gdzie psuły się i gniły. Potrzebny był, jak widać, przypadek. I taki się przydarzył. Rejon nasz odwiedził sam naczelnik Zarządu Dróg inżynier pułkownik Kondakow. Nocował w pokoju naczelnika rejonu. Spiesząc się, z bojaźni, że Kondakow zaśnie, zastukałem do drzwi.

- Proszę wejść.

Kondakow siedział przy stole w rozpiętym mundurze i rozmasowywał czerwony ślad pozostawiony przez kołnierzyk okalający jego okrągłą białą szyję.

- Jestem felczerem rejonowym. Czy mogę się zwrócić w sprawie osobistej?

- W podróży z nikim nie rozmawiam.

- Przewidziałem to - odrzekłem spokojnie i chłodno - Napisałem list z podaniem. Proszę, jest w kopercie - tam wszystko jest napisane. Proszę o przeczytanie w dogodnym dla siebie czasie.

Sytuacja stała się niezręczna i Kondakow przestał się zajmować kołnierzykiem. Cokolwiek by powiedzieć, Kondakow był inżynierem, człowiekiem z wyższym, chociaż technicznym wykształceniem.

- Proszę siadać i opowiedzieć, o co chodzi.

Siadłem i opowiedziałem.

- Jeśli wszystko jest rzeczywiście tak, jak pan mówi, to obiecuję zwolnienie zaraz po moim powrocie do zarządu. Za dziesięć dni.

Po dziesięciu dniach zadzwoniono do mnie z zarządu - dzwonili przyjaciele - jeżeli tacy tam byli. Lub też całkiem po prostu ciekawscy, nie aktorzy, ale widzowie, którzy spokojnie, przez wiele godzin pod rząd, przez wiele lat przypatrują się, jak ryba usiłuje się wydostać z dziurawego więcierza, jak lis odgryza sobie łapę, aby uwolnić się od wnyków. Przypatrują się, nie próbując

otworzyć pułapki i wypuścić lisa. Całkiem po prostu obserwują walkę zwierzęcia i człowieka. Telefonogram z rejonu do zarządu - na mój rachunek. Zezwolenie na taki telegram wymodliłem u naczelnika rejonu... Żadnej odpowiedzi. Nastąpiła kołymska zima. Potoki zaciągnęło lodem i tylko gdzieś na bystrzynach ciekła, płynęła żyjąca woda, dymiąc jak para z lokomotywy. Trzeba było się spieszyć. Spieszyć.

- Odsyłam ciężko chorego do zarządu - zameldowałem naczelnikowi.

U chorego wytworzyło się wrzodowe zapalenie jamy ustnej na tle niedojadania i awitaminozy; zapalenie to łatwo było pomylić z dyfterytem. Mieliśmy prawo takie przypadki odsyłać, co więcej - byliśmy zobowiązani to robić. Zgodnie z nakazem, prawem i sumieniem.

- A kto go odwiezie?

- Ja.

- Sam?

- Tak.

- Zamkniemy ambulatorium na tydzień.

Takie przypadki zdarzały się wcześniej i naczelnik o tym wiedział.

- Zrobię spis rzeczy. W celu uniknięcia kradzieży. A szafę na plombę pełnomocnego oficera.

- O tak, to słusznie - naczelnik uspokoił się.

Ujechaliśmy okazją. Marziliśmy, odgrzewając się co trzydzieści

kilometrów, i na trzecią dobę, jeszcze przed zmrokiem, w żółtobiałej mgle kołymskiego dnia dotarliśmy do zarządu. Pierwszym człowiekiem, którego ujrzałem, był felczer Capko, naczelnik wydziału sanitarnego.

- Przywiozłem ciężko chorego - zameldowałem, ale Capko nie patrzył na chorego, lecz na walizki. Miałem nawet walizki - własnej roboty z dykty. Znajdowały się w nich książki, moje taniutkie ubranie, bielizna koc, poduszka... Capko wszystko zrozumiał.

- Bez naczelnika nie wydam zezwolenia na wyjazd.

Poszliśmy do naczelnika. Był to jakiś maleńki naczelnik w porównaniu z inżynierem pułkownikiem Kondakowem. Po jego niepewnym tonie i niezdecydowanych odpowiedziach zorientowałem się, że nadeszły jakieś nowe rozporządzenia, nowe „wyjaśnienia”...

- Nie chcesz jeszcze pozostać na zimę? - był to już koniec października i była pełnia zimy.

- Nie.

- No cóż. Jak nie chce, to nie zatrzymujcie...

- Tak jest, towarzyszu naczelniku! - Capko wyprostował się przed naczelnikiem łagru, trzasnął obcasami i wyszliśmy na brudny korytarz.

- No więc tak - z zadowoleniem powiedział teraz Capko - Dopiąłeś swego. Zwalniamy cię zupełnie, dokąd chcesz.

Pojedziesz na „kontynent”. Na twoje miejsce wyznaczony został felczer Nowikow. To frontowiec, podobnie jak i ja, z wojny. Pojedziesz razem z nim do siebie - wszystko przekażesz zgodnie z przepisami i wtedy wracaj, aby się rozliczyć.

- Trzysta kilometrów? I ponownie tutaj - przecież ta jazda zabierze miesiąc. Nie mniej.

- Nic więcej zrobić nie mogę. Zrobiłem wszystko, co możliwe.

Zrozumiałem, że rozmowa z naczelnikiem łagru była przygotowanym wcześniej oszukaństwem. Na Kołymie nie wolno się z nikim radzić. Więzień i były więzień nie mają przyjaciół. Pierwszy z brzegu doradca pobiegnie do naczelnika, ażeby opowiedzieć i wydać kolegę, aby wykazać swą czujność. Capko już dawno sobie poszedł, a ja wciąż siedziałem na podłodze w korytarzu i paliłem, paliłem. Co to za Nowikow? Felczer z frontu? Odnalazłem Nowikowa. Był to człowiek ogłuszony przez Kołymę. Samotność, trzęźwość, niezdecydowane spojrzenia mówiły o tym, że dla Nowikowa Kołyma okazała się zupełnie nie taka, jakiej oczekiwał, rozpoczynając polowanie na wielkie ruble. Nowikow był jeszcze za bardzo nowicjuszem, za bardzo frontowcem.

- Słuchaj - powiedziałem - Jesteś z frontu. A ja jestem tutaj od siedemnastu lat. Odsiedziałem dwa wyroki. Teraz zwalniają mnie. Ujrzę rodzinę. W moim

felczerskim punkcie wszystko jest w porządku. Oto spis. Wszystko oplombowane. Podpisz akt przejęcia bez sprawdzenia.

Nowikow podpisał, nikogo się nie radząc. Nie poszedłem do Capka, aby mu powiedzieć, że akt przejęcia został podpisany. Poszedłem wprost do buchalterii. Buchalter przejrzał moje dokumenty - wszystkie zaświadczenia, wszystkie papierki.

- No cóż - powiedział - Możesz dostać rozliczenie. Tylko jest jeden szkopuł. Wczoraj otrzymano telegram z Magadanu - wstrzymać wszystkie zwolnienia aż do wiosny, do przyszłej nawigacji.

- Co mi tam nawigacja. Ja przecież samolotem.

- Taki ogólny nakaz, przecież sam wiesz. Nie od wczoraj jesteś na tym świecie. Ponownie usiadłem na podłodze w biurze i paliłem, paliłem. Przeszedł Capko.

- Jeszcze nie odjechałeś?

- Nie, nie odjechałem.

- No to bywaj...

Z jakiegoś powodu rozczarowanie nie było zbyt głębokie. Do takich uderzeń w plecy już się przyzwyczailem. Ale teraz nie powinno było się przydarzyć nic złego. Jeszcze całym swym ciałem i napięciem woli byłem w ruchu, w dążeniu, w walce. Całkiem po prostu coś tam nie zostało przemyślane do końca. Musi być jakaś omyłka w chłodnych rachubach przeznaczenia, w grze z moją osobą. Oto

i ona. Poszedłem do sekretarza naczelnika. Tego samego naczelnika, inżyniera pułkownika Kondakowa, który wyjechał właśnie ponownie.

- Czy był wczoraj telefonogram o powstrzymaniu zwolnień?

- Był.

- Ale przecież ja - czułem jak wysycha mi w gardle - przecież ja zostałem zwolniony przed miesiącem. Zgodnie z rozkazem 65. Wczorajszy telegram nie powinien się do mnie odnosić. Ja już jestem wolny. Od miesiąca. Jestem w drodze, w podróży...

- Tak, chyba tak - zgodził się lejtnant

- Chodźmy do buchaltera!

Buchalter przyznał nam rację, ale powiedział:

- Poczekamy na powrót Kondakowa. Niech on zadecyduje.

- No - powiedział lejtnant - nie radzę. Rozkaz podpisywał sam Kondakow. Z własnej woli. Nikt mu nie przedkładał do podpisu. Zedrze z ciebie skórę za niewykonanie rozkazu.

- Dobrze - powiedział buchalter, spojrzawszy na mnie z ukosa - Tylko - pstryknął palcami - podróż na swój rachunek.

Bilet do Moskwy, na samolot i pociąg kosztował trzy i pół tysiąca rubli a ja miałem prawo do opłaty tej podróży przez Dalstroj, gospodarza moich czternastu lat uwięzienia i trzech wolnych lat - a właściwie nie wolnych lecz w charakterze

wolnego najmu. Ale, sądząc po tonie głównego buchaltera, pojąłem, że tutaj nie pójdzie on nawet na najmniejsze ustępstwo. Na mojej książeczce byłego więźnia, bez naliczenia wysługi, w ciągu trzech lat zebrało się sześć tysięcy rubli. Pomogły mi zebrać tę zadziwiająco wielką sumę zajace, które łowiłem, gotowałem, piekłem i jadłem, oraz ryby, które również łowiłem, gotowałem, piekłem i jadłem. Zapłaciłem w kasie trzy i pół tysiąca rubli, dostałem akredytywę, przepustkę do portu lotniczego w Ojmjakonie i zacząłem szukać samochodu jadącego w tym kierunku. Znalazłem go prędko. Dwieście kilometrów - dwieście rubli. Sprzedałem koc, poduszkę (po co mi to wszystko w samolocie?), sprzedałem medyczne książki temu samemu Capce, po państwowej cenie - sprzeda on te podręczniki i informatory dziesięć razy drożej. Ale nie miałem czasu zastanawiać się nad tym. Gorzej było z czym innym. Zgubiłem swój talizman - nóż własnej roboty, który woziłem ze sobą przez wiele lat. Spałem na workach z mąką i widocznie wyleciał mi z kieszeni. Aby go odnaleźć, trzeba by rozładowywać cały samochód. Nad ranem przyjechaliśmy do Ojmjakonu, gdzie pracowałem przed rokiem, do Tomtoru, tak miłego mojemu sercu pocztowego oddziału, gdzie tak wiele listów wysłałem i odebrałem. Zsiadłem koło hotelu w porcie lotniczym.

- Słuchaj no - powiedział szofer ciężarówki - niczego nie zgubiłeś.

- Zgubiłem nóż na workach z mąką.

- Masz. Otworzyłem klapę skrzyni i nóż spadł na drogę. Dobre „piórko”.

- Weź sobie to piórko. Na pamiątkę. Już więcej nie potrzebuję talizmanu.

Ale moja radość była przedwczesna. W ojmjakońskim porcie nie było rejsowych samolotów i jeszcze od jesieni nagromadziło się tu pasażerów na dziesiątki maszyn. Listy po czternaście osób, codzienne jej sprawdzanie. Tranzytowe życie. Kiedy był ostatni samolot? Tydzień temu. A więc przyjdzie posiedzieć tu do wiosny. Niepotrzebnie oddałem szoferowi swój talizman. Poszedłem do kierownika robót w łagrze, gdzie przed rokiem pracowałem jako felczer.

- Wybierasz się na „kontynent”?

- Tak. Pomóż mi wyjechać.

- Pójdziemy jutro razem do Weltmana.

- A czy kapitan Weltman wciąż jeszcze jest naczelnikiem portu lotniczego?

- Tak. Tylko nie jest kapitanem, lecz majorem. Niedawno te nowe naszywki otrzymał.

Rano weszliśmy razem do gabinetu Weltmana i przywitaliśmy się.

- Wyjeżdża nam chłopak.

- A dlaczegoż to on sam nie przyszedł? Przecież mnie zna nie gorzej od ciebie.

- Tak po prostu, aby było ważniej, towarzyszu majorze.

- Dobrze. A gdzie masz rzeczy?

- Wszystko mam ze sobą. - pokazałem maleńką walizeczkę z dykty.

- No to świetnie. Idź do hotelu i czekaj.

- Ale ja...

- Milcz! Rób jak każe. A ty, kierowniku robót, dasz traktor na jutro, do równania lotniska, co... Bez traktora...

- Dam, dam - uśmiechając się, powiedział Suprun.

Pożegnawszy się z Weltmanem i kierownikiem robót, wszedłem do hotelowego korytarza; stąpając pomiędzy nogami i ciałami, dotarłem do wolnego miejsca przy oknie. Było tu co prawda nieco chłodniej, ale potem, po odlocie kilku samolotów, gdy minie kilka kolejek, przesunę się do pieca, do samego pieca. Minęła jakaś godzina, gdy leżący zerwali się na nogi, wsłuchując się chciwie w huk pochodzący z nieba.

- Samolot!

- Transportowy duglas!

- Nie transportowy, pasażerski.

Po korytarzu miotał się dyżurny portu lotniczego, w czapce uszance z kokardą trzymając w ręku listę - tę właśnie listę czternastu osób, której już nie pierwszy miesiąc uczono się na pamięć.

- Wszystkich, których wywołano, proszę, aby szybko kupili bilet. Lotnik zje obiad - i w drogę.

- Siemionow!

- Jestem!

- Galicki!

- Jestem!

- A dlaczego wykreślono moje nazwisko? -
wściekał się cztertnasty - Przecież
oczekuję w kolejce już trzeci miesiąc!

- Co to, mnie pan mówi? To naczelnik
portu skreślił. Weltman - własnoręcznie.
Przed chwilą. Odleci pan następnym
samolotem. Wystarczy? A jeśli chce się
pan wyklócać - oto gabinet Weltmana. On
tam jest... Sam panu wyjaśni.

Ale cztertnasty nie zdecydował się
wyjaśniać. Wszystko przecież może się
przydarzyć! Na przykład Weltmanowi nie
spodoba się fizjonomia cztertnastego. A
wtedy nie tylko nie odleci następnym
samolotem, lecz może być nawet skreślony
z listy. Tak przecież się zdarzało.

- A kogo wpisali?

- No właśnie, nie mogę przeczytać. -
dyżurny z kokardą wpatrywał się w to, co
zostało wpisane, i nagle wykrzyknął moje
nazwisko.

- To ja.

- Do kasjera - szybko.

Pomyślałem sobie: nie będę się bawić w
szlachetność i nie odmówię. Odjadę,
odlecę. Mam za sobą siedemnaście lat
Kołomy. Rzuciłem się do kasjera jako
ostatni, wyciągając nieprzygotowane
dokumenty, miętosząc pieniądze i gubiąc
rzeczy.

- Biegnij szybko - powiedział kasjer -
Wasz lotnik już zjadł obiad, a
komunikaty o pogodzie nieciekawe -

trzeba ją przeskoczyć, dostać się do Jakucka.

Ledwie dysząc, słuchałem tej niebiańskiej mowy. Dyżurny portu sprawdził mój bilet i wsadził bagaż do luku. Lotnik zamknął go i przeszedł do kabiny. W powietrze! Dotarłem do miejsca, do fotela, nie mając siły o niczym myśleć ani niczego rozumieć. Serce mi biło, biło przez całych siedem godzin, dopóki samolot nie znalazł się nagle na ziemi. Jakuck. W jakuckim porcie spaliśmy, objawszy się, z moim nowym towarzyszem - sąsiadem z samolotu. Należało wyliczyć jak najtańszą trasę do Moskwy; chociaż moje dokumenty drogowe wystawione były do Dżambułu, uważałem za mało prawdopodobne, aby kołymskie prawa działały też na Wielkiej Ziemi. Przypuszczalnie można będzie znaleźć pracę i mieszkanie nie tylko w Dżambule. Miałem jeszcze czas o tym myśleć. A na razie - najtaniej samolotem do Irkucka, a stamtąd pociągiem do Moskwy. Po pięciu dobach na miejscu. Albo można jeszcze do Nowosybirsk, a stamtąd do Moskwy - też kolejną. Który samolot wcześniej odleci...Kupiłem bilet do Irkucka. Do odlotu samolotu pozostawało kilka godzin i w ciągu tego czasu przemaszerowałem przez Jakuck, wpatrując się w zamarznąętą Lenę, w milczące, jednopiętrowe miasto, przypominające wielką wieś. Nie, Jakuck nie był jeszcze

miastem, nie był Wielką Ziemią. Nie było w nim dymu z parowozu.

POCIĄG

Na irkuckim dworcu ułożyłem się w kręgu światła elektrycznej żarówki, jasnego i ostrego - jakkolwiek by było, miałem zaszyte w pasie wszystkie moje pieniądze. Był to płócienny pas, który uszyto mi przed dwoma laty w warsztacie krawieckim, i teraz miał spełnić swoje przeznaczenie. Ostrożnie przestępując nogi, wybierając właściwą drogę pomiędzy brudnymi, śmierdzącymi ciałami odzianymi w szmaty, chodził milicjant, a także - co było znacznie lepsze - wojskowy patrol z czerwonymi opaskami i automatami. To jasne, że milicjant nie poradziłby sobie z chuliganerią - i to stwierdzono najprawdopodobniej jeszcze na długo przed moim przyjazdem. Nie chodziło mi o to, że bałem się kradzieży. Już dawno przestałem się bać, lecz całkiem po prostu z pieniędzmi było lepiej niż bez nich. Światło padało mi wprost na oczy, ale tysiące razy przedtem działało się już to samo i nauczyłem się znakomicie spać w takim świetle. Podniosłem kołnierz buszłata, zwanego w oficjalnych dokumentach półpaltem, wsunąłem pewniej rękę do rękawów i zsunąłem odrobinę walonki; palcom zrobiło się luźniej i - zasnąłem. Przeciągnąć się nie bałem. Wszystko było

jak zwykle: gwizdy parowozów, poruszające się wagony, dworzec, milicjant, bazar przy dworcu - tak jakbym się dopiero przebudził po wieloletnim śnie. Przeraziłem się i oblał mnie zimny pot. Przestraszyłem się ogromnej siły w człowieku, pragnienia i umiejętności zapomnienia. Zobaczyłem, że gotów jestem o wszystkim zapomnieć, wykreślić dwadzieścia lat ze swego życia. I to jakich lat! I kiedy to pojąłem, odniosłem zwycięstwo nad sobą. Wiedziałem już, że nie pozwolę mej pamięci na zapomnienie tego, co widziałem. Uspokoilem się i zasnąłem. Obudziłem się, obróciłem onuce na drugą stronę, umyłem się śniegiem - czarne bryzgi leciały na wszystkie strony - i poszedłem do miasta. Było to pierwsze prawdziwe miasto po 18 latach. Bo Jakuck to była wielka wieś. Lena oddaliła się od miasta, ale mieszkańcy obawiali się jej powrotu wylewów, i piaskowe korytopole pozostawało puste, była tam tylko wichura. Tutaj, w Irkucku, były duże domy, biegania mieszkańców, sklepy. Kupiłem w mieście parę trykotowej bielizny - od 18 lat nie nosiłem takiej. Niewysłowioną przyjemność sprawiało mi wyczekiwanie w kolejkach, płacenie, podawanie paragonu. Wymiar? Zapomniałem, jaki wymiar. Jak największy. Sprzedawczyni pokręciła głową z niezadowolaniem. Pięćdziesiąty piąty? Właśnie, właśnie. Zapakowała bieliznę,

której nie udało mi się nosić, gdyż mój rozmiar to 51 - wyjaśniło się to dopiero w Moskwie. Wszystkie sprzedawczynie ubrane były w jednakowe niebieskie sukienki. Kupiłem jeszcze pędzel do golenia i składany nóż. Te cudowne rzeczy kosztowały bajecznie tanio. Na Północy takie przedmioty robiło się samemu - i pędzle, i noże. Zaszedłem do księgarni. W dziale antykwarycznym była na sprzedaż Rosyjska historia Sołowjowa - wszystkie tomy za 850 rubli. Nie, aż do Moskwy książek kupować nie będę. Ale potrzymać je w rękach, postać przy ladzie księgarni - to było jak dobry barszcz z mięsem... Jak szklanka ożywczej wody. W Irkucku nasze drogi się rozeszły. Jeszcze wczoraj, w Jakucku, chodziliśmy po mieście wszyscy razem, razem kupowaliśmy bilety na samolot, staliśmy wszyscy razem w kolejkach, we czwórkę - nikomu nie przyszło do głowy powierzyć drugiemu pieniądze. To nie było przyjęte w naszym świecie. Doszedłem do mostu i spojrzałem w dół: na kipiel zielonej, przezroczystej aż do dna Angary - takiej mocnej i czystej. Dotykając zmarzniętą ręką brunatnej poręczy, wdychając zapach benzyny i zimowego, miejskiego pyłu, spoglądałem na spieszących się przechodniów i zrozumiałem, jak bardzo jestem mieszkańcem. Zrozumiałem, że najdroższy, najważniejszy dla człowieka jest ten okres, gdy tworzy się w nim

obraz ojczyzny, gdy jeszcze nie narodziła się miłość ani nie powstała rodzina. Jest to okres dzieciństwa i wczesnej młodości. I serce mi się ścisnęło. Z całej duszy słałem pozdrowienia Irkuckowi. Był on moją Wołogdą i moją Moskwą. Kiedy dochodziłem do dworca, ktoś szturchnął mnie w ramię. „Będą z tobą rozmawiać” - powiedział jasnowłosy chłopczyk w waciaku i odprowadził mnie w ciemność. Natychmiast z mroku wynurzył się niewysoki człowiek, patrząc mi uważnie w oczy. Po jego spojrzeniu zorientowałem się, z kim mam do czynienia. Było dobrze mi znane - tchórzliwe i bezczelne, przymilne i pełne nienawiści. Z ciemności wyglądały jeszcze jakieś mordy, ale na razie nie musiałem zawierać z nimi znajomości, pojawiają się w swoim czasie - z nożami, gwoździami, ze szpikulcami w rękach... Teraz przede mną jawiła się tylko jedna twarz o bladej, ziemistej cerze, z opuchniętymi powiekami i drobnymi wargami, jakby doklejonymi do cofniętego, wygolonego podbródka.

- Ty kto jesteś? - wyciągnął do mnie brudną rękę z długimi paznokciami. Odpowiedź była konieczna. Ani patrol, ani milicjant nic mogli mi tutaj okazać pomocy.

- Ty z Kołymy?

- Tak, z Kołymy.

- Gdzie tam pracowałeś?

- Byłem felczerem grup poszukiwawczych.

- Felczerem? Konowałem? A więc piłeś krew naszego brata. Mamy z tobą rozmowę. Ściskałem w kieszeni zakupiony nowy składany nóż i milczałem. Można było mieć tylko nadzieję na przypadek, na jakiś przypadek. Cierpliwość i przypadek - tylko to nas wybawiało i wybawia. I przypadek się wydarzył. Za sprawą dwu wielorybów, na których spoczywa świat aresztantów. Ciemność się rozstąpiła. „Znam go”. W świetle pojawiła się nowa postać, zupełnie mi nieznana. Miałem wspaniałą pamięć do twarzy, ale tego człowieka nie widziałem nigdy.

- Ty? - palec z długim paznokciem zakreślił półokrąg.

- Tak, on pracował na Kołymie - powiedział nieznajomy - Mówią, że człowiek. Pomagał naszym. Chwalili. Palec z paznokciem znikł.

- No to idź - powiedział ze złością złodziej. - Pomyślimy.

Na szczęście nie musiałem nocować na dworcu. Pociąg do Moskwy odchodził wieczorem. Z rana było mętne światło lamp elektrycznych, które w żaden sposób nie chciały zgasnąć. Przez trzaskające drzwi przeświecał irkucki dzień, chłodny i jasny. Chmury ludzi wypełniające przejścia, zajmujące każdy centymetr cementowej podłogi, zatłuszczonych ław - aby je zająć, gdy ktoś wstanie, ruszy się, odejdzie. Niekończące się stanie w kolejce przed kasą - po bilet do Moskwy, do Moskwy, a dalej zobaczymy. Nie do

Dżambułu, jak widniało w dokumentach. Ale komu potrzebne te kołymskie dokumenty w tym ludzkim spędzie, w tym niekończącym się ruchu. W końcu znalazłem się przy okienku, gorączkowe ruchy, ażeby wydostać pieniądze, przesunąć paczkę błyszczących papierków do kasy, w której one znikną - nieuchronnie znikną, tak jak znikło całe moje dotychczasowe życie. Ale cud stawał się dalej i okienko wyrzuciło jakiś twardy przedmiot, chropowaty, twardy, cieniutki jak odłamek szczęścia - bilet do Moskwy. Kasjerka coś tam krzyczała, coś jakby to, że pociąg jest pociągiem mieszanym, że miejscówka jest w mieszanym wagonie, że prawdziwą można dostać tylko na jutro lub pojutrze. Ale ja niczego nie zrozumiałem oprócz słów jutro i dzisiaj. Dzisiaj, dzisiaj. I ściskając mocno bilet, starając się wyczuć jego krawędzie swą pozbawioną czucia odmrożoną skórą, wyrwałem się, dotarłem do wolnego miejsca. Byłem człowiekiem z samolotu, nie miałem zbędnych rzeczy - jedynie niewielki dykciany kuferek. Byłem człowiekiem z Dalekiej Północy, nie miałem nic zbędnego - jedynie maleńką walizeczkę z dykty, tę samą, którą bez powodzenia starałem się sprzedać w Adygałachu, zbierając pieniądze na podróż do Moskwy. Nie opłacono mi jej - ale to wszystko było głupstwo. Najważniejsze - to twarda, kartonowa deseczka kolejowego

biletu. Wydyszawszy się gdzieś w kącie - moje miejsce przy jaskrawej lampie było oczywiście zajęte - poszedłem przez miasto do dworca odjazdowego. Zaczęto już siadać do wagonów. Na górcie stał pociąg przypominający zabawkę, nieprawdopodobnie maleńki, po prostu kilka brudnych kartonowych pudełek postawionych obok siebie - pomiędzy setkami innych, gdzie mieszkali dróżnicy i obsługa ruchu, gdzie była porozwieszana zamarznięta bielizna, wydająca trzask pod uderzeniami wiatru. Mój pociąg niczym się nie odróżniał od tych składów wagonów przekształconych w baraki mieszkalne. Skład nie był podobny do pociągu zdążającego przez tyle godzin do Moskwy, podobny był właśnie do mieszkalnego baraku. I tu, i tam schodzili po stopniach ludzie, i tu, i tam nad głowami ludzi przemieszczały się w powietrzu jakieś rzeczy. Pojąłem, że pociąg nie ma tego, co najważniejsze, nie ma życia, obietnicy ruchu - parowozu. Rzeczywiście, żaden z tych mieszkalnych baraków nie miał parowozu. Mój skład też wyglądał jak barak mieszkalny. I nie uwierzyłbym, że te wagony mogą mnie zawieźć do Moskwy - ale pasażerowie już wsiadali. Przy wejściu do wagonu wrzała walka, straszna walka. Tak jakby praca skończyła się o dwie godziny wcześniej niż trzeba i wszyscy przybiegli do domu, do baraku, do ciepłego piecyka i rwą się do drzwi.

Jacy tam konduktorzy... Każdy sam szukał swojego miejsca, sam je zajmował i trzymał je. Moje miejsce na środkowej półce było oczywiście zajęte przez jakiegoś pijanego lejtnanta, któremu się bez przerwy odbijało. Ściągnąłem go na podłogę i pokazałem bilet. „Ja również mam bilet na to miejsce” - zgodnie wyjaśnił lejtnant, czknął, osunął się na podłogę i natychmiast zasnął. Wagon wciąż się zapychał i zapychał ludźmi. Podnosiły się i znikały gdzieś w górze jakieś ogromne toboły, jakieś walizy. Zapachniało ostrą wonią owczych kożuchów, ludzkiego potu, brudu, karbolu. "Jak na punkcie tranzytowym" - powtarzałem sobie, leżąc na plecach wciśnięty w wąską przestrzeń pomiędzy środkową i górną półką. Z dołu do góry przesunął się obok mnie lejtnant z rozpiętym kołnierzem i czerwoną, wymiętą twarzą. Uczepił się za coś z wierzchu, podciągnął się na rękach i znikł...W tym zgiełku, w krzyku tego wagonowego punktu tranzytowego, nie usłyszałem jednak tego, co było dla mnie najważniejsze, co chciałem usłyszeć, o czym marzyłem przez siedemnaście lat, co stało się dla mnie symbolem „kontynentu”, symbolem życia, symbolem Wielkiej Ziemi. Nie usłyszałem gwizdka parowozu. Nie pomyślałem o nim w trakcie rozgorzałej walki o miejsce w wagonie. I tak nie dosłyszałem gwizdka. Ale wagony drgnęły, zakołysały się i nasz wagon, nasza tranzytka, zaczął się

gdzieś przemieszczać, co wyglądało, jakbym zasypiał, a barak przesunął się przed moimi oczami. Zmusiłem się, żeby zrozumieć, że ja jadę - do Moskwy. Na jakimś rozjeździe, zaraz za Irkuckiem, rzuciło wagonem i z góry zwała się i zawisła na rękach postać lejtnanta, mocno zresztą trzymającego się górnej półki, na której spał. Lejtnantowi odbiło się i wprost na moje miejsce, a także na półkę mojego sąsiada trafiły wymiociny. Rzygał bez opamiętania. Sąsiad zdjął swoje futro - nie był to waciak ani buszlat, lecz palto z futrzanym kołnierzem, i klnąc niepowstrzymanie, próbował je oczyścić. Sąsiad mój miał mnóstwo jakichś plecionych koszy, zaszytych i niezaszytych w rogoże. Od czasu do czasu pojawiały się z głębi wagonu jakieś kobiety, opatulone w wiejskie chusty, w półkożuszkach, z dokładnie takimi samymi plecionymi koszami na plecach. Kobiety coś tam krzyczały do mojego sąsiada, a on machał do nich ręką na powitanie.

- Szwagierka! Jedzie do krewnych do Taszkientu - objaśnił, chociaż o nic takiego nie prosiłem.

Najbliższy koszyk sąsiad chętnie otwierał i pokazywał zawartość. Oprócz znoszonego ubrania z marynarką i jeszcze jakichś tam rzeczy w koszyku niczego nie było. Za to było wiele fotografii - rodzinnych, grupowych - na olbrzymich passe-partout, część z nich to były

jeszcze dagerotypy. Co większe fotografie były wyjmowane z kosza i sąsiad chętnie i dokładnie objaśniał, kto gdzie tu stoi, kto został zabity na wojnie, a kto został odznaczony, kto studiuje, aby zostać inżynierem. „A to - ja” odmiennie wtykał palec gdzieś tam w środek fotografii i wszyscy, którym ja pokazywał, pokornie, uprzejmie i ze współczuciem kiwali głowami. Trzeciego dnia wspólnego życia w tym trzęsącym się wagonie sąsiad mój, który wyrobił sobie pojęcie na temat mojej osoby jasne i bezwarunkowo słuszne, mimo że mu nic o sobie nie opowiadałem, powiedział do mnie, spiesząc się, dopóki uwaga innych sąsiadów była zajęta czymś innym:

- Mam w Moskwie przesiadkę. Czy pomożesz mi przenieść jeden koszyk przez wyjście?

- Przez wagę? Przecież w Moskwie mnie spotykają.

- Ach, tak. Zapomniałem, że macie się spotkać.

- A cóż ty wiesz?

- Co? Ziarnka słonecznika. A z Moskwy powiozę kalosze...

Nie wychodziłem na żadnej stacji. Miałem dosyć jedzenia. Obawiałem się, że pociąg na pewno odjedzie bez mnie, że stanie się coś złego - szczęście nie może przecież trwać wiecznie. Naprzeciw, na średniej półce leżał jakiś człowiek w futrze, stale pijany, bez czapki i bez rękawic. Wsadzili go do wagonu pijani koledzy, wręczając bilet konduktorze.

Jechał tak przez dobę, a potem gdzieś zlaźł i powrócił z butelką jakiegoś ciemnego wina. Wypił je wprost z butelki i rzucił ją na podłogę. Podchwyciła ją zręcznie konduktorka i zaniósła do swego konduktorskiego legowiska, zawalonego kocami, których w mieszanym wagonie nikt nie brał, i prześcieradłami, które nikomu do niczego nie były potrzebne. W tym samym przedziale, za barierą z koców, na górnej, trzeciej półce rozlokowała się jadała z Kołymy prostytutka, a być może i nie prostytutka, tylko zamieniona w nią przez Kołymę... Dama ta siedziała niedaleko ode mnie, na dolnym miejscu i kołyszące się, przyćmione światło wagonowej świecy padało od czasu do czasu na twarz, wyrażającą niezmierne zmęczenie, na wargi, wymalowane czymś, co nie było na pewno szminką do ust. Potem ktoś do niej podchodził, coś tam mówił i wtedy ona znikwała w konduktorskim przedziale. „Pięćdziesiąt rubli” - powiedział lejtnant, który już zdążył wytrzeźwieć i okazał się bardzo miłym, młodym człowiekiem. Zabawialiśmy się z nim bardzo ciekawą grą. Kiedy do wagonu wsiadał nowy pasażer, każdy z nas starał się odgadnąć zawód pasażera, jego wiek, czym się obecnie zajmuje. Wymienialiśmy spostrzeżenia, a potem on przysiadał się do pasażera, rozmawiał z nim i wracał do mnie z odpowiedzią. W ten sposób dama z wymalowanymi ustami,

ale z paznokciami bez śladu lakieru, została przez nas uznana za pracownika służby zdrowia, a leopardowe futro, w które była odziana - oczywiście sztuczne, podrabiane futerko - mówiło, że jego właścicielka to najprawdopodobniej siostra medyczna lub felczer, ale nie lekarz. Lekarz nie nosiłby sztucznego futra. Wtedy jeszcze nie słyszano o nylonie i syntetykach. Nasz wniosek okazał się słuszny. Od czasu do czasu obok naszego przedziału przebiegało z wnętrza wagonu dwuletnie dziecko na krzywych nóżkach, brudne, oberwane, niebieskookie. Bładziutkie policzki pokryte były jakimś liszajem. W minutę-dwie po nim kroczył zdecydowanie i pewnie młody ojciec - w waciaku z ciemnymi, mocnymi palcami robotnika. Łapał tego chłopczyka. Malec śmiał się, uśmiechał do ojca, a ojciec uśmiechał się do niego i w radosnym uniesieniu zabierał go na miejsce - w jednym z przedziałów naszego wagonu. Poznałem ich historię. Zwykłą kołymską historię. Ojciec, zasądzony za jakieś pospolite przestępstwo, dopiero co się zwolnił i jechał na „kontynent”. Matka dziecka nie chciała wracać i ojciec jechał wraz z synem, zdecydowany wyrwać dziecko, a być może i siebie, z chwytnych objęć Kołymy. Dlaczego matka nie pojechała? Być może była to zwykła historia. Znalazła kogoś innego, polubiła swobodne kołymskie życie, a będąc już wcześniej

wolna, nie chciała znaleźć się na „kontynencie” w charakterze człowieka drugiej kategorii... A może młodość przekwitała. Lub też miłość, kołymska miłość skończyła się i wszystko mogło się zdarzyć. A być może to bardziej straszne. Matka odbyła karę według pięćdziesiątego ósmego paragrafu - najbardziej pospolitego z pospolitych - i wiedziała, czym grozi jej powrót na Wielką Ziemię. Nowym wyrokiem i nową męką. Na Kołymie też nie ma gwarancji przed wyrokiem, ale - nie będą na nią polować, tak jak to zawsze czynią na „kontynencie”. Niczego się nie dowiedziałem i nie chciałem się dowiadywać. Widać było szlachetność, przyzwoitość, miłość do dziecka, które ojciec na pewno rzadko widywał - przecież dziecko było w żłobku, w ogródku dziecięcym. Nieumiejętne ręce ojca rozpinające dziecięce spodenki, ogromne różnokolorowe guziki, przyszyte prostymi, nieumiejętnymi, ale dobrymi rękami. Szczęście ojca i szczęście dzieciaka. Ten dwuletni malec nie znał słowa „mama”. Wołał „tato, tato!”. I teraz on oraz ciemnoskóry ślusarz bawili się ze sobą, z trudem znajdując na to miejsce pośród pijaków, pomiędzy karcjarzami, wśród spekulanckich koszy i tobołów. Właśnie tych dwoje ludzi w naszym wagonie odczuwało szczęście. Pasażerowi, który spał już drugą dobę po odjeździe z Irkucka i który budził się

jedynie po to, ażeby wypić, przełknąć nową butelkę wódki, koniaku lub nalewki, nie udało się dalej pospać. Pociąg szarpnął. Śpiący pasażer runął na podłogę i zaczął stękać, stękać. Wezwana przez konduktorów pomoc medyczna uznała, że ma on złamane ramię. Powlekli go na noszach i znikł z mojego życia. Nagle w wagonie pojawiła się postać mojego wybawcy, a może to za dużo powiedziane - przecież nie doszło wtedy do niczego ważnego i krwawego. Znajomy siedział, nie poznając mnie i jakby nie chcąc poznać. Jednak wymieniliśmy spojrzenia i ja podszedłem do niego. „Chcę chociaż dojechać do domu, spojrzeć na bliskich” - były to ostatnie słowa błątniaka, które od niego usłyszałem. Ot i wszystko: i ostre światło lampy na irkuckim dworcu, i spekulant wiozący z sobą dla kamuflażu cudze fotografie, i wymiociny wydalone przez gardło młodego lejtnanta, i smutna prostytutka na górnej półce konduktorskiego przedziału i dwuletni brudny dzieciak, wołający w szczęściu „tato! tato!”, to wszystko utkwilo w mej pamięci jako pierwsze szczęście, nieprzerwane szczęście „wolności”. Dworzec Jarosławski. Szum miejskiego przypływu Moskwy - miasta, które było dla mnie najbardziej bliskie ze wszystkich miast świata. Zatrzymujący się wagon, droga twarz żony, która spotykała mnie tak jak i przedtem, gdy wracałem ze swoich licznych podróży. Tym

razem delegacja była długa - prawie siedemnaście lat. A co najważniejsze - nie powracałem z delegacji. Wracałem z piekła.